

# Rudolf Havel

## Wśród homunkulusów

(Im Reich der Homunkuliden)

Romans fantastyczno-społeczny.

Przełożył J.Grz.



&

MIRANDA

# **GONIEC KRAKOWSKI**

**1919**

## **CZĘŚĆ PIERWSZA.**

### **I.**

## **EPOKOWE ODKRYCIE. ZAGADKA ŚMIERCI.**

Olbrzymi gmach teatru stolicy wypełniła publiczność po brzegi. Zebrały się tu wszystkie warstwy i stany, reprezentanci wszystkich klas, ministrowie i naczelnicy władz zajęli łoże, generalicja, posłowie, Członkowie akademii umiejętności, profesorowie uniwersytetu, uczeni, oraz liczny świat finansowy, w towarzystwie dam, wypełnili parter, którego ostatnie miejsca zajęli przedstawiciele mieszczaństwa, handlu i przemysłu, a za nimi natłoczyły się delegacja organizacji socjalistycznych. Galerię wypełnili dziennikarze, skwapliwie rozglądający się po sali i notujący pospiesznie obecnymi. Nie brakło także sprawozdawców fotograficznych. Przybyło ich przeszło 30 i zaraz weszli w zatarg z komisarzem policji, gdyż ten nie chciał pozwolić na użycie magnezji do zdjęcia, zasłaniając się obawą paniki. Fotografów jednak poparli solidarnie dziennikarze wszystkich odcieni, począwszy od zastępcy socjalistycznego dziennika „Głos Ludu“ aż do redaktora ultraklerykalnego pisma „Glossy niebieskie“, który oświadczył komisarzowi policji, że nie zezwolenie na użycia magnezji będzie uważane za pogwałcenie prawa swobodnego wypowiedzenia się. Ostatecznie policja ustąpiła, zarządzając jedynie ustawienie poza aparatami sześciu strażaków miejskich.

A tymczasem na sali wrzało jak w ulu. W łoży namiestnik wiódł widocznie

ożywioną rozmowę z burmistrzem stolicy, gdyż obaj bardzo gestykulowali co zwróciło ogólną uwagę. Zainteresowanie wzmoгло się, gdy do loży wszedł prezydent ministrów i minister wojny. Nie ulegało wątpliwości, że temat rozmowy stanowią rewelacje, Jakże właśnie na zgromadzeniu miał poczynić prof. dr Avanti, o czym zresztą krążyły tylko głuche słuchy, iż chodzi tu o odkrycie wprost przewrotowe.

Napężenie na sali wzrastało z każdą minutą, a tymczasem do gmachu tłoczono się dalej tak silnie, że aż policja musiała wkroczyć, usuwając przede wszystkim osoby nieumundurowane i bez orderów.

Olbrzymie tłumy, zebrane w gmachu, sprowadziła zapowiedź odczytu profesora Avanti.

Już od dłuższego czasu w prasie pojawiały się krótkie, zagadkowo brzmiące notatki, głoszące, że prof. Avanti poczynił jakież odkrycia, które mogą wprowadzić przewrót w dotychczasowych stosunkach społecznych. Notatki brzmiały nader tajemniczo i zawsze kończyły się uwagą, że uczony, będąc nadzwyczaj ostrożnym i skrupulatnym, opublikuje swe odkrycie dopiero wtedy, gdy już niezbicie przekona się o prawdziwości i ścisłości swych wyników. Wiedzano tylko, że chodzi tu o jakieś spostrzeżenia z zakresu fizjologicznych procesów w ciele ludzkim, a najpoważniejsze i tero samom najlepiej poinformowane dzienniki dawały do poznania, że nowo odkrycie rozwiąże zagadkę śmierci.

Odczyt zapowiedziany został w gmachu teatru a nie w sali akademii umiejętności, co, także miało swe przyczyny. Mianowicie prof. Avanti już od szeregu lat odsunął się od grona członków akademii i uważając ich za klikę, we wszystkich pismach zwalczał ich namiętnie, nazywając ich zacofańcami, dorobkiewiczami ducha i dyplomowanymi bałwanami. Wojnę tę prowadził z całą gwałtownością swego temperamentu i w sposób tak popularny, że opór zainteresował w najwyższym stopniu laików i w masach podkopał resztki autorytetu akademii. Każda kampania, wszczynana przeciw niemu, kończyła się pełnym jego zwycięstwem i dalszym pognębieniem i ośmieszeniem przeciwników, dr Avanti zyskiwał w masach coraz większy rozgłos, a popularność i sława jego wzrastały coraz bardziej. Ze strony akademii podejmowano kilkakrotnie próby stworzenia pewnego porozumienia i załagodzenia tego kłopotliwego stosunku, ale dr. Avanti odrzucał wszelkie propozycje kompromisu i trzymał się samotnie zdała. Gdy zaś miał coś do ogłoszenia, zwracał się wprost do szerokich mas, do całego narodu — jak mówił, — a nie do uczonych, którzy — jak się wyrażał, — mają zwyczaj zatykać szczelnie uszy, gdy nowa prawda na świat przychodzi.

Na 5 minut przed godziną 8 policja zamknęła wejścia przepełnionego gma-

chu. U zebranych znać było wzmagające się napięcie. Wiedziano, że dr Ayanti jest punktualny, jak angielski chronometr i oczy tłumów skierowały się ku drzwiom obok podium.

Nastąpiła chwila oczekiwania, zaległa cisza.

Nagle w drzwiach ukazał się profesor i w tym momencie na sali zerwała się burza oklasków. Wszyscy wstali ze swych miejsc, rozbrzmiały gromkie oklaski na cześć uczonego, panie zaczęły powiewać chusteczkami.

Dr Avanti mężczyzna lat około czterdziestu, średniego wzrostu, o twarzy jasnej, wzbudzającej szacunek, trochę łysy, zatrzymał się u wejścia, skłonił się lekko i czekał, aż sala, szalejąca z entuzjazmu, uspokoi się nieco. Gdy jednak burzliwe powitania przeciągały się już kilka minut, profesor skłonił się ponownie i ruszył do stołu. Ale oklaski wzmogły się jeszcze i dopiero po dłuższej chwili Avanti mógł przyjść do głosu. Już przy pierwszych jego słowach zaległa salę śmiertelna cisza.

— Szanowne zgromadzenie! — zaczął profesor, — prawdziwą przyjemność sprawia mi, że mogę wam podziękować za tak imponujący zespół. Świadczy to najwymowniej, jak żywo interesujecie się państwo wiedzą, ową wiedzą, która zbyt długo była zazdrośnie strzeżoną tajemnicą nielicznych jednostek. Dzisiejszy wasz napływ z dumą utwierdza mnie w tym, że dobrze uczyniłem, wychodząc z więziennych murów ducha, z ciasnych ram akademii i zwracając się wprost człowieka, do ogółu.

Po sali przebiegi stłumiony szmer potakiwania, profesorowie Uniwersytetu zamienili ze sobą wściekle spojrzenia.

— Nie będę się bawił w długie wstępy, — ciągnął dalej dr Avanti, — jak to lubią czynić moi uczeni panowie koledzy, (na sali rozległy się śmiechy, kilku profesorów pokręciło głową), przystępuję od razu do rzeczy. Znacie państwo fantazję Amerykanina Bellamy’ego, ową utopię, rozgrywającą się w roku 2000, ową dziecinną wizję przyszłości: uczone, uśpiony wiekowym snem magnetycznym, budzi się w odległej przyszłości, szczęsnej, radosnej, w złotym wieku ludzkości. Ów sen magnetyczny, trwający wieki, a jednak nie niszczący życia w organizmie, był dotychczas uważany jedynie za wykwit genialnej fantazji poetyckiej. Otóż to, co u Bellamy’ego było fantazja, mnie przez długie badania i niezliczonymi eksperymentami udało się zamienić w rzeczywistość.

Profesor musiał przestać mówić, gdyż na sali rozszalała burza okrzyków i oklasków. Klaskali wszyscy, nawet prezydent ministrów i minister wojny i to tak zapamiętali, jak gdyby byli członkami klaki teatralnej.

W tym momencie na galerii zabłysło światło magnezjowe i aparaty dokonały

zdjęć.

Długo trwało, zanim na sali nastał spokój. Ale profesorowie uniwersytetu, którzy zachowywali się najgwałtowniej i śmiali się szyderczo, nie mogli się uspokoić, a dziekan wydziału filozoficznego zwróciwszy się do dziekana wydziału teologicznego, zawołał:

— Błazeństwo!

Ponieważ okrzyk ten był wypowiedziany głośno, a na sali zaczynała już zapadać cisza, dosłyszano go w dalszych szeregach, i na nowo rozległa się wrzawa, ale tym razem wrzawa oburzenia. Prof. Avanti, który również usłyszał szydercze słowo, skinął ręką i uspokoiwszy wzburzenie, przemówił:

— Wy tłumaczę panu bliżej to „błazeństwo”.

Oklaski, jakie teraz się rozległy, nie dadzą się opisać. Profesorowie uniwersytetu poczerwienieli. Żona dziekana wydziału filozoficznego z rozdrażnieniem odwróciła się od swego męża i wyjąkawszy ze łzami w oczach: wstyd mnie! — chciała wyjść. Dziekan tylko z trudem zdołał ją skłonić do pozostania.

— Błazeństwem nazwał mój czcigodny kolega moją ideę — zaczął na nowo profesor. — Nie mam zamiaru pociągnąć go z tego powodu do zadośćuczynienia, mam jednak nadzieję, że gdy wysłucha moich wywodów do końca, to mimo swego nie koleżeńskiego wystąpienia będzie musiał zmienić zdanie.

Grzmiące: hańba! rozległo się na sali pod adresem dziekana. Jego żona zemdlała.

Profesor ciągnął dalej:

— Szanowni moi koledzy oraz moi przyjaciele członkowie akademii umiejętności, zechcą sobie zapewne przypomnieć, że zoologia notuje szereg przykładów takiego snu, podobnego do śmierci, a trwającego miesiącami. Czy sen zimowy niedźwiedzia, borsuka, różni się czym od snu w powieści Bellamy’ego? Znamy ryby afrykańskie, które po pół roku śpią w zeschniętym mule rzeczonym i nie giną przez to. Nasze jaszczurki, żaby, salamandry, leżą po pół roku zamarłe, bez śladu życia, a potem budzą się do życia na nowo. Chrabąszcz majowy, wylęgłszy się w jesieni, przez pół roku pozostaje zamarły pod ziemią, bez pożywienia, bez powietrza, a potem wlatuje do pełni życia. To, co stworzyła fantazja autora, przyroda urzeczywistniła jeszcze przedtem. Jest to życie utajone, życie, które spoczywa, przy czym jego naczynie, organizm zwierzęcy, nie psuje się. A czyż nie znaną jest rzeczą, że ziarno pszenicy, znalezione przy mumiach egipskich, gdzie leżało od trzech tysięcy lat, zasadzone w ziemię, zakiełkuje i wyda plon? Cóż więc w rzeczywistości pozostaje z fantazji Bellamy’ego? To, co on tylko komponował, było od dawna faktem!

Profesor przerwał na chwilę, by napić się trochę wody. Na sali panowała taka cisza, że słyhać było głosy dzwonek tramwajów, przejeżdżających obolegmachu.

— Dłuższy czas zajmowałem się owymi, bądź co bądź niezwykłymi zjawiskami — mówił dr Avanti — czyniłem najrozmaitsze skomplikowane doświadczenia, aby poznać zasady tego naturalnego długiego snu organizmów zwierzęcych. I dziś miło mi zawiadomić, że po 15 latach badań udało mi się poznać i zrozumieć istotę tego zjawiska. Przedstawię państwu teraz wyniki moich poszukiwań, faktyczną treść owego „błazeństwa”.

Ten niespodziany zwrot rozpętał nową burzę. Rozległy się oklaski oraz okrzyki pod adresem uczonych. Dziekan wraz z żoną opuścił salę, za nim ruszyło 12 jego kolegów. Scysji tej towarzyszyły głośne okrzyki: hańba! — zmieszane z wołaniami socjalistów:

— Tchórze, bałwany, idioty! Nie można im zresztą tego brać za złe, gdyż miotali obelgi z tą dumą i świadomością, że służą dobrej sprawie.

— Prosiłbym — zawołał profesor — o nieco więcej spokoju.

Uciszyło się momentalnie.

— Ogólnie wiadomo, że wszystkie siły są tylko formami jednej pra siły. Ciepło można zmienić w elektryczność, w światło, w siłę popędową. Elektrycznością można ogrzewać, śmiecić, poruszać maszyny. Elektryczność jest praformą wszystkich sił, ową praformą, z której one powstają i do której powracają, znowu. Siła życiowa jest tylko pewną określoną przemianą owej praformy.

Jeżeli w baterii elektrycznej krąży prąd, to cynk i kwas zużywają się; jeżeli prąd wyłączę na zawsze, cynk i kwas pozostaną nietknięte — przywrócenie prądu wprowadza życie w pozornie zmarłe stosy.

Otóż zdołałem doprowadzić do tego, że mogę przerywać prądy elektryczne, ożywiające komórki ciała zwierzęcego i ludzkiego. Wytworzony przez to zastój w krążeniu prądu jest zupełnym przerwaniem życia. Gdy zaś prąd przywrócę, życie powraca na nowo.

Wyłączenie prądu uniemożliwia wszelkie życie atomów, więc także uniemożliwia gnicie i rozkład. Ciało więc pozornie zmarłe, Jest w gruncie rzeczy j tylko zbiornikiem sił drzemających. Gdy się przywróci ich działanie, powraca życie do ciała niezniszczonego.

Mówca przerwał na chwilę.

Na sali panowała grobowa cisza. Kobiety, błyszczącymi oczyma wpatrywały się nieruchomo w tego wielkiego człowieka, który z tajemniczymi siłami przyrody obchodził się tak, jak n. p. uczeń szkoły ludowej z tabliczką mnożenia.

— Odkryłem — zaczął dalej profesor — tajemnicę zupełnego usypiania sił, działających w organizmie . Dotychczas mogła ludzkość sięgać w nieskończoność przestrzeni za pomocą teleskopu i mikroskopu; mnie powiodło się stać się panem czasu. Mogę życie ludzkie przedłużyć na tysiące lat. Mogę dokazać tego, że ktoś, żyjący dzisiaj, może się stać współczesnym tych, którzy w tysiąc lat później przyjdą na świat.

— Humbug! — rozległ się nagle okrzyk.

Na sali zakotłowało.

Profesorowie uniwersytetu znaleźli się momentalnie w krytycznej sytuacji, gdyż zewsząd rozlegały się gwałtowne okrzyki, żądające, aby natychmiast opuścili salę. Profesorowie krzyczeli także, powołując się na wolność słowa, ale to nie pomagało. Grupa podnieconych osób chciała siłą usunąć uczonych.

— Za pozwoleniem! — rozległ się nagle donośny głos prelegenta.

Właśnie dwaj socjalistyczni robotnicy ściągnęli z krzesła profesora filologii klasycznej i nieśli go ku drzwiom. Gdy odezwał się dr Avanti, robotnicy, jak przystało na karnych i wyszkolonych partyjników, usłuchali wezwania i puścili filologa, skutkiem czego ten runął na ziemię. Zerwał się jednak pospiesznie, pobiegł na swoje miejsce, stanął na krześle i wyjąłym głosem zaczął wołać:

— Gdzie dowody? Żądam dowodów! Dowodów! Chcę dowodów, a nie bajeczek!

Robotnicy rzucili się gwałtownie ku zaciętrzewionemu lingwiście, gdy znowu odezwał się ostrym tonem prof. Avanti:

— Dostarczę panu dowodów, panie kolego i to nawet zaraz! Proszę tylko o spokój .

Na sali uciszyło się, a profesor mówił dalej:

— Przed czterema laty, dnia 23 listopada, wracając o północy z posiedzenia do domu, spotkałem biedaka, licho ubranego, drżącego z zimna i głodu, proszącego o jałmużnę. Dałem mu zapomogę, a on zaczął prosić, abym mu się wystarał o jakiś zarobek. Godził się na każde zajęcie, aby tylko mógł coś zarobić, gdyż ma żonę i dzieci. Zapytałem go, czy chciałby zarobić dziennie po pięć koron. Człowiek zapłakał z radości. Kazałem mu na drugi dzień przyjść do mnie ze swą żoną. Gdy przyszli, zaproponowałem mu po 5 koron za każdy dzień, który prześpi w śnie magnetycznym, oraz zobowiązałem się do odszkodowania na wypadek, gdyby skutkiem doświadczeń poniósł jaki uszczerbek na zdrowiu. Oboje zgodzili się na moją propozycję z radością, po czym sprawę załatwiliśmy notarialnie. Dnia 26 listopada uśpiłem tego człowieka w obecności jego żony i zaraz wypłaciłem jej pieniądze za pierwszy tydzień. Odtąd przychodziła ona re-

gularnie co tydzień, podejmowała pieniądze i informowała się o stanie zdrowia jej męża. Z czasem nabrała do mnie takiego zaufania, że nie pytała już o śpiącego, lecz tylko zbierała zapłatę. Ten eksperyment kosztował mnie 5105 koron, ów człowiek spał prawie pełne cztery lata, gdyż zbudziłem go dopiero dziś rano.

Mówca przerwał.

Publiczność siedziała przez chwilę, jak skamieniała. po czym rozpętał się szal entuzjazmu. Rzucono się ku podium, chciano uczonego porwać na ręce, chciano go ścisnąć. Musiała wkroczyć policja i stanęła kordonem przed podium.

Profesor czekał kilkanaście minut, zanim się uspokoiło, po czym kazał wprowadzić owego człowieka. Przyprowadził go służący, za nim szła jego żona. Był to szczupły, chudy mężczyzna, średniego wzrostu. Szedł trochę niepewnym krokiem i musiał się lekko wspierać na służącym. Był nieco zakłopotany wielkim zebraniem. Jego żona, również średniego wzrostu, wykazywała w rysach twarzy wielką dozę energii.

Publiczność powitała ich oklaskami.

— Proszę panów kolegów — odezwał się profesor — zechciejcie postawić tym ludziom dowolne pytania, abyście się mogli sami przekonać o prawdziwości tego, o czym tu mówiłem.

Trzech profesorów weszło na podium. Publiczność przyjęła to ironicznymi okrzykami. Uczni zaczęli się wypytywać o najrozmaitsze szczegóły, a mężczyzna dawał takie odpowiedzi, iż nie mogło być żadnej wątpliwości co do ścisłości rewelacji odkrywcy. Profesorowie odeszli ze wstydem.

Kobieta opowiadała jeszcze długo i szeroko, że podczas spania jej męża, dzięki hojności uczonego mogła nie tylko popłacić wszystkie długi, ale nawet kupiła sobie mały sklepik, na co z pewnością nigdy by się nie zdobyła, gdyby jej mąż nie spał. Dała przy tym do poznania, że jej mąż lubił się zapijać, wreszcie wyraziła żal, że sen jego nie trwał jeszcze ze trzy lata dłużej.

Teraz tryumf profesora był zupełny. Dygnitarze państwa ruszyli na podium, aby mu pogratulować i uścisnąć rękę, prezydent ministrów winszował z przejęciem. W toku tego minister wojny zapytał profesora, jakie praktyczne znaczenie może mieć jego odkrycie. Profesor spąsował, podniecony tym za pytaniem i oświadczył, że zaraz udzieli w tym względzie wyjaśnień. Dygnitarze ruszyli na miejsca, a dr Avanti zaczął:

— Ekszelencja pan minister wojny zapytał mnie ironicznie, jakie praktyczne znaczenie może mieć moje odkrycie...

— Nie, za pozwoleniem, nie ironicznie — zawołał minister wojny.

— A to przepraszam, ekszelencjo, może jestem trochę za nerwowo— Ale



całą doniosłość mojego odkrycia powinien w pierwszej linii ocenić minister wojny.

— Jak to? — zapytał ten zdziwiony.

— Zaraz, ekscelencjo — oświadczył spokojnie uczony i zaczął tonem wykładu:

— Powszechnie wiadomo, jak ciężko jest utrzymywać ustawicznie pogotowie wojenne państwa i jak bardzo obciąża to ludność. Utrzymanie setek tysięcy żołnierzy, których w razie potrzeby rzuca się pod kule nieprzyjacielskie, pochłania miliony. Jak dobrze można by te pieniądze zużytkować dla dobra narodu, ile dobrego można by za nie zdziałać.

Socjaliści zaczęli żywo klaskać, kamienicznicy i mieszczenie zaczęli wołać brawo. Urzędnicy zachowywali się z rezerwą, gdyż zobaczyli, że minister wojny podniecony powstał ze swego miejsca.

— Wykształcenie żołnierza — ciągnął dalej Avanti — trwa jeden rok. Jeżeli więc ten materiał wyszkolony uśpimy na dalszy czas służby wojskowej, to państwo przychodzi w posiadanie armii, której utrzymanie wymaga tylko minimalnych kosztów.

A gdy ojczyzna znajdzie się w niebezpieczeństwie, stają do jej obrony zbudzone momentalnie setki tysięcy zupełnie wypoczętych żołnierzy.

Publiczność stała, jakby zachwycona. Na taki zwrot nikt nie był przygotowany.

Napie prezydent miasta krzyknął ostro:

— To nie może być! Nie na to mamy synów, aby spali dwa lata w służbie państwa!

Po sali przebiegł pomruk, zaczęły padać okrzyki: Tak, tak, to być nie może! Nie na tośmy wychowywali naszych synów, aby przespali dwa lata w magazynach!

Profesor, nie zrażony tymi krzykami, oświadczył:

— Jeżeli ojczyzna tego zażąda, to tak się stanie i tak stać się musi!

— Ale co zrobimy z certyfikatystami, z tymi, którzy dobrowolnie chcą dłużej służyć przy wojsku? — zawołał podniecony minister wojny.

Profesor uśmiechnął się nieznacznie i rzekł:

— Ci będą spali dłużej. A ponieważ w ciągu tego czasu będą zawsze do dyspozycji państwa, będzie im można potem zupełnie słusznie wystawić certyfikaty. Żołnierz, pozostający w śnie magnetycznym, konserwuje się dla dobra ojczyzny i w tym czasie nie jest narażony na te niebezpieczeństwa, które każdego mogą spotkać na każdym kroku; tego żołnierza chroni, się dla dobra państwa. I

jeżeli ktoś w służbie państwa prześpi np. 10 lat, tego odznaczyłbym najwyższym orderem, jaki państwo posiada.

— Pomysł nadaje się rzeczywiście do dyskusji — oświadczył głośno, prezydent ministrów, a grono urzędników przytaknęło mu z ożywieniem,

Szef sekcji z ministerstwa spraw wewnętrznych był zachwycony.

— Jak to bardzo uprości służbę! — zawołał, pomyślawszy przy tym o swoim synu, który był nieco leniwy, niezbyt mądry i lekkomyślny i dlatego przy całej protekcji ojca tylko powoli awansował.

Koła mieszczańskie jednak nie były zachwycone projektem profesora, ich pomruk stawał się coraz głośniejszym. Prezydent miasta, czując, że cała jego popularność będzie narażona, jeżeli nie wystąpi zaraz przeciw wariackiemu pomysłowi uczonego, prosił o głos.

— Za pozwoleniem — oświadczył dr Avanti — gdy skończę odczyt, otworzę ogólną dyskusję. Na razie proszę mi pozwolić skończyć. Przedstawię państwu inną formę zastosowania mego odkrycia i sądzę, że znajdzie ona niezawodnie uznanie w kołach mieszczańskich.

Napężenie na sali zaczęło zwolna ustępować, nastąpiła cisza.

— Pomyślcie państwo tylko o tych biedakach i nędzarzach, którzy nie mają z czego żyć, o tych wydziedziczonych z praw życia.

Burzliwe brawa rozległy się z miejsc, zajmowanych przez socjalistów,

— Pomyślcie państwo o tych biedakach, którzy pracowaliby chętnie na życie, gdyby tylko mogli znaleźć pracę. Dla tych moje odkrycie ma pierwszo rzędne znaczenie. Wielki problem ubogich zostanie rozwiązany, schroniska, azyle dla bezdomnych, ogrzewalnie publiczne, wszystko to zniknie. Nie będzie już potrzebne, aby górne dziesięć tysięcy tańczyło na dochód ubogich lub urządzało kosztowną herbatki. W przyszłości będzie można wszystkich bezrobotnych wraz z ich rodzinami uspić aż do chwili, nastania lepszej koniunktury dla pracy, a gdy się ich wówczas zbudzi, będą się niewątpliwie lepiej czuli, niż pod opieką naszych instytucji dobroczynnych. Gdy państwo podejmie wielkie inwestycje, zacznie budować nowe drogi, fabryki, albo gdy np. nastąpią wielkie śniegi, będzie miało do dyspozycji w swoich magazynach odpowiednie ilości pracowników. I jeszcze jedna korzyść wiąże się z tym: Jak wiadomo, im ubożsi ludzie, tym więcej mają dzieci. Otóż powyższe zarządzenia położą kres tej hiperprodukcji. Do tego dla osób wrażliwych odpadnie denerwowanie się prośbami żebraków. Dobrze usytuowany mieszczanin, wytworny arystokrata, będą mogli przy swym majątku spokojnie czas przepędzać, nie narażeni na widok nędzy. Proszę państwa...

Dalej profesor nie mógł mówić, gdyż podczas ostatnich jego słów na sali

zerwała się burza. Mianowicie socjaliści podnieśli niesłychaną wrzawę i ławą zaczęli się pchać ku podium. Wojskowi, urzędnicy i mieszczanie, do których w pełni przemówiły wywody mówcy, chcieli napierającym stawić opór, ale okazało się to niemożliwym. Socjaliści wołali: To ubodzy mają być wydziedziczeni z praw życia? Mają leżeć po magazynach, aż ich rząd zbudzi do zamiętania śniegu? Precz z nim! Wyrzucić go!

Zapanowała wrzawa nie do opisanania.

Z rozkazu obecnego na zebraniu prezydenta polityk, do którego bardzo przemówiły wywody profesora, gdyż spodziewał się, że w ten sposób da się znacznie zmniejszyć czynności policyjne, wkroczył na salę oddział policji. Właśnie trzech robotników zdołało dotrzeć do uczonego i już go chwytała za kołnierz, gdy dopadło czterech policjantów i po dłuższym szamotaniu zdołali oswobodzić profesora. Następnie dwaj tęczy policjanci wzięli profesora na ręce i wynieśli z sali, co wyszło tylko na jego korzyść, gdyż chciał on odpowiedzieć wzburzonym przeciwnikom, a wówczas z pewnością byliby go co najmniej pobili.

Teraz na podium wszedł prezydent policji i oświadczył, że rozwiązuje zgromadzenie.

Upłynęło jeszcze pół godziny, zanim sala się opróżniła. Wiele pań dostało spazmów, cylinder prezydenta ministrów wyglądał jak miechy harmonii ręcznej.

Dr Avanti w ciągu godziny przeżył całą zmienność opinii publicznej.

## II.

### **KAMPANIA PRASY. REWOLUCYA.**

Gdy profesor zbudził się dnia następnego, tak był oszołomiony wydarzeniami, że musiał sobie dopiero przypominać, w jaki sposób dostał się do domu ze Zgromadzenia. Policjanci, wyniosłszy go ze sali, Wsadzili go do dorożki, obok siadł wyższy urzędnik Policyjny, a na koźle jeden policjant, zaś dwóch konnych

policjantów eskortowało dorożkę do domu. Urzędnik policyjny zaraz po umieszczeniu się dorożce, zamknął okna, gdyż kilku podnieconych mężczyzn zaczęło pluć do dorożki.

Wszystkie te szczegóły wywołały w głowie uczonego nowy chaos. Zadzwo- nił. Wnet zjawił się służący, mężczyzna ku około 40, gładko wygolony, o nie- bieskich oczach.

— Co pan profesor rozkaże? — zapytał, kłaniając się lekko.

— Dzienniki.

— A może by pan profesor zechciał przedtem zjeść śniadanie? — zauważył służący.

— Nie, Filipie. A dlaczego tak radzisz?

— Bo wątpię, czy po przeczytaniu gazet będzie Pan profesor miał jeszcze apetyt.

— No, to przynieś śniadanie.

Służący ruszył ku drzwiom.

— Bardzo wymyślają? — zapytał uczonego.

— Jeszcze jak! „Robotnika” moim zdaniem, można by pociągnąć do odpo- wiedzialności za obrazę honoru, a zresztą i wszystkie inne, z wyjątkiem może tylko „Kuriera Porannego”.

— Co? Tam napisali dobrze?

— Nie. Tam wcale nic nie napisali,

— Filip, proszę przynieść herbatę.

— Bardzo dobrze.

Filip szybko podał śniadanie, a gdy profesor zabrał się do jedzenia, zauważył:

— Mamy przed domem wartę honorową.

— Jak to?

— Aż sześciu policjantów! Dwaj stoją w bramie, a czterej chodzą po ulicy.

— Czy to ze względu na mnie?

— A pewnie, bo gdyby o mnie chodziło, to przysłałiby jednego policjanta i ten zabrałby mnie ze sobą,

— Podaj szlafrok.

Ubierając się, zauważył profesor:

— Trzeba zobaczyć, co się tam dzieje — i ruszył ku oknu.

— Zaraz, zaraz — zawołał Filip, zastępując uczonemu drogę. — Przed pół godziny wyglądałem przez okno i dostałem w głowę zgniłym jabłkiem. Popatrzę ja najpierw, jak tam wygląda.

Otworzył okno, wychylił ostrożnie głowę i zaczął się rozglądać. Po chwili

oświadczył:

— Wszystko w porządku. Policja zamknęła ulice, tłum rozpedzono. Pan profesor może spokojnie spojrzeć.

Profesor wychylił się przez okno. Policjanci, pełniący służbę przed domem, powitali go salutowaniem

— Straszna rzecz — rzekł profesor, zamykając okno — w dzisiejszych czasach trzeba naukę bronić policją przed ludem!

— Bo przedtem było inaczej — proszę pana profesora. Przedtem trzeba było lud bronić policją przed nauką.

— Proszę się uciszyć!

— Bardzo dobrze.

— Dzienniki ?

— Czy wszystkie? Kazałem w sklepiku zebrać dla pana profesora po jednym egzemplarzu każdego pisma.

— Dobrze. Daj wszystkie. Niech sobie wymyślają, ile im się podoba!

Filip przyniósł stos gazet, profesor zaczął je szeregować, odrzucając drobniejsze, brukowe, co tak zdziwiło Filipa, że aż zapytał, czemu profesor nie chce ich czytać.

— Nie jestem ciekawy wiedzieć, co o mojej idei myślą dorożkarze, stróżki i zamiatacze ulic.

— Kiedy jednak te pisma mają znakomite artykuły, bardzo ostre, ale popularne — zauważył Filip.

— Proszę sobie pójść!

— Bardzo dobrze — oświadczył Filip i wyszedł. Gdy profesor mówił per „proszę”, nie było żartów. Zwykle wołał Filipa po imieniu, a w przystępie dobrego humoru mówił mu: ty!

Profesor zaczął czytać. „Organ wolnomyślny” w artykule wstępnym, pełnym głębokich myśli, składaj hołd i uznanie wielkiemu uczonemu, ale kwestionował możliwość realizowania idei, gdyż zdaniem pisma, może ona służyć tylko do niesłychanego popierania strajków. Co by na przykład stało się w razie powiedzmy strajku szewców, gdyby wszyscy robotnicy szewscy dali się uśpić na jeden rok. Ustałby przemysł i robotnicy nie potrzebowaliby też gromadzić milionów na fundusz strajkowy, mogliby uśpić się wraz z rodzinami na tak długo, aż fabrykant zmięknie i ustąpi. Dziennik wyraził jednak przypuszczenie, że odkrycie mogłoby stać się bardzo pożytecznym, gdyby powzięto ustawę, zabraniającą stosowaniu go na korzyść przemysłu.

W części sprawozdawczej był opisany przebieg zebrania na 11 szpaltach.

Profesor dowiedział się stąd, że o godzinie 2 po północy musiano sprowadzić wojsko, aby przywrócić spokój i porządek.

„Przegląd społeczny” był w sądzie bardzo umiarkowany. Nazywał znakomitym pomysłem, aby setki tysięcy ludzi mogły dziesiątkami lat spać dla dobra państwa i zapowiadał w tym kierunku przedłożenie przez rząd projektu ustawy. Pismo wyrażało policji uznanie za obronę genialnego badacza przed rozwydrzeniem tłumu i sławiło go jako człowieka, który zdołał stworzyć równowagę między popytem i popytą pracy, a tym samym ochronić podwaliny państwa przed owymi strasznymi przewrotami, jakie mogą mu grozić ze strony głodnych mas.

Nacjonalistyczna „Straż” podnosiła przede wszystkim, że odkrycie zapewni na zawsze bezpieczeństwo granic od zewnątrz, gdyż obcoplemiennych sąsiadów można będzie uspić na lata i tym samym zapewnić sobie swobodny rozwój narodowościowy. — Dziennik proponował, aby wielkiemu patriocie naród zbudował pomnik.

Biegunowo przeciwne stanowisko zajął „Dziennik Ludowy” oraz „Glossy niebieskie”. Pierwszy z nich, organ większości w radzie miejskiej, przyznawał, że jednak nie zły jest to pomysł rozwiązania w drodze odkrycia sprawy dobroczynności publicznej, gdyż wydatki miejskie na cele te zmniejszyłyby się o setki tysięcy, ponieważ jednak to demokratyczne pismo ze względów zasadniczych zajmowało wrogie stanowisko wobec profesorów, doktorów i ludzi nauki, oświadczyło kategorycznie, że zresztą sama idea jest tylko wymysłem i każdy porządny obywatel miejski potrafi wykazać, iż wywody profesora są nonsensem.

„Glossy niebieskie” stawiały naturalnie na stanowisku dogmatycznym i pomysł uczonego piętnowały jako wdzieranie się w nadprzyrodzone prawa. Taki pan Avanti w dawniejszych religijnych czasach byłby z pewnością spalony na stosie!

Dr Avanti skinął głową zadowolony, poprawił się w krześle i wziął się do czytania „Głosu Ludu”. Artykuł wstępny nosił tytuł: „Nauka w służbie kapitalizmu”. Pomysły profesora były w nim jak najkategoryczniej zwalczane, ideę usypiania ubogich na czas nędzy odrzucał dziennik z miejsca z gryzącą ironią, dawał do poznania, że rząd, szlachta, kler i burżuazja, pozbywszy się raz proletariatu, mogą bardzo łatwo zapomnieć o tym, aby zbudzić uspiionych! Po cóż zresztą mieliby budzić biedaków, skoro bez nich mogą pędzić życie spokojne i niezakłócone! Proletariat nie da eksperymentować sobą! Proletariat zbudził się już i żadnemu rządowi nie uda się wprowadzić go w uspienie, w jakim przebywał całe wieki. Na końcu artykułu była rada, aby rząd sam wraz ze swymi zwolennikami dał się uspić, a gdy się zbudzi na nowo, zobaczy, jaki postęp

zrobiła ludzkość, jakie nastąpiło zrównanie! Odkrycie profesora, widziane pod tym kątem, należy przyjąć z największą wdzięcznością.

Uczony zamyślił się. „Woły ryczą z trwogi, gdyż nowa prawda na świat przysłała” — mruknął i za dzwonił na służącego.

— Co pan profesor rozkaże?— zapytał Filip, stając w drzwiach.

— Czytałeś inne dzienniki, opowiedz, co w nich jest. Ale krótko, stylem telegraficznym.

— Bardzo dobrze — rzekł Filip. — Piszą, aby rząd i państwo odkupiły wynalazek pana profesora i traktowały go jako tajemnicę państwową, a gdy wynalazek zostanie udoskonalony, można będzie w razie wojny nadchodzącego nieprzyjaciela uśpić na odległość, co znacznie uprości prowadzenie wojny, będzie znaczne oszczędzanie amunicji, a także odpadnie nieprzyjemność narażania się na kule nieprzyjacielskie.

— Nie najgorzej— zauważył profesor.

— Inne pisma wydrwiwają pomysł. Pojawiły się zapytania restauratorów, sklepikarzy, handlarzy węgla, co się z nimi stanie, jeżeli zabraknie robotników. Ukazało się także wezwanie do urządzenia pochodu demonstracyjnego. Stróż naszej kamienicy również przyszedł z zapytaniem.

— Czegóż on chce?

— Zapytywał, za jaką cenę zechciałby pan profesor uśpić jego żonę. tak na trzy do pięciu lat.

— Kiedy jednak nie można się mu dziwić, jego baba zła, jak sto diabłów.

W tym momencie na ulicy rozległa się wrzawa.

Okno zadzwięczało, na podłogę posypały się kawałki szyby, spory kamień potoczył się do pokoju.

— Chcą mnie ukamienować — szepnął profesor półgłosem.

Okno zadzwięczało ponownie i znowu posypało się szkło.

Radziłbym panu profesorowi przenieść się do tylnego pokoju. Tam będzie bezpieczniej.

— Nie! — odparł stanowczo uczony. — Jestem dumny z tego, że cierpię za wiedzę!

Ruszył ku oknu aby się pokazać wzburzonym masom, ale Filip zastąpił mu drogę i oświadczył energicznie.

— To nie może być! Ja na to nie pozwolę. Bo gdyby który z tych drabów zrobi panu profesorowi dziurę kamieniem w głowie, odkrycie byłoby stracone. Wystarczy, że ja już coś oberwałem i wskazał na wielki czarny plaster na głowie.

— Te bałwany wzięli mnie widocznie za pana profesora — dodał tonem

usprawiedliwienia się.

— I ty nic o tym nie mówisz! — krzyknął profesor przestraszony.

W tej chwili na ulicy dały się słyszeć dźwięki trąbki, rozległy się słowa komendy i miarowy krok wykraczającego wojska.

— Chwała Bogu — zawołał Filip. Pan minister wojny troszczy się o nas. Widocznie obiecuję sobie wiele korzyści z odkrycia.

Na ulicy było cicho. Filip wyrzwał ostrożnie, rozglądając się i pozwolił profesorowi także wyrzeć. Ulica była zamknięta przez piechotę, tłumu nie było widać, tylko małą grupkę cywilnych transportowali policjanci do więzienia. Tuż pod oknem widać było wielką plamę krwi.

Filip spojrzawszy na nią zawołał;

— Tutaj komuś otwarto głowę. Może teraz łatwiej zrozumie, o co chodzi!

U wylotu ulicy, zamkniętego kordonu wojska, dał się zauważyć jakiś ruch i z poza linii wart wysunęło się trzech policjantów prowadzących jakąś kobietę i mężczyznę. Kobieta trzymała mężczyznę za rękaw i dosyć energicznie ciągnęła go naprzód, on zaś, widocznie skutkiem nadmiaru alkoholu, posuwał się bardzo niepewnym krokiem i zataczał tak silnie, że eskortujący policjant musiał go podtrzymywać.

Filipowi bardzo spodobała się ta scena, chciał nawet klaskać, ale profesor skarcił go surowo. Nagle Filip zawołał:

— Przecież to jest nasz obiekt doświadczalny i jego żona!

— Tak jest! — zawołał także profesor przyjrząwszy się uważnie. — Ale co u licha, czyżby ten człowiek nie przyszedł jeszcze do siebie po długiemu spaniu?

— Aha, nie przyszedł do siebie! — rzekł Filip. — Gdyby pan profesor powiedział, że jest on dokładnie urzęnięty, diagnoza byłaby słuszna.

— Filip, nie pleć czego bądź tak lekkomyślnie.

— Bardzo dobrze.

Zadzwoniono do drzwi. Filip pospiesznie otworzył w przedpokoju rozległy się pomieszane głosy, do pokoju wszedł policjant, wyprostował się, zsalutował i zameldował, że pani Magdalena Rodes chce mówić z panem profesorem, że on wraz z drugim kolegą zostali odkomenderowali, aby tę panią przyprowadzić i bronić pana profesora przed ewentualnym zamachem.

Profesor kazał przybyłych wprowadzić. Pani Rodes wbiegła i rzucając się na kolana przed profesorem zaczęła wołać:

— Zaklinam pana profesora na wszystko co święte, niech pan profesor uspi tego nicponia z powrotem!

Profesor kazał jej wstać i oświadczył krótko:



— Moja droga pani, to się nie da zrobić.

Kobieta wybuchła płaczem:

— Proszę pana profesora, przez cztery lata żyłam jak w niebie, a od czasu jak on wstał, mam kryminał w domu. Wczoraj wziął mi dwadzieścia guldenów, poszedł do szynku, zaczął się kłócić z ludźmi, że mu nie uwierzyli iż spał cztery lata, jednemu złamał szczękę, poturbowano go także, wrócił do domu zupełnie urżnięty, ja strasznie proszę, niech go pan profesor uśpi na dziesięć lat, ja się zadowolę trzema koronami dziennie.

Pan Rodes, który na chwilę odzyskał przytomność zaczął nagle wśród czkawki bełkotać:

— Całkiem słusznie, i ja proszę sam: proszę mnie uśpić, niech ja tej wiedzy....

Filip zacierał ręce i chcąc dać upust swemu zadowoleniu, zrobił młynka na pięcie.

— Filip! — zgromił go ostro profesor a zwracając się do małżonków zawołał:

— Czyście wy powariowali?

— Proszę pana profesora, ja bardzo proszę... proszę. uśpić mnie aż do dnia, gdy ta stara nogi wyciągnie. Pan ze mnie zrobił nieszczęśliwego człowieka, gdy spałem, ona mnie zdradziła.... nie chcę nic więcej wiedzieć o niej.... ja idę co łóżka...

— Ależ moi kochani ludzie — zaczął Avanti pojednawczo — to jest nonsens...

— Co jest nonsens? — wrzasnęła pani Rodes.

— Milczeć! — krzyknął profesor rozgniewany. — Bałwany jesteście. Filip, wyrzucić ich.

Rozległ się ponownie dzwonek. Gdy Filip pospiesznie drzwi otworzył, ku powszechnemu zdumieniu wszystkich ukazał się sam prezydent policji i to w mundurze.

— Dzień dobry panu, panie profesorze — odezwał się prezydent, wchodząc do przedpokoju.

— Czemu mam przypisać ten zaszczyt? — zapytał dr Avanti.

— Chciałbym z panem profesorem zamienić kilka słów na osobności — odpowiedział prezydent policji, obrzuciwszy bystrym spojrzeniem zebranych.

— Jeżeliby pan prezydent był łaskaw polecić tej warcie, aby wyprowadziła ode mnie ową parę, to zaraz służę.

Prezydent skinął głową i zwracając się do policjantów, wyprostowanych jak

posągi i stale salutujących, rzekł niewymownie łagodnym głosem:

— Wyprowadźcie tych ludzi.

Jeden policjant pochwycił mężczyznę za kark, drugi kobietę za ramiona i momentalnie wyrzucili ich za drzwi.

Filip otworzył drzwi do salonu, a gdy prezydent wszedł tam z profesorem, Filip wszedł także i zapytał:

— Co pan profesor rozkaże?

— Zostaw nas samych.

— Bardzo dobrze — odpowiedział Filip, cofnął się i zamknąwszy drzwi stanął, nad słuchując tuż przy nich, powiedziawszy sobie, że przecież trzeba stać w pogotowiu, aby być gotowym na pierwsze zawołanie profesora.

— Przychodzę tu — zaczął prezydent — w misji, która dla mnie osobiście jest niewymownie nieprzyjemną.

Profesor spojrział ze zdziwieniem.

— Jak panu profesorowi wiadomo z dzienników — ciągnął dalej prezydent, rzuciwszy spojrzenie na stos gazet — ogłoszenie o pańskim odkryciu wywołało silne podniecenie i wzburzenie, które — jak to pan sam zapewne spostrzegł — tu prezydent wskazał na rozbite okna — zmusza nas do poczynienia kroków w obronie pańskiej.

— Motłoch był zawsze największym wrogiem postępu — zauważył uczony.

— W zupełności przyznaję rację. My z policji wiemy coś o tym.

Profesor nie mógł sobie w tej chwili przypomnieć, kiedy i gdzie policja broniła wiedzy przed motłochem, mimo to jednak przytaknął skinieniem głowy.

— Otóż — mówił prezydent — jest obecnie naszym obowiązkiem zabezpieczyć pańską osobę i pańskie mienie przed atakami tłumu. Do tego dołączają się jeszcze pewne względy natury politycznej. Ale czy nikt nie podsłuchuje?

— Ależ naturalnie, że nikt.

— Na wypadek byłoby lepiej przekonać się — zauważył nieufny dyrektor policji, podszedł na palcach ku drzwiom i raptownie je otworzył.

Za drzwiami stał Filip.

— Filipie! to wstrętne! — krzyknął uczony z oburzeniem.

— Bo proszę pana profesora, właśnie chciałem list podać — tłumaczył się Filip.

— Proszę zostawić listy na później, proszę pójść do swego pokoju i tam czekać, aż zawołam — rozkazał profesor.

— Czy nie byłoby lepiej uśpić go na godzinę? — zauważył prezydent z uśmiechem.

Filip rzucił na prezydenta wściekle spojrzenie. Nigdy nie wyczuwał on zbytnej sympatii do policji, a teraz pod wpływem słów dyrektora policji poczuł się anarchistą.

— Proszę pana prezydenta — oświadczył kategorycznie — o tym, czy ja mam spać, mogę ja sam tylko decydować.

— Proszę odejść do siebie — powtórzył energicznie uczony.

Filip odszedł.

— Zostawmy te drzwi otwarte — rzekł profesor. — W mieszkaniu oprócz Filipa nie ma nikogo. Pan prezydent może swobodnie teraz mówić.

Prezydent, usadowiwszy się w fotelu tak, że miał przed sobą drzwi otwarte, zaczął:

— Proszę sobie wyobrazić, panie profesorze, że z powodu pańskiego odkrycia mieliśmy dziś już o pół do 7 rano posiedzenie. Przybyli delegaci ministerstwa spraw wewnętrznych i sprawiedliwości. Minister sprawiedliwości obiecuje sobie po pańskim odkryciu zupełną reformę w kryminalistyce, mianowicie myśli on o tym, że usypianie skazańców na czas kary zmniejszyłoby koszty utrzymania więzień, a istotą kary byłoby, że więzień, skazany na 150 lat przespania, po obudzeniu nie znalazłby już tych ludzi, z którymi pozostawał w bliskich stosunkach. W tym celu można by nawet kary zwiększyć np. do 100 i 200 lat. Taka reforma byłaby zwłaszcza nader ważną ze względu na politycznych przestępców. Gdyby bowiem przywódców stronnictw radykalnych albo rewolucyjnych pouspiano tak np. na 50 do 100 lat, w tym przeciągu czasu rozpadnie się sama, a przywódcy, obudziwszy się, nie znajdą swoich członków, co dla państwa miałyby pierwszorzędne znaczenie.

— Tak się zapatrują na tę sprawę? — mruknął uczony.

— Tak jest. I co pan profesor na to powie? Zawsze krzyczy się, że policja jest najreakcyjniejszą instytucją, a oto ma pan profesor sposobność samemu się przekonać, jak humanitarnie może być pańskie genialne odkrycie wykorzystane dla zapewnienia spokoju w państwie.

Profesor pokiwał głową.

— Delegat ministerstwa oświaty, radca dworu, członek wydziału medycznego, podniósł na dzisiejszej konferencji, że największą korzyść z odkrycia odniesie medycyna, teraz bowiem będzie można najniebezpieczniejsze operacje odbywać bez stosowania niebezpiecznych narkoz. Słuchaliśmy go uważnie, aczkolwiek ten pomysł był drobnym w stosunku do poprzednich wielkich idei, a delegat nie mógł pojąć, dlaczego jego entuzjazm nie znalazł oddźwięku.

— Za pozwoleniem — przerwał dr Avanti — czy pan prezydent przyszedł

specjalnie dlatego, aby mnie o tej konferencji poinformować?

— Mówiąc otwarcie: nie dlatego. Przyszedłem, aby panu profesorowi powiedzieć, że dzisiejszej nocy uwięzimy pana profesora.

— Co? To żarty!

— Nie. Mówię zupełną prawdę, Przeniesiemy pana profesora w bezpieczniejsze miejsce, aby pana móc uchronić. Pańskie życie od wczoraj stało się dla państwa zbyt cennym, abyśmy mogli pozostawić je biegowi wypadków. Proszę się tylko uspokoić, pańskie uwięzienie nie sprawi panu profesorowi najmniejszej nieprzyjemności, my tylko wywieziemy pana profesora ze stolicy, spędzi pan kilka tygodni w prawdziwie rajskiej miejscowości, zdała od wszelkich niebezpieczeństw, w spokoju, bez troski. Gdy wzburzenie mas ustanie, powróci pan znowu do miasta.

— A więc wymuszona ucieczka, czy jak mam to nazwać! Ale ja tego nie uczynię!

— Za pozwoleniem. Zanim pan powróci, ludność będzie miała sposobność poznać się na dobrodziejstwach pańskiego odkrycia. Wydamy polecenie lekarzom, aby operacje przeprowadzali w stanie uśpienia, biedacy bez środków do życia będą usypiani, znajdą ucieczkę przed nędzą. Gdy pan profesor będzie wracał, powitają pana wszyscy jako największego dobroczyńcę ludzkości, a wtedy będzie pan mógł swobodnie oddać swe odkrycie na usługi konieczności państwowych.

Profesor przeszedł się kilka razy po pokoju, po czym stanął przed dyrektorem policji i oświadczył spokojnie:

— Panie prezydencie, ja nie będę uciekał, nie dam się stąd zabrać. Żywym nie wyniesiecie mnie z tego mieszkania.

— Dobrze — odparł prezydent — ale w takim wypadku mam ściśle rozkazy zabrać pańskie papiery.

— Co? Jak pan się może na to ważyć?

— Pańskie życie jest w niebezpieczeństwie, wraz z życiem także i pańskie odkrycie, tak cenne dla państwa. Państwo ma obowiązek chronić je.

Prezydent podniósł się z krzesła i otworzył drzwi. W przedpokoju stał szereg policjantów, a w środku między nimi Filip.

— Ładnie wyglądamy, proszę pana profesora! — zawołał Filip.

— Protestuję przeciw takiemu postępowaniu — rzekł profesor.

Policjanci na rozkaz prezydenta zaczęli ze szaf i półek wydobywać różne skrypta, pakować je do skrzyń i wynosić. Profesor ze wzburzeniem patrzył na to, gdy zaś jeden z policjantów zabierał się do wyciągnięcia pewnego grubego fa-

scykułu, profesor skoczył ku niemu i chciał mu wydrzeć papiery. Dwaj policjanci musieli uczonego przytrzymać.

— Aha, więc tu są właściwe materiały — zauważył prezydent z zadowoleniem. — Panie profesorze, proszę być spokojnym, to wszystko będzie panu zwrócone.

Profesor bez słowa opadł na fotel i zakrył twarz rękami.

Gdy policjanci ukończyli i wynieśli papiery, prezydent zbliżył się do uczonego i oświadczył:

— Jeszcze raz zapewniam pana profesora, że wszystko to dzieje się dla pańskiego dobra, dla dobra państwa i nauki. Ale mam jeszcze prośbę: Gdy wieczorem przyjdziemy, aby pana stąd zabrać, proszę się zachowywać spokojnie. Opór na nic się nie przyda. Ucieczka także jest niemożliwa, i dla pana i dla pańskiego służącego. Dom znajduje się pod strażą.

Zresztą za trzy dni będzie nam pan wdzięczny.

Prezydent skłonił się i wyszedł. Dwóch policjantów zostało w mieszkaniu.

Dr Avanti długo siedział w milczeniu, nagle powstał i rzekł:

— Filipie, tego, co dziś przeżyłem, jest mi już za dużo. Wstręt budzą we mnie czasy współczesne. Ucieknę w przyszłość.

Policjant spojrział groźnie.

— Tak jest — powtórzył profesor — sam z siebie złożę ofiarę nauce, sam się uśpię na dwa tysiące lat

Filip wypatrzył się na uczonego z przerażeniem

### **III.**

## **INTERNOWANIE.**

## **NIESPODZIEWANY ZWROT.**

Stolica żyła w gorączce. Jedyнным tematem rozmów, kłótni i narad były rewelacje dra Avantięgo. Przy stolikach restauracyjnych mówiono tylko o jego odkryciu, stoły do kart i bilardy opustoszały, konsumpcja piwa i wina wzmogła się w czwórmasób, wobec czego restauratorzy byli bardzo zadowoleni z odkrycia, a ponieważ dyskusje kończyły się przeważnie w sposób gwałtowny, więc i adwokaci byli z odkrycia zadowoleni. Oficerski sąd honorowy musiał urzędować w permanencji, gdyż codziennie przy raportach meldowano po kilkaset nowych

pojedyneków. W mieście utworzyły się dwie partie, za profesorem i przeciw niemu, ci zaś, którzy nie wiedzieli, na co się zdecydować, załatwiali się dowiecipkowaniem na temat badań uczonego.

Profesor spędził popołudnie, bardzo podniecony wypadkami i wieściami z miasta. Przewidywał on wprawdzie, że jego enuncjacje wywołają silne poruszenie, ale nie przypuszczał, aby aż miało przyjść do rewolucji. Rzekł też do Filipa, że nie spodziewał się, iż przyjdzie do konfliktu z władzami. W odpowiedzi na to Filip wystąpił z następującą prośbą:

— Gdy wieczorem przyjdzie policja po pana profesora, niech mnie pan profesor ze sobą zabierze. Myślę że pan profesor jest dobrze zapisany w policji, i jeśli pan profesor za mną przemówi, to mi pozwolą razem jechać.

— Zacny z dobie człowiek – rzekł uczoney — i wyciągnął do Filipa rękę.

— Bo proszę pana profesora, takie nagłe przerwanie służby byłoby dla mnie niewygodne, zresztą pan profesor może mnie potrzebować. Co prawda, moja służba teraz bardzo się pogorszy, bo na przykład nie będę miał wolnego wychodu w niedzielę, dlatego też prosiłbym pana profesora o małą podwyżkę pensji. Dla pana profesora nie będzie to obciążeniem, gdyż na czas naszego uwięzienia państwo będzie dbało o mój wikt.

Profesor spojrział na służącego z lekkim rozczarowaniem i rzekł:

— To nie ładnie, Filipie, że zawsze myślisz tylko o stronie materialnej naszego stosunku. Rzucą to pewien cień na ciebie. Ale co powie twoja narzeczona, jeżeli nas zamkną na długo? Bo kto wie, kiedy nas wypuszczą?

— Nie pomyślałem o tym, ale sądzę, że pocieszy się ona nadzieją, iż w tym czasie więcej sobie złożę, bo nie będzie sposobności do wydatków.

— No to pakujemy.

Łatwiej jednak było to powiedzieć, niż wykonać, albowiem policjanci nie mając w tym kierunku żadnych dyrektyw, kategorycznie zabronili pakowania i ostre sprzeciwu profesora nic nie pomogły.

Profesor zażądał obiadu. Policjant sprowadził z restauracji kelnera ze spisem, uczoney wybrał dla siebie, Filip także; a gdy uczoney zabrał się do jedzenia, Filip, zasiadłszy w przedpokoju, zaprosił do stołu obu policjantów. Odmówili stanowczo, zasłaniając się, że są w służbie, ale gdy spróbowali po szklance wina, skrupuły ustąpiły. Filip przyniósł jeszcze jedną butelkę wina z piwnicy profesora, oraz zrobił dla uczonego tyle czarnej kawy, że wy starczyłoby i dla obu jego gości. A gdy profesor po obiedzie położył się, aby się trochę przedrzemać, Filip przyniósł z piwnicy butelkę koniaku, wziął pudełko z cygarami i siadł ze strażnikami do taroka. Policjanci oświadczyli, że byłoby niegodziwością zakłócać sen

znużonego uczonego pilnowaniem go, bez skrupułów mogli oddać się grze. Odbywała się ona w zupełnej harmonii, z wyjątkiem małego incydentu: mia-  
nowicie gdy Filip wygrał cztery razy z rzędu, jego partnerzy chcieli go za drzwi  
wyrzucić. Gdy profesor się obudził, obaj policjanci wypłacali Filipowi już  
kwitkami.

Profesor zbudził się wypoczęty i pokrzepiony i nawet z ożywieniem powie-  
dział do Filipa, że cieszy się z wyjazdu, tym bardziej, że podczas obiadu na ulicy  
znowu powtórzyły się starcia z wojskiem i znowu kamienie leciały do mieszkania  
uczonego.

O godzinie pół do 10 wieczorem przybył prezydent policji w towarzystwie  
dwóch komisarzy ubranych po cywilnemu. Profesor przyjął ich zupełnie spo-  
kojnie. Filip otrzymał polecenie pospiesznego pakowania rzeczy, w czym mu  
obaj policjanci pomogli z wielką uczynnością. O godz. 10 zniesiono kufry na dół,  
gdzie przed bramą czekał powóz. Na koźle obok woźnicy siedział policjant  
ubrany po cywilnemu. Prezydent sprowadzając profesora wyraził ubolewanie, że  
przypadła mu taka misja w udziale, ale on sam jest tu tylko wykonawcą rozka-  
zów. Do powozu wsiadł dr Avanti z Filipem oraz obaj komisarze policji, prezy-  
dent skłonił się z uprzedzającą grzecznością i zamknął drzwiczki, po czym powóz  
ruszył pospiesznie.

Gdy na dworcu kolejowym ukazał się uczonego ze swym orszakiem, poznano  
go. W poczekalni rozległ się szmer, zebrani z szacunkiem rozstąpili się przed  
przechodzącymi, tylko pewien socjalista krzyknął głośno: hańba, za co go zaraz  
aresztowano. Wtem rozbiegła się wieść, że uczonego jest na dworcu i szybko za-  
częły się gromadzić tłumy, tak, że z trudem tylko można było utrzymać porządek  
przed poczekalnią. Jakiś wieśniak zwabiony hałasem. przepchał się przez tłum i  
zaczął profesora z zaciekawieniem oglądać jak jakąś osobliwość, potem zdjął  
kapelusz, przeżegnał się i cofnął pospiesznie.

— Musi to być wielka przyjemność, jeżeli się jest sławnym — mruknął Filip.  
— Mam wszelkie powody, aby być zadowolonym z mojego pana,

Profesora i Filipa przeprowadzono do przedziału I. klasy, obaj komisarze  
wsiedli także, zaraz spuścili franki, ku wielkiemu niezadowoleniu Filipa. Za  
chwilę pociąg ruszył.

Upłynęło pół godziny milczenia, wreszcie profesor zwrócił się do komisarzy i  
zapytał ze złością:

— Dokąd mnie panowie wiozą?

— Pan profesor będzie zupełnie zadowolony. Wieziemy pana do domu pań-  
skiego dawnego przyjaciela, do profesora Dekerta,

Profesor zerwał się z miejsca.

— Co? Jak? Dokąd? Do domu wariatów? Traktujecie mnie jak wariata?

— Nie, panie profesorze. Ale w mieście baliśmy się o pańskie życie i chcielibyśmy pana ochronić, aż minie wzburzenie tłumów'.

— To wykręt! — krzyknął profesor. — Widocznie baliście się, że moje odkrycia zniszczą państwo! Może sadziliście, że uspię, cały rząd i obwołam się dyktatorem?!

— Ja się niczego nie obawiałem — odpowiedział obojętnie komisarz. — A czego się rząd obawiał, nie wiem, bo mi o tym nie mówiono. Ale byłoby niesprawiedliwością, gdyby pan profesor mnie oskarżał o to, że inni... zawinili, albowiem rzeczywiście wierzę, że to, co się dzieje, czyni się tylko dla pańskiego dobra.

— Ma pan rację — rzekł uczoney, spostrzegłszy, że rzeczywiście krzywdę mu wyrządził, — proszę wybaczyć, ale trzeba by mieć nerwy z drutu, aby znieść to wszystko spokojnie.

Uczoney wyciągnął rękę, którą komisarz żywo uściskał.

Nagle Filip zwrócił się do komisarza i ponurym tonem zapytał:

— Proszę mi powiedzieć, dlaczego właściwie i mnie taszczyecie do zakładu wariatów? Nie zrobiłem żadnego wynalazku, nie napisałem żadnej książki, nigdy nie byłem dla państwa niebezpiecznym.

Urzędnik wzruszył ramionami.

— Aha, więc pan nie wie? Otóż oświadczam, że protestuję przeciw temu! Oświadczam, że nie pozwolę się ubrać w kaftan bezpieczeństwa, że nie dam się związać ani zamknąć!

— Przypuszczam — zauważył komisarz — że zabrano pana ze względu na pana profesora.

— Jeszcze lepiej! Ale dlaczego nie zapytano mnie o to?

— Hm! — mruknął urzędnik — będę się starał, aby pana. wypuszczono, bo rzeczywiście nie widzę powodu...

— Co? — przerwał Filip, — żeby mnie wypuszczono? Pan nie ma prawa mnie wypuszczać, a gdyby pan to zrobił, to ja i tak nie odejdę. Tylko pan profesor ma prawo mnie wypuścić!

— Filipie, proszę się uspokoić — oświadczył profesor.

Filip siadł w kącie wagonu i zaczął rozmyślać, jakby się zemścić na policji, a myślał tak intensywnie, że usnął i zbudził się dopiero, gdy pociąg stanął na miejscu.

Na peronie stał prof. Dekert i z wyciągniętymi ramionami pobiegł do dra



Avantiego.

— Powitać, powitać, stary przyjacielu! — wołał ściskając przybyłego. — Toż to dla mnie zaszczyt, że mogę gościć u siebie najślawniejszego dziś człowieka!

Dr Avanti nie wiedział, co sądzić o tym przyjęciu.

— Dziękuję bardzo za sławę — rzekł, — która prowadzi do domu obłąkanych.

— Ależ pozwól, ja ci tę całą historię dokładnie opowiem. Wypocznij teraz trochę, przyjdę do ciebie. Obiad zjesz z nami, nie znasz jeszcze mojej żony.

— Czy zawsze zapraszasz na obiad swoich pacjentów? — zapytał Avanti ironicznie, aby Dekert mógł się od razu przekonać, że ma do czynienia z normalnym człowiekiem.

— Pacjentów? — zapytał Dekert zdziwiony. — To by się nie dało zrobić, gdyż moje mieszkanie jest za małe. Ale ty nie jesteś przecie pacjentem.

Dr Avanti spojrział na Dekerta z taką miną, że każdy, kto by go wówczas widział, musiałby nabrać przekonania, iż Avanti kwalifikuje się do szpitala wariatów na stały pobyt,

Dyrektor szpitala roześmiał się głośno.

— Ależ mój kochany! — zawołał — co ty właściwie myślisz? Nie, to do prawdy paradne! Ale... wybacz, tak przy ludziach nie możemy o tym mówić. Chodźmy.

Trzymając się pod rękę, wyszli obaj uczeni przed stację i wsiedli do powozu. Filip wygramolił się na kozioł. Serdeczne przyjęcie jego pana przez dyrektora szpitala całkowicie pokrzyżowało jego przypuszczenia. Nie wyobrażał sobie, aby go odwożono inaczej, niż w kaftanie.

Droga do zakładu nie trwała długo. Powóz zatrzymał się przed willą dyrektora, który po przybyciu na miejsce zaraz zaprowadził profesora do przygotowanego pokoju i ze względu na jego zmęczenie, pozostawił go samego, radząc udać się zaraz na spoczynek, aby nazajutrz móc się zabrać do doświadczeń.

Dr Avanti oświadczył, że zaraz położy się spać i po wyjściu dyrektora zaczął się rozbierać, zadzwoniwszy równocześnie na Filipa. Filip zjawił się bezzwłocznie.

— No jakże? Co słychać? — zapytał uczonego.

— Znakomicie! — zawołał Filip. — Mam wspaniały pokój, a jeśli jeszcze wikt będzie równie dobry, to mogę być zadowolony z pobytu u wariatów.

— No... to mnie cieszy... A teraz chodźmy spać.

— Padam do nóg — rzekł Filip, po czym zbliżywszy się do uczonego, zaczął tajemniczo szeptać:

— Chciałem panu profesorowa powiedzieć, że na wypadek, gdyby mnie chcieli ubrać w kaftan, mam ze sobą rewolwer...

— Głupi jesteś — przerwał profesor. — Proszę zabrać rzeczy i iść sobie!

Filip zabrał ubranie i bury profesora i wyszedł potulnie.

Wiejski poranek roztoczył całą pełnią swego uroku, gdy dr Avanti zbudził się. W pierwszej chwili nie mógł sobie zdać sprawy z tego, gdzie się znajduje, wnet jednak powróciła świadomość. Był wypoczęty. Szybko zerwał się z łóżka, podniósł story i wyjrzał przez okno. Czar ogrodu i roztaczającego się za nim lasu świerkowego zachwyił go. Zaczął się szybko ubierać, spoglądając na pyszny widok. Nagle ujrzał Filipa, przechodzącego ogrodem w towarzystwie służącego szpitalnego, wychylił się i zawołał na niego. Filip przyszedł.

— Co nowego Filipie, jak się masz?

— Jak dotąd, bardzo dobrze. Okolica ładniejsza, niż w stolicy i jest tu dobra restauracja i gdyby pan profesor się za mną wstawił, to dano by mi tam ceny takie same, jakie ma tutejsza służba, a wtedy oszczędziłbym jedną szklankę piwa na trzech szklankach, co jest bardzo higienicznym urządzeniem. Mój przyjaciel...

— Co? Już masz przyjaciela?

— Tak jest. Jest to służący zakładu, bardzo miły człowiek. On oszczędza codziennie po dwie szklanki piwa przy obiedzie.

— Jak to?

— Ano, przez te niższe ceny. Z winem jest tak samo. Przez dwa lata, jak tu bawi, zaoszczędził już 20 hektolitrów, jak to sam obrachował.

Widziałem także już kilku wariatów. Niektórzy wyglądali wcale rozsądnie... Mnie się zdaje, proszę pana profesora, że...

Filip umilkł.

— Cóż takiego, mówże? — rzekł profesor rozbawiony.

— Mnie się zdaje, że to musi być trudno nauczyć się aby rozróżnić mądrego od wariata.

— No to cóż będzie z nami? — zawołał profesor, śmiejąc się.

— Ja uchodzę tu za rozsądnego. Powiedział mi to mój przyjaciel, Henryk. Wariatów nie puszczają do restauracji, gdyż szkodzi im alkohol. A mnie wpuscili tam bez niczego i dostałem szklankę piwa i ćwiartkę wina, a ponieważ było zimno, napiłem się kieliszek rumu, więc uważają mnie za całkiem rozumnego... Czyby pan profesor...

Filip urwał zmieszany.

— Aha, chciałbyś się dowiedzieć, czy mnie uważają za umyślowo chorego. Ta próba nie jest wprawdzie zupełnie wystarczająca, ale niech będzie.

Profesor zadzwonił, a gdy weszła służąca, poprosił o herbatę z koniakiem i chleb z masłem.

Gdy służąca wyszła, Filip zapytał skwapliwie, czy koniak także należy do alkoholów, a otrzymawszy potwierdzającą, odpowiedź, czekał z zaciekawieniem, co się teraz stanie.

Po chwili przyszła służąca, przynosząc na tacy herbatę, szynkę i flaszkę z piękną etykietą. Ta flaszka pochłonęła całą uwagę Filipa. Sok, czy nie sok? — przebiegało mu po głowie.

Profesor nalał sobie trochę płynu do herbaty, wypił pół kieliszka, po czym nalał kieliszek i podał, Filipowi, który skwapliwie go wychylił.

— No cóż? Dobry koniak?

— Znakomity! — zawołał Filip z zapalem.

— Jesteś teraz uspokojony?

— Jeżeli koniaki nie uważają tu za nieszkodliwy alkohol, to tak — oświadczył Filip.

— Jesteś osłem! — zawołał profesor podniecony.

Filip wiedział z doświadczenia, że słowo osioł było u uczonego maksimum oburzenia, więc też potulnie zabrał się do robienia w pokoju porządków. Profesor zjadł śniadanie i kazał Filipowi odnieść zastawę, po czym wyszedł.

Filip pobiegł natychmiast do ogrodu, wyszukał swego przyjaciela i zagadnął go obcesowo:

— Czy koniak jest alkoholem?

— Naturalnie — zawyrokował Henryk — ale jest, diabelnie drogi, to więc nie dla nas.

— Czy wariaci mogę, pić koniak? — indagował dalej Filip.

— Nie — oświadczył Henryk kategorycznie.

— No to dobrze. Bo mój pan dostał całą flaszkę koniaku. Powiadani ci, jaki był dobry! I napił się sam.

— No, to nie jest wariatem — rozstrzygnął Henryk.

— Ale w takim razie po co go tu zamknęli? Czy zdarza się u was, że zamykają tu i nie wariatów?

Henryk wzruszył milcząco ramionami.

Tymczasem Avanti udał się do Dekerta i zaraz po przywitaniu się zainterpełował:

— Powiedz no mi, czemu mnie tutaj przysłali?

— Ze względu na spokój i bezpieczeństwo w mieście, ze względu na twoje osobiste bezpieczeństwo.

— Jak długo mają mnie tu trzymać? Czy chcą mnie tu zamknąć na całe życie?

— Nie, wcale nie. Nie wiem wprawdzie, czy dobrze robię, mówiąc ci o tym, że polecono mi, abym cię nakłonił do eksperymentowania na tutejszych chorych, w każdym razie masz tu wielkie pole do stosowania swego odkrycia.

Nad tematem tym rozpoczęli obaj uczeni żywą dyskusję, która przeciągnęła się nawet podczas obiadu.

Filip, dowiedziawszy się, że jego pan nie potrzebuje go na razie, udał się na obiad do restauracji. Po drodze wdał się w rozmowę z grupą ludzi pracujących w ogrodzie i zaczął wypytywać o stosunki w okolicy. Jeden z pracujących udzielił mu dokładnych relacji o tym, który hotel w pobliżu jest najlepszym i gdzie jest, najlepsze piwo. Filip, ujęty tą uprzejmością, przedstawił się swemu informatorowi, dodając, że jego panem jest najslawniejszy dziś uczonec.

Nieznajomy ucieszył się tym bardzo i dodał:

— A czy wie pan, kto ja jestem?

Filip zrobił bardzo zdziwioną minę.

Nieznajomy nachylił się i rzekł szeptem:

— Ja jestem cesarzem niemieckim — po czym zabrał się dalej do kopania ziemi.

Filip zamyślił się głęboko. Wiedział on już od swego przyjaciela, że w zakładzie są chorzy na manię wielkości, nie tyle więc zdziwiło go to, co teraz usłyszał ile raczej to, że wariat rozmawiał z nim dłuższy czas tak rozsądnie i poważnie — aż tu nagle Filip zaczął znowu myśleć o swoim panu i pełen najczarniejszych przeczuć, ruszył do restauracji.

Henryk przyszedł dosyć późno i zaraz na wstępie powiedział Filipowi, iż widział, jak dr Avanti w towarzystwie dyrektora zakładu i dwóch lekarzy po szedł na oddział paralityków.

— No, to już po nim! — zawołał Filip i łzy zakręciły się mu w oczach.

W tej chwili do restauracji wszedł Avanti z dyrektorem i grupą lekarzy. Filip wypatrzył się na nich w osłupieniu.

A przybyli zasiedli przy stole, na który na zlecenie dyrektora podano flaszki wina, gdy zaś napełniono kieliszki, dyrektor powstał i wygłosił mowę, w której wznosił toast na cześć profesora, dając wyraz radości, że przypadło mu gościć tak wielkiego badacza. Na toast odpowiedział Avanti ze wzruszeniem, wypijając kieliszek na podziękowanie.

Filip zobaczywszy to, rozplakał się ze wzruszenia i aby dać wyraz radości kazał podać dwie butelki wina dla ugoszczenia swego przyjaciela.

Pobyty w zakładzie upływał Filipowi jak najlepiej. Poza tym, że miał swemu panu wyczyścić ubranie, nic innego nie robił, gdyż uczoney całymi dniami pracował z dyrektorem, więc też przeważnie przesiadywali w restauracji, gdzie zdobył sobie poważne wzięcie. Tylko czasami jego dobry humor budził obawę, że może nadejść dzień, w którym trzeba będzie opuścić ten raj.

A dzień ten był bliższym, niż się tego można było spodziewać.

Dekert i Avanti siedzieli właśnie w pracowni i omawiali ostatni eksperyment uczonego, mianowicie uśpienie chorego w napadzie szalu, na trzy dni, oraz fakt, że chory po zbudzeniu go dalej pozostawał w szale, co było dowodem, że w okresie uśpienia w organizmie były przerwane wszelkie procesy życiowe, zarówno normalne, jak i chorobliwe.

W toku tej rozmowy wszedł służący szpitalny i wręczył dyrektorowi telegram. Dekert otworzył depezę, przebiegł ją oczyma i bezwładnie opadł na krzesło.

Avanti zerwał się przerażony.

— Co się stało? — zawołał.

— To nie do pojęcia — rzekł Dekert, nie mogąc ze wzruszeniu podpisać recepty.

— O co chodzi? — wołał Arami.

— Musisz jutro wracać do stolicy — wyszeptał dyrektor bezdźwięcznie.

— Jak? Wracać? Dlaczego? — wołał uczoney w rozdrażnieniu. — Wróć, gdy sam zechcę. Mam tu przerywać studia? Kto chce mojego powrotu?

— Dyrekcja policji. Powiada, że ze względu na spokój i bezpieczeństwo publiczne.

— Przecież z tych właśnie powodów mnie tutaj wysłano! Czy tam powariowali?

Dyrektor podał uczonemu telegram. Opiewał on następująco:

"Profesora Avantię natychmiast tu odesłać, ale bez eskorty. Masy są wzburzone. Dla uspokojenia publiczności podać — telegraficznie, kiedy Avanti powróci. Prezydent policji".

— Czy orientujesz się cokolwiek w tym?

— Nie... Mnie się zdaje, że ja sam dostałem pomieszania zmysłów!... Ale... zaraz, zaraz, — podaj no dzienniki — zawołał dyrektor na służącego.

— Posłaniec z poczty czeka na odpowiedź — zauważył służący.

— Najpierw dzienniki!

Za chwilę podano stos pism. Obaj profesorzy rzucili się na nie.

— Otóż i mamy — zawołał dyrektor i zaczął czytać:

„Z powodu wczorajszej interpelacji hr. Monatello w parlamencie"... Dobrze, ale jaka to interpelacja? Wczoraj nie czytałem pism.

— I ja nie — odrzekł Avanti.

— Poszukajmy dalej... Jest... Dyrektor przebiegł szybko kilkanaście wierszy i zaczął streszczać:

— Otóż hr. Monatello interpolował w parlamencie z twego powodu, mianowicie, że policja zamknęła cię w szpitalu dla umysłowo chorych, z powodu twoich odkryć. Skutkiem tego przyszło do wielkich demonstracji. I słuchaj dalej:

...W gmachu dyrekcji policji — czytał dyrektor — wybito wszystkie szyby, również w ministerstwie spraw wewnętrznych. Tłum ruszył pod parlament, musiano zarekwirować wojsko, jest — słuchaj, słuchaj — 130 osób rannych. — Straszne!

— Prosiłbym o odpowiedź — odezwał się służący, gdyż posłaniec czeka.

— Co począć? — jęknął dyrektor.

— Wracam jutro do miasta. Z mego powodu nie mogą ludzie narażać swego życia — oświadczył uczony i napisał kilka słów na blankiecie telegraficznym.

— Okropnie! — westchnął dyrektor, pisząc również kilka słów na blankiecie.

— Myślałem, że będziemy mogli razem dłużej pracować tylko dla nauki.... Wiec jednak stanowczo odjeżdżasz .jutro?

— Jak sam widzisz, jest to konieczne, aby w mieście w nastął spokój.

— Prawda... jednak, ten: motłoch, ten motłoch, czego on chce od nauki?

— Ja jednak sądzę, że właśnie my powinniśmy być zadowoleni z tego zwrotu. Jeżeli jakaś zdobycz naukowa porwie masy, to nie można już nazywać motłochem tych, którzy z entuzjazmu, dla wolności i postępu wybijają innym szyby.

Dyrektor pokręcił głową po chwili rzekł:

— Więc musimy przerwać nasze badania? Któż mi tutaj ciebie zastąpi?

Dr Avanti zaczął się nerwowo przechadzać w milczeniu, wreszcie zatrzymał się przed dyrektorem i zaczął mówić:

— Wiesz moje studia tutaj są może tylko drobnostką wobec tego co zamierzam. Przypomnij sobie, ilu uczonych ryzykowało swe życie w służbie nauki, przypomnij sobie podróżników, którzy szli na odkrywanie nieznanych światów, narażając się na śmierć, przypomnij sobie lekarzy, badających różne zarazy i eksperymentujących na sobie. Dzisiaj, gdy dowiedziałem się, że ogół stanął po stronie nauki, gdy masy z entuzjazmem — stanęły za mną...

— Ależ ten entuzjazm sprzeciwia się przepisom policyjnym — przerwał dyrektor.

— ...Dziś — ciągnął dalej uczony, nie zwracając uwagi na przerwę — oświadczam ci, że odważę się na krok naukowy, który przewyższy wszystko, co dotychczas działośo.

— Jak to mam rozumieć? — zapytał dyrektor zaniepokojony.

— Widzisz, wszyscy podróżnicy podejmując niebezpieczne wyprawy, mieli zawsze nadzieje i prawdopodobieństwo możliwości powrotu. Lekarze, którzy zaszczepiali sobie zarazki chorobowe, mieli widoki powrotu do zdrowia, ja zaś odważę się na krok, który pierwszym swym momentem odetnie mnie na zawsze, na całą wieczność od was wszystkich od całego mego otoczenia, od współczesności.

Profesor mówił podniosłym głosem z zapalem, wyprostowany. Był w tej chwili wspaniałym.

— Co zamierzasz? — wyjąkał dyrektor, oszołomiony.

— Uśpię się na dwa tysiące lat — odpowiedział spokojnie uczony.

Nastala cisza. Dyrektor skamieniałym wzrokiem długo patrzył na profesora, jakby przygnieciony brzemieniem wrażeń. Wreszcie zapytał cichym głosem:

— Kiedy zamierzasz to uczynić?

— Możliwie jak najrychlej. Chcę w roku 3910 obudzić się w pełni sił i zdrowia, obecnie mam lat 40.

— Po zbudzeniu się będziesz liczył lat— 3950. Nie, to nie do pojęcia... Ale, ale mogą się zdarzyć wojny, trzęsienie ziemi, możesz zginać we śnie.

— To spotka, mnie to samo, co podróżników z bieguna albo lekarzy, eksperymentujących na sobie

Właśnie przechodził Filip czytając jakiś list. Dr Avanti wyszedł, aby wysłać zarządzenie do wyjazdu i zawoławszy Filipa kazał mu zaraz wziąć się do pakowania. Filip osłupiał.

— Jak to — wyksztusił — jutro, tak nagle?

— Tak jest. Dosyć się naodpoczywałeś w tych ośmiu dniach.

— Szkoda, wielka szkoda — zaczął Filip, pakując rzeczy — że już jedziemy. I panu profesorowi pobyt tutaj wyszedł na dobre, pan profesor lepiej wygląda, a i mnie się uspokoiły nerwy wzburzane przez policję. Czyby pan profesor nie mógł tu dłużej pozostać?

— Niemożliwe, gdyż w mieście są rozruchy z mego powodu. Ale mógłbym ci tu wyrobić miejsce, jeśli chcesz tu zostać.

— O nie — zawołał żywo Filip — nie zostanę. Dostałem list od narzeczonej,

pisze mi, abym jej napisał, czy rzeczywiście jestem obłąkanym, aby wiedziała, co ma o mnie myśleć. Odpisać można by i za kilka dni, ale na zawsze tu zostać, toby szkodziło mojej reputacji.

— Więc najlepiej będzie, jeśli jutro wyjedziemy.

Filip westchnął i poprosił o pół godziny urlopu, aby się mógł pożegnać z przyjacielem. Rano podbiegł do restauracji, gdzie wiadano już o wyjeździe. Stojąca za bufetem gruba panna Cesia spojrzała na Filipa ze łzami w oczach i odwróciwszy się, zaczęła łzy obcierać ścierką. Pożegnanie z Henrykiem i z innymi stałymi gośćmi było nader serdeczne, Filip prosił, aby wszyscy, także panna Cesia, zachowali mu swą przyjaźń na wypadek, gdyby tu wrócił na stałe. Cesię spazmującą musiano wynieść.

O godzinie 12 w południe nastąpił odjazd. Dr Dekert z prawdziwym wzruszeniem żegnał na dworcu swego gościa i z obnażoną głową, stał dopóki pociąg nie znikł z oczu.

## IV. POWRÓT. WAŻNE DECYZYE.

Podróż koleją odbył profesor w głębokich rozmyślaniach nad zmiennością opinii publicznej. — Wszak niedawno tłum chciał go ukamienować, a dziś ten sam tłum rewoltuje o niego! Jak będzie tłum wyglądał w roku 3190, gdy uczony się zbudzi ze snu? Zapewne wiedza i nauka będą wówczas jedynym zajęciem ludzi. Tak, tak, profesor zbudzi się z radością w owym raj.

Filip ulokował się w przedziale trzeciej klasy i kupiwszy na jednej stacji dzienniki, zaczął je skwapliwie czytać. Artykuł wstępny miał tytuł: "Sensacyjna wiadomość! Prof. Avanti powraca z zakładu obłąkanych. Zwycięstwo ludu. Oswobodzenie uczonego".

Filip zatarł ręce z radości. Jesteśmy sławnymi, pomyślał i chcąc się z kimś podzielić swymi nastrojami, zagadnął siedzącego w wagonie jakiegoś grubego jegomościa również czytającego dzienniki:

— Wspaniała rzecz, nieprawdaż? Ten człowiek jest geniuszem!

— A czy nie myśli pan, że to wszystko jest od początku do końca zwykłym szwindlem? — zapytał nieznajomy.

Filip spojrzał na niego z politowaniem.



— Czy zna pan dr Avantiego? Czy nie słyszał pan o tym, że on na trzy lata uśpił jednego człowieka?

— Avantiego nie znam, ale tak sobie myślę, że on po prostu nabrał ludzi i ci mu uwierzyli w owo uśpienie. Czy pan sam zna go?

— Jestem jego kamerdynerem — odparł z dumą Filip.— Profesor jedzie tym samym pociągiem.

— Co pan powiada? — zawołał gruby pan zdziwiony. — To i pana wypuścili z domu obłąkanych? No, no, że on tak prędko wyzdrowiał. Zapewne operowali go?

Filip oświadczył na to, że byłoby wskazane, aby on sam wybrał się do tego zakładu, po czym wyszedł do innego przedziału.

Wiadomość, że dr Avanti znajduje się w pociągu, rozbiegła się wnet po drodze. Na najbliższej stacji, do wagonu, w którym siedział Filip, wszedł jakiś suchy mężczyzna, rozglądając się po podróżnych i spojrzawszy na Filipa, od razu skierował się ku niemu, oświadczył, że nazywa się Leon Schmendes, jest zastępcą Korespondencyi „Uniwersum” i zapytał, czy ma zaszczyt mówić z panem kamerdynerem profesora. Filip z całą godnością oświadczył, że rzeczywiście pan Schmendes ma ten zaszczyt, w odpowiedzi na co reporter zarzucił Filipa, szeregiem pytań, jak się ma profesor, jak się mu powadziło, jak był traktowany i czy to prawda, że go tam wbrew jego woli więziono.

— To wszystko, o czym mnie pan informuje, jest interpretacją w logice przewrotną — zaczął Filip poważnym tonem, sądząc, że jako służący uczonego powinien się wyrażać równie uczonym stylem. — Byliśmy traktowani z subtelną pregnancją i nasza konweniencja była bardzo komfortabel.

Schmendes wytrzeszczył oczy na tak, uczoną elokwencję i spytał:

— Że czuliśmy się tam dokładnie komfortabel i że nasz kwalitatywny i kwantytatywny konsum wykluczał wszelkie aspiracje i że ludzie, w owym muzeum są całkiem do admirowania, za co byliśmy bardzo obligowani.

— Tak, tak — powtórzył reporter bezdźwięcznie.

— Także dyslokacya i inne instytucye były zupełnie konwenansowe — ciągnął dalej Filip.

Schmendes rzucił na niego z pod oka nieufne spojrzenie, przypuszczając, że uczony służący bierze go na kawał. Mylił się jednak, gdyż Filip robił tylko to, co czynią tysiące innych ludzi, którzy wyrażają się „uczonym” stylem po to, aby drugim imponować.

— Więc profesor znajduje się na pewno w pociągu?— zagadnął dalej.

— Ekskluzywnie — oświadczył Filip.

Schmendes umilkł. Po chwili namysłu wydobyl cygaro i ofiarował je Filipowi.

— Merci — rzekł tenże.

— A wiec z całą pewnością prof. Avanti znajduje się w pociągu? — powtórzył reporter zapytanie.

— Z całą konkretnością. Mnie deplacował tutaj, gdyż był spatynowany do spokoju.

Pociąg zatrzymał się na stacji. Schmendes przeprosił Filipa na chwilę, wybiegi z wagonu, wpadł do urzędu pocztowego. Właśnie pociąg ruszył dalej, gdy Schmendes ukazał się z powrotem i rzucił się ku wagonowi, ale służba zatrzymała go.

— Ciekawy człowiek — pomyślał Filip — ale dobrze, że już poszedł, gdyż mój słownik mógł się wnet skończyć.

Większe jednak niespodzianki oczekiwały Filipa po przybyciu do stolicy. Cały dworzec był silnie obsadzony policją i czynił wrażenie, jak gdyby do miasta miał przybyć panujący, którego musi pilnować policja ze względu na jego wiernych poddanych.

Filip pobiegł szybko do przedziału swego pana, jednakże nie mógł tam dotrzeć, gdyż przed wagonem tłoczyła się liczna deputacja z prezesem akademii na czele, który w chwili, gdy dr Avanti ukazał się na stopniach wagonu, zaczął do niego wygłaszać mowę powitalną, wyrażając imieniem całego świata naukowego radość, że wielki uczoney tak szybko i w pełni zdrowia powraca znowu do miejsca swego stałego pobytu. Dr Avanti słuchał z uprzejmym uśmiechem. Niestety prezes nie mógł dokończyć swej mowy, gdyż na tor miał nadejść nowy pociąg, Rozległy się ogłuszające sygnały kolejowe, wobec czego członkowie deputacji wyratowali prezesa z kłopotliwej sytuacji, wzniósłszy okrzyk na cześć dra Avantiiego.

Filip był oburzony i dojrawszy urzędnika kolejowego nawołującego delegatów do cofnięcia się, odezwał się do niego:

— Przecież pociąg mógłby z kwadrans poczekać.

— Proszę być cicho — zgromił go urzędnik.

Filip nie odezwał się nic na to, ale to, co sobie pomyślał, było obrazą władzy w najgrubszym gatunku.

W poczekalni był taki natłok, że straż tylko z największym wysiłkiem mogła utworzyć małe przejście dla profesora. Gdy Avanti ukazał się u wejścia, rozległy się tysięczne okrzyki na jego cześć, kapelusze uniosły się do góry, panie zaczęły powiewać chusteczkami. Owacjom nie było końca. Wreszcie profesor skinął ręką

i kłaniając się przemówił:

— Dziękuję, serdecznie dziękuję. Przyjęcie, jakie mi zgotowaliście, tak mnie wzruszyło, że nic więcej nie jestem w stanie w tej chwili powiedzieć, jak tylko: jeszcze raz dziękuję, bardzo dziękuję.

Rozległa się burza oklasków i okrzyków. Nawoływania policji ginęły bez echa. Wreszcie udało się profesorowi i delegacji dotrzeć do wyjścia. Przed dworcem stały tłumy, które na widok powracającego uczonego wpadły w szal entuzjazmu, okrzyki: niech żyje! nie milkły. Do powozu, w którym siadł Avanti, zaczęto rzucać kwiaty. Tylko zwolna mógł się powóz posuwać wśród szpalery publiczności, wypełniającej ulicę i wiwatującej bez końca. Powrót ten robił wrażenie— tryumfalnego pochodu. Filip siedząc na koźle usiłował utrzymać powagę, a chciało się mu krzyczeć z radości.

Gdy powóz skręcił w ulicę, przy której mieszkał uczonego, spotkała go miła niespodzianka: wszystkie domy były przybrane chorągwiami, a balkony dekorowano dywanami i kwiatami. Wejście do domu, w którym mieszkał Avanti, było przybrane zielenią.

Profesor znalazłszy się w swym mieszkaniu, padł na fotel z przemęczenia,

— Straszna rzecz — rzekł — jestem jakby storturowany.

— To już widać jest kauzalizm komplikacji z glorią — zawyrokował Filip.

— Ależ proszę cię, mów po ludzku.

— Do usług... chciałem pana profesora zawiadomić, że odesłano skrzynki z papierami.

— To dobrze, bardzo dobrze, Jutro poukładamy skrypta na swoim miejscu. Teraz chcę trochę odpocząć.

Filip poprosił o godzinę urlopu i otrzymawszy polecenie powrócenia na godzinę 6, poszedł zaraz do pobliskiej restauracji, gdzie codziennie spotykał się z grupą swoich przyjaciół i gdzie przebywała jego narzeczona. Już gdy ukazał się na ulicy, z sąsiednich sklepów zaczęło go witać owacyjnie, w restauracji wywołał wprost sensację swoim ukazaniem się.

— Sługa pana dobrodzieja — wrzasnął kelner na widok wchodzącego.

Na te okrzyk wszystkie spojrzenia kierowały się, ku wchodzącemu, od stołu momentalnie zerwało się trzech dorożkarzy, stałych towarzyszy stołu Filipa i radośnie pobiegli go witać, Filip przywitał się z nimi bardzo serdecznie. Sława, nie zawróciła mu w głowie.

Kelner pobiegł zaraz z sensacyjną wiadomością do kuchni, gdzie kucharka. Kasia, narzeczona Filipa, usłyszawszy o tym, zemdlała. W kuchni powstało zamieszanie, kilka niewiast rzuciło się do jej cucenia wodą i octem.

Filip dowiedziawszy się, że narzeczona zemdląca, poszedł zaraz do kuchni. Kasia siedziała na stołku, z rękami bezwładnie opuszczonymi, oczy miała zamknięte i pachło od niej jak z flaszki octu. Gdy się Filip przybliżył, otworzyła przymknięte upadkiem oczy na chwilę, a ujrzawszy go krzyknęła i znowu zemdląca. Zaczęło się znowu nacieranie.

— Co się stało — zapytał Filip.

— Ano, ten osioł z bufetu przyleciał i tak obcesowo krzyknął: Pan Filip przyjechał, no i zemdlilo ją.

Tymczasem Kasia przysła trochę do siebie i zaczęła głośno płakać. Dziewczęta stały koło niej z załamanymi rękami w milczeniu, tylko jedna z nich, już trochę leciwa, odezwała się, że to przecież nie warto dla jednego chłopca tak płakać. Filip zwrócił się do Kasi, zaczął ją prosić aby się uspokoiła i aby z nim poszła do pokoju. Wnet ustały lamenty. — Kasia otarła oczy i wsparłszy się na ramieniu narzeczonego, dała się zaprowadzić do pokoiku dla gości, obecnie pustego:

— Kasiu kochana — zaczął Filip z namaszczeniem — jest mi w mojej orientacji niewymownie nieprzyjemnie, że się tak eszofrujesz przed komuną.

— Aj, aj, Filipeczku — zaczęła dziewczyna ze łzami w oczach — co ja się przez ciebie namartwiłam ty sam nie wiesz. Naprzód że cię wzięli do wariatów, potem że cię stamtąd wypuścili, że teraz stałeś się sławnym i teraz mnie nie zechcesz, no i widziałam jak rzucano na ciebie kwiaty, za co ja bym tym lafiryndom oczy wydrapała. Ty mi teraz powiedz, czyś mnie pozostał wierny i czy mnie nie zdradzisz, po...

Kasia zaczęła na nowo szlochać, ale okazało się, że Filip zna się na kobietach i wie jak się z nimi obchodzić. Mianowicie Filip wziął głowę Kasi w obie ręce i zaczął całować w oczy, co widocznie działało uspokajająco, gdyż szlochanie zaczęło cichnąć i Kasia jakby instynktownie zaczęła coraz silniej tulić się do Filipa.

Upłynęła dłuższa chwila, w milczeniu, poczym Filip odezwał się, że nie potrzebuje chyba przysięgać, iż się z Kasią ożeni, bo skoro raz tak powiedział, to tak się stanie. Potem kazał przynieść butelkę rustera, wiedział bowiem, że nic tak dobrze nie działa na uspokojenie jego narzeczonej jak słodkie wino i wypiwszy na zdrowie Kasi zauważył:

— Nie wiem jeszcze, co zrobi profesor. Na razie nie byłoby ładnie, abym odchodził teraz od niego, skoro mnie tak bardzo potrzebuje, gdy staliśmy się tak sławnymi, gdy codziennie tak dużo osób przychodzi, aby z profesorem pomówić. No i dochody mam większe, gdyż każdy gość daje dobre napiwki. Jeżeli zostanę u

mojego pana jaszczcze ze dwa lata. to będziemy mogli odkupić handelek od twojej ciotki, gości nam nie zabraknie już choćby ze względu na mnie. Obawiam się tylko, że mój pan zamierza coś takiego, co nam nasze plany nieco opóźnić może.

Kasia zbladła i zaczęła usilnie prosić, aby jej Filip powiedział wyraźniej o co chodzi, ale Filip milczał jak zakłęty.

Gdy Filip wrócił do domu, zadał uczonego przy pracy.

— Proszę te listy zanieść zaraz na pocztę — zawołał profesor ujrawszy Filipa — a po powrocie proszę się zaraz zgłosić do mnie.

Filip poszedł. „Hm, coś się kroi — pomyślał — zapewne staniemy się jeszcze sławniejszymi. Przypomniała mu się Kasia i jej czułe przywitanie się z nim. Filip zaczął przyjemnie marzyć. „Musi ciotka dużo popuścić z ceny, ten babiszon powinien sobie wszystkie palce oblizywać z radości, że jej krewniaczka dostanie takiego męża jak ja”.

— Listy zanesione? — zapytał dr Avanti, gdy Filip powrócił.

— Do usług.

— To weź sobie krzesło i siadaj tutaj, mam ci coś ważnego powiedzieć.

Filip przysunął krzesło do biurka, i usiadł silnie zaciekawiony, co mu jego pan powie. A profesor pisał dalej szybko, odkładając gotowe kartki jedne po drugiej, wyglądał jak, jak gdyby zupełnie zapomniał o obecności Filipa. Upłynął kwadrans, pół godziny, a znowu pół godziny, a profesor pisał bez przerwy.

Nagle jedna z kartek zesunęła się z biurka. i spadła na ziemię. Filip, podskoczył, aby ją podnieść, co zwróciło uwagę profesora.

— Aha, wróciłeś już? To dobrze. Zaczekaj minutę, zaraz skończę. — i profesor zaczął dalej pisać.

Filip przypatrywał się temu spokojnie, a że krzesło było wygodne, on zaś był pił przedtem rustera, zaczęły mu się zwolna oczy zamykać, opanowała go senność i wnet opadła mu głowa na dół.

Obudziło go głośno wołanie. Zerwał się szybko przecierając oczy. Profesor stał w drzwiach pracowni i podniesionym głosem wołał w stronę sypialni:

— Filipie, Filipie! Gdzież ten człowiek się podziewa?

— Tutaj jestem, proszę pana profesora — zauważył Filip przetarłszy ponownie oczy.

— Ahm, tutaj! Powiedz mi. gdzie ty właściwie przebywasz?

— Ciągle tu siedziałem, gdzie mi pan profesor kazał.

— Tutaj... aha... tak, tak... zapomniałem, przeoczyłem cię. Ale któraż to godzina. Co już dziesiąta? No, siadaj, mam z tobą do pomówienia.

Profesor usiadł i wziął pióro do ręki.

— Przepraszam bardzo pana profesora — zawołał Filip skwapliwie — byłoby może łatwiej panu profesorowi pomówić ze mną bez trzymania pióra.

Uczony spojrział ze zdziwieniem na Filipa, po czym odłożył pióro i zaczął:

— Otóż proszę cię, jak długo jesteś już u mnie?

— 11 lat i dziesięć i pół miesiąca.

— Co? Tak długo? Jak to czas leci... I byłeś zawsze ze swej służby zadowolony?

— Jestem panu profesorowi bardzo obligowany.

— Mów po ludzku,

— Po usług.

— Otóż muszę ci wypowiedzieć miejsce, musimy się rozejść.

Filip pobladł. — Czyżby pan profesor był ze mnie niezadowolony — wyksztusił.

— Nie, nie mój kochany — — rzekł profesor skwapliwie. — O tym nie ma mowy. Ale widzisz, jak przystąpię do pewnego doświadczenia, które zabierze tyle czasu, że wprost nie mógłbym zatrzymać cię na tak długo. Mam zamiar najdalej w ciągu roku wziąć rozbrat z tym światem, a raczej z teraźniejszością. Chcę na sobie samym wypróbować moje odkrycie, chcę się uspić, na dwa tysiące lat, chcę pójść w daleką przeszłość rodu ludzkiego.

— Dwa, tysiące lat? — zauważył Filip oszołomiony — czy to nie za dużo? Czy tak na przykład na sto lat nie byłoby dosyć ciekawego do widzenia?

— Niewątpliwie, ale ja chcę widzieć świat za dwa tysiące lat... Otóż w dniu, w którym się uspię, kończy się twoja służba u mnie. Otrzymasz wtedy ode mnie pewną sumkę tytułem gratyfikacji, abyś mógł sobie wygodnie urządzić przyszłość i ożenić się, czego tak bardzo pragnie twoja narzeczona.

— Kiedy, proszę pana profesora — zaczął zwolna Filip — mnie przychodzi na myśl, że gdy pan profesor obudzi się za dwa tysiące lat, to nie będzie nikogo, kto by znał przyzwyczajania pana profesora, kto by odpowiednio przyrządził śniadanie, że wtedy ludzie będą jadali pewnie co innego, pan profesor dostanie zaraz kataru kiszek.

— To już lekarze poradzą coś na to.

— A także nie bodzie pan profesor miał i nikogo znajomego i będzie tam panu profesorowi samotno i obco... i dlatego ja sobie myślę...

Filip przerwał i zamyślony zaczął patrzeć w podłogę.

— Co myślisz? — spytał profesor zdziwiony.

— Myślę, że byłoby dobrze, żeby — pan profesor wziął ze sobą, w przyszłość kogoś dobrze znajomego, z kim by można rozmawiać o dawnych czasach, po

swojemu, no z pewnością będą wówczas ludzie innym językiem mówić i panu profesorowi też się sprzykrzy ciągle rozmawiać z nimi tylko po łacinie. No i pewnie niejedno będzie tam nowością... tak ja myślę, że to byłoby dobrze...

— Mówże, o co ci chodzi?

— To ja bym prosił, aby pan profesor także mnie uspił ze sobą na te 2000 lat.

— Ależ... — zawołał profesor zaskoczony.

— ...Co prawda, moja pensja w owym czasie musi się zmniejszyć, gdyż nie będę miał służby wyteżającej, ale...

— Czyś ty oszalał?... Zresztą cóżby na to powiedziała twoja narzeczona.

— Ja jej zaproponuję, aby się także dała uspić na 2000 lat... Gdy się obudzimy, będę miał tyle, że będziemy mogli się pobrać. Kasia będzie mogła jakiś czas być u pana profesora za kucharkę. gotuje wyśmienicie... my sobie założymy restauracyjkę na wzór dzisiejszy i będziemy mieć tłumy gości, bo będziemy osobliwością, będą się do nas zjeżdżać, aby nas oglądać i dlatego będą u nas ceny nieco większe...

— Ależ ty jesteś niezrównany w pomysłach! — zawołał profesor rozochocony. — Czyś jednak pomyślał o tym, że w czasie snu możemy zginąć? Może pożar zniszczyć dom, w którym, będziemy spali. Trzęsienie ziemi może dom zawalić i spadające belki mogą nas zabić, możemy być zamordowani w razie wojny!

— Toby było bardzo nieprzyjemne, ale ja sobie tak myślę, że jeżeli nie będę uspiiony, to i tak będę musiał wcześniej umrzeć. A zresztą, przez jakich kilkanaście lat będą dobrze pilnowali miejsca naszego spania...

Profesor zamyślił się.

— Czy twój zamiar jest całkiem poważny? — spytał po chwili.

— Ja bym bardzo pana profesora prosił o to — rzekł szczerze Filip.

— A co na to powie twoja narzeczona? Nie przypuszczam, aby twój plan mógł się jej spodobać.

— Jeszcze jej o tym nie mówiłem, ale tak sobie myślę, że kocha mnie i że dla mnie to zrobi. Jutro z nią pomówię... A jeśliby się jej to nie spodobało... to... to nie mogę się z nią ożenić, gdyż nie jest taką, za jaką ją uważam!

— Więc najpierw z nią pomów, ale dopiero gdy dzienniki przyniosą relacje o moim zamiarze. Potem pomówimy dalej. A teraz zawołaj dorożkę, mam konferencję w uniwersytecie. Wrócę koło 12.

Gdy profesor odjechał, Filip pobiegł zaraz do restauracji. Stali jego towarzysze powitali go z wylaniem, ale podziękował za zaproszenie do stołu, odmówił także udziału w kolejce, przy czym miał minę tak poważną, że od razu

poznano, że u profesora święci się coś wielkiego. Filip wytłumaczył się z tajemniczą miną, że ma dużo do myślenia, przy czym dał ogólnikowo do poznania, że stanie się coś, czego jeszcze nie było.

Z Kasią pomówił Filip krótko, oświadczając jej tylko, że w najbliższym czasie rozstrzygną się ich losy, Kasia natychmiast domyśliła się, że chodzi tu o ich ślub, zaczęła więc ze wzruszenia płakać, a potem poszła do kuchni, gdzie swoją, uroczystą miną i tajemniczym zamyśleniem wywołała największą sensację.

Filip przysiadł się teraz do swoich stałych towarzyszków i na ich zapytania o pobycie w szpitalu wariatów zaczął opowiadać niestworzone historie o wariatach, o zamachach na jego życie, o tym, że znajduje się tam kilka osobistości z dworu, zamkniętych za karę, iż popełnili mezalians. Dał także do poznania, że uwięziona tam jest pewna arcyksiężniczka, która obiecywała mu swoją rękę i tron za swe uwolnienie, ale Filip nie zgodził się na to, gdyż jest wiernym Kasi. Zebrani słuchali opowiadania z wielką uwagą i z zadowoleniem, że nie należą do rodzin panujących, gdyż takie pochodzenie prowadzi wprost do domu obłąkanych.

Zaledwie Filip powrócił, do domu i zaświecił lampy, wpadł profesor wzburzony i zawołał:

— Wyobraź sobie, te baranie głowy uniwersyteckie nie chcą mi wierzyć, że chcę przespać 2000 lat! Cóż ty na to?

— Ja bym sobie pozwolił z całym respektem powiedzieć, że...

— Że co ?

— Że ci panowie są osłami.

— Nie pleć.

— Bo proszę pana profesora, skoro nie chcą wierzyć temu, co pan profesor mówi...

— Hm... może masz rację... A cóż, obstajesz przy swoim pomysle, aby mi towarzyszyć w ten... jakże on to nazwa? kraj snów?

— Do usług pana profesora, przedłużymy nasz kontrakt. I jeśli pan profesor da mi notarialnie, zaraz go podpiszę.

— To doprawdy niezwykle! Człowiek bez uniwersytetu, bez szkół średnich, ma więcej zapału dla wiedzy, niż te mamuty! Mój kochany, więc godzę się na twoją prośbę, choćby nawet trzeba było zabrać ze sobą twoją narzeczoną. Cenię w tobie wiernego i wielkiego człowieka, który tak lekko godzi się na rzecz największą. Czy jednak nie zawahasz się w ostatniej chwili?

— Proszę pana profesora! — zawołał Filip z wyrzutem w głosie.

Profesor podał mu rękę i uściśnił go w milczeniu.



— Jutro dzienniki rozgłoszą mój plan. Wieczorem te same pisma doniosą o twoim postanowieniu. Czy masz swoją fotografię?

— Mam.

— To dobrze. Dzienniki będą się o nie dobijać...

A teraz chodźmy spać. Dobranoc ci, mój kochany. Zbudź mnie jutro o godz. 6 rano i postaraj się o dzienniki. Jutro będzie dzień niespokojny.

To jest jednak skomplikowana kausa — zaczął Filip rozmyślać położywszy się do łóżka, ale mogę się spuścić na niego... Dwa tysiące lat, to jest dwa tysiące razy po sto koron za miesiąc— za rok po tysiąc dwieście... to jest...

Filip wziął papier i ołówek i zaczął powoli rachować. Wreszcie wyliczył, że wyniesie to 2.400.000 koron. To dużo — pomyślał — mogę przy tym nie pobierać na wikt... Obudzę się milionerem!

Filip długo nie mógł zasnąć. Cóż właściwie znaczą te 2000 lat! Nic więcej niż jedną noc. Prześpi się tę chwilę i zbudzi się człowiek wesoły i żwawy, i do tego milionerem. Filipowi huczało w głowie.

Wszystkie poranne dzienniki omawiały szeroko niesłychany pomysł profesora. Dzienniki wolnomyślne z entuzjazmem sławiły owego męża, który z zaparciem się własnym, bez cienia egoizmu, porzuca wszystko co mu współczesne, co mu bliskie, aby dla dobra nauki rzucić się w otchłanie przyszłości, zdając się na los. Takie same stanowisko zajęły dzienniki socjalistyczne. Natomiast prasa zachowawcza wystąpiła gwałtownie przeciw pomysłowi, nazywając go bezbożnym i podnosząc, że profesor chce wdzierać się w wieczność, to jest w prerogatywy boskie.

— Spalono by mnie chętnie na stosie — zauważył dr Avanti czytając te wywody.

We wszystkich restauracjach i kawiarniach wrzało. Na temat projektu uczonego sypały się rozważania, gdzie będzie spał, w jakich warunkach się zbudzi, a we wszystkim tym nie brakło najgłupszych pomysłów.

Ale sensacyjność doszła do punktu kulminacyjnego, gdy popołudniu nadzwyczajne wydania dzienników obwieściły, że służących profesora zdecydował się także wraz z swoim panem usnąć na 2000 lat. Dzienniki nie mogły narzucić odbitek, a pismo, które zamieściło fotografie Filipa, z dumą obwieściło następnego dnia, że nakład wyniósł 380.000 egzemplarzy.

Filip był tego dnia jakby w delirium. Do godziny 5 po południu miał 21 interwiewów, co go ogromnie wyczerpało, gdyż zasadniczo trzymał się tego, aby ze sprawozdawcami pism rozmawiać bardzo uczonym stylem.

O godzinie 8 wieczorem profesor zabierał się do wyjścia z domu.

— A co, wyteżająca służba? — zagadnął Filipa na odchodnym.

— Ale dużo honoru — odpowiedział Filip bardzo zadowolony. — Pokazują moja fotografię, a także jednemu dziennikarzowi podyktowałem moją biologię...

— Chyba biografię.

— Wszystko jedno, bo dostałem za to 200 koron.

— Wcale ładne honorarium.

Gdy profesor wyszedł, Filip ubierał się z wielką starannością, wdział cylinder i udał się do restauracji. Wszyscy stali goście jego stołu byli już w komplecie i wchodzącego powitali gromkimi oklaskami, ze wszystkich też stron zaczęto ku niemu wyciągać numery pisma z jego fotografią i chwalić podobieństwo. Przybiegł także sam właściciel restauracji i zapytał czym może służyć. Filip zamówił rozbratla, co u jego towarzyszków wywołało poruszenie, normalnie bowiem przy stałym stole jadano gulasz.

Gdy Filip usiadł zarzucono go pytaniami, czy prawdą jest, że zamierza przespać 2000 lat, czy się nie boi, czy mu się to uda, itd., jeden z gości powstał aby wznieść toast na cześć Filipa, ale zaledwie wymówił pierwsze słowa, w kuchni rozległ się głośny krzyk, a potem zmieszane hałasy niewieście.

— Jednak z kobietami nie obejdzie się bez awantur — oświadczył Filip, domyśliwszy się od razu, że Kasia zemdląła i poszedł do kuchni.

Właśnie Kasia wracała do przytomności, a dostrzegłszy Filipa, wskazała na gazetę i zapytała czy to prawda, co w dzienniku stoi. I zanim Filip zdołał przyjść do słowa, Kasia zaczęła mówić:

— To tak? To taka twoja wierność? To ty chcesz spać przez 2000 lat jak jaki afrykański mamut, a ja mam przez ten czas czekać aż się zbudzisz? Tom się do czekała... o... o..

— Ależ Kasiu, ja ci właśnie przyszedłem coś powiedzieć, z czego będziesz zadowolona. Wcale cię nie zdradziłem, chcę z tobą, pogadać, tylko nie tutaj przy wszystkich i pierwszej chciałbym zjeść, bom bardzo głodny. Otóż Kasiu postaraj się, abym dostał szybko mojego rozbratla.

Wiadomość, że Filip jest głodny, przemówiła do współczucia i miłości Kasi, ogarnęła się zaraz i szybko wzięła się do roboty.

— Wcale piękna, rzecz być kochanym — oświadczył Filip wróciwszy do stołu — ale stwarza to inkomodowania.

— No bo i cóż przyjdzie dziewczynie z takiego kawalera, który tylko będzie spał i nic więcej? — zauważył majster szewski, a właściciel pobliskiej kuźni dodał:

— A jeśli się pan z nią ożeni i potem pójdzie spać, to może być nietrudno o

rogi.

W pół godziny Kasia skinęła z poza drzwi na Filipa. Oboje przeszli do pustej separatu, a gdy kelner podał rustera, Filip zaczął:

— Muszę ci powiedzieć najpierw, że twoje zemdlenia bardzo mnie irytują, i że to na moje nerwy jest bardzo perpleks.

Surowa mina, z jaką wygłosił tę tyradę, spowodowała, że Kasia siedziała cicho, bojąc się widocznie sławnego człowieka.

— Do tego — ciągnął Filip dalej — i o tym pamiętaj, że we wszystko, co mnie drożysz, chcę cię zawsze intymnie wtajemniczyć. A że to nie byle co, przespać tak długo, chcę ci właśnie tę kausę wyeksplikować.

— Ależ Filipku. 2000 lat spać... aj nawet nie mów o tym, ja o tym nie mogę nawet myśleć... o... o...

— Tylko niech cię nie zemdli, bo moja konstytucja jest dzisiaj bardzo w dystrakcji.

Kasia uspokoiła się momentalnie.

— Przyszedłem tu, aby cię zaprosić, abys wraz ze mną i z panem profesorem dał się uspić na 2000 lat.

Kasia zerwała się przerażona;

— Co?... jak z wami 2000 lat spać... Aj, czego ty wymagasz ode mnie?

— Kasiu słuchaj: Mój pan weźmie cię za kucharkę i za cały ten czas wypłaci ci pieniądze. Zarobisz po 60 koron miesięcznie a że nic przy tym nie wydasz, to gdy się obudzimy, będziemy mieli razem jak to sam wyrachowałem — trzy miliony osiemset czterdzieści tysięcy koron.

— To ty będziesz milionerem? — zawołała Kasia z zachwytem.

— A ty milionerką.

— A co zrobimy z tyloma milionami? — zapytała Kasia, przy czym oczy jej błyszczały.

— To ci właśnie chcę powiedzieć. Otóż gdy się obudzimy, to zastaniemy zupełnie innych ludzi, niż dzisiaj, i także inne restauracje, niż dzisiaj. My sobie więc założymy restaurację taką, jak dzisiejsze i będziemy podawać takie jak dziś jedzenie, i kelnerów poubieramy tak samo jak dzisiaj, i z całego świata będą do nas zjeżdżać ludzie, jak na osobliwości, a wnet zarobimy ze dwa miliony, a wtedy kupimy sobie wielki pałac, i majątek ziemski i będziemy sobie żyli wygodnie.

Uśmiechnął się do Kasi, która, słuchając tego wszystkiego z otwartymi ustami i widać było, że się jej to nader podoba. Wnet jednakże naszyły ją nowe wątpliwości.

— Dobrze, ale... te 2000 lat... Oj Boże, 2000 lat spać... to za dużo...

— Ani tego nie zauważysz. Bo widzisz, gdy się uśnie. to się nie wie, czy się spało godzinę, czy dwie, czy dzień, czy sto dni, czy sto lat, czy dłużej. A gdy się zbudzimy, będziemy wypoczęci i zjemy zaraz śniadanie,

— Czy to jednak na prawdę będzie tak wszystko?

— Naturalnie — oświadczył Filip tonem wykluczającym wszelką wątpliwość. — Gdy się obudzimy, zrobisz kawę dla pana profesora, dla mnie herbatę. potem wyjdziemy na ulice i będziemy oglądać nowy świat.

— Ah, tak bym to chciała widzieć, ale ja, słaba niewiasta...

— No, do spania będziesz mieć dosyć siły.

Filip przycisnął dziewczynę do siebie i zaczął czule całować, czemu Kasia się wcale nie opierała.

— Więc dobrze, Kasiu? Zgadzasz się?— zapytał.

— Ah! Boże! Widzisz Filipku, musisz mi zostawić trochę czasu do namysłu... bo... więc ty naprawdę wybierasz się z twoim panem... czy to warto... dla pieniędzy...

Filip rozgniewał się.

— Kasiu— oświadczył pewnie — mówię ci całkiem konkretnie, że wybieram się z moim panem, choćby mi przyszło spać nawet do dnia ostatecznego. Powiedziałem to i nie chcę stracić na reputacji. Powiesz mi za trzy dni, Kasiu, co zamyślasz. Teraz do widzenia.

Podał jej rękę i ruszył ku drzwiom.

— Filipku! — zawołała Kasia za odchodzącym, ale Filip był niewzruszony i nie wrócił.

Położywszy się do łóżka. Filip długo nie mógł zasnąć, gdyż rozmowa z narzeczoną zaniepokoiła go. Bał się, że może Kasia nie będzie miała odwagi dać się uśpić, a w takim razie, co się stanie? Kasia zostanie tutaj, no i pewnie wyjdzie za kogo innego i kto inny będzie ją całował... Filip zaciskał pięści i chciało mu się wyć z zazdrości.

## V.

### PROFESOR I SŁUŻĄCY W KŁOPOTACH.

Rano profesor zawołał Filipa i zapytał go czy obstaje przy swym zamiarze.

— Tak jest — oświadczył służący — i moja narzeczona także będzie nam

towarzyszyła.

— Co? I ona? — zawołał profesor zdziwiony.

— Pan profesor był łaskaw obiecać, że przyjmie moją narzeczoną za kucharkę z płacą 60 koron miesięcznie.

— Ja to obiecałem?

— Tak jest... bo nie wiadomo, jak za 2000 lat będzie uniwersum urządzone i pan profesor będąc konserwatywnym w jedzeniu, mógłby sobie żołądek zepsuć nowym wiktem...

— Hm... jeśli tak powiedziałem, to tak będzie... I ona chce 60 koron miesięcznie? Przecież nie będzie przez ten czas gotowała.. Zresztą... — Profesor uśmiechnął się nieznacznie i zaczął coś rachować. Po chwili zapytał:

— Czy wiesz, ile przez ten czas spanie zarobicie?

— Do usług! Ja 2.400.00 koron, a Kasia 1.240.000 koron.

— Więc wyliczyłeś już... A czy nie sądzisz, że to może trochę za dużo?

— Kiedy proszę pana profesora, pan profesor oszczędzi w tym czasie sto razy więcej na wikcie, mieszkaniu, ubraniu, podarunkach noworocznych...

— A czy ty myślisz, że ja mam rzeczywiście tyle pieniędzy.

Filip nic na to nie odpowiedział. To zresztą nic go nie obchodziło, bo to było rzeczą jego pracodawcy.

— Mimo wszystko jednak —ciągnął dalej profesor, uśmiechając się — ja ci tę kwotę zaraz wypłacę. Dam ci kapitał. który złożysz na procent składany i po obudzeniu się podejmiesz z banku. Wprawdzie bank nie daje więcej jak 3 i pół procent, ale też ja ci dam znacznie więcej niż oboje żądacie ode mnie.

Filipowi zaświeciły się oczy, radość rozsadzała go, wyglądał w tej chwili jak prototyp Harpagona.

— Jeżeli pan profesor łaskaw... — zawołał. — A kiedy pan profesor zechce złożyć tę sumę?

— Zaraz. Dasz mi tylko pokwitowanie, po czym odniesiesz sobie pieniądze do banku.

Wbrew oczekiwaniu Filipa profesor nie poszedł do swej kasy, lecz sięgnął do kieszeni, dobył portmonetkę i zaczął w niej szukać, po czym wręczył służącemu jednego halerza.

Ośłupiały Philip nie był przez chwilę zdolny wymówić ani słowa, wreszcie szepnął:

— Pan profesor jest łaskaw żartować...

— Czyż żartowałem kiedy?— odparł uczoney z gniewem.

Filip miał chaos w głowie.

— Nie, mój kochany, nie żartuję. Zanieś tego halerza do banku i złóż go na 3 i pół procent, na cent składany. Wiesz, ile otrzymasz za 2000 lat. Patrz, oto tutaj jest wyliczone, czytaj: 7.596.650.000.000.000.000.000.000 koron. Rozumiesz to? Wiesz, co to za suma? W stosunku tej kwoty to, czego oboje żądaliście ode mnie znaczy miliony razy więcej, niż wydanie przez Rothschilda jednego halerza.

Filip stał jak słup soli.

— Czy wiesz, że za tę sumę mógłbyś kupić całą ziemię?

— Kiedy proszę pana profesora — zaczął Filip jękając się — my rezygnujemy z wiktu, ubrania noworocznego...

— Zapytaj się swej narzeczonej, czy rzeczywiście wybierze się z nami w przyszłość, a gdy będziesz miał definitywną odpowiedź, wtedy dalej pogadamy. Zresztą, jesteś skończonym osłem... A teraz możesz odejść.

— Kiedy proszę pana profesora — zawołał Filip — ja to zupełnie inaczej myślałem. Bo to przecież wszystko niepewne... nie wiadomo, czy potem będziemy potrzebowali pieniędzy... I jeśli pan profesor chciałby mnie wziąć ze sobą, i nic mi za to nie dać, to i tak będę bardzo zadowolony... Ja wiem, że po obudzeniu się będę jeszcze sławniejszym... to moje rachowanie, to był wielki błąd... i bardzo pana profesora przepraszam...

— Ja wiem, że z ciebie dobry i wierny człowiek — rzekł profesor udobruchany. Pomówże dziś ze swą narzeczoną, a potem pomówimy ostatecznie.

Wieczorem w restauracji Filip był poważny i zamyślony. choć przy jego stole było gwarno i wesoło. Na zapytania odpowiadał, że z polecenia swego pana musiał przeprowadzić wielkie obliczenia, podczas których wychodziły liczby szeregiem dłuższym niż arkusz papieru.

Kasia, dowiedziawszy się o przyjeździe Filipa, nie zemdląła, poleciła tylko zawiadomić go, że chce z nim mówić o czymś bardzo ważnym. Kazała jednak na siebie dwie godziny czekać, gdy wreszcie przyszła do stołu, zaczęła wesoło rozmawiać z każdym z gości, śmiać się i żartować. Filipa rozgniewało, że Kasia „zadaje się z każdym obscurnym egzemplarzem”, na niego mało zwraca uwagi i bardzo poważnym tonem oświadczył jej, że musi z nią jeszcze dziś rozsądnie pomówić, gdyż jutro musi się rozstrzygnąć cała sprawa.

— Ah, panie Filipie — odrzekła Kasia poważnie — jeszcze dobrze nie rozważyłam sobie tego, co mi pan Filip opowiadał o owym długim spaniu.

Na to kowal Sedlak, właściciel pobliskiej kuźni, zamożny wdowiec, wystosował do Kasi gorący apel, aby nie dała się nakłonić do spania przez tak długi przeciąg czasu, bo to przecież życie się tylko traci na niczym. Filip odniósł wrażenie, że argument ten przemawiać zaczyna do jego narzeczonej, gdyż kilka-

krotnie spojrzała zachęcająco na kowala. Wnet też i kilku innych gości zaczęło namawiać Kasię, aby się nie ważyła na jakieś tam naukowe ryzyka, bo to przecie grzech, aby taka ładna i młoda dziewczyna dała się zmarnować. Kasia słuchała tych głosów z takim zajęciem, że nawet nie zwracała uwagi na różne przerywania Filipa i dawane jej znaki. Widocznie ulegała czarowi słodkich marzeń na najbliższą przyszłość. Wreszcie wybuchła:

— Barbarzyńca, z niego! Mnie tak do niego ciągnęło, a on mi każe takie sztuki wyprawiać.

Kowal podniósł się, aby stanąć w obronie skrzywdzonej dziewczyny, kilku innych gości także zaczęło okazywać skłonność nauczenia barbarzyńcy jak trzeba postępować z pannami, ale Filip powstawszy nagle, oświadczył kategorycznie:

— Panna Kasia wie dobrze, że jej nie zmuszam do naszej wyprawy i nie potrzebuje przeciw mnie nikogo podburzać. Nie jestem barbarzyńca i nie każę pannie Kasi żadnych sztuk wyprawiać. Prosiłem pannę Kasię, abym mógł na osobności pomówić a teraz muszę się wstydzić... Kelner płacić.

Wszyscy umilkli. Nawet Sedlak nie wiedział co zrobić. Filip ubrał się, uklonił wszystkim, życząc im dobrej nocy i ruszył ku drzwiom. Już wziął za klamkę, gdy rozległ się przejmujący krzyk Kasi:

Filip zawrócił.

Kasia zaczęła tak strasznie zawodzić, że nikt nie umiał znaleźć dla niej słowa pociechy, tylko Sedlak otoczył ją troskliwie ramieniem, bojąc się widocznie, aby zemdlawszy nie upadła na ziemię. Kasia jednak nie zemdląca, natomiast zdołała wyksztusić, że chce koniecznie z panem Filipem pomówić na osobności.

Przeszli więc do separatki, gdzie Filip nie czekając, na pierwsze słowa, oświadczył podniesionym głosem, że bardzo go to zabolalo, iż jego kochana Kasia potrafiła go tak gwałtownie zaakomodować wobec takiej hołoty. tym bardziej, że Kasia, stawszy się sławną przez swego narzeczonego, stoi nad tymi ludźmi o całe nieba wyżej. Po tym kazaniu Filip przysunął się do dziewczęcia i zaręczywszy, że planowana ekspedycja naukowa wcale nic jest straszna, zapytał, czy Kasia zgadza się na nią, gdyż profesor musi. jutro mieć. ostateczną odpowiedź.

Rozległy się ciche łkania i szlochania, po czym Kasia słabym głosem zaczęła prosić narzeczonego, a by cofnął swe postanowienie i nie wybierał się z profesorem. Filip zrozumiał, co znaczy takie powiedzenie i trochę skonsternowany zapytał cicho:

— Więc ty nie chcesz się z nami wybrać?

Kasia przez łzy spojrzała na ukochanego smutno i odrzekła spokojnie:

— Nie.

— Jak? Dlaczego? — zawołał porywczo.

— Mój kochany, tylko się nie gniewaj na mnie z powodu tej drobnostki — zaczęta dziewczyna — Dziś w nocy długo nad tym rozmyślałam i tak sobie postanowiłam, że nie mogę pójść z wami.

— Hm... a z jakichże to powodów, proszę... sędzę, że nie chodzi tu chyba o tego kowala!

Dziewczyna rozgniewała się.

— Nie chodzi o żadnego kowala, ani o żadnego innego chłopca i muszę sobie bardzo wyprosić takie podejrzenia... Długo w nocy myślałam i tak sobie wyrachowałam, że gdy, się obudzę, to będę miała dwa tysiące dwadzieścia sześć lat! Joj! — tu Kasia załamała ręce — tyle lat! Nie panie Filip, nie możesz ode mnie wymagać, abym po zbudzeniu się miała tyle lat...

— No, a ja będę miał wtedy 2041 lat, a profesor jeszcze więcej. No i co z tego?

— Więc ty będziesz miał 2041 lat i ty taki stary będziesz chciał żeby ja wtedy za ciebie wyszła?

Odwróciła się od niego, chcąc w ten sposób zaznaczyć swoje rozczarowanie.

Filip siedział dłuższy czas w milczeniu, wreszcie podniósł się zrezygnowany i stając koło drzwi świadczył:

— Ah, chcesz uciekać przed miłością w przyszłość? Uczynię wszystko co możliwe, aby przyspieszyć naszą ekspedycję, ale wiedz o tym, że władze czynią wielkie trudności. Mam jednak nadzieję, że uda się je pokonać.

Na drugi dzień rano dr Avanti przerzucając dzienniki podczas śniadania zerwał się nagle z fotelu i zadzwoniwszy na Filipa zawołał do niego silnie wzburzony:

— Patrz, chcą nam zabronić doświadczenia! Słuchaj: W parlamencie monsignore Petti wniósł wczoraj interpelację, co rząd zamierza uczynić, aby udaremnić zamysły bezbożnego dra Avantiiego i jego obalamuconego służącego. Ot, widzisz!

— Będziemy się bronili, ale myślę, że policja będzie nas szykanowała.

— To możliwe, gdyż w parlamencie jest konserwatywna większość. Zresztą zobaczymy co przyniosą popołudniowe dzienniki.

Ale popołudniowe pisma nie tylko nie wyjaśniły sytuacji, lecz raczej zaciemniły ją jeszcze bardziej. Minister wyznań i oświaty odpowiedział na interpelację, że uważa zamiar uczonego tylko za eksperyment naukowy, że jednak zastrzega sobie swobodę działania, natomiast pisma wolnomyślne przyznawały, że eksperyment ten może podkopać u mas religię.



— Któż się na tym wyzna! — zawołał profesor ze złością. — Jednakże nie ustąpię!

Następnego dnia uczonego otrzymał zaproszenie do ministra wyznań i oświaty. Ekscelencja przyjął go z wyszukaną uprzejmością i nigdy jeszcze profesor nie usłyszał tyłu uprzejmych słów o swoich badaniach i o swojej wielkości, co teraz. Toteż minister oceniając genialność uczonego, prosić go zaczął, aby nie opuszczał swego państwa i swojej epoki, właśnie dla jej dobra. Wyraził nawet, przekonanie, że ministerstwo, właśnie ze względu na ocenę tak wielkiej siły naukowej, nigdy nie powinno zgodzić się na to, aby takiego uczonego utracić.

— Ekscelencjo — oświadczył Avanti — jestem wzruszony słowami uznania dla mnie, ale zarówno moje życie jak i moja przyszłość należą tylko do wiedzy i ze względu na wiedzę uważam moje doświadczenie za niezbędnie konieczne.

— Za pozwoleniem — przerwał minister — właśnie do kancelarii dworskiej posłaliśmy wniosek dotyczący wysokiego odznaczenia pana profesora.

— Jestem bardzo zobowiązany, prosiłbym jednak, abym otrzymał order dopiero wtedy, gdy już będę uśpiony — zauważył profesor, uśmiechając się nieznacznie.

— O, tak nie można, nikt nie może otrzymać orderu na 2000 lat, gdyż order po śmierci ma być zwrócony.

— Ekscelencjo, dam polecenie, aby mój order także zwrócono — rzekł Avnti z patosem.

— Po dwóch tysiącach lat?... hm, wątpię...

— Czy ekscelencja sądzi, że wówczas już nie będzie orderów?

— Nieznane są drogi opatrności – zakonkludował minister.

Widocznie ekscelencja był raczej ministrem wyznań niż oświaty.

Profesor zimno pożegnany, wyszedł.

Teraz zaczęły się dni. gorączkowe. Poczta codziennie przynosiła uczonemu stosy listów od najrozmaitszych osób, to z prośbami o fotografie, to o autografy, to znowu z prośbą o zabranie ze sobą w przyszłość. Ci petenci pochodzili z różnych warstw, byli wśród nich zbankrutowani przedsiębiorcy, studenci, którzy przepadli przy egzaminach, albo nieszczęśliwi kochankowie. Także Filip otrzymywał podobne listy z prośbą o upominek, a nawet raz otrzymał różowy list silnie pachnący, zawierający błaganie o jeden lok włosów na pamiątkę, co proszącej miało wystarczyć zupełnie do szczęścia. Listy te sprawiały mu dużą przyjemność i w jego serdecznym bólu były mu pewną pociechą. Jej wystarczy pęk włosów do szczęścia — filozofował — a tamtej ja cały byłem za mało. Ej, żeby to już raz być uśpionym!

Tymczasem opór rządu przeciw zamysłom profesora był niewzruszony. W sejmie domagano się w interpelacji, aby unieszkodliwić przewrotowca w interesie kształcącej się młodzieży, a w radzie miejskiej przyjęto żywymi oklaskami nazwanie profesora niesumiennym magikiem. Pisma humorystyczne gorliwie zajmowały się uczonym, wyszydając w karykaturze zarówno jego jak i jego pomysły, przy czym nie oszczędzano także Filipa, ale to chybiało swego celu, gdyż Filip z każdego dowcipu na jego temat był zawsze bardzo zadowolony.

Wszystko więc zdawało się zapowiadać, że dr Avanti wraz ze swym służącym nigdy nie będzie w stanie zrealizować swego zamysłu, gdy niespodziewanie zaszedł wypadek, który miał dla tej sprawy decydujące znaczenie.

W stolicy wybuchł olbrzymi strajk wszystkich czeladników piekarzy, masarzy i rzeźników, którzy solidarnie zażądali większych wynagrodzeń za pracę. Właściciele piekarń i rzeźnicy rachowali, że pozyskają sobie publiczność i tym samym przetrzymają strajk, jeżeli zdołają dalej produkować swe artykuły, zaczęli to więc czynić własnymi siłami, tylko z tego powodu byli zmuszeni podnieść ceny. Konsumenci jednak mają wrodzoną niechęć do tych wyzyskiwaczy, zaczęli sami wypiekać sobie chleb oraz masowo przerzucać się do obozu wegetariańskiego, a pesymiści, liczący na dłuższe trwanie strajku, zaczęli się brać do hodowli królików. — Równocześnie inni kupcy, widząc korzystną koniunkturę, zaczęli obficie sprowadzać ryby, co także znajdowało liczny zbył.

Mimo wszystko jednak przewaga w sytuacji była po stronie piekarzy i rzeźników, gdyż ci, jako klasa dobrze usytuowana, mogli czas dłuższy przetrzymać, podczas gdy czeladnicy szybko mogli się znaleźć zupełnie bez środków do życia. W tym krytycznym momencie prezesowi związku czeladników przysłała do głowy pewna myśl i rozważywszy ją przystąpił zaraz do działania. Zarządził bezzwłocznie plenarne zebranie strajkujących, przedstawił sytuację strajkową jako beznadziejną, dodał jednak zaraz, że mimo wszystko sprawę będzie można wygrać. Wśród słuchaczy nastąpiła grobowa cisza, a przewodniczący mówił:

— W naszym mieście żyje człowiek, który swymi badaniami naukowymi wyszedł na wyżyny wiedzy, człowiek, który dla nas wszystkich może być przykładem, jak należy dążyć do osiągnięcia swych celów pomimo wszelkich szykan policyjnych. Tym mężem jest dr Avanti.

Na sali rozległy się burzliwe okrzyki: Niech żyje Avanti.

Przewodniczący skinął ręką i uspokoiwszy salę ciągnął dalej:

— Nie chcemy dłużej głodować, nie chcemy patrzeć, jak nasze żony i dzieci nie mają co jeść, a także nie chcemy ustąpić przed zdzierstwem i wyzyskiem majstrów. Profesor Avanti dokonał odkrycia, które nam umożliwi wytrwanie w

walce o nasze święte prawą. Pójdziemy do niego i poprosimy go, aby nas głodnych i wynędzniałych uspił na tak długo, aż ustąpi upór naszych wyzyskiwaczy i przyznają nam warunki, które pozwolą żyć bez nędzy.

Tego co teraz nastąpiło, nie można opisać. Wycie burzy morskiej było dziecinną zabawką w porównaniu z tym, co się na sali działo. Konwulsyjne okrzyki radości łamały się nagle i znowu wybuchały na nowo, robotnicy ściskali się i całowali,

— Będziemy spać 6 tygodni!

— Rok!

— Choćby dziesięć!

Ktoś zaintonował pieśń robotniczą, inni podchwycili melodię, obnażyły się głowy i cały tłum odśpiewał ją z taką mocą, jakby czuł w niej zapowiedź wyzwolenia.

Nagle ktoś rzucił hasło: Do profesora Avantiego!

Tłum zakołysał się — i cisnąć się zaczął ku wyjściu, aby pochodem ruszyć ku mieszkom u profesora. Straże policyjne widząc to, zażądały posiłków i wnet silne kordony obstąpiły zebranych, wzywając do rozejścia się. Potrzeba było dłuższych rokowań między przewodniczącym zebrania i komisarzem policji, zamian wreszcie władze zezwoliły na odbycie pochodu.

Przed mieszkaniem uczonego tłum z obnażoną głową odśpiewał pieśń robotniczą, po czym zaczął wznosić gromkie oklaski na cześć profesora. Dr Avanti zaskoczony manifestacją, ukazał się na balkonie, co wywołało nowe okrzyki i oklaski. Następnie deputacja strajkujących udała się do jego mieszkania, zawiadomiła go o swej uchwale i prosiła, aby wspomógł strajkujących swoją wiedzą.

Profesor zaskoczony żądaniem milczał i namyślał się co odpowiedzieć.

W tym momencie wszedł Filip i przyniósł uczonemu pismo urzędowe z namiestnictwa. Profesor rozerwał spiesznie kopertę. Wewnątrz było urzędowe zawiadomienie, że na przedstawienie policji, ze względu na szereg najrozmaitszych przyczyn, ostatecznie zabrania się profesorowi wykonanie zamierzonego eksperymentu.

W Avantiim zadygotało. Spojrzał na delegatów i zawołał:

— Moi panowie, spełnię waszą prośbę. Proszę, aby jutro o godz. 8 wieczorem zebrali się wszyscy strajkujący ze swymi rodzinami w wielkiej sali towarzystwa muzycznego. Muszę jednakże przybyć wszyscy. Tam was pousypiam.

Dekret namiestnictwa zrobił swoje.

— Proszę jednak — ciągnął dalej Avanti — zachować sprawę w ścisłej tajemnicy, aby przypadkiem mądrość jakiej władzy nie przeszkodziła naszym za-

miarom.

Delegaci dziękując w najserdeczniejszych słowach wyszli uradowani.

Gdy delegaci zeszli na dół i lakonicznie zawiadomili zebranych, że „wszystko dobrze”, rozległy się entuzjastyczne, okrzyki na cześć wielkiego filozofa.

Dzięki wybornej organizacji i karności socjalnych demokratów do niepowołanych uszu nie doszło ani słówko odpowiedzi profesora. Kierownictwo partii nazajutrz w swoim organie oraz afiszami ogłosiło, aby wszyscy strajkujący wraz z żonami i dziećmi, bez wyjątku stawili się punktualnie w towarzystwie muzycznym, gdzie będzie im zakomunikowana rzecz pierwszorzędnej wagi.

Na kwadrans przed terminem sala była przepelniona. Przewodniczący oczekiwał tylko na przybycie uczonego, aby posiedzenie otworzyć. Gdy profesor się ukazał powitała go burza oklasków. Profesor się ukazał, powitała go burza oklasków. Przewodniczący otworzył posiedzenie i powitawszy w krótkich słowach uczonego, zawiadomił, że dr Awanti przybył po to, aby wszystkich obecnych uspić. Jego genialne odkrycie stało się potężnym środkiem walki z kapitalizmem. — Strajkujący wraz z rodzinami będą spali spokojnie aż do chwili, gdy ich wyzyskiwacze przyjmą wszystkie, żądania robotnicze.

W tej chwili zerwał się komisarz policji i zażądał zmiany porządku dziennego, gdyż na to, co usłyszał nie może się zgodzić.

Powstała wrzawa, tłum był wzburzony. Komisarz chciał mówić, ale jego słowa utonęły w hałasie. Przez chwilę stał bezradnie, nagle pochwycił swą czapkę urzędową i wdział ją na głowę. Wszyscy zrozumieli, że komisarz chce rozwiązać zgromadzenie. Z przednich miejsc pospiesznie rzucono się ku trybunie, wnet koło komisarza zrobił się ścisk, słowa przewodniczącego ginęły wśród wrzawy. Sytuacja stawała się krytyczną.

Wtem stało się coś niesłychanego: komisarz policji opadł nagle bezwładnie na krzesło, głowa pochyliła się mu na piersi ręce zwisły i pomimo wrzawy piekielnej zapadł w sen głęboki, mając czapkę służbową uroczyście zasadzoną na głowie.

I zaraz potem to samo zaczęło się dziać z tymi, którzy stłoczyli się koło trybuny. Groźnie wyciągnięte ramiona zaczęły opadać, twarze przyjmowały wyraz błęgiego spokoju, ludzie padali na podium, bezwładni, opanowani głębokim snem.

Niewiele stosunkowo czasu upłynęło, a na sali trzech tylko ludzi poruszało się: przewodniczący, sekretarz i profesor. Reszta spała kamiennym snem.

A jak spali! Nie było słyhać najmniejszego szmeru, najmniejszego westchnienia, nawet oddechu niczyjego! Olbrzymia sala przedstawiała jakiś zacza-

rowany obraz. Na parterze, w łóżach, wszędzie siedzieli uśpieni z głowami w dół pochylonymi. Za krzesłami stłoczone postacie, oparte jedna o drugą, stały jakby w skamieniałe w śnie błogim: tu stał oparty o ścianę jakiś gruby jegomość, a na jego brzuchu mała dziewczynka oparła głowę i spała jak anioł, tam znów ciężkie czako uśpionego policjanta, który zdjął je na chwilę z powodu gorąca, wpadło na głowę śpiącego towarzysza, na którego twarzy malowało się pełno zadowolenie.

Profesor stojąc na podium zwrócił się teraz do przewodniczącego i zapytał:

— Cóż, jest pan zadowolony?

Przewodniczący patrzył z przerażeniem na uczonego. To, co widział, napełniło go lękiem i po dziwie. Po chwili dopiero przyszedł do siebie i zdołał wyksztusić:

— Dziękuję.

Profesor podał mu rękę, którą ten z pewnym wahaniem uściśnił.

— Czy panowie także chcecie, aby was uśpić — zapytał uczonego zwracane się do przewodniczącego i do sekretarza.

— Nie, nie... zawołał przewodniczący — my, musimy zastępować interesy naszych ludzi, podczas gdy oni śpią,

— Ale co z nimi zrobimy? — zapytał sekretarz. — Przecież tu nie możemy ich zostawać.

— Dlaczego nie?

— Bo leżą tak niewygodnie...

— Wcale tego nie czują — pocieszył go uczonego.

— Ale sala będzie na jutro potrzebna. Jutro jest przecie koncert.

Wiadomość, że jutro będzie koncert, ucieszyła niewymownie przewodniczącego, od razu bowiem pomyślał, ile kłopotu wypadek ten sprawi władzom. Zawyrokował też:

— Policja będzie musiała poprzenosić śpiących. Jest ich tylko około 3000... Ale, jeśli piekarze i masarze ustąpią, panie profesorze... ten wieczór będzie początkiem nowej ery w socjalnej demokracji.

— Ale co zrobimy z komisarzem policji — zapytał profesor — jego trzeba by obudzić, gdyż moglibyśmy mieć z tego powodu nieprzyjemności.

Przewodniczący zauważył, że najlepiej by było, aby uczonego uśpił całą policję, profesor jednak nie zwrócił na to uwagi, podszedł ku śpiącemu i wykonał dłonią kilka ruchów około jego skroni! Komisarz zerwał się nagle z krzesła, wyciągnął prawą rękę, uderzył nią w stół i grzmiącym głosem wrzasnął:

— Rozwiązuję zgromadzenie i wzywam do natychmiastowego rozejścia się, gdyż w przeciwnym razie będę zmuszony użyć...

Widocznym było, że chwila zaśnięcia nie przedstawiała dla niego żadnej przerwy, kontynuował swoje przemówienie tam, gdzie mu przedtem przerwano.

Komisarz nie dokończył zdania, gdyż uderzyła go grobowa cisza, panująca na sali, Przetarł oczy i z przestachem zobaczył, że wszyscy śpią. Zdjął go lęk, chwycił się za głowę rękami;

— Co to znaczy? — zawołał przerażony.

— Ci ludzie śpią — odpowiedział spokojnie profesor.

— Jak to, bez zezwolenia policji?

— Tak jest, bez zezwolenia policji.

— A żołnierze policyjni na sali?

— Ci także śpią.

Komisarz chciał jeszcze coś posiedzieć, ale nie zdołał słowa z gardła wydobyć.

Zataczając się zaczął schodzić z podium.

— Zgromadzenie jest rozwiązano — wykrztusił jeszcze.

— Wcale nie, bo wszyscy są tutaj — odparł ironicznie uczony.

Komisarz podniecony odwrócił się i spojrzał na profesora, ale widocznie dojrzał w jego oczach coś takiego, że odeszła go ochota wdawać się w polemikę i pospiesznie ruszył ku wyjściu, potykając się o ciała leżące na podłodze.

— Nie mamy tu już nic do czynienia — oświadczył dr Avanti, po czym wszyscy trzej opuścili salę.

Przed gmachem była zebrana liczna publiczność. Gdy ukazał się uczony zaczęto wznosić okrzyki na jego cześć. Uczony kłaniał się i wsiadłszy do powozu ruszył zwolna ku domowi.

Przewodniczącego i sekretarza zarzucono pytaniami, co się dzieje wewnątrz sali, nagle bowiem cisza po poprzedniej wrzawie silnie zaintrygowała zgromadzonych. Gdy obaj zawiadomili, że udał się śmiały zamysł i że zebrani na sali zapadli w sen strajkowy, wywołało to wśród zgromadzonych niesłychane wrażenie.

Tymczasem nadeszły silne oddziały policji, prawdopodobnie na skutek raportu komisarza. Żołnierze policyjni prowadzeni przez oficera, ruszyli do gmachu, gdzie zaraz u wejścia natknęli się na śpiących policjantów.

— Wstawać! — ryknął oficer.

Odpowiedziało mu echo.

Oficer widocznie był nerwowy, co można wytłumaczyć jego czynnościami zawodowymi, spłoszył z gniewu, pochwycił śpiącego za barki i po trząśnięciu nim silnie. Śpiącemu czako zleciało z głowy dalekim łukiem, sam jednak ani drgnął.

Oficer pobiegł ku trybunie i stanąwszy na niej, zawołał donośnym głosem:

— W imieniu prawa, proszę, natychmiast opuścić salę.

Odpowiedziało mu echo.

W tym momencie wszedł do sali sam dyrektor policji. Rzuciwszy okiem wokoło i zorientowawszy się w sytuacji, stanął również silnie skonsternowany. Oficer złożył raport. Dyrektor kazał na próbę potrząść silnie kilku śpiącymi, a widząc, że to nie odnosi żadnego skutku, zawołał:

— To wprost niesłychane!

Nagle zdjął go lęk. A nużby profesor przyszedł do niego na konferencji i niespodziewanie uspił go, a potem także innych urzędników?

Otrząsnąwszy się, wydał rozkaz, aby do sali nie wpuszczano absolutnie nikogo i wychodząc kazał drzwi zamknąć, oraz postawić silne warty.

— Co robić? Co robić? — rzekł do otaczających go urzędników.

Urzednicy patrzyli pilnie w jego twarz.

— Tego profesora trzeba koniecznie unieszkodliwić — zawyrokował po chwili i jednemu z funkcjonariuszy dał polecenie sprowadzenia jeszcze w ciągu nocy uczonego do swego biura.

— Ale, ale... zaraz... Avanti mógłby pana uspić — zawołał i zamyślił się, po czym cofnął rozkaz, a natomiast polecił sprowadzić do siebie rano delegację piekarzy i rzeźników, oraz zastępców strajkujących.

— Proszę panów — mówił dalej — to, co się wydarzyło, jest czymś wprost wyjątkowym. Muszę zaraz prosić o audiencję u pana ministra spraw wewnętrznych.

Łatwiej jednak było powiedzieć to, niż wykonać, wieść bowiem o zajściu rozbiegła się szybko po mieście i ulice zapełniły się tłumami, że nie tylko ustał wszelki ruch tramwajowy i wozowy, ale jednostkom trudno się było przecisnąć. Dyrektor znalazł się w trudnej sytuacji, tym bardziej, że z tłumów pod jego adresem zaczęły padać ironiczną uwagi.

Dyrektor wraz z urzędnikami i grupą policjantów próbował przepchać się, ale wnet uznał, że było to fizyczną niemożliwością. Sytuacja stawała się krytyczną.

Wtem z bocznej ulicy rozległy się pomieszane okrzyki i wrzawa, dało się dostrzec jakieś zamieszanie, a wnet potem ponad głowami tłumu ukazały się łby końskie: to oddziały konnej policji szły do szarży.

W pół godziny później dyrektor policji mógł pod osłoną konnych policjantów wsiąść do powozu i pośpiesznie odjechał do ministerstwa spraw wewnętrznych.

Nazajutrz w gmachu namiestnictwa, pod osobistym przewodnictwem pana namiestnika rozpoczęła się konferencja piekarzy, murarzy i rzeźników, oraz za-

stępców czeladników. Wziął w niej udział także dyrektor policji oraz kilkunastu referentów ministerstwa.

Delegaci czeladników pod przewodnictwem przewodniczącego wczorajszego zebrania mieli miny zwycięskie, pracodawcy spoglądali ponuro. Namiestnik otworzył obrady wzywając obie strony do pogodzenia się. Majstrowie odpowiedzieli, że nie oni zerwali normalne stosunki, ale czeladnicy, którzy stawiają wymagania wprost niemożliwe do przyjęcia. Na to zauważył przewodniczący czeladników sarkastycznie, że jednak piekarz i rzeźnik stawia sobie kamienie. Namiestnik w poważnym tonie oświadczył, że pracodawcy powinni liczyć się z sytuacją, która staje się coraz poważniejszą. „Zwracam panom uwagę — dorzucił z patosem — że 3000 pracowników śpi, czekając lepszej przyszłości. Namyślcie się panowie, bo i konsumenci z braku pokarmu gotowi będą dać się uśpić, a wtedy gorzej będzie z waszymi interesami. Radzę panom być ustępliwymi!”

Piekarze oświadczyli, że po prostu nie są już w stanie czynić większych ustępstw, gdyż i tak już poświęcają się dla dobra ludności.

— W takim razie — zauważył chłodno namiestnik — rząd przystąpi do upaństwowienia piekarń i masarni. Czeladników zamieni się w urzędników trzech najniższych rang, uczniowie, zaś po półrocznej praktyce będą pobierali adiutum.

Wśród pracodawców zapanowało grobowe milczenie.

Po dłuższej chwili jeden z nich bąknął, że... ostatecznie...

— Dla dobra ogółu... — dorzucił drugi.

W rezultacie pracodawcy zgodzili się przyjąć wszystkie postulaty pracowników. Posiedzenie zakończyło się pełnym zwycięstwem tych ostatnich.

Gdy zastępca pracowników opuszczał salę, zatrzymał go dyrektor policji i zauważył:

— No, zwyciężyliście panowie przy naszej pomocy.

— Nie, zwyciężyliśmy własnymi siłami — odparł przewodniczący.

— Zresztą dajmy temu spokój, nie ma celu o tym mówić. Ale panowie musicie teraz postarać się, aby czeladnicy wrócili z powrotem do pracy.

— To się stanie, panie prezydencie. W naszej partii panuje karność wzorowa. Jutro rano wszyscy staną do pracy. Idę właśnie do profesora Avantiego.

— A tak... — bąknął dyrektor. — Proszę mi powiedzieć, o której godzinie nastąpi zbudzenie uśpionych. Niewątpliwie może to wywołać manifestację, musimy zatem zająć się utrzymaniem porządku.

— Dzisiaj o godzinie czwartej po południu.

Na tym skończyła się rozmowa.

Nadzwyczajne wydania pism podały przebieg konferencji. Piekarze i masa-



rze wydali obwieszczenie, że ze względu na dobro ogółu zgodzili się na warunki pracowników.

O godzinie pierwszej po południu koło gmachu towarzystwa muzycznego stanęły oddziały piechoty, a boczne ulice zamknęła kawaleria. Wprawdzie namiestnik był przeciwny tym zarządzeniom, gdyż mogły one właśnie wywołać większe zbiegowisko, ale ostatecznie zgodził się na asystencję wojskową. Wnet poza kordonami zaczęły się gromadzić tłumy publiczności, miotane najróżnorodniejszymi uczuciami i myślami. Widok gmachu, w którym spały trzy tysiące ludzi snem kamiennym, nasuwał wiele refleksji. Niejeden proletariusz pomyślał, jakby to dobrze było uśpić się na czas nędzy i zbudzić w lepszej przyszłości, tak jak ci właśnie, którzy wczoraj odważnie dali się uśpić — a dziś mają wstać do pracy na lepszych warunkach. W świadomości tłumów dojrzywało znaczenie wartości epokowego odkrycia, jako broni wydziedziczonych.

Gdy przed godziną 4 ukazał się powóz wiozący dra Avantiego i przewodniczącego związku czeladników, w tłumach rozległy się gromkie okrzyki na cześć uczonego.

Obaj przybyli wysiadłszy z powozu, weszli do gmachu. Nie towarzyszył im nikt. Wśród tłumów zaległa cisza. Z zaptartym oddechem patrzono w drzwi, z niepokojem czekano, co się stanie. Minuty dłużyły się, napięcie u czekających wzrastało z każdą chwilą. Nawet oddziały żołnierzy stały jak zahipnotyzowane i z drżeniem spoglądały ku drzwiom gmachu.

W takiej denerwującej sytuacji minął długi kwadrans.

Nagle wszystkie trzy pary drzwi otworzyły się i zaroilo się u wyjścia. Z wnętrza zaczęli płynąć ludzie weseli, rozbawieni, ożywieni. Zbudzeni na nowo do życia! Zbudzeni w lepszych warunkach bytu, zbudzeni zaklęciem wiedzy.

W tłumach zapanowało przez chwilę coś jakby osłupienie, a potem wybuchł szal uniesienia. Ludzie padali sobie w ramiona, ściskali się, płakali z radości.

Nawet na urzędnikach policji znać było, że potrafili ocenić wielkość chwili i zrozumieć, iż stało się coś nadzwyczajnego.

Gdy profesor siadł do powozu, aby odjechać do domu, uniesienie opanowało tłumy. Wyprężono konie i mimo protestów uczonego pomocnicy piekarscy wprzęgali się sami, ciągnąc powóz otoczony rozentuzjasmowaną publicznością.

— Cóż, Filipie — zapytał profesor dostawszy się do mieszkania — jesteś zadowolony?

— A tak, wszystko idzie bardzo dobrze, tylko, żebyśmy jak najprędzej..

Filip nie dokończył i odwrócił szybko głowę.

— Tak trudno ci zapomnieć — zapytał profesor z współczuciem. — Po-

cieszę się, ja myślę, że po tym, co teraz zaszło, będą z nami inaczej mówili.

Profesor kombinował dobrze. Zaraz rano bowiem zjawił się u niego wysłannik namiestnika z pismem utrzymanym w jak najuprzejmiejszym tonie, a przeprasząc go, aby zechciał odwiedzić namiestnika koniecznie dziś w czasie między godz. 12 a 3 w południe, a to dla pomówienia o nader ważnej sprawie.

— Proszę powiedzieć ekscelencji, że będę o pół do pierwszej — oświadczył Avanti wysłannikowi, a po jego odejściu zatarł ręce z zadowoleniem. — Zaczynają ustępować — pomyślał.

Rzeczywiście skutkiem sprawy strajkowej rząd znalazł się w nader kłopotliwej sytuacji. Dzienniki zupełnie otwarcie wypowiadały się, że w sprawie tej ujawniła się zupełna niemoc i bezsilność rządu. Organ partii socjalno-demokratycznej tryumfował, głosząc, że partia pierwsza umiała zużytkować odkrycie uczonego dla walki politycznej. Dzienniki zbliżone do rządu atakowały gwałtownie piekarzy i rzeźników, widząc, że ich nierozważny upór doprowadził do zwycięstwa żywołów radykalnych, mogącego stanowić groźny precedens.

Gdy dr Avanti zjawił się w namiestnictwie, ekscelencja wyciągnął do niego obie ręce, na powitanie i z niezwykłą afekcją zaczął dziękować za zaszczyt tych odwiedzin. Potem zaczął się wypytywać o wszystkie szczegóły i szczególnie owego — jak się wyrażał — przepysznego eksperymentu w sali muzycznej, na co profesor udzielał wyjaśnień, z takim jednakże niesamowitym uśmiechem, że namiestnika chwilami lęk przejmował przed tym strasznym człowiekiem. Profesor skończywszy opowiadanie, wyraził żal, że pewne czynniki stawiają przeszkody zamysłom, jakie on opracował wraz ze swym służącym. Gdy namiestnik to usłyszał i poznał, że uczoney trwa przy swoim zamiarze, odetchnął głęboko, jakby mu niezmierny ciężar spadł z piersi, po czym zaczął usprawiedliwiać dotychczasowe stanowisko rządu, podkreślając że rząd musiał dać wyraz swej dumie z tego powodu iż współcześnie działa jak wielki uczoney.

— Ja przecież i tak pozostanę waszym współczesnym, jeżeli pozwolicie mi wybrać się w przyszłość — zauważył profesor.

— Panie profesorze — oświadczył namiestnik — pan będzie w przyszłości największym pomnikiem naszych czasów. Zechce nam pan wybaczyć nasz egoizm, że czyniliśmy wszystko co możliwe, dopóki się to dało, aby pana wśród nas zatrzymać. Ostatecznie jednak musieliśmy uznać, że nie mamy prawa krępować pana w pańskich badaniach naukowych i że przeciwnie mamy wszelki obowiązek popierać wszelkimi naszymi środkami pańskie badania i studia.

— Aha — pomyślał profesor — zaczyna się zmiana frontu!

— Rząd — ciągnął dalej namiestnik — nie będzie już czynił trudności pań-

skim projektem, przeciwnie, dopomoże panu we wszystkim i proszę nami z całą swobodą dysponować. Właśnie ministerstwo oświaty wezwało akademię umiejętności, aby w sprawie pańskich projektów przedłożyła mu swoje wnioski. Pozwoliłem sobie zaprosić pana profesora do siebie, aby prosić, by pan zechciał pomóc nam swoimi cennymi doradami i uwagami w zakresie tej akcji, jaką mamy podjąć, aby to mogło wnet nastąpić, chcemy bowiem wynagrodzić panu poświęceniem naszą dotychczasową pomyłkę.

Profesor w uprzejmych słowach podziękował namiestnikowi za takie życzyliwe stanowisko rządu i wyszedł bardzo rozbawiony tym, że namiestnik nie umiał ukrywać lęku, jakim był rząd przejęty wobec jego eksperymentów.

— No, Filipie — zawołał profesor wróciwszy do domu — mam dla ciebie dobrą wiadomość: rząd ustąpił i zgadza, się na naszą wyprawę.

— Wiec wnet się wybierzemy?

— Możliwie jak najprędzej. Sam rząd gorąco pragnie tego.

— To dobrze, to bardzo dobrze — zawołał Filip melancholijnie i otarł rękawem oczy.

## **VI.**

### **Przygotowania.**

### **Rozbrat z terażniejszością.**

### **Na zawsze.**

Dzienniki przyniosły sensacyjna, wiadomość, że rząd zgodził się na plany profesora i że ministerstwo oświaty na propozycje akademii umiejętności wyznaczyło na ten cel potrzebne kredyty. Naturalnie cała prasa szeroko komentowała te fakta, tym razem jednak już w znacznie spokojniejszym tonie. Pisma wolnomyślne i postępowe podnosiły z uznaniem krok rządu, sławiąc go, że zgodziwszy się na tak epokowe doświadczenie, wystawił sobie niespożyty pomnik. Pisma konserwatywne i klerykalne odnosiły się jak i przedtem z niechęcią do całej tej sprawy, jednakże pisały już w tonie spokojnym, jedynie tylko jedno małe, ultraklerykalne pisemko wyraziło zadowolenie z tego, że dr Avanti uśpi się nareszcie, gdyż „przez to ten zwariowany profesor przestanie ostatecznie tumanić ludzi swoją szarmanterią”.

Dla Filipa zaczęły się teraz bardzo ruchliwe czasy, był skwapliwie poszukiwany przez reporterów mniejszych dzienników, którzy zasypywali go stosami różnych zapytywań, na które najchętniej udzielał szerokich odpowiedzi. Wpły-

nęło to dodatkowo na jego nastrój, dawało mu bowiem rozrywkę i tym samym odwracało uwagę od jego serdecznego bólu.

Równocześnie akademia umiejętności pracowała gorliwie. Po dłuższych naradach ustalono plan pawilonu, w którym obaj uśpieni mieli spędzić 2000 lat. Pawilon ten miał stać w wielkim parku akademii. Miał być zbudowany z żelaza i granitu i tak uszczelniony, aby z zewnątrz nie dochodził żaden szmer. Plany były reprodukowane w pismach i bardzo szczegółowo omówiono.

Profesor spędzał godziny na sporządzaniu wykazów, co ma być złożone w pawilonie. Chodziło mu przede wszystkim o to, aby w przyszłość zabrał dowody współczesnej wiedzy i kultury. Wypisywał więc nieskończone szeregi przedmiotów, książek, przyrządów, map itd., poprawiał te spisy, skreślał dużo, potem znowu dodawał, a Filip zajmował się zbieraniem tego wszystkiego. Szło to początkowo dosyć chaotycznie, ale wreszcie profesor zdołał skompletować i ukończyć zbiory. Stało się to w samą porę, gdyż budowa pawilonu, forsowana przez rząd, była już ukończona i pozostawało jeszcze tylko urządzenie wewnętrzne. Pawilon zbudowany był nader solidnie i starannie, i był przedmiotem masowych wycieczek zwiedzających. Mury sporządzone były z bloków granitowych, grubych na półtora metra, a wszystkie inne konstrukcje były z żelaza. Na frontonie płaskorzeźby przedstawiały boga snu Morfeusza, otoczonego rojem dzieci z kwiatami maku w rękach. Wnętrze czyniło wrażenie pracowni naukowej. Wzdłuż ścian stały półki, na których miały być poskładane cenniejsze przedmioty wyznaczone do tego celu przez profesora. W środku sali stało łóżko, specjalnie sporządzone dla uczonego, pod kosztownym baldachimem, a w rogu drugie, podobne, dla Filipa, tylko mniej luksusowe, jak gdyby rząd chciał pokazać ludziom przyszłości, że umiał segregować ludzi współczesnych.

Trzeba jednak przyznać, że rząd nie szczędził kosztów, aby dr Avanti mógł ze sobą zabrać wszystko to, co mogło chlubnie świadczyć o wielkości dorobku duchowego współczesności. Szereg bocznych sal otaczających sypialnie, miały wypełnić skrzynie żelazne, ze zbiorami.

Na około pawilonu zasadzono drzewka lipowe. Właśnie podczas tych czynności przybył dr Avanti do pawilonu, aby zobaczyć, czy dużo jeszcze pozostaje do zrobienia. Widząc sadzenie drzewek profesor zamyślił się. Te drobne drzewka wyrosną na olbrzymie drzewa i może przetrwają do chwili, gdy on się obudzi. Przejdą one wraz z nim jako szczątkowe okazy tych tak dalekich wieków i zamierzchłej, zaginionej cywilizacji współczesnej..

Profesor, od chwili gdy otrzymał pozwolenie na uśpienie się, żył jakby w transie. Był na wpół uszczęśliwiony, na wpół elegijny, był jak ów odważny po-

dróżnik, który ma wyruszyć w daleką niebezpieczną podróż, który wie, że czekają go nieznanne niebezpieczeństwa, a mimo to czuje w sobie pełnię odwagi, ale chwilami nachodziły go także wątpliwości. Bo cóż na przykład będzie. jeżeli ludzkość w ciągu dwóch tysięcy lat doprowadzi swój rozwój do absurdu? Ginęły przecież stare wysokie kultury. Grecja, Rzym, Egipt niewątpliwie spodziewały się, że ich zdobycze naukowe przetrwają wieki, że opanują świat, a dziś są one okazami prawie, kopalnymi. Szły hordy barbarzyńców i zniszczyły całe cywilizacje i potem trzeba było zaczynać, pracę na nowo. Czyż nie jest możliwym, że może z głębi Azji wyjdą nowe dzikie hordy i zaleją świat i zniszczą wszystkie zdobycze wiedzy.

Myślami tymi podzielił się profesor z Filipem ten jednakże nie był pesymistycznie usposobiony i twierdził, że obecnie nie dzicz może zniszczyć cywilizację, ale cywilizacja wyniszczy dzikich i barbarzyńców i w takim razie obaj obudzą się wśród ludzi bardzo cywilizowanych, którzy z wielką wdzięcznością przyjmą ich wizytę.

— Natomiast — ciągnął dalej Filip — mnie niepokoi inna rzecz i już wiele o tym myślałem.

Mnie się zdaje, że w roku 3910 będzie w obiegu inna moneta, niż teraz, byłoby zatem dobrze, aby wszystkie pieniądze, które pan profesor ma ze sobą zabrać, wymienić na złoto. Nasze banknoty, akcje i różne papiery będą już prawdopodobnie wycofane z kursu, a losy wylosowane, złoto zaś zawsze zatrzyma swą wartość i gdy się obudzimy mając złoto, to na początek zawsze coś będziemy mieli, chyba nas w między czasie okradli.

— Jak ty jednak umiesz przewidywać dobrze — zauważył profesor ze śmiechem.

Wszystkie przygotowania do wykonania dzieła zostały wreszcie ukończone, to znaczy, że w pawilonie zgromadzono już wszystko, co profesor zadysponował. Teraz więc rząd i akademia umiejętności przy doradzie profesora przystąpił do wyznaczenia dnia, w którym ma nastąpić uśpienie. Zdecydowano, że odbędzie się to dnia 21 marca.

Termin ten ogłosiły dzienniki w nadzwyczajnych wydaniach, podkreślając w ten sposób niezwykłość wydarzenia. Akademia umiejętności przy pomocy profesora opracowała szczegółowy plan tego historycznego dnia. Zamiarem akademii było uczynić z tego momentu uroczyste święto naukowe, aby w ten sposób unaocznic ogółowi powagę wiedzy, profesor jednakże opierał się temu stanowczo i dopiero Filipowi — który bardzo cenił stronę zewnętrzną, udało się skłonić uczzonego do ustępstw. Zresztą Filip miał w tym swoje wyrachowanie. Miano-

wicie wiedząc, jak wygórowaną ciekawością odznaczała się jego była narzeczona, liczył na to, że niewątpliwie wyjdzie ona także, aby przypatrzeć się ostatnim uroczystościom, chciał więc, aby wypadły one jak najwspanialej, aby ta niewierna poznała jak sławnego traci mężczyznę. I nie zawiódł się w swoich rachubach. Skoro tylko dzienniki doniosły o dacie uśpienia, Kasia, której nadskakujący kowal pokazał z miną tryumfującą odnośnie numery pism, zemdlała przede wszystkim, a gdy ją po długich zabiegach ocucono, dostała tak gwałtownych spazmów, że jej koleżanki porządnie nabesztwały kowala za to, iż nie oszczędza delikatnych uczuć słabej dziewczyny i kazały mu iść precz i nie patrzeć na łzy niewieście. Kowal wyszedł wzburzony, udał się do konkurencyjnej restauracji i tam złagodził swój ból 14 bombami piwa.

Następnego dnia Kasia poszła do krawcowej i kazała sobie uszyć żałobną suknię, całą z jedwabiu. Podczas brania miary opowiadała, że jako słaba dziewczyna nie miała siły, by zgodzić się na wspólne prośby swego narzeczonego, sekretarza profesora Avantiego oraz samego profesora, aby wybrać się z nimi w tak daleką przyszłość. Gdy suknia była ukończona, Kasia zaraz dała się w niej fotografować i jeden egzemplarz posłała Filipowi z podpisem: Na wieczną pamiątkę. Filip otrzymawszy fotografię, zdenerwował się silnie. W oczach stanęły mu łzy, gdy spojrzał na podobiznę okazałej postaci swej narzeczonej, uczuł skurcz serca i nawet przyszło mu na myśl, czyby jednak nie było dobrze cofnąć się od swego zamiaru. Pospieszenie przecież i ze wstydem otrząsnął się z takiego pomysłu. On, któremu dzienniki wszystkich odcieni poświęcały hymny pochwalne, miałby nagle strącać się sam do rzędu przeciętnych śmiertelników, i to dla niewiernej dziewczyny? Nigdy! Co by zresztą pomyślał o nim profesor?

Raz jeszcze spojrzał z westchnieniem na fotografię, po czym schował ją do walizki, która miał wziąć ze sobą jako ostatni pakunek do tego — jak się wyrażał wagonu sypialnego.

Ostatniej niedzieli popołudniu przed 21 marca spotkał przypadkowo na ulicy Kasię. Była w żałobie i w stroju tym wyglądała imponująco. Filip ujrawszy ją niespodzianie, mimo woli przystanął, a Kasia, równie zaskoczona spotkaniem, zarumieniła się na całej swej pełnej twarzy tak silnie, że wyglądała jak wschodzący księżyc w pełni. Przez chwilę stali oboje nieruchomo, wnet jednak Filip oprzytomniał, porwał za kapelusz, uklonił się wytwornie i szybko odszedł.

Ostatnie dni przed uśpieniem były w domu profesora bardzo gwarne. Przede wszystkim codziennie zgłaszały się do uczonego różne firmy i fabryki, zwłaszcza z fabryki konserw, z natrętnymi prośbami, aby profesor zabrał ze sobą większe zapasy tych próbek, tak jak gdyby one w owej „podróży” były na co potrzebne.

Pewna znana firma zgłosiła gotowość wybudowania obok pawilonu swoim kosztem osobnego magazynu, w którym chciała urządzić skład swoich różnorodnych wyrobów konserw mięsnych, jarzynowych, rybnych i owocowych, a w zamian za to prosiła o pozwolenie używania w tytule słów: „Dostawca konserw profesora dra Avantiego w czasie jego podróży w przyszłość”.

Profesor kategorycznie odrzucił propozycję, tłumacząc, że w czasie snu nie będzie potrzebował nie tylko konserw, ale w ogóle niczego. Wówczas zastępcy firmy zwrócili się do Filipa. Ten nie był tak twardy, jak uczony, przyjął z wdzięcznością skrzynię konserw i od profesora otrzymał pozwolenie zmagazynowania jej wraz ze swymi rzeczami. W zamian za to firma otrzymała od Filipa pozwolenie na ogłoszenie po dniu 21 marca, że „na zlecenie sekretarza dra Avantiego firma dostarczyła do pawilonu 1000 kilogramów swoich wyrobów konserwowych”. Równocześnie zaś Filip zapakował do swej walizki poważną ilość złotych dwudziestokoronówek, które wraz z konserwami otrzymał zapewne w dodatku.

Uciążliwsze jednak były w ostatnich dniach wizyty i naprzykrzania się szeregu różnych nieszczęśliwców, którzy przychodzili z prośbami, aby profesor także ich po usypiał i zabrał ze sobą. Przeważnie byli to ludzie, którym ucieczka w przyszłość wydawała się przyjemniejszą formą samobójstwa niż otrucie, powieszenie czy zastrzelenie się, a którzy chcieli uciekać z teraźniejszości z powodu poważniejszych konfliktów z ustawami. Liczyli widocznie, że za 2000 lat ustawy będą humanitarniejsze, a w każdym razie ich sprawy ulegną wtedy przedawnieniu. Z tymi petentami profesor w ogóle nie chciał rozmawiać. Było to zupełnie słusznym, bo gdyby się np. ulitował nad niejednym i zabrał ich ze sobą, to przybyłby w przyszłość tak samo, jak swego czasu odkrywcy Ameryki przybyli do niej z zastępem bandytów i opryszków.

Policja ułatwiała uczonemu uwalnianie się od natrętów. Całe grupy agentów policyjnych otaczały codziennie profesora czy to w jego domu, czy gdy ukazał się na ulicy, a traktując go jako dobrą przynętę, zebrały obfity plon.

W takich warunkach nadszedł wreszcie dzień 21 marca.

Uśpienie było wyznaczone na godzinę 6 po południu.

Do aktu tego poczyniono niezwykle uroczyste przygotowania.

Właściciel domu, w którym mieszkał Avanti, udekorował schody kwiatami i laurami. U wyjścia był założony uwity z kwiatów napis: „Witaj w roku 3910”.

Dzienniki wystąpiły z specjalnymi artykułami wstępnymi. Gdy Filip przyniósł rano pisma profesorowi, ten przywitał go przyjaźnie i zauważył:

— No, dzisiejszej nocy będziemy lepiej spali.

— I prędzej niż zwykle.

— Jak to?

— Bo gdy się teraz budzimy, to tylko jedna noc upływa, a po dzisiejszej nocy...

— A tak, masz rację. Ileż to przebędziemy dzisiejszej nocy?

Profesor traktował swoją wyprawę w czasie jak podróż koleją: zasypia się w wagonie, a po obudzeniu ma się za sobą kilkaset przebytych kilometrów.

— To rzeczywiście, jest tak, jak z koleją — rzekł Filip — tylko w kilometrach nie da obliczyć, jak daleko zajedziemy.

— W kilometrach nie, ale w latach. Czas i przestrzeń to jedno i to samo.

To powiedzenie uczyniło na Filipie silne wrażenie. Ale widać było, że jest ono dla niego niezrozumiałym.

Dzienniki w artykułach swych nie szczędziły superlatywów na określenie znaczenia dnia historycznego, jak i samego wydarzenia. Pisma liberalne nazywały przedsięwzięcie Avantiego czynem, który nie ma sobie równego w dziejach. Pisma nacjonalistyczne żegnały uczonego wyrażeniem nadziei, że gdy się zbudzi, znajdzie się niewątpliwie wśród swoich, gdyż do tego czasu idea nacjonalizmu odniesie swój sprawiedliwy tryumf. Pisma klerykalne napomykały nieco o wieży Babel, która była słusznym uwieńczeniem olbrzymiego pomysłu, przekraczającego siły człowiecze, ale ostatecznie także życzyły przedsięwzięciu powodzenia, powołując się na miłosierdzie boskie.

O godzinie 10 przed południem przybył do Avantiego prezydent ministrów, aby go pożegnać. Zarazem przyniósł uczonemu wysoki order.

— Ojczyzna dumną jest z pana — mówił prezydent — oczy całego świata spoglądają dziś na nas. Kładzie się pan spać dla wielkości ojczyzny!

Forma tego rodzaju zasługi około państwa wydawała się prezydentowi ministrów widocznie najsympatyczniejszą.

W pięć minut potem przybył prezydent miasta z wiceprezydentami, by wyrazić profesorowi, że całe miasto jest dumne z posiadania tak wielkiego obywatela. Prezydent zawiadomił równocześnie, że miasto wraz z krajem będzie współdziałać w opiekowaniu się pawilonem.

Profesor czuł się tym wzruszony.

Ceremonia pożegnania w Akademii była punktem kulminacyjnym uroczystości. Prezydent wygłosił wielką mowę, w której powiedział między innymi:

— Kiedyś w odległej przyszłości, obaj nasi dzisiejsi współcześni, mający się dziś usnąć, wystąpią jako świadkowie i rzecznicy naszej kultury, naszych dziejów. Gdy zbudzą się, to co dzisiaj istnieje, żyje pełnią życia, będzie już należało



do zamierzchłej przeszłości. Badania, które w owej przyszłości będą prowadzone nad naszą epoką, wydadzą mętne i niecisłe wyroki o nas, ale nasz czcigodny przyjaciel, dr Avanti... — tu prezydent musiał przerwać, gdyż sala rozbrzmiała burzliwymi oklaskami i okrzykami na cześć profesora — ...nasz czcigodny przyjaciel będzie rzecznikiem naszych spraw i pouczy przyszłe wieki, że i my umieliśmy sięgać ku wyżynom, że wśród nas byli ludzie, którzy dla wiedzy nie wahali się bohatersko zaryzykować swe życie. I przyszłe wieki odczują tę wielkość naszej ery tak samo, jak my odczulibyśmy tę chwałę, gdyby np. między nami stanął nagle w tej sali Homer, Plato, Arystoteles lub inny heros starożytności.

W tym momencie musiał prezydent swe przemówienie wbrew zamiarowi siłą rzeczy zakończyć, gdyż w audytorium zerwały się ponowne oklaski i publiczność ruszyła ze swych miejsc, prąc ku trybunie, gdzie siedział profesor. Szereg służących pojawił się niosąc olbrzymie wieńce wawrzynowe i składając je koło krzesła uczonego, a równocześnie panie zaczęły się cisnąć z bukietami kwiatów, z galerii zaś zaczęto także rzucać kwiaty.

Powstał zamęt nie do opisania. O przywróceniu porządku nie mogło być mowy.

— Zaduszą nas jeszcze kwiatami — zawołał Filip, który zresztą, siedział zdała od profesora, w pierwszym rzędzie foteli. Zerwał się z miejsca i siłą, zaczął się przedzierać ku trybunie. Dotarł do niej właśnie w chwili, gdy profesor wyczerpany wzruszeniem, blady, bliski był omdlenia. Dopadłszy do niego, Filip pochwycił go pod rękę i odpychając tłoczące się panie, krzycząc, wymachując drugą ręką, oraz kopiąc nogami, zaczął się przedzierać ku bocznej sali.

— Pan profesor zasłabł — wrzeszczał na całe gardło.

Wnet skoczyli na pomoc woźni akademii i ostatecznie udało się na wpół żywego profesora wyprowadzić do sali bocznej.

— Gdyby tak jeszcze 10 minut trwało, nie potrzebowalibyśmy już próbować naszego doświadczenia zauważył Filip — uśpiono by nas aż do sądnego dnia!

— Jestem straszliwie zmęczony — szepnął profesor leżąc na fotelu — niczego już nie chcę tylko spoczynku.

— Wnet będziemy go mieli pod dostatkiem.

Z wielkiej sali, na której ciągle jeszcze huczała wrzawa, przybiegło kilku członków akademii, lekarzy, którzy na wieść o zasłabnięciu dra Avantiogo, chcieli mu udzielić rady. — Avanti podziękował im jednakże, oświadczając, że już się czuje lepiej i że wieczorem wszystko będzie dobrze.

— Teraz nie wpuszczę do domu nikogo — oświadczył Filip, gdy wrócili do siebie. — Chciałbym, abyśmy już spali w pawilonie komfortabel na naszych

łózkach. Sława jest piękną rzeczą, ale daje dużo kłopotów.

Profesor był tak wyczerpany, że nie chciał tknąć się obiadu, aczkolwiek Filip usilnie do tego namawiał.

— Pan profesor musi koniecznie zjeść choć trochę, mamy przed sobą długą podróż.

— A ty masz apetyt?

— Znakomity — odpowiedział Filip z zadowoleniem — ponieważ ja nie byłem tak bardzo zaangażowany w sławę, mój żołądek jest dosyć w porządku.

— To nakryjże dla mnie i dla siebie razem.

Filip wypatrył się ze zdumieniem. Wiedział on wprawdzie, że jego pracodawca jest bardzo dobrym i łaskawym człowiekiem, jednakże nigdy nie zezwolił na żadne poufności i na przekroczenie stosunku służbowego. Teraz też jego powiedzenie było czymś niezrozumiałym.

— Proszę pana profesora — oświadczył Filip — tak nie uchodzi. To nie wypada. Pan profesor już i tak bardzo łaskaw, że zezwala mi przespać w tym samym pokoju 2000 lat ale...

— No, nie certuj się, tylko nakrywaj. Gdy będę widział ciebie jedzącego to może i mnie przyjdzie apetyt. Zresztą łączy nas wspólna wyprawa w przyszłość, a czuję dobrze, ile mi okazałeś wierności. Jesteś dla mnie czymś więcej niż służącym, jesteś dobrym towarzyszem.

Po tych słowach profesor podał Filipowi rękę, którą ten z pewnym zakłopotaniem uściśnął.

— Kiedy proszę pana profesora, o tym nie warto mówić. Pan profesor mógł przecież znaleźć tylu innych do uspienia.

— Nie, bo owi liczni zgłaszający się traktowali moje przedsięwzięcie jako przyjemny środek zastępczy samobójstwa, a ty jesteś człowiekiem odczuwającym radość życia i nawet poświęciłeś swoje uczucia dla tej sprawy.

— Eh, proszę pana profesora, kiedy u mnie to właśnie na odwrót było, bo ja uważam nasz eksperyment za surogat samobójstwa z powodu zmartwienia sercowego...

— Nakrywajże — przerwał profesor, chcąc odwrócić uwagę od tego tematu.

Filip okazał rzeczywiście znakomity apetyt. Jadł za trzech — to tak, jak gdyby od kilku dni przynajmniej niczego nie miał w ustach.

— Cóż, dobra zupa? — zapytał profesor spoglądając na jedzącego.

— Znakomita. — rzekł Filip z przekonaniem. — Może pan profesor spróbuje?

I nie czekając na aprobatę, nalał profesorowi cały talerz zupy i profesor zabrał

się do jedzenia.

Podobnie było z następnymi potrawami. Filip stał się dla uczonego wzorem przy obiedzie, a na cześć uśpienia, wygłosił nawet pięciominutową mowę.

— Widzę, że straciłem niejedną przyjemność przez to, że nie jadłem razem z tobą. Widok, jak ty jesz, może pobudzić apetyt. — zauważył Avanti.

— Ja bym panu profesorowi pobudził także pragnienie — zauważył Filip — jeśli by pan profesor pozwolił.

— No to pobudź jeśli jeszcze jest co w piwnicy — rzekł śmiejąc się uczonego.

— Są jeszcze dwie flaszki winą i pół butelki koniaku — zawołał Filip i szybko pobiegł po nie, po czym podał dwa kieliszki.

— Wiesz przecie, że ja nie używam alkoholu.

Filip z rezygnacją nalał sobie wina, po czym skłoniwszy się uczonemu oświadczył:

— Pan profesor pozwoli mi, że wypiję za pomyślność pana profesora i naszej wyprawy.

— No, to nalej i mnie.

Filip spełnił to zlecenie z widoczną radością.

— Na twoje zdrowie, na pomyślność podróży w kraj snów.

Filip skłonił się głęboko. Był silnie poruszony zaszczytem, jaki go spotkał ze strony swego zwierzchnika.

Wino wpłynęło na rozmowność Filipa. Kieliszek napełniał sobie kilkakrotnie, ale za każdym razem prosił przedtem o pozwolenie.

— Wiesz, że ci nie żałuję — zauważył profesor — ale obawiam się, że przy takim tempie możesz się zbudzić za 2000 lat z zadymką w głowie.

— To proszę pana profesora byłoby dla mnie takim jakimś swojskim wspomnieniem przeszłości, przez co nie będę się czuł na początek zbyt obco.

Profesora wprowadziło to w tak dobry humor, że wypił sam jeszcze jeden kieliszek winą, zauważywszy przy tym, że jednak trzeba by wsiąść ze sobą w podróż kilka proszków antiniryny.

Filip podał czarną kawę, przy której kilka razy jeszcze sięgał po butelkę koniaku.

Wreszcie profesor powstał, czując się znacznie pokrzepionym i zauważył, że pozostaje zaledwie godzina czasu do pokończenia przygotowań.

— Tę skrzynkę — dodał wskazując na kufer wcale okazałych rozmiarów — weźmie się jako ostatni pakunek do powozu. Jest to nasz majątek, trochę ponad pół miliona koron.

— Więc to samo złoto — zawołał Filip poruszony. — Mam nadzieję, że za

dwa tysiące lat ludzie będą mieli przed nami respekt.

— Nasze pokoje i wszystko co się w nich znajduje pozostają tak jak teraz. Miasto zakupiło ten dom jako nasz pomnik.

— To bardzo ładnie, ale nie spodziewałem się takiego ekscesu ze strony miasta, w którym policja ma jeszcze tak dużo do gadania.

U wejścia rozległ się głos dzwonka.

— Nie wpuszczaj nikogo.

— Nie wpuszczę — odpowiedział Filip i pobiegł ku drzwiom. Gdy je otworzył, stanął jak skamieniały. Przed nim stała w żałobnym stroju panna Kasia. Widząc jego zdumienie, wykorzystała je i szybko wsunęła się do przedpokoju.

— Przeszłam tu bo, chciałam się z panem Filipem pożegnać — oświadczyła. — Postawiłam swoją fotografię, ale ponieważ mi pan Filip nic nie napisał, więc przypuszczam, że list nie doszedł

— Dostałem fotografię, ale... nie mogłem przecie pisać, no... nie wiem, Co by na to powiedział kowal... — bąkał Filip.

— On tu nie ma nic do gadania, to jego nic nie obchodzi, jemu nic do tego. Zresztą zapowiedziałem mu, że może się pokazać dopiero gdy się skończy żałoba.

— Żałoba?... Kto umarł...

— Nikt nie umarł, ale ponieważ pan Filip dziś się uśpi na 2000 lat, to dla mnie jest tyle samo, jak gdyby pan Filip umarł i dlatego wdziałam żałobę i...

Ponieważ u Kasi wystąpiły objawy zapowiadające zemdlenie, Filip pośpiesznie posadził ją na stołku. Kasia zaczęła cicho płakać i gryząc chusteczkę zapytała, czy Filip po obudzeniu się będzie o niej myślał.

Właśnie Filip zabierał się odpowiedzieć, że o niej nie zapomni, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich dr Avainti. Ujrawszy dziewczynę zawołał „przepraszam” i cofnął się, ale Filip skoczył ku niemu wołając:

— Nie, nie proszę pana profesora, proszę pozostać, to panna Kasia przyszła, aby się ze mną pożegnać.

— Sądziłem, że już dawno się pożegnała — zauważył profesor ze zdziwieniem.

Kasia dopatrzyła się w tych słowach ironii, zakipiało w niej ze złości, zerwała się z krzesła i wyprostowawszy się w całej okazałości przed uczonym, oświadczyła głośno:

— Chociaż ja nie taka uczona jak pan profesor, to i tak wiem, co się komu patrzy. Jeżeli było co przedtem pomiędzy nami, niby mną i panem Filipem, to jest nasza rzeczą, a panu profesorowi diabli do tego.

Profesor roześmiał się i wyszedł.

Teraz jednak zakipiało w Filipie, że jego zwierzchnika w tak ordynarny sposób napadnięto. Oświadczył zatem zimno:

— Jestem pannie Kasi bardzo obligowany za pożegnanie, ale nie trzeba tak grubiańsko stawiać się do mojego pana, bo od tego ja tu jestem. Gdy się zbudzę po dwóch tysiącach lat, pošlę pannie Kasi widokówkę, teraz polecam się i proszę pozdrowić pana kowala i gratuluję mu z powodu wesela.

Filip urwał, gdyż zobaczył, że Kasia zamierza zemdleć. Skłonił się pospiesznie i wyszedł. — Naturalnie Kasia wobec tego nie zemdląła, a ponieważ uczuła się obrażoną, wyszła szybko, pomyślawszy, że jednak łatwiej bodzie utrzymać w ręku kowala, niż uczonego mężczyznę.

— No — rzekł profesor do Filipa — możesz sobie pogratulować, żeś zerwał z tą dziewczyna. Miał byś z nią prawdziwe piekło.

Filip był widocznie już gruntownie wyleczony ze swej miłości, gdyż przytaknął szczerze, dodając zarazem, że jest bardzo ciekawy, jakie będą dziewczęta w roku 3910.

— Ubierajmy się jednak w nasze, uroczyste stroje — zawołał profesor — wnet bowiem przybędą po nas, aby, jak to powiedziano w „Głosach niebieskich”, oddać nam ostatnią przysługę. Widzisz, co się na ulicy dzieje? Jakież tłumy?

— Rzeczywiście, jakby przy egzekucji — zawołał Filip z zadowoleniem, wyglądając przez okno. Spostrzeżono go i na ulicy rozległy się okrzyki.

Profesor ukazał się w oknie, na co tłumy odpowiedziały powiewaniem kapeluszy i tak entuzjastycznymi okrzykami, że czyniło to wrażenie wycia.

Przez tłumy z trudem przepychały się powozy wiozące młodzież uniwersytecką, która miała stanowić straż honorową około powozu, profesora.

Wnet potem zadzwoniono i delegacja młodzieży zgłosiła się, meldując, że straż akademicka obejmuje już służbę.

Filip przy pomocy stróża zniósł do powozu skrzynkę z pieniędzmi i zadowolony usiadł na koźle.

Profesor stał chwilę w swojej pracowni, zamyślony rzucił okiem jeszcze raz na swoje biurko. rozglądniętym się ostatnim spojrzeniem po pokoju, — po czym spiesznie wyszedł i siadł do powozu. Przy nim zajął miejsce delegat młodzieży akademickiej. Powóz otoczony oddziałem młodzieży ruszył z wolna, poprzedzany grupą młodzieży, która torowała drogę. Tłumy wypełniające ulice stały z odkrytymi głowami.

Za powozem szły cztery inne wypełnione stosami wieńców, tych właśnie, które w południe złożono uczonemu w akademii.

Te wieńce tak bardzo podobały się Filipowi, że aż odwrócił się do profesora i zauważył:

— Brakuje jeszcze tylko dzwonów a pogrzeb byłby pierwszej klasy!

Przedzieranie się przez tłumy wypełniające szczelnie każdą, z ulic, którymi trzeba było przejeżdżać, zabrało dosyć czasu, ale ostatecznie powóz dotarł przed gmach akademii umiejętności.

Tutaj wzniesionych było kilkanaście trybun, które przepelnione były widzami.

Gdy powóz stanął u wejścia do gmachu, z trybun posypał się deszcz kwiatów na profesora, tak obfity, że aż konie zaczęły skakać.

U wejścia stały delegacje rządu, parlamentu, miasta i uniwersytetu.

— Teraz zaczną się mowy pogrzebowe – szepnął Filip pomagając profesorowi wysiąść z powozu.

Rzeczywiście zaczęły się przemówienia. Nie różniły się one treścią od przemówień wygłoszonych w akademii, tym razem jednak miały ten skutek, że wywarły głębokie wrażenie na słuchających, tak dalece, iż owładnął nimi jakby jakiś zbiorowy lęk i zdenerwowanie. Toteż gdy po skończonych mowach profesor podaniem ręki zegnał się z delegacjami i w towarzystwie tylko członków akademii ruszył do wnętrza gmachu, aby przejść ku pawilonowi, wśród zebranych zapanowała grobowa, cisza. Mężczyźni stali z odsłoniętymi głowami, panie miały łzy w oczach.

Gdy delegacja weszła do ogrodu akademii w tłumach nastąpiło poruszenie, gdyż nagle niewiasta w ciężkiej żałobie zemdląca. Powstało zamieszanie, wrzawa, dopytywania, zaczęło się doraźne cucenie, ale ponieważ zemdlona wcale nie okazywała chęci powrócenia do przytomności, zabrało ją. pogotowie ratunkowe.

Była to Kasia, która aby nie stracić żadnego szczegółu z uroczystości pożegnania, zemdląca dopiero wtedy, gdy Avanti i Filip zniknęli w gmachu.

Przed pawilonem nastąpiło ostatecznie pożegnanie, na życzenie bowiem Avantiiego uspienia miał dokonać tylko jeden pouczony przez niego lekarz, po czym profesor zastrzegł się, aby przy tym akcie nie było nikogo.

Dra Avantiego pożegnał prezydent akademii następującymi przemówieniem:

— Pawilon, do którego udajesz się na wiekowy spoczynek, będzie świętością, narodu i dopóki to w mocy ludzkiej, będzie chroniony od wszelkich niebezpieczeństw. Następne pokolenia będą tu pielgrzymowały z czcią, ze wzruszeniem będą przystopowały, do miejsca, w którym ty, Śniący wiekowy sen, zamarły a żywy, będziesz spoczywał. Twe imię pójdzie przez wieki.

Prezydent głęboko wzruszony podał rękę Avantiemu, przy czym skłonił się

bardzo nisko, aby wyrazić swój osobisty szacunek dla tego wielkiego człowieka.

Następnie podał rękę Filipow, na którego podziałało to oszałamiająco.

Nastąpiło podpisanie, dokumentu historycznego, polecającego ludzkości czterdziestego wieku, że dr Avanti i Filip mają być zbudzeni dnia 21 marca 3910 roku.

— Dokument ten miał lekarz po uspieniu położyć na stoliku obok łóżka profesora.

— W papierach— zauważył profesor — które zabrałem ze sobą, są wskazówki, w jaki sposób ma nastąpić obudzenie nas.

Profesor jeszcze raz podał rękę zebrany.

— Moi panowie — — powiedział — żegnam was. Nie mogę powiedzieć: do widzenia, choć serce chciałoby to powiedzieć. Mam prośbę, dopóki żyć będziecie, zachowajcie mnie w waszej pamięci, a ja, po zbudzeniu się, następnym wiekiem, następnej ludzkości opowiem o waszych zasługach dla nauki. Moi panowie, żegnam.

Widać było, że dr Avanti był poruszony. Otrząsnął się jednak— szybko i pospiesznie skierował do drzwi pawilonu, a za nim ruszył Filip.

Lekarz stał przez chwilę jak zakamieniały, wreszcie nerwowym ruchem przetarł czoło i także ruszył do pawilonu.

Filip zaczął pomagać przy rozbieraniu się.

— Filipie — rzekł uczonej poważnie — jeszcze czas, możesz się cofnąć.

— Nie proszę pana profesora, ja tam, na zewnątrz, nie mam już nic do czynienia.— A więc... — i profesor wyciągnął rękę do Filipa.

Za chwilę obaj leżeli w łóżkach.

— Panie doktorze — zawołał Filip — proszę mnie najpierw uśpić. Chciałbym, aby pan profesor był już całkiem mnie pewny.

Życzenie to zostało spełnione. W ciągu kilku minut Filip spoczywał jak martwy.

— Zaczny i wierny człowiek — zawołał profesor.

Były to jego ostatnie słowa. Za chwilę był również uspiony.

Lekarz popatrzył na obydwóch i zdjął go lęk. Zdało mu się, że pawilon jest wielką świątynią, a ci dwaj, martwi, czekający swego zbudzenia, to jacyś wielcy, na których przyjscie czekają odległe wieki.

Dreszcz przebiegł po nim, obtarł czoło z zimnego potu i cichym krokiem wyszedł z pawilonu.

Członkowie akademii stali przed wejściem z odkrytymi głowami.

Nie zamieniono żadnego słowa.

Prezes akademii ruszył ku drzwiom, zamknął je i przekręcił klucz w zamku. W powietrzu była cisza, gałązki drzew pokryte były pierwszą zielenią, zachodzące słońce rzucało ostatnie spojrzenie.

— To słońce — szepnął prezes akademii — będzie im tak samo świeciło, gdy nas już dawno nie będzie.

Słowa ta zabrzmiały jak modlitwa.

Koniec części pierwszej.

## **CZEŚĆ DRUGA.**

### **I.**

#### **PIERWSZE CHWILE.**

#### **RZECZYWISTOŚĆ**

#### **WBREW OCZEKIWANIU.**

— Filipie !

— Do usług — rozległa się stłumiona odpowiedź.

Profesor podniósł się nieco i na pół leżąc spoglądał zdziwiony.

— Gdzie jestem? — zapytał po chwili.

Profesor leżał na łóżku, które miało wygląd stołu operacyjnego.

Na drugim stole obok leżał Filip, który teraz mając podniesioną nieco głowę, patrzył na profesora z niesłychanym zdumieniem.

Przy stołach stało około dziesięć osób. Avanti i Filip dostrzegłszy je, nieruchomo wpatrywać się w nich zaczęli, przy czym ich zdumienie zmieniło się w lęk. Ci obcy bowiem byli wszyscy jednako ubrani, w szaty białe, z jakiejś nie wiadomo, roślinnej czy zwierzęcej tkaniny, a do tego wszyscy byli do siebie zupełnie podobni, wszyscy mieli jednakie rysy twarzy, jednaki wzrost, jednakie kształty. W ich obliczach zaś było coś, co jakby odpychało, a raczej co wiało



chłodem, ich wyraz twarzy był bardzo serio, wprawdzie nie nieprzyjazny, ale jakiś zimny, nie swojski.

Okna były otwarte, na marmurowe ściany sali padały promienie słońca, ciepły wiew lata czuć było w powietrzu.

Na stole koło okna stały jakieś dziwaczne przyrządy fizyczne, o nieznanym kształtach.

— Gdzie jestem? — zapytał profesor ponownie bezdźwięcznym głosem i spojrzał bezradnie na grupę obcych, robiących wrażenie bliźniąt.

Z grupy wysunął się jeden z mężczyzn, podszedł do Avantiego i spokojnym głosem przemówił:

— Dzień, dobry panu, panie profesorze. Ma pan za sobą długą noc. Jak się pan czuje?

Przez głowę profesora przeleciała świadomość jak błyskawica. Podniósł się i zawołał podniecony:

— Który rok mamy teraz?

— Dziś jest 21 czerwca roku 3190.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Więc jednak eksperyment się udał — szepnął Avanti bezdźwięcznie. — Więc 2000 lat już minęło...

Nagle zdało mu się, że ani, że to może było senne złudzenie, tym bardziej, że głowa ciążyła mu nieco, jakby po ciężkim męczącym śnie.

— To sen... — zawołał — to sen...

— Nie, panie, to nie sen — odpowiedział ten sam mężczyzna. — Ale proszę, pana wypić trochę tego płynu, to pana zaraz pokrzepi.

Przy tych słowach podał mu na łyżce wyglądającej jak ze złota, jakiś gęstawy ciemny płyn, o bardzo przyjemnej ożywiającej woni. Profesor wypił to lekarstwo i bezpośrednio doznał wrażenia, jak świeże siły wstępowały do niego. Uczuł się silnym i pokrzepionym. Ruszył się też zaraz, aby zejść ze stołu. Natychmiast podeszło ku niemu dwóch mężczyzn i pomogło mu w tym.

— Dziękuję, dziękuję. Już czuję się dobrze — zawołał Avanti i spojrzał na Filipa, któremu właśnie podawano lekarstwo. Twarz Filipa po połknięciu płynu promieniała zadowoleniem.

— Proszę pana profesora — zawołał radośnie — toż to likier, jakiego za naszych czasów wcale nie było.

Zeskoczył ze stołu i pobiegł ku profesorowi, który wyciągnął do niego obie ręce i uścisnął go serdecznie.

— A więc dotarliśmy — wołał Filip. — Czy tylko naprawdę spaliśmy 2000

lat?

— Więc dziś jest rzeczywiście rok 3910? — zapytał profesor ponownie.

— Tak jest — brzmiała odpowiedź — zaraz się pan sam będzie mógł przekonać o tym.

Profesor spostrzegł w tej chwili, że wszyscy mężczyźni mieli na lewej piersi małe złote tabliczki, oznaczone liczbami. U góry była liczba 710, poniżej litera A i przy niej kolejno cyfry: 1, 2, 5, 8, 3 i t. d.

— Panowie pozwolą za mną — oświadczył mężczyzna mający na tabliczce numer 716 A 1 — dam panom dowód, że przedsięwzięcie panów, podjęte z taką pogardą śmierci, powiodło się w całej pełni. To co panowie, jak powiedziano w tym dokumencie, podjęli w interesie wiedzy, zostało osiągnięte.

Po tych słowach położył na płycie marmurowej ów dokument, który akademia umiejętności przed dwoma tysiącami lat złożyła w pawilonie, przy usypianiu profesora.

Avanti i Filip patrzyli na ten papier z głębokim wzruszeniem. Papier pożółkł już silnie, na brzegach spopielał, jednakże litery tekstu były jeszcze wyraźne, tak samo złocone i purpurowe inicjały, natomiast podpisy członków Akademii z trudem tylko można było odcyfrować. Ludzie którzy podpisywali ten dokument w owym historycznym dniu, gdy profesor i Filip udawali się do pawilonu, już od wieków zniknęli, przebrzmiały ich nazwiska i owe resztki ich podpisów były może jedynym śladem ich pobytu.

Profesor nie był w stanie opanować wzruszenia, a także Filip stał nieruchomo wpatrzony w papier.

— Czy panowie gotowi? — zapytał 716 A 1.

— Służę panom.

Numer 1 ruszył przodem, za nim jeszcze dwóch mężczyzn.

— Przede wszystkim pokażę panom wasze mieszkanie. Mamy nadzieję, że odpowie ono życzeniu panów. Staraliśmy się utrzymać je w stylu waszej epoki i potrzeba było poczynić w tym kierunku nader rozległe studia, gdyż w muzeum jest zaledwie kilka okazów, co do których stwierdzono niewątpliwie, że pochodzą z waszych czasów. O ile by jednak coś tutaj nie odpowiadało panom, to proszę łaskawie poinformować nas o tym i udzielić nam odpowiednich wskazówek.

Profesor pospieszył zapewnić, że niewątpliwie będzie ze wszystkiego zadowolony.

Z pokoju udano się do długiej jasnej sieni. Wielkie okna odsłaniały widok na park, w którym stały odwieczne drzewa. Ścieżki były wysypane białym piaskiem, na grządkach kwitły i śliczne róże. Najwięcej jedna pociągały i przykuwały owe

prastare drzewa, przeważnie lipy buki i dęby. Jeden z takich kolosów dąb, sięgał, konarami ku oknu. Ten okaz mógł liczyć kilkaset lat. Profesor wyraził zdziwienie, że w parku są tak stare drzewa, na co numer 1 odpowiedział równie zdziwiony:

— Czyżbyśmy przez zasadzenie drzew rzeczywiście naruszyli styl waszych mieszkań? Prowadziliśmy usilne studia także nad tym, jak urządzić park przy mieszkami u panów i, jak nam się zdawało, z pism pańskich znalezionych w pawilonie mogło wynikać, że panowie należycie do tego pokolenia, którego wysoko ceniło przyrodę, a miało pewien kult do niektórych drzew, np. dębu, lipy, buka. Prowadziliśmy w tym kierunku studia i w waszych książkach znaleźliśmy pieśni na cześć tych drzew. Sądziliśmy też, że zasadzeniem ich zrobimy panom, gdy się obudzicie, przyjemność... zadowolenie... nie wiem, jakie słowo byłaby właściwe na kreślenie tego...

Widocznie dla mówiącego radość z odczuwania przyrody była czymś nieznanym, skoro na określenie takiego stanu nie mógł znaleźć właściwego słowa.

W każdym razie profesora ujęła tego rodzaju delikatność i przewidywania, to też poruszony tym, uściśnął przewodnikowi silnie dłoń. Przewodnik spojrział na profesora z taką miną, jak gdyby nie rozumiał zupełnie co to znaczy.

Po profesorze przebiegł ponownie dreszcz lęku.

Filip szedł milcząco. Także i jemu zrobiło się dziwnie na widok tych osobliwych twarzy, tak do siebie podobnych jak jedno jajo do drugiego. I jemu też zdawało się, że to ciągle jeszcze sen.

Na końcu sieni przewodnik stanął koło drzwi i zapukał. Drzwi otworzyły się cicho, jakby zakłete. Za nimi stał mężczyzna ubrany w liberię lokaja i głębokim ukłonem powitał przybyłych.

— To służący? — zapytał profesor zdziwiony.

— Tak jest, służący, i jeszcze dwóch innych służących wyłącznie do pańskiej dyspozycji wyznaczyło państwo.

— Co? Trzech służących?... Prowadzenie domu wypadnie mi za kosztownie, szanowny panie. Ale ta uczynność panów wprowadza mnie w zakłopotanie... Czy może mam być traktowany przez wasze państwo jako pasjonista? Czy to jest może wasze prytańce? Ja przecież nie położyłem żadnych zasług około waszego państwa.

— A do tego — zawołał Filip wzburzony — jeżeli już zadałem sobie trud wybrania się razem z moim panem, to nie mam ochoty tracić teraz mego miejsca. To sprzeciwiałoby się kontraktowi.

— Pocziesz się Filipie, przecież zostajemy razem — uspokajał profesor.

— Jeżeli panowie mogli nam dać kucharkę — ciągnął dalej Filip — albo może pokojówkę, to i mogłoby się przyczynić do naszej wygody. Ale jeśli idzie o personel męski, to ja sam tu wystarczę.

— Kucharka... pokojówka... — zauważył numer 1, który słuchał wszystkiego z wielką uwagą. tym niestety nie możemy służyć... możemy dostarczyć tylko męskiej służby...

— Przecież tu chyba nie klasztor! — zawołał Filip z przestachem.

— Nie, wcale nie... Ale to sprzeciwiałoby się i ustawom państwa.

Przy słowach tych na ustach mówiącego po raz pierwszy ukazał się lekki uśmiech.

— Chyba pan nie zechce kwestionować naszej moralności — zauważył profesor.

— Nie, wcale nie, panie profesorze. Przyczyna dla której nie możemy spełnić życzenia panów jest. zupełnie inna, o wiele poważniejsza.

— Mianowicie?...

— U nas wcale nie ma kobiet — odpowiedział mentor spokojnym tonem, jak gdyby mówił o czymś, co się samo przez się rozumie.

— Co? Jak to nie ma kobiet? Chyba w tym domu?...

— Nie. W ogóle nie ma u nas kobiet.

— W ogóle?... Jak pan to właściwie rozumie? W tym mieście? W kraju?... czy jak to w ogóle rozumieć — pytał profesor zupełnie pomieszany.

— W ogóle nie ma, kobiet?... — wołał Filip — Ani dziewcząt?... To widocznie jesteśmy u Turków, którzy kobiety zamykają w haremach.

Podniecenie i przestach Filipa trudno przedstawić.

— Panowie mylicie się w swoich puszczeniach — oświadczył spokojnie przewodnik, uśmiechając się nieco. — W naszym państwie już od roku 3174 nie ma wcale kobiet.

— Żadnych kobiet? żadnych kobiet? Dziś mamy rok 3190, więc już od 736 lat nie ma kobiet?... A ileż panowie macie lat? — zawołał profesor chwytając się rękami za głowę.

— Każdy ma 30 lat.

— No więc jakże?... skoro od przeszło siedmiu wieków nie ma żadnych kobiet!...

— Proszę pana profesora, ja myślę, żeśmy powariowali — wtrącił Filip.

— Panie profesorze — odezwał się przewodnik spokojnie — my nie jesteśmy urodzeni przez kobiety.

Profesorowi oczy wyszły na wierzch, przez chwilę stał z otwartymi ustami.

— Tak? — zawołał nagle. — Za pozwoleniem, czy pan tu spadł z nieba?... Filipie, ja sądzę, że długi sen zaszkodził nam. Dostaliśmy pomieszania zmysłów!

— Ja też zawsze mówiłem, że nasz eksperyment jest niebezpieczny.

— Jesteście panowie w państwie homunkulusów — oświadczył przewodnik spokojnie. — Co to słowo znaczy, wiecie panowie dobrze.

— Homunkulusów... ludzie wyrobionych w retorcie...

Profesor dygotał.

— Tak jest.

— Więc spełnił się sen Paracelsusa! Więc spełniło się to, o czym pisał w swojej „De generatione rerum naturalium”... Więc fantastyczny obraz z „Fausta” spełnił się...

Profesor padł na fotel jakby zdruzgotany i ukrył twarz w dłoniach. Filip ze zdziwieniem patrzył na swego pana. Z dotychczasowej dyskusji widocznie nie zdawał sobie jeszcze sprawy.

— Panie profesorze — zaczął przewodnik — sprawa przedstawia się następująco. My wszyscy, te miliony, które mieszkają w naszym państwie, jesteśmy homunkulusami. Panie profesorze, proszę przyjść do siebie, zaraz panu wszystko objaśnię. Gdy pobędzie pan pół roku między nami, pozna pan, że różnice, jakie zachodzą między nami a ludźmi pańskiej epoki, wcale nie są znaczne. To zaś, co nas odróżnia od was, wychodzi tylko na naszą korzyść. U nas nie ma tego wszystkiego, co w ludziach pańskiej ery było brzydkim i wstręt budzącym. To o czym marzono w waszych czasach, myśmy osiągnęli. Przekona się pan, że homunkulusy są szczęśliwszymi i mądrzejszymi, niż ludzie panu współcześni. Może pan rozpatrzy się najpierw w swoim mieszkaniu, już sam fakt, z jaką troskliwością przygotowyaliby tu wszystko dla pana, ułagodzi pańskie uprzedzenie do nas, a z czasem pozna pan sam, że my homunkulusy nie jesteśmy niczym innym, jak tylko doskonałymi ludźmi.

Słowa te wypowiedział tonem prawie ciepłym, aczkolwiek jego marmurowa twarz nie wykazywała żadnego poruszenia. Dwaj inni jego towarzysze przysłuchiwali się rozmowie spokojnie i na ich martwych twarzach nie było również najmniejszego śladu, aby oszołomienie profesora uczyniło na nich jakiegokolwiek wrażenie.

— W ładne dostaliśmy się towarzystwo — pomyślał Filip. — Ludzie są fabrykatami! Same ersace! I dlatego tak do siebie podobni. Wolę już panoptikum, tam widać różne twarze!

Przewodnik ruszył dalej. Profesor szedł za nim, ale to co usłyszał, tak silnie nim wstrząsnęło, że zataczał się. Filip podbiegł ku niemu i wziął go pod rękę

pocieszając:

— Proszę pana profesora, nie trzeba sobie nic złego robić. Myśmy przecież wiedzieli, że zastaniemy tu niejedną, nowość. A skoro nam się ci ludzie nie podobają, to każemy sobie innych sfabrykować.

— Oto przedpokój panów — oświadczył służący otwierając drzwi. — Wprawdzie nie wiedzieliśmy dokładnie, jak wyglądały przedpokoje, sędzę jednak, że zdołaliśmy tę sprawę dobrze rozwiązać.

Profesor mimo całego zgnębienia zauważył że przedpokój czynił rzeczywiście miłe wrażenie. Na środku stał stół, którego powierzchnia czyniła wrażenie masywnej złotej płyty, za nim sofa, pokryta ciemnozielonym pluszem, oraz kilka podobnych foteli. W ścianie dębowej były powbijane złote haki dla wieszania płaszców a u powały zwisała złota lampa elektryczna z małymi gruszkowatymi lampkami, czyniącymi wrażenie kryształowych.

— Czy pan profesor zadowolony — zapytał przewodnik. — Urządzenie jest zupełnie proste.

— Ależ to wszystko jest silnie złocone — zauważył uczony.

— Nie, to nie jest złocone, lecz masywne. Stół, haki, lampa, to wszystko jest ze szczerego złota — brzmiała spokojna odpowiedź.

— Toż to miliony tkwią w tym wszystkim... To za dużo zaszczytu dla mnie... W naszych czasach żaden panujący nie miał takiego zbytku.

— Panie profesorze — zaczął przewodnik, uśmiechając się lekko — zanim pana zbudziliśmy, poczyniliśmy wszystko, aby dla bohatera nauki przygotować siedzibę, która by choć w części była jego godną. Ten nadmiar złota nie powinien jednak kłopotać pana, gdyż złoto nie ma u nas żadnej wartości. Za pańskich czasów było inaczej, wówczas posiadanie tego metalu stanowiło może o szczęściu i znaczeniu człowieka, Tutaj daliśmy tego złota umyślnie tak wiele, aby sprawić przyjemność osobistości pochodzącej z czasów kultu dla złota. Przyszło nam to jednak bardzo łatwo.

Profesor spojrzał na mówiącego ze zdziwieniem.

— Czy macie tak niewyczerpane kopalnie złoto?

— Tak jest. Z miedzi, ołowiu, żelaza, cyny, z każdego nie szlachetnego metalu, jak to za waszych czasów mówiono.

— Więc i sen alchemistów spełnił się także — szepnął Avanti bezdźwięcznie.

Filip był prawie nieprzytomny. Przeraziła go straszliwa myśl, co się stanie z ich dukatami, skoro tu złoto tak wyrabiają, jak dawniej papier.

— A tu jest taster do oświetlenia elektrycznego — rzekł przewodnik, puszczając równocześnie prąd, skutkiem czego z lamp trysły złociste promienie

światła. — Jest to wyborne naśladowania waszych środków oświetlenia. U nas dziś robi się to inaczej.

Przewodnik kazał zasłonić okiennice, po czym i zgasił elektryczność. Na chwilę nastąpiła zupełna i ciemność, po czym nagle uczyniło się jasno, jakkolwiek nie świeciła się żadna lampa. Odnosiło się wrażenie, że to jest południe w słoneczny dzień letni.

Profesor ze zdziwieniem rozglądał się skąd pochodzi światło, nie mogąc jednak odkryć tego, zapytał o to.

— Światło pada prosto ze sufitu. Farby tapet są napszczone substancjami radioaktywnymi i te pod działaniem pewnych magnetycznych prądów zaczynają świecić. Ta metoda oświetlenia jest u nas powszechnie wprowadzona.

— Na cóż jednak urządzono tu lampki elektryczne, skoro jest urządzenie praktyczniejsze?

— Tylko z tego powodu, aby dla pana stworzyć wszystko, do czego pan przyzwyczajony przed dwoma tysiącami lat. Liczyliśmy się z tym, że wszystkie nowości, jakie pan u nas zastanie, będą dla pana początkowo czymś obcym, chcieliśmy więc stworzyć azylum, do którego mógłby się pan schronić, w razie odczucia potrzeby swoich czasów, swojej przeszłości.

— Uważa mnie pan za romantyka?

— Pochodzi pan z czasów, w których, jak to wskazują stare księgi, taka właściwość była w wysokim stopniu rozwinięta. Ulegano jej silnie i ze szkodą dla ogółu, często przez rozpamiętywanie przeszłości zapominano o teraźniejszości i o przyszłości.

— Ten automat mówi jak profesor — pomyślał Filip.

— A tu jest kuchnia — pokazywał dalej „automat” otwierając drzwi.

Zarówno z ust profesora jak i Filipa wyrwał się okrzyk zdziwienia.

To co ujrzeli, było po prostu rozkoszą oczu dla i kucharki. Podłoga była wyłożona marmurem, ściany płytami porcelanowymi, a w kredensach i na półkach stały wszelkie możliwe naczynia i sprzęty kucharskie, jakie tylko można było pomyśleć w XX wieku, z żelaza, miedzi, aluminium, lśniące swą czystością. Nadto był tu szereg różnych maszynek do siekania, krajania, tłuczenia, tak rozstawionych, że kuchnia czyniła wrażenie jakiegoś gabinetu fizykalnego.

— Oj Kasiu, Kasiu — westchnął Filip — że ciebie nie ma w tym rajku!

— Ale tu nie ma urządzeń do palenia węglem, gazem i spirytusem — zauważył Avanti.

— Nie ma, gdyż takiego opału w ogóle nie używa się od około 8 wieków — wyjaśniał nr 2 — Kopalnie węgla już dawno zostały wyczerpane całkowicie.

— Więc czymże opalacie maszyny parowe?

— U nas nie ma wcale maszyn parowych. U nas zerwano zupełnie z tymi nieracjonalnymi aparatami. Za waszych czasów marnowano bezmyślnie skarby ziemi, trwoniono masowo węgiel, podczas gdy dziesiąta część sił w nim utajonych mogła do tych samych celów wystarczyć.

— Więc jakież macie dziś źródła siły? — pytał uczony z żywym zajęciem.

— Słońce.

— Słońce? — zawołali równocześnie profesor i Filip.

— Tak jest, słońce — Oświadczył homunkulus. — Jeżeli się nie mylę, za waszych czasów mierzono siłę końmi parowymi. Otóż słońce w każdej godzinie dnia produkuje milionowe ilości koni parowych. Chodziło o wynalezienie sposobu zużytkowania tych olbrzymich skarbów siły, marnujących się w przestworzu i ten wynalazek zrobiliśmy. Dziś nie potrzebujemy czekać na to, aż drzewa przez wiekowe działanie słońca zamienione zostaną w materiał podatny do opału, my upraszczamy sobie ową okrężną drogę czasu i tę samą siłę bierzemy wprost ze słońca. Słońce porusza nasze maszyny, nasze okręty i koleje, pośredniczy w przenoszeniu naszych myśli, topi kruszce, gotuje potrawy, ogrzewa w zimie.

— Wspaniałe, pyszne! — zawołał profesor zachwycony. — To jest postęp! O tym w naszych czasach nie marzono nawet. Wy jesteście, że tak powiem, synami słońca!

— A czyż pańscy współcześni nie byli nimi? Na opał używali oni drzewa lub węgla. A przecie tylko dzięki słońcu substancje nieorganiczne ziemi i powietrza zamieniały się w organiczne źródła opałowe. Olbrzymie drzewa przedpotopowe z pochłoniętą przez nie siłę słoneczną, zamieniały się w ziemi na węgiel, a gdy nim paliliście w piecach, otrzymywaliście to samo ciepło, które przed tysiącem lat promieniowało ze słońca. Różnica była tylko ta, że najpierw trzeba było otrzymać śmiesznie mały procent tych zasobów ciepła, które słońce wprost dawało. My dziś czerpiemy bezpośrednio z niezmiernych zasobów sił słonecznych i miliony razy więcej niż bierzemy, mogłoby nam słońce codziennie dostarczać, dopóki ta ziemia istnieje. Dziś nie jesteśmy zależni od wpływów ziemskich, nie boimy się lichych żniw, nie musimy kopać w ziemi wśród niebezpieczeństw. Dawcą i karmicielem naszego życia jest słońce.

Wypowiedział to wszystko prawie z patosom, mimo to nie znać było na nim żadnego wzruszenia.

Filip patrzył na mówiącego z otwartymi ustami. W jego oczach homunkulusy po owym wykładzie znacznie zyskały i był nawet gotów postawić ich na równi ze sobą.



— Jak to czynicie, jak się to odbywa? — pytał Avanti gorączkowo.

— Wszystko to pokażemy panu kolejno. Może tymczasem zechcą panowie oglądać dalsze, pokoje? W pracowni pańskiej, panie profesorze, będzie można wygodniej pomówić, niż w kuchni.

Przewodnik ruszył pierwszy, numery 2 i 3 szły za profesorem i Filipem.

Najbliżej był pokój Filipa. Urządzony prosto, czynił nader mile wrażenie i Filip wyraźnie okazywał, że był nader zadowolony. Było tu wszystko, co jest potrzebne dla jednego człowieka, nawet pod łóżkiem stał „piesek” do zdejmowania obuwia,

Słońce wpadające przez okno było tak upalne, że profesor zaczął ocierać pot z czoła. Numer 2, zauważywszy to, podszedł do ściany i odkręciły mały złoty kurek. W tej chwili dało się słyszeć syczenie, jakby uchodzącego powietrza, i z otworu trysnął delikatny strumień, czysty jak powietrze, przy czym zaraz po zetknięciu się z powietrzem zaczął białymi płatkami jak śnieg opadać na podłogę. Za kilka minut w pokoju nastał miły chłód, a powietrze było równocześnie tak czyste jakby na brzegu morza.

— Podoba mi się to fabrykowanie śniegu w lecie — zawołał Filip zadowolony.

— Płynny tlen — zauważył Nr 2. — Jak panowie widzicie, możemy się ustrzec przed wszelkimi niedogodnościami przyrody. W każdym pokoju są podobne urządzenia, które mają jeszcze tę dodatnią stronę, że równocześnie z ochładzaniem oczyszczają powietrze z bakterii.

Ruszono dalej. Właśnie miano wejść do sypialni profesora, gdy z pokoju Filipa rozległ się gwałtowny krzyk.

Profesor przerażony odwrócił się. Z pokoju wybiegł Filip, z widocznym bólem w twarzy i machając lewą rękę wrzeszczał:

— Do wszystkich diabłów! Pewnie mam dziurę w palcu! Ależ to piecze!

Filip z ciekawości chciał powtórzyć doświadczenie z tlenem i podsunął rękę pod spadającą kroplę. Naturalnie płyn o temperaturze minus 140 stopni musiał go sparzyć tak samo jak roztopiony ołów.

— Bądź że na przyszłość uważniejszym — strofował łagodnie profesor.

— Oj, pewnie że będę — stękał Filip, wywijając ręką. — Tu może są takie wynalazki, że zabijają od razu.

Tymczasem jeden z homunkulusów wrócił do pokoju Filipa i przyniósł stamtąd małą flaszeczkę, z której na sparzony palec nalał jedną kroplę. W tej samej chwili Filip zawołał, że ból ustał. Ta okoliczność pogodziła go zupełnie z owym niebezpiecznym wynalazkiem.

Sypialnia profesora była urządzona bardzo skromnie a gustownie, pracownia zaś wprawiła go w zachwyt. Jej całą jedną ścianą stanowiło jednolite okno olbrzymie, otwierające wspaniały widok na pyszny wodotrysk w parku, przedstawiający Neptuna, i delfiny. Okno było zasłonięte jakąś dziwną zasłoną, przezroczystą, a jednak zatrzymującą promienie słoneczne. Przewodnik wskazał, że małe przesunięcie zasuwki wystarczyło, aby zasłonę usunąć. Wskazał również na drugi hebel, którym można było wprost z pokoju zatrzymać wodę w wodotrysku na wypadek gdyby szmer fontanny przeszkadzał w pracy.

Profesor z żywym zadowoleniem oglądał urządzenie tego pokoju, w którym przyjdzie mu dokończyć życia. Ściany zakryte były półkami z książkami. Rozglądając się po napisach, odkrył uczony ku swej szczerzej radości, że wszystkie te książki były jego własną biblioteką, którą przed 2000 lat kazał przenieść do pawilonu. Z rozrzewnieniem sięgnął po jedną z nich i otworzył. Ostatni raz czytał ją na kilka dni przed zaśnięciem. Jakież dziś olbrzymi przedział od owej chwili! Najwyraźniej widać to było właśnie na pożółkłych kartkach książki.

W pobliżu okna stało kosztowne biurko z całą zastawą do pracy. Przeważało złoto. Uwagę uczonego zwróciły ostrze nożyczek i noża do przecinania papieru. Wziął do ręki nóż i zaczął go skwapliwie oglądać.

— Ostrożnie panie profesorze — zauważył mentor — gdyż łatwo można się skaleczyć.

— Z czego jest ten nóż? Robi wrażenie, jak gdyby był ze szkła.

— Nie, on jest zrobiony ze skryzalizowanego węgla.

— Więc to diament...

Profesor stanął jak skamieniały, a Filip za głowę się schwycił i zawołał:

— Tutaj są noże z diamentów! Do licha, trzeba mieć respekt przed tymi ludźmi!

— To nic szczególnego — zaczął przewodnik. — Skryzalizowany węgiel wyrabia się sztucznie. Topimy węgiel, a z płynnej masy tworzą się kryształy, czy jak pan je nazywa diamenty i to w dowolnej wielkości i formie. Przeważna część narzędzi i aparatów, które dawniej fabrykowano ze stali, jest u nas zrobiona z tych kryształów. Ma to tę zaletę, że narzędzia są twardsze.

— Bagatela — zawołał Filip. — Jeśli u nas miał kto pierścionek z diamentem, to już uchodził za zamożnego, a ci robią maszyny z diamentów! Proszę pana profesora, mnie się zdaje, że my jeszcze śpimy i że nam się śnią takie ładne historie.

— Nie, panie Filipie! — oświadczył Nr 2 — pan już nie śpi. To rzeczywistość. Ale pan zobaczy u nas jeszcze niejedną osobliwość, większą niżli narzędzie

z diamentów, co zresztą nie jest już nowością, gdyż wprowadzono to jeszcze przed pięciu wiekami. My zresztą, dla diamentów znaleźliśmy znacznie lepsze zastosowanie.

Tymczasem Nr 1 otworzył szufladę biurka, wyjął stamtąd w skórę oprawmy notes i podał go Avantiemu. Z prawdziwym wzruszeniem wziął go uczony do ręki i drżącymi palcami zaczął przerzucać, był to jego nieodstępny notatnik kieszonkowy. Ostatni raz napisał tu: „dziś właśnie udaję się na długi sen. Kiedy znowu i czy w ogóle napiszę jeszcze co na tej karcie?”. Kiedyż to było?... wczoraj przecie, przed zaśnięciem.

Wczoraj... Przed dwoma tysiącami lat! Karty papieru miały dosyć czasu by pożółknąć, litery ledwie znać było.

— Teraz widzę — zauważył — jaką fikcją jest czas. Jest to nic, pusty dźwięk słowa.

— A ja myślę — odezwał się Filip — że na dzisiaj mamy dosyć wrażeń, trzeba by wypocząć, albo lepiej od razu zajmijmy się zwiedzeniem szpitala wariatów u homunkulusów.

— Masz słuszość, za dużo na raz widzieliśmy, za dużo nowości.

— Może panowie zechcą teraz co zjeść? — zapytał przewodnik.

Projekt przyjęto i zaraz udano się do jadalni. Czekał tam nowy służący, który skłoniwszy się głęboko, zaczął nakrywać do stołu. Filip patrzył nader krytycznie na jego czynności, myśląc, że na razie tylko pozwoli mu na to, musiał jednak przyznać, choć ze złością, że „automatowi” nic nie można było zarzucić. Nakrywał, jakby był od urodzenia kelnerem.

Profesor zaprosił towarzyszków swoich, aby także razem usiedli do stołu. Numer 2 i 3 przyjęli to z pewnym zdziwieniem, jednakże Nr 1 oświadczył, że jeśli profesor tego sobie życzy, to trzeba się do tego zastosować.

Już sama zastawa stołu wywołała podziw Filipa, ciężkie masywne złote naczynia i diamentowe ostrza noży były przedmiotem jego podziwu. Ale gdy zaczęto wnosić potrawy, już ich sam zapach usposobił Filipa jak najprzychylniej dla homunkulusów.

Natomiast w niekłamany kłopot znalazł się Filip, gdy służący wniósł półmisek z potrawą i podawszy go profesorowi, potem zaraz zbliżył się do Filipa, a nie do Nr 1. Filip z zakłopotaniem spojrział na profesora, ale ten uznając widocznie, że taki powinien być porządek rzeczy, skinął tylko głową. Filip pokraśniał ze zadowolenia i nabrał większego szacunku dla siebie samego.

Gdy skończono obiad, służący wniósł na tacy karafkę z jakimś złotawym płynem, podobnym do tego, jaki podano profesorowi zaraz po przebudzeniu. Płyn

nalany do kieliszków łamał silnie światło i roztaczał wszystkie kolory tęczy.

— To chyba nie jest wino — zapytał Avanti.

— Nie — tłumaczył Nr 1 — jest to płyn mający wszystkie dodatnie właściwości wina, a raczej alkoholu, jednakże bez jego ujemnych skutków. Ożywia on momentalnie i pokrzepia, a gdy minie jego działanie, to nie pozostawia po sobie owego przykrego... owych bólów głowy, zdenerwowania... owego... nie wiem, jak to za pańskich czasów nazywano.

— Katzenjammer — dorzucił usłużnie Filip.

Homunkulus wypatrzył się na niego.

— Spróbujmy — zdecydował Filip.

Profesor napił się trochę i zauważył, że płyn smakuje tak samo jak owe lekarstwo podane mu po zbudzeniu.

— Bo też rzeczywiście składa się z niego. Jest to produkt na pół naturalny, na pół sztuczny, rodzaj alkoholu, ale nieszkodliwy dla nerwów i dla organów trawienia. Pan profesor pozna z czasem wszystko to bliżej. Mężczyźni, których pan widział w pierwszej sali, przydani zostali panu przez państwo po to, aby pana poinformować o wszystkim, o całym naszym ustroju i o naszych urządzeniach.

Profesor wziął kieliszek do ręki i trącając się z przewodnikiem, wznosił toast na jego cześć, dziękując mu za wszystko, czego doznał w pierwszych chwilach po zbudzeniu się i prosząc aby dochował mu dotychczasowej życzliwości później, gdy wróci do swych zajęć.

— Panie profesorze — oświadczył Nr 1 — właśnie obowiązkiem mego życia jest być panu stale wiernym. Zarówno bowiem ja jak i tych kilku tu obecnych homunkulusów, zawdzięczamy swój pobyt jedynie i wyłącznie tylko temu, że przed niespełna 400 laty odkryto pawilon, w którym pan był uspijony. Od tego czasu państwo przygotowywało się do tego, aby pana przyjąć i powitać odpowiednio do pańskiej wielkości. Nas zrobiono po to, abyśmy panu służyli, może nas pan uważać za swoją gwardię przyboczną, oddaną do ostatniej chwili swego istnienia. Z chwilą pańskiego zgonu kończy się nasza racja bytu. Nas w ten sposób zrobiono i wykształcono, abyśmy mogli możliwie najlepiej wczuć się w pańską zamierzchłą epokę, aby w naszym towarzystwie nie czuł się pan tutaj z początku zbyt obco. Idąc za wzorem dawnych pańskich czasów, wnoszę mój kieliszek na cześć pańską. Oby długie jeszcze lata płynęły panu wśród nas w pełnym zadowoleniu, jako nagroda za pański czyn nieśmiertelny, który nigdy nie zaginie w pamięci homunkulusów, dopóki tylko ci synowe słońca będą zamieszkiwali ziemię. Profesor Avanti niech żyje!

Filip powtórzył okrzyk z takim zapalem, że aż szyby zadrżały. Również

głośno powtórzyli okrzyk N-ry 2 i 3, jednakże nie znać było na nich najmniejszego wzruszenia i raczej odnosiło się wrażenie, że to rzeczywiście automaty wydały głos za pociśnięciem guzików.

Służący podał cygara. Profesor i Filip zapalili, podczas gdy homunkulusy oświadczyli, że nie palą. Przy tej sposobności okazało się, że sporządzenie cygar było nowym wyrazem delikatności rządu wobec profesora, jak bowiem objaśnił Nr 1, palenie tytoniu usunięte zostało jeszcze przed 600 laty, a dla sporządzenia teraz cygar potrzeba było czynić szerokie studia botaniczne, chemiczne i historyczne.

Obiad był ukończony. Filip poprosił o pozwolenie pójścia do ogrodu i udał się tam z dwoma homunkulusami, a profesor usadowiwszy ślę wygodnie w fotelu, zaczął gwarzyć z Nr 1.

— Wspominał mi pan — rzekł — że oddano mi dziesięciu panów. Otóż mam kłopot z tym, jak ich nazywać, gdyż jak widzę, macie tylko numera bieżące.

— Tak jest. U nas nie ma imion ani nazwisk. Znaki i liczby na tej oto tabliczce objaśniają nas lepiej niż niegdyś u was nazwiska. U nas najważniejszym jest stosunek każdego z nas do państwa, to zaś, czym każdy z nas jest dla siebie samego, jest tu bez znaczenia. Tabliczki, które nosimy, objaśniają każdego w naszym państwie, że należymy do orszaku pana profesora, moim zadaniem jest obznajmić pana z historią ubiegłych dwóch tysięcy lat, numer 2 ma udzielać wyjaśnień w zakresie technicznych urządzeń, numer 3 w zakresie naszego życia artystycznego. Pozostałe numery mają specjalne resorty. My trzej pierwsi mamy stale panu towarzyszyć. Jeżeli jednak nasze oznaczenia nie odpowiadają panu, to proszę nas nazwać według swej woli.

— Ja też myślę, że dla uproszczenia stosunku będą wskazane pewne nazwiska. Otóż powiedzmy, ponieważ pan ma mnie wprowadzić w historię, zgódźmy się, że pan będzie się nazywał Plato, numer drugi — Archimedes, numer 3... zaraz, zaraz, on nie jest artysta?

— Nie, tylko krytykiem i historykiem sztuki.

— Tych w starożytności nie było, zatem... niech będzie Lessing. Inni dostaną nazwy później. A teraz prosiłbym pana, abyś mnie w najogólniejszych zarysach obznajomił z dziejami tych 2000 lat.

— Do szczegółów znajdzie pan profesor wszystko w swej przybocznej bibliotece. Oto ona.

Przy tych słowach otworzył Nr 1 drzwi niedostrzeżone dotąd w tapetach ściany. Profesor klasnął w ręce z zadowolenia. Długi rząd sal wypełniony był książkami na półkach pod powalę, starannie oprawionymi i to widocznie świeżo.

Każda miała exlibris z podobizną profesora. Na jednej był numer 19625.

— To moja podręczna biblioteka? — zapytał profesor zdziwiony. — A ileż ona liczy tomów?

— Ogółem 32814. Katalogi są, tutaj. A tam oto czekają dwaj mężczyźni, specjalnie wyznaczeni do opiekowania się książkami i wyszukiwania ich dla pana.

— To wszystko po prostu przytłacza mnie — zauważył profesor wracając do pracowni. — Ale panie Plato, proszę łaskawie opowiedzieć mi o całym tym przewrocie od chwili mego zaślnięcia.

— Przewrót, jak pan sam widzi, jest istotnie wielki. Na naszych mapach nie pozna pan dawnej Europy. Wszystkie wielkie państwa pańskich czasów znikły bez śladu, utonęły w naszym państwie homunkulusów, obejmującym cały świat. Jedynie tylko wysoko na północy, na Islandii, na kresach Grenlandii żyją, resztki ludzi zrodzonych z kobiet. Są oni na wymarciu i pozostają pod ochroną naszych ustaw, ale nie wolno im przestąpić granic naszego państwa, do czego zresztą sami nie mają najmniejszej ochoty. Są to resztki Skandynawów i Anglików, którzy nie chcieli się dostosować do nowego porządku rzeczy i teraz izolowani, kończą tam na północy swój nędzny żywot, wśród trosk, kłopotów i bólu. My, homunkulusy, nie wiemy nawet, co te słowa znaczą. Owi samotnicy chcieli się odseparować od nas, pozostawiliśmy im wolną wolę, a ich byt stał się dla nas już prawie legendą.

— Więc ludy Europy przestały istnieć? — zapytał Avanti ogromnie zdziwiony.

— Tak jest. Zresztą nie ma co ich tak bardzo żałować. Jeśli się nie mylę, już za pańskich czasów ludy Europy zaczęły walkę z ludami Azji. Początkowo zwyciężały, później zwycięstwa Japonii otworzyły Europie oczy na wschodnie niebezpieczeństwo. I jak niegdyś na półtora tysiąca lat przed pańską erą, ludy Azji ruszyły na Europę, aby zniszczyć dawną kulturę, tak samo w roku 2142 według waszej rachuby czasu rozpoczęła się wędrówka ze wschodu. Ale nie w dzikiej formie, gdyż wschód przejmując kulturę europejską i wchłaniając ją w siebie, udoskonalał wszystko, wobec czego przychodził nie jako równy, lecz jako wyższy. Pancerne floty Azjatów ruszyły wszystkimi morzami na Europę, wojska japońskie i chińskie szły milionami. Rosja azjatycka była już od dawna w rękach Azjatów. Stanowiła ona bramę wypadową na zachód i na wschodniej Europie zaczęły się pierwsze zapasy. W roku 2318 Azjaci opanowali całkowicie Europę, dawne państwa europejskie znikły zupełnie. Azjaci utworzyli olbrzymie państwo, które w ciągu około pół tysiąca lat, bo od roku 2780 objęło także i Afrykę. I znowu nastąpiły analogie historyczne: jak niegdyś narody podbiwszy starożytny

Rzym, przejęły jego wyższą kulturę, tak samo i tutaj, w walce duchów, zwyciężeni okazali się silniejszymi. Zwycięscy zaczęli zatracać swe azjatyckie właściwości i przejmować się duchem kultury starej Europy, i w ciągu kilku wieków zatarły się zupełnie przeciwieństwa rasowe. Idea nacjonalizmu, które tylokrotnie tak wiele krwi kosztowały, straciły rację bytu, a w ich miejsce wystąpiła idea wszech człowieczeństwa.

— A jakże zachowywała się Ameryka wobec tej potwornej rewolucji?

— Ameryka w 200 lat później w r. 2980 przyłączyła się sama do nowego państwa. Wtedy znikły ostateczne granice dzielące niegdyś ludzkość na państwa i narodowości, a tym samym odpadły silne źródła niezgody w ludzkości. Nastąpiła era, w której nikt nie pytał o narodowość, ani też o wyznanie i każdy w drugim widział równego sobie. Nie była to wcale jakaś nowa idea, bo przecież na dwa tysiące lat przed pańską erą już ją głoszono. Ale ówczesny głos był nazbyt przedwczesny, ludzkość nie była przygotowana do przyjęcia go, nie miał odpowiednich słuchaczy, znalazł wówczas Żydów i Rzymian, ale nie znalazł człowieka. Rozprzestrzenienie owej nauki kosztowało wiele krwi, zrodziła się między ludami nienawiść i psuła to co głosiła owa ewangelia.

Plato wypowiadał powyższe słowa z taką siłą intonacji, że nawet na jego kamiennej twarzy dało się zauważyć coś jakby ożywienie.

— A co potem? — pytał profesor żywo. — Czy po tym zjednoczeniu, w okresie pełnego pokoju, nie nastąpiło wyczerpanie nerwowe ludów?

— Nie, panie profesorze. Następne czasy wykazały, że dla rozwoju ludzkości wojny wcale nie są potrzebne. Po tym zjednoczeniu nastąpił okres bujnego rozwoju sztuki i nauki. Przedtem chodziło o ciągłe wyrównywanie różnic między narodami, różnic tworzących stały stan wojenny, teraz zupełnie usunięto te różnice, które tak poważną rolę odgrywały, a które nam dziś wydają się niezmiernie śmiesznymi.

— I wam się to wszystko udało? — zapytał profesor niedowierzająco.

— Tak jest. Najpierw znikły uprzywilejowania szlacheckie i to bez żadnych walk, siłą rzeczy, skoro nastał czas, że wartość miała tylko praca, zarówno fizyczna jak umysłowa. Szlachta straciła rację bytu formalnie, gdy znikły owe przeżytki form parlamentarnych, jak tzw. izby wyższe, do których wstęp dawało urodzenie lub majątek. To zresztą stało się jeszcze pod koniec XX. wieku. Straciwszy przywileje, szlachta musiała się wziąć do pracy i tym samym zrównała się. Równocześnie z upadkiem szlachty znikły trony. Ostatni panujący zmarł w 2096 roku.

— No dobrze, wprowadziliście formy republikańskie, to zupełnie naturalne.

Ale cóż się stało z różnicami społecznymi? Ich usuwanie musiało niewątpliwie wywołać wielkie wojny domowe ?

— Nie, tak źle nie było. W tej dziedzinie my utrwaliłiśmy tylko to, co już za waszych czasów zaczęło kiełkować. Już za waszych czasów państwo było właścicielem kolei, poczt, szkolnictwa, choć w dosyć nieodłącznej formie. Tą drogą szliśmy później upaństwowiając kolejno inne gałęzie, aż z czasem państwo objęło wszystko. I dziś nie możemy sobie nawet wyobrazić, aby prywatny człowiek mógł uprawiać jakąś gałąź przemysłu dla swej własnej korzyści. Niech pan sobie przypomni tylko lekarzy waszych czasów; właściwie tylko człowiek posiadający pewne środki, mógł liczyć na troskliwą opiekę lekarską. Lekarz miał tylko idealne przyczyny, aby biednego i bogatego jednako traktować, poza tym jednak sam będąc zmuszonym myśleć o sobie, o przyszłości, o zapewnieniu bytu swojej rodzinie siłą rzeczy wolał mieć pacjentów bogatszych. Społeczne warunki wasze narażały go na pokusę. Było to barbarzyństwem, było to plamą na waszych czasach. Ale już wprost groteską u was było aptekarstwo, ów handel środkami leczniczymi był przecież okropny. Aptekarze waszych czasów byli nieludzkimi paskarzami, bogacącymi się na cierpieniach ludzkości. To wszystko działo się pod osłoną waszych ustaw.

— Niestety ma pan słuszość — zauważył uczony z zakłopotaniem. — Nas jednak nie raziło to wówczas, gdyż byliśmy do tego przyzwyczajeni.

— W roku 2005 waszej rachuby czasu nastąpiło upaństwowienie całej gałęzi higieny. Upaństwowiono zarówno lekarzy, jak i aptekarzy. Lekarze gremialnie opierali się temu, aptekarze okrzykli rząd za zbiorowisko bandytów, a wszystko to dlatego, że rząd pozbawiał jednych i drugich dochodów. Rząd jednak wprowadził nowy statut urzędniczy, utworzył ministerstwo zdrowotności publicznej. Młodzi lekarze odejmowali służbę jako asystenci, byli jednak z miejsca odpowiednio dotowani, gdyż już wówczas poznano śmieszność tezy: pracować dla państwa i zarazem głodować dla państwa. Lekarze awansowali w miarę zdolności. Wprowadzono wydawanie lekarstw za darmo, recepta wystarczała. W 30 lat po tej reformie i lekarze i aptekarze przyzwyczaili się do nowego porządku, który uchylał całe głębiny zmartwień, i cierpień, nieszczęść i trosk, spowodowanych brakiem pieniędzy na odpowiednie leczenie i na lekarstwa.

— Dziwna rzecz — szepnął profesor zamyślony — za naszych czasów nikt się nie dziwił, że szkolnictwo było w rękach państwa. Gdyby jednak powiedziano wówczas, że za naukę elementarną trzeba zapłacić jakąś drobną kwotę, uznano by to za coś niemożliwego. A dziś widać, że płacenie za leczenie było czymś wprost przeciwnym logice. Tak, tak, to dopiero dziś widać, z perspektywy wieków.



— Największą, zaś reformą, nowych czasów było upaństwowienie ziemi i lasów.

— Pewnie wywołało to wojny chłopskie?

— Upaństwowienie odbyło się zupełnie, ku pełnemu zadowoleniu posiadaczy ziemi i lasów. Kopalnie upaństwowiono już pierwszej, gdyż tam społeczna niesprawiedliwość była zbyt rażąca, skutkiem różnicy w dochodach między pracującym górnikiem a próżnującym właścicielem kopalń. Kopalnie upaństwowiono szybko, a lamentey właścicieli znalazły u rządu tyle posłuchu, co pierwszej skargi górników u właścicieli. Los górników poprawił się, gdyż państwo nie potrzebując zarabiać pieniędzy, nie potrzebowało wyzyskiwać pracy. Podobnie poszło z ziemią, i lasami. Szlachta, posiadająca największe majątki, skutkiem zmienionych warunków życia, traciła coraz więcej, jej dobra najpierw upaństwowiono, a potem w ciągu niespełna jednego wieku wszystka ziemia stała się państwową. Zniknął zarazem stan wieśniaczy, a w jego miejsce weszli funkcjonariusze państwowi, uprawiający ziemię, dotowani odpowiednio. Pojmie pan, ile trosk i kłopotów odpadło tym ludziom, choćby wziąć tylko kłopoty wynikające z niepogody podczas zbiorów. Przy uprawie dominującą rolę odgrywały maszyny, przez co odpadł trud pracy fizycznej, a przez to nastąpiło zaoszczędzenie sił. Zbiory szły do magazynów państwowych, skąd wydawano je stosownie do potrzeby, przez to odpadły kłopoty wynikające z miejscowych, gdyż brak plonu w jednym miejscu wyrównywały nadwyżki w innych stronach.

— Doszliście więc w urządzeniach do stanu jakby wieku złotego. Nawet nie pomyślałem nigdy, aby do takiego stanu dojść mogło. Ale ten przewrót z homunkulusami? Jak do tego doszło

— W roku 2114 jednemu z chemików udało się stworzyć sztuczne białko. Przypuszczenia co do istoty życia, które już za pańskich czasów podnoszono, znalazły uzasadnienie w badaniach francuskiego chemika Legranda, któremu w r. 2121 przez działanie różnych substancji białkowych udało się wytworzyć sztucznie pierwszy

twór żywy, porost, który nie tylko był zdolny do życia, ale i do dalszego rozwoju. Świat naukowy rzucił się teraz gorączkowo do dalszych badań i już w 12 lat później niemiecki uczoney Walter stworzył pierwszy twór zoologiczny, z gatunku meduz. Jednakże upłynęło jeszcze przeszło 8 wieków zanim chemikom udało się stworzyć sztucznie twór wyższorzędny, mający zresztą tylko minimalne podobieństwo z życiem człowieka. Było to dzieło, japońskiego badacza Katakō. Wreszcie w ciągu dalszych stu pięćdziesięciu lat doświadczenia tak postąpiły, że homunkulus niczym nie różni się od człowieka. Pierwszych homunkulusów używano początkowo do niższych funkcji w służbie państwowej, ale w r. 3060 przyznano im pełne równouprawnienie.

— A czy ludzie znosili to spokojnie?

— Tak jest, gdyż homunkulusy wcale nie byli od nich mniej doskonałymi.. Wyrób homunkulusów doprowadzono do takiej doskonałości, że wkrótce przewyższyli oni zarówno fizycznie jak i duchowo ludzi naturalnych. Do tego z fabryk wypuszczano tylko egzemplarze zupełnie doskonałe. Egzemplarz, który zdradzał choćby, tylko drobne niedokładności, był niszczonej jeszcze przed uzyskaniem świadomości. To zapewniało zupełnie zdrową generację, tym bardziej, że żaden homunkulus nie był narażony na dziedziczenie różnych wad i chorób po rodzicach.

— Dobrze, ale mnie to wszystko jeszcze nie wyjaśnia, czemu ludzie naturalni musieli ustąpić przed sztucznymi? — zawołał profesor.

— To miało powody zupełnie naturalne. Kobiety, uspołeczniwszy się i zająwszy szereg różnych posterunków, które niegdyś zajmowali mężczyźni, tracąc zaczęły z wolna swe istotne cechy, a do tego licząc się z obowiązkami zawodowymi, unikały porodów.

— Co? I państwo nie wystąpiło przeciw temu?

— Nie miało do tego żadnego punktu zaczepienia. A teraz proszę sobie wyobrazić, ile skutkiem nieobecności kobiet odpadło namiętności. Wasza tak zwana literatura piękna zajmowała się prawie wyłącznie kobietami jak gdyby na świecie nie było już rzeczywiście niczego wznioślejszego i większego. Wasza literatura opowiada o cierpieniach, mękach serca, rozpaczach, zwątpieniach. Tak zwana miłość wywoływała wśród ludzi większe spustoszenie niż głód, niszczyła życie niezliczonych ludzi. Homunkulusy są bezpłciowymi, jakżeż więc spokojnie, beznamiętnie układa się nasze życie! W naszych sercach nie ma żadnych ułud szczęścia, żadnych tęsknot, których spełnienie było urojeniem. Kobiety zniknęły z wolna. Ostatnia zmarła w roku 3174 dnia 15 stycznia. Liczyła ona 114 lat. Od owej daty znikła kobieta z rzędu zjawisk codziennych, nie ma panien, żon, matek,

ciotek, teściowych. Przekona się pan osobiście, że świat na tym zyskał wiele, że życie stało się spokojniejszym i wygodniejszym niż za pańskich czasów.

Plato umilkł.

Profesor długo milczał zadumany, wreszcie oświadczył matowym głosem.

— To wszystko, co mi pan opowiedział, jest czymś tak niespodziewanym, tak nowym, tak dziwnym, że jednak mnie się ciągle jeszcze wydaje, iż znajduję się w ciężkim fantastycznym śnie. Chciałbym się z tej zmory obudzić.

— Pan profesor jest zmęczony, może za dużo było na raz wrażeń. Proponowałbym przechadzkę po parku, a jeżeli to panu dogadza, to moglibyśmy potem przejść się do pawilonu, w którym przespał pan 2000 lat.

— Więc on jeszcze istnieje? — zawołał ucieszony profesor.

— Tak jest. Widać, że tędzy architekci budowali go. Ich sztuka oraz kult narodów w tych szczególnych wiekach dla pańskiego czynu sprawił, że pawilon przetrwał prawie nie uszkodzony.

W tym momencie zapukano do drzwi, potem w nich ukazał się Filip z bardzo zadowolona miną.

— No co, Filipie? — zapytał profesor.

— Do usług pana profesora, jestem bardzo zadowolony. Chodźmy zatem na spacer do parku. Coś wspaniałego. Ale są tu różne historie, od których w głowie się przewraca.

— No to chodźmy do panku.

Ruszyli we trzech.

## II. POGLĄDY FILIPA. W PAWILONIE.

Prastare dęby, liczące do 400 lat, szumiały poważnie koło willi profesora, a dalej rosły drzewa nieznanego uczonego, oraz kwitły kwiaty jakiegoś obcego, o dziwnym wyglądzie i silnej woni. Szeroki potok przecinał park i wpadał do wielkiego stawu, na którym roiły się licznie gęsi, kaczki, żurawie, czaple i ptactwo wodne...

— No cóż, Filipie, jesteś zadowolony? — zapytał profesor.

— Wszystko jest bardzo ładnie i wcale nie żałuję, że eksperyment się udał,

mieszkanie dobre, jedzenie też, automaty funkcjonują zupełnie dobrze. Ale zapewne do niejednego trzeba się będzie przyzwyczaić.

— Na przykład?

— Bo oni mają, jednakie twarze, jakby we fabryce mieli tylko jeden wzór. Jeżeli tu pobędziemy tak ze dwa lata, stanie się mam za nudno.

— Do tego jednak będziemy musieli się przyzwyczaić. Bądź co bądź homunkulusy robią wrażenie ludzi spokojnych, nie mających namiętności.

— To możliwe. Pytałem tego automata, który mnie oprowadzał po parku, czy umie grać w taroka. Powiedział że nie. Nie zna także pikietę ani preferansę, a potem powiedział mi że tu się nie gra w karty. Ładne zwyczaje! W szachy grają, ale jak mi mówił, na rozkaz rządu, aby wyćwiczyć członki. Gdy się go spytałem, czy w pobliżu jest jaka restauracja, wytrzeszczył na mnie oczy i dopiero musiałem mu długo i szeroko tłumaczyć, co to jest restauracja. I proszę pana profesora, tu w ogóle nie ma restauracji!

— To jeszcze nie nieszczęście — oświadczył profesor.

— Ale ten automat opowiadał mi jeszcze różne niesłychane dziwy. Spytałem się go, kto w parku pilnuje, aby nikt nie zrywał kwiatów ani nie biegał po trawniku. Odpowiedział, że nikt, bo pilnować nie potrzeba, gdyż każdy wie, że do chodzenia są ścieżki, a nie trawnik. A gdy się go spytałem, co się dzieje, jeśli kto co ukradnie, odpowiedział że tu nikt nic nie kradnie, gdyż ludzie mają wszystko, co potrzebują. I proszę pana profesora, czy słyszał kto, aby nie było w ogóle policji? Tu podobno nikogo nie aresztują, tu adwokaci nie mają nic do robienia. Wpadliśmy w dziwne towarzystwo. Ja i ten automat, tylko z trudem mogliśmy się porozumieć.

Profesor pocieszył Filipa, że to jeszcze nie jest nieszczęściem, iż nie ma tu policji, wyraził jednak przypuszczenie, że muszą być jakieś organa nadzorcze.

— Ale jeszcze jedno, proszę pana profesora, kto tu za nas będzie płacił, skoro złoto nic nie znaczy, a jak mi się zdaje, tu wcale nie znają pieniędzy.

— Tym się na razie nie martw. Na to przyjdzie czas, a na razie chyba z głodu nie umrzemy.

Po tych słowach profesor zawrócił do swej pracowni, aby chwilę wypocząć i wpisać do notatnika wydarzenia dnia, a Filip pospieszył do swego pokoju, gdzie z wielką przyjemnością zapalił fajkę stwierdzając, że jednak homunkulusy są coś warci, skoro umieją fabrykować tak dobry tytoń. Trzeba tylko tych służących nauczyć jeszcze gry w taroka.

Na temat taroka i wspomnień Filip począł szeroko rozmyślać, gdy wnet wezwał go dzwonek do profesora. Przyszedłszy do pracowni, zastał tam Platona i

Archimedes, oraz jednego służącego.

— Pojedziemy teraz do naszego pawilonu – oświadczył Avanti.

Przed domem czekał automobil, smukły, zgrabny i robiący wrażenie bardzo lekkiego. Profesor przypatrzywszy się mu z podziwem, zapytał, gdzie mieści się motor. Na to podniósł się szofer i otworzył skrzynkę pod swym siedzeniem, ukazując maszynkę nie większą od maszyny do szycia.

— Co? — zawołał profesor — ta maszynka potrafi unieść ciężar pięciu dorosłych ludzi?

— Proszę pana profesora — zauważył Plato — ta maszynka potrafiłaby unieść wóz gdyby w nim siedziało dziesięć razy tyle osób. Jest to maszyna elektryczna.

— A gdzie są akumulatory?

— Jedynie tylko w naszych murach. My ich już nie używamy.

— Tak?... no dobrze, ale nie widzę żadnych przewodów.

— Są właśnie tutaj — i przy tych słowach Plato wskazał na umieszczoną z tyłu automobilu siatkę mającą około 40 cm długości i szerokości.

— To jest przewód? — zapytał profesor spoglądając nieufnie na jakiś nieznanemu srebrnobiały metal. — Z czego to jest?

— To jest elektrum, metal odkryty w roku 3040, posiadający tę właściwość, że elektryczność, że tak powiem, wysysa z powietrza — oświadczył Archimedes. — Źródła siły, które poruszają nasz automobil, znajdują się daleko poza miastem. W przejeździe zobaczymy je z daleka.

— Więc auto porusza, się jakby systemem i telegrafu iskrowego?

— Tak jest. U nas nie ma w ogóle przewodów drutowych. Odpadły wszystkie druty, które zarówno były kosztowne jak niebezpieczne. W naszym muzeum znajduje się fotografia jednego dawnego miasta, które nazywało się Kraków, z roku 1913. Był tam duży rynek. Otóż fotografia wykazuje, że rynek ten był pociągnięty siatką drucianą jakby był gniazdem pajęczym. Robiło tak wstrętne wrażenie, że doprawdy nie można przypuścić, aby ludzie ówczesnej ery mieli jakiś zmysł piękna. U nas nie ma tych ohydnych siatek, nie potrzebujemy ich ani do telefonów, ani do przeprowadzenia elektryczności

Profesor z towarzyszami wsiadł do automobilu. Szofer poruszył korbą i wóz bez żadnego szmeru, zupełnie cicho puścił się w drogę. Filip oświadczył, że jeszcze nigdy nie jechał tak wygodnie.

Przejeżdżali właśnie koło stawu, gdy nagle jakiś wielki cień padł na nich. Ze zdziwieniem podnieśli głowę do góry i ujrzeli na wysokości 1000 metrów olbrzymi okręt pędzący z zawrotną szybkością w ich kierunku. Okręt ten wnet ich

prześcignął.

— Co to jest? — zapytali równocześnie profesor i Filip.

— To aerokab — odpowiedział Archimedes.

— Więc wynaleźliście coś takiego?

— To już wynaleziono przed tysiącem lat, tylko nie było jeszcze udoskonalone. Praktycznie wprowadzono aerokaby dopiero w roku 3040, po odkryciu elektrum. Dzięki temu metalowi można aerokaby poruszać elektrycznością wprost z ziemi. Nie potrzebują one akumulatorów, a jedna maszyna, która porusza aerokabem, waży zaledwie 120 kilogramów.

W czasie tej rozmowy automobil wyjechał z parku na drogę, wiodącą między ogrodami. Przy parkanach rosły rozłożyste drzewa, rzucające cień na chodnik. W ogrodach stały domy przeważnie jednopiętrowe, mające tak olbrzymie okna, że odstęp między jednym a drugim oknem wynosił zaledwie po 20 centymetrów. Profesor z uznaniem podkreślił tę okoliczność, na co odpowiedział Plato:

— Powietrze i światło są najważniejszymi czynnikami utrzymania zdrowia, a ponieważ w naszym państwie najcenniejszym skarbem są sami homunkulusy, państwo w pierwszym rzędzie z największą troskliwością stara się o zapewnienie im zdrowia, a więc czystych i słonecznych mieszkań. Ze wstrętem czytałem, w jakich warunkach mieszkali ludzie za pańskiej ery, w jakich ciemnych ciasnych klatkach. U nas żadne zwierzę domowe nie ma tak złego mieszkania, jak wy dawniej!

— To wy chyba bardzo rzadko chorujecie?

— Można powiedzieć, że nigdy. Chorób zaraźliwych niema, głównie dlatego, że nie jesteśmy dziedzicznie obciążeni. Homunkulusy są doskonalszymi niż ludzie rodzeni i jestem pewny, że żaden homunkulus nie zamieniłby się z człowiekiem.

Było widocznym, że Plato był dumny z tego, iż był homunkulusem.

Filip zauważył, że automobil mimo szybkiej jazdy sprawia mało kurzu.

— Mamy idealny materiał brukowy — oświadczył Plato. — Jest to substancja podobna do kauczuku, odporna na wpływy atmosferyczne i nie ścierająca się pod kołami. Ponieważ nie używamy zwierząt pociągowych, odpada zanieczyszczenie ulic, deszcz nie spowoduje błota.

Automobil wyminął kilka przejeżdżających wozów. Siedzący w nich witali profesora ukłonami, składanymi jednak bardzo sztywno, nie zdradzali też żadnego zaciekawienia, aczkolwiek profesor i Filip wyróżniali się i rysami twarzy i strojem.

Uderzającym było, że na ulicach panował spokój i cisza. Nie było łoskotu kół,

nie było żadnych krzyków, nawoływań, ani wrzawy przekupniów

W równych odstępach przejeżdżały ulicami wielkie wozy, na wzór dawnych tramwajów, przewożące większe grupy osób. Plato wyjaśnił, że są to wozy publiczne i że używanie ich nic nie kosztuje. To bardzo się spodobało Filipowi, a radość jego zwiększyła się, gdy się dowiedział, że i do aerokabów nie trzeba kupować biletów wstępu. Wyraził też zaraz chęć odbycia powietrznej przejażdżki, na co ku swemu zdumieniu usłyszał, że do dyspozycji profesora stoi specjalna maszyna.

Automobil wjechał w nową podwójnie szeroką ulicę. W dali widać było jakieś wzgórze, zabudowane wielkimi gmachami. Ściany ich błyszcząły silnie w słońcu, co profesor przypisywał prawdopodobnie wielkim oknom. Archimedes jednak wyjaśnił, że owe budowle są zakładami zaopatrującemu miasto w ciepło i elektryczność, oraz w czyste powietrze, a owe błyszczące ściany są rusztowaniami z elektrom, wysokimi na 200 metrów, mającymi wysysać elektryczność atmosferyczną. Zarazem w zakładach tych światło i ciepło słoneczne bywa przetwarzane na elektryczność i stąd czerpią je poszczególne odbieracze umieszczone na każdym domu, takie właśnie, jak odbieracz automobilu. Zakłady te wybudowano przed 200 laty i dotychczas pełnią swą służbę wystarczająco.

Przed olbrzymią bramą żelazną zatrzymał się nagle automobil.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł Plato. — Tutaj w dniu dzisiejszym stanie pan, znowu wobec wspomnień, wobec chwili, w której udawał się pan na sen — wczoraj, przed 2000 lat.

Plato ruszył przodem.

Park, do którego weszli, można było nazwać właściwie lasem dziewiczym, olbrzymie bowiem drzewa w nim rosnące musiały mieć chyba ponad tysiąc lat. Ich rozłożyste korony tworzyły zupełny mrok, nie przepuszczały żadnego promienia światła. Ziemia porośnięta była miękkim mchem.

— Panie profesorze — odezwał się Plato — to są owe drzewa, które zaszczepiono koło pawilonu przed dwoma tysiącami lat. Ten park stał się świętością dla ludzi współczesnych panu, oraz dla wszystkich następnych pokoleń. Mogły wszędzie szaleć wojny i wielkie przewroty, mogły spustoszenia obejmować wszystko — to miejsce było zawsze świętem i nienaruszalnym. Tu nikt nie poważiłby się podnieść ręki na owe olbrzymy. Jakby jakiś mit żyła wśród wieków wieść, że w kamiennym domu wśród tego parku śpią dwaj ludzie, którzy z okrutnych przedhistorycznych czasów uciekli w przyszłość z wiarą, że będzie ona szczęśliwszą. To miejsce stało się też świętością całej ludzkości i ludy Azji otaczały je takim samym poszanowaniem, jak i pańscy rodacy niegdyś. Tutaj piel-

grzymowały narody, a ich podziw dla pańskiego czynu był najlepszą rękojmnią opieki nad tym miejscem. Nadeszły bowiem takie czasy, że uznanie tego co wielkie i wzniosłe, stało się powszechnym. Temu faktowi mamy do zawdzięczenia, że teraz możemy powitać pana w naszych czasach.

Profesor w milczeniu podał mówiącemu rękę. Był tak wzruszony, że nie zdołał słowa wypowiedzieć. — Ogarnęły go wspomnienia. Tu przed dwoma tysiącami lat tłoczył się tłum by go pożegnać, tu zebrani byli jego koledzy — z tych tysięcy nie ma dziś nawet śladu. Profesor odczuł nagle, jak daleko była owa przeszłość. Nie pozostał mu dziś żaden z jego rówieśników. Uczuł straszne osamotnienie, zdjął go lęk. Nerwowo pochwycił Filipa za rękę i wzruszonym głosem zawołał:

— Mój kochany, teraz dopiero czuję, jak wiele ty zrobiłeś dla mnie...

Filip odwrócił głowę i wyjąkał:

— Kiedy proszę pana profesora... jak przecież tylko... poszedłem spać... Dla mnie to jest tak, jak gdybym się wczoraj położył.

Teraz zbliżył się trzeci homunkulus orszaku profesora, Lessing. Przedstawił go Plato. Lessing objął przewodnictwo w dalszej wycieczce.

Wkrótce stanęli przed pawilonem.

Doprawdy, trudno było pomyśleć, patrząc na budowlę, że powstała ona przed 2000 lat, tak bowiem dobrze była utrzymana. Jedyne tylko poczerniały i mury i dach pokrył się mchom, ale kapitele i figury były zupełnie dobrze zachowane.

— W ciągu stuleci — zauważył Lessing — troskliwie naprawiano tu każde uszkodzenie poczynione przez wichry lub deszcze i dziś jeszcze należy ta budowla do cudów starożytnego świata.

Wnętrze również było zupełnie dobrze zachowane i profesorowi żywo przypomniały się chwile, gdy wchodził tu po raz ostatni. Urządzenie było to samo tylko książki uczonego były stąd wyniesione.

— Dziw, że jakie kozaki albo japończyki nie pomordowały nas tutaj — zawołał Filip — aż mnie zimno przechodzi, gdy pomyślę, że leżałem tu tyle czasu.

— Nie było tak źle — oświadczył Lessing — zaraz bowiem po zaśnieściu panów rząd wyznaczył stałą straż dla utrzymania tego pawilonu, oraz stałych lekarzy czuwało tu stale przez 2000 lat, a wartę pełnili także kozaki i japończyki, chińczycy i murzyni.

— Ale skąd to pochodzi, że zbudziliśmy się nie tu, ale w innym domu?

— Przed dwustu laty okazała się konieczność przeniesienia panów do innego domu, a to ze względów higienicznych, tutaj bowiem korony drzew zanadto pawilon zaciemniały i wstrzymywały przez to dopływ świeżego powietrza, na



murach zaczęła się pokazywać wilgoć. O tym przeniesieniu jednak zdecydował parlament po bardzo długich dyskusjach.

— Co? Do tego potrzeba było obrad parlamentu.

— Naturalnie, gdyż panowie byliście własnością świata. W parlamencie część członków stanęła na stanowisku, że nikt nie ma prawa poruszyć was gdyż budowaliście ten gmach dla swego wypoczynku i wielowiekowy sen uświęcił już waszą wolę. Inni natomiast twierdzili, że daliście się uspić z tą wolą, aby wstać za dwa tysiące lat, a gdy teraz waszemu zdrowiu zagraża niebezpieczeństwo, jest właśnie obowiązkiem zapewnić panom owo zbudzenie się w terminie. Kampania trwała dwa lata, prowadziły ją pisma i znawcy prawa, a o rozstrzygnięciu zdecydowało znalezienie dokumentów, w którym powiedziane było, że wszystkich następców wzywa się, aby wszelkimi środkami umożliwili panom doprowadzenia wielkiego dzieła do szczęśliwego końca. Propozycja zarzuciła początkowo, że dokument jest sfalszowany przez przeciwników, ale gdy badania wykazały jego autentyczność, zwyciężył pogląd za przeniesieniem panów. Nastąpiło to w roku 3709.

— Mnie to jednak dziwi, że wasz parlament zajmował się takimi rzeczami — zauważył Avanti z pewną ironią.

— A mnie nie — wtrącił Plato z pewnym jakby podnieceniem. — Raczy pan profesor nie zapominać, że to miejsce było dla nas świętością, było ono faktem podawanym pokoleniom przez wieki, po to, aby się kiedyś spełnił. Do tego w kampanii o budowę nowego pawilonu obie strony były szczerze przekonane, że mają zupełną słuszność. A przecież czy tak było w parlamentach za pańskich czasów? O jakież walczone tam śmieszności i to bez przekonania, lecz dla interesów partyjnych.

— Bardzo pana przepraszam — zawołał profesor poruszony — nie chciałem przecież ubliżyć waszemu parlamentowi.

— A ja jestem bardzo zadowolony — oświadczył Filip — że znalazł się ten dokument, bo gdybym tu leżał do końca, dostałbym pewnie reumatyzmu.

— Nowy pawilon — kończył Leasing — wybudowano w ciągu dwu lat, a jak pierwotnie parlament różnił się w poglądach, tak teraz jednomyślnie uchwalił postawienie przy nim nowej gwardii przybocznej, która stale pełniła pańską straż honorową, aż do czasu zbudzenia panów w ściśle wyznaczonym terminie.

Zapadał wieczór, w pawilonie mrok stawał się coraz większy, kąty i stare meble zaczęły tonąć w ciemnościach, pył wieków drzemiących w tej głuszy miał w sobie coś niesamowitego. Filipa zajął lęk, zdawało mu się, że z kątów wyglądają lada chwila skrwawione od mordów i roznamiętnienia żądzą mordu.

— Chodźmy stąd — zawołał — mnie ciarki przechodzą na myśl, że gdy tu spaliśmy, to różne dzikie żółte i czarne twarze przypatrywały się nam. Oj, chodźmy stąd, gdyż się jeszcze rozchoruję ze strachu.

Wszyscy opuścili gmach i ruszyli do samochodu. Profesor spostrzegł, że drzwi pawilonu nie zamknięto, a także i bramy do parku.

— Czy ten pawilon nie jest już u was dawną świętością? — zapytał.

— Owszem, jest i na zawsze nią pozostanie — rzekł Plato.

— Zatem zapewne jest silnie strzeżony.

— Strzeżony? Na co? My, homunkulusy, jesteśmy tego zdania, że co jest świętym, to strzeże się samo. Zresztą kto mógłby to miejsce zakłócić. Złodziei nie ma u nas, gdyż każdy ma wszystko czego potrzebuje do życia. Nie ma też u nas owej waszej dawnej instytucji policji i żandarmerii.

— Tu chyba ślusarze powymierali z głodu — pomyślał Filip

Właśnie zasiedli do samochodu i mieli już ruszyć, gdy nagle homunkulus stojący po drugiej stronie ulicy, podniósł rękę do góry. Szofer natychmiast wstrzymał ruch korby, równocześnie w ulicę wjechał oryginalny wóz zajmujący prawie całą jej szerokość.

— To wóz do zmiatania ulic — wyjaśnił Archimedes.

Wóz przejechał cicho, pozostawiając za sobą ulicę wypolerowaną.

— Jednakże macie coś w rodzaju policji ulicznej — zauważył profesor wskazując na owego homunkulusa, który ręką dawał znak.

— To jest organ nadzorczy, mający za zadanie czuwać nad tym, aby nie zdarzyło się jakie nieszczęście. Właściwie już za pańskich czasów takie funkcje należały do zadań waszej policji, ale wówczas między rządami a ludnością zachodziły tu przeważnie silne różnice, policja wasza zamiast zajmować się bezpieczeństwem mieszkańców, musiała służyć do ochrony rządu.

Pomimo że był już mrok i gwiazdy zaczęły się ukazywać, na ulicach było jasno, jakby podczas pełni, jednakże źródeł światła wcale nie było widać.

Archimedes wyjaśnił, że podobnie jak w mieszkaniu profesora powała, tak przy ulicach ściany frontowe domów są powleczone tą samo radioaktywną substancją i wieczorem pod wpływem prądu elektrycznego zaczynają, świecić aż do rana.

— Toż dopiero magistrat oszczędza sporo na lampiarzach i różnych robotnikach — zawołał Filip.

— Widzi pan — zauważył Archimedes — pańskie powodzenie jest zupełnie tego rodzaju, że zrozumienie go jest dla nas niedostępne. My oszczędzamy na robotnikach? Ależ chyba odwrotnie! U nas wszystkie urządzenia zdążają do tego,

aby robotnikom oszczędzić pracy.

Gdy automobil przybył przed willę uczonego, oczom jego przedstawił się czarujący widok: cała willa jaśniała pysznym blaskiem, bijącym ze wszystkich ścian, a w jego świetle wodotrysk mienił się wszystkimi barwami tęczy.

— To się nazywa iluminacja— wykrzyknął Filip klaskając w ręce. — Teraz chciałbym, aby tu byli nasi panowie z akademii i widzieli jak nas tu przyjmują!

Kolacja upłynęła na ogół w milczeniu. Profesor był roztargniony, wrażenia z pierwszego dnia pobytu wśród homunkulusów były zbyt silne i obfite, także Filip uczuwał znużenie i był zamyślony. Chociaż na ogół w ciągu dnia podobało się mu wszystko, dałby teraz nie wiedzieć co, aby mógł na chwilę dawnym zwyczajem pójść do starej restauracji i przy szklance piwa pogawędzić z przyjaciółmi, no i zobaczyć Kasię. To też odchodząc do siebie na spoczynek, pomyślał:

— Teraz najchętniej napisałbym widokówkę do Kasi!

### III. DZIENNIKI. WIZYTA UCZONYCH.

Profesor zbudził się wypoczęty i pokrzepiony. Nacisnął guzik, aby zawołać Filipa, ale zamiast niego zjawił się homunkulus i składając przyniesione ubranie profesora zapytał:

— Co pan profesor rozkaże?

— Gdzie jest Filip.

— Pan Filip siedzi przy oknie i pali fajkę.

— Dlaczego nie przyszedł, skoro zadzwoniłem.

— Ten dzwonek prowadzi do jego pokoju. Jeżeli pan profesor jest łaskaw co rozkazać, jestem przydzielony...

— Nie, nie, dziękuję. Filip byłby z tego bardzo niezadowolony. Proszę go zawołać.

Za chwilę zjawił się Filip.

— No jak się masz, co słyhać?

— Do usług, wyspałem się dobrze i zdarzyła mi się śmieszna historia. Gdy

znudziłem się i zabrałem do fajki, postawiłem przypadkowo skrzyneczkę z tyto-  
niem na przewodzie elektrycznym i proszę pana profesora, jak to zadzwoniło,  
wszedł jeden homunkulus i zapytał co rozkaże. Był to mój służący, proszę pana  
profesora i zabrał mi ubranie i buty i musiałem mu to zostawić, albo się z nim bić.  
Ale buty to na prawdę umiał dobrze wyczyścić.

— No więc wyszedłeś na wielkiego pana.

— Nic nie szkodzi, bo poza tym jestem w służbie u pana profesora i nie chcę  
po 2000 lat służby tracić mojej posady.

— A więc podaj śniadanie.

Wychodząc Filip spotkał homunkulusa, który zaprowadził go do kuchni,  
gdzie oczekiwał kucharz ubrany według wszelkich przepisów mody kucharskiej z  
przed dwóch tysięcy lat.

— Śniadanie dla pana profesora — zawołał Filip.

— Jest już przygotowane.

Rzeczywiście na tacy z kosztowną zastawą stała już herbata, bułki, szynka i  
masło, a zamiast flaszki z koniakiem flaszka z owym tajemniczym nektarem.  
Filip spróbował wszystkiego, stwierdził, że wszystko jest wyśmienite i z zado-  
woleniem pozwolił służącemu profesora zanieść tacę, a sam poprzestał tylko na  
towarzyszeniu mu.

Profesor zaprosił Filipa do siebie na śniadanie, na co zauważył homunkulus,  
że śniadanie dla Filipa już zanesiono do jego pokoju.

— Niesłychane — zawołał Filip — jak ja szybko awansowałem za to, że  
spałem tak długo.

— No to gdy zjesz śniadanie, przyjdź do mnie.

Filip rozsiadłszy się wygodnie u siebie, zjadł całe śniadanie z wielkim ape-  
tytem i obficie napił się nektaru. Po czym zapalił fajkę. Wszedł służący i podał  
mu dziennik.

— Brawo — zawołał Filip — to lubię, to się nazywa obsługa.

I zabrał się do czytania. Artykuł wstępny i felieton nigdy go nie interesowały,  
zawsze zaczynał od kroniki. Tym razem jednak zajął go artykuł, jedyny zresztą  
w dzienniku, opisujący wizytę Avantiego i Filipa w starym pawilonie.

— Nie dużo mieli do napisania o nas — mruknął.

Dalej w dzienniku były długie szeregi doniesień o trzęsieniach ziemi, o wy-  
buchach wulkanów, o burzach morskich, ale za to nie było żadnej notatki o ra-  
bunkach, morderstwach, o dramatach miłosnych, o aresztowaniach, a dział  
sprawozdań ze sądu wcale nie istniał.

— Czy to wasze najlepsze pismo? — zapytał Filip.

— W każdym razie najnowsze, jak pan widzi, nosi ono numer pierwszy. Jest to jedyne pismo w pańskim języku — co do treści obejmuje ono w streszczeniu prawie wszystko to, co jest w innych pismach.

— A czemuż tu nic nie piszą, o rabunkach, włamaniach, straceniach, szwindlach?

Homunkulus wzruszył ramionami i rzekł:

— Nie bardzo rozumiem o co panu chodzi, ale u nas takie pojęcia są nieznane.

— A gdzież są tragedie miłosne?... a prawda, u was nie ma kobiet... Ale za to sądy przecież musicie mieć!

Homunkulus pomyślał chwilę, po czym oświadczył, że takiej instytucji nie ma wcale.

— Do diabła, przecież chyba czasem jeden drugiego musi obrazić albo nabić — krzyknął Filip zirytowany.

— Nie słyszałem jeszcze o niczym podobnym — zauważył służący spokojnie.

— Albo jeden drugiemu jest coś winien i nie chce oddać.

Homunkulus poprosił Filipa, aby zechciał mówić nieco wyraźniej, gdyż nie może go zrozumieć.

Filip zawołał zdenerwowany:

— Jeżeli jeden pożyczycy od drugiego 5 koron i nie chce mu oddać, to dokąd pójdzie?

— To niemożliwe u nas, bo najpierw u nas nie ma pieniędzy, a po wtóre, każdy ma wszystko za darmo, czego potrzebuje.

— No to tu wesoło u was! — zawołał Filip z ironią. — Nie ma sędziów, nie ma adwokatów i nie ma kryminalów.

Również profesor był przyjemnie zdziwiony, gdy mu po śniadaniu podano dziennik.

— To jest zupełnie nowe pismo — objaśnił Plato. Drukuje się tylko w kilku egzemplarzach dla pana profesora i pańskiego, otoczenia.

Profesor z zadowoleniem przeczytał artykuł wstępny, donoszący o wielkim wydarzeniu swego przebudzenia się, po czym zauważył, że homunkulusy odnoszą się do niego jakby do półboga.

— Wszystkie dzisiejsze dzienniki omawiają szeroko ten fakt, będący rzeczywiście największym zdarzeniem od szeregu lat.

Profesora uderzyło, że w dzienniku nie było inseratów, co Plato wytłumaczył tym, że skoro wszystko jest monopolem państwowym, państwo nie mając konkurencji, nie potrzebuje zachwalać swych towarów.

— Dobrze, ale nie ma tu kroniki. Czy u was nie zdarzają się zbrodnie?

— U nas nie ma zbrodniarzy. Wprawdzie zdarzy się czasem, że u poszczególnych osobników występują zakłócenia, jakie dawniej traktowano jako zbrodnie czy przestępstwa i oddawano sądom do ukarania, ale u nas traktuje się takie wypadki inaczej. My takich ludzi oddajemy nie policji, lecz lekarzom i szpitalom.

— Co prawda, w niektórych wypadkach zdarzało się to i za moich czasów, szczególnie Jeśli chodziło o wybitne osobistości — zauważył uczony.

— U nas, jeśli osobnik zdradza pewne zboczenia, odsyłamy go przeważnie do fabryki, w której był zrobiony. Tam badają, go doskonale, szczególnie mózg i system nerwowy. Podczas badania osobnik znajduje się w śnie magnetycznym, wykluczającym wszelkie czucie. Jeżeli się okaże, że odkryty błąd konstrukcyjny da się usunąć, odbywa się naprawa w krótkiej drodze. My leczymy naszych pacjentów, a nie karzemy ich.

— A jeżeli ten błąd konstrukcyjny jest za wielki?

— Wtedy niszczy się danego osobnika.

— Więc jest to stracenie.

— Nie. Osobnik podczas badania pozostaje w pełnym śnie nieczucia i bezwiedzy. Jeżeli się okaże, że błąd nie da się naprawić, chorego nie budzi się więcej, tylko przez zastrzyknięcie pewnego środka przenosi się go ze stanu snu w stan śmierci.

— Często zachodzą takie wypadki?

— Teraz nie. Wyrób homunkulusów doszedł już do takiej doskonałości, że z fabryk tylko bardzo rzadko wychodzą egzemplarze z błędami.

Profesor zamyślił się. Za jego czasów, gdy biedak ukradł kawałek chleba, nazywano to złymi skłonnościami i karano więzieniem, a gdy arystokratka u modniarki skradła kosztowną koronkę, mówiono, że to zdegenerowanie rasowe, że to kleptomania.

— Ale — zawołał — czy u was jest coś takiego, co się za moich czasów nazywało religią?

Plato dłuższą chwilę spoglądał w twarz profesora, po czym oświadczył:

— To, co za pańskich czasów nazywało się religią, od dawna już u nas nie istnieje.

— Więc proszę mi powiedzieć, jak na homunkulusów oddziałują myśl o śmierci. Im bowiem bardziej ktoś boi się śmierci, tym skwapliwiej czepia się nadziei wiecznego życia.

— Dla homunkulusów śmierć nie tworzy żadnego lęku. U nas nie ma bolesnych męczących chorób, u nas nie ma operacji, które by w bólu zadrczały na

śmierć. W tym względzie jesteśmy więcej ludzkimi, niż ludzie. Do tego przy łożu umierającego nie płacze niezaopatrzona wdowa ani nieletnie dzieci.

— Ani przyjaciele?

— Przyjaciele w tym znaczeniu, jak pan profesor je rozumie, także nie. Jesteśmy pod nie jednym względem bogatszymi od was, choć może pod niejednymi także uboższymi. Myśl o życiu przyszłym po śmierci nie zajmuje nas, gdyż zadowolaliśmy się przeświadczeniem, że siły, które w naszym organizmie są żywe i czynne, że składniki, z których nasz organizm jest utworzony, są wieczne.

— Więc jesteście panteistami?

— Można by to poniekąd tak nazwać. Naszym bóstwem jest natura. Poznanie tej prawdy przyniosło ludzkości niewypowiedzianie więcej dobra. Ale wspominał pan o chęci zwiedzeniu miasta. Moglibyśmy obejrzeć domy mieszkalne homunkulusów.

Profesor zgodził się na to. Zawiadomiono również Filipa, że ma wziąć udział w wycieczce.

Przyszedł z miną bardzo zadowoloną i opowiedział, że przez godzinę wykładał swemu służącemu, jakie były dzienniki za jego czasów i co zawierały, oraz że automat wysłuchał tego wszystkiego z największym podziwem.

— Więc dobrze się tu czujesz? — zauważył profesor.

— Wcale nieźle, trzeba się tylko trochę przyzwycząić do tych automatów.

Za wyrażenie to profesor skarci go surowym spojrzeniem.

Wyjechali automobilem, tym razem jednak w przeciwnym kierunku, niż wczoraj.

— Pokażę panu przede wszystkim mieszkanie nasze oraz zaprowadzę pana do pańskich kolegów, uczonych naszych. Niestety, nie będzie pan mógł się z nimi porozumieć, gdyż nie mówią, oni pańskim językiem.

— Jak to? — zapytał Avanti — wszakże dotychczas nie słyszałem innego języka.

— Bo my wszyscy z pańskiego orszaku wyuczyliśmy się specjalnie pańskiego języka aby pan mógł w pierwszych chwilach porozumieć się od razu, zanim zechce pan poznać naszą mowę.

Plato objaśnił podczas jazdy, że mowa homunkulusów składa się głównie z pierwiastków japońskich, gramatyka jest nader prosta, a pisownia jest fonetyczna.

Automobil zatrzymał się przed dużym domem.

— Aha, to tu mieszkają uczone automaty — zauważył Filip.

— Bądź że już raz cicho.

Weszli do wielkiej sieni, wyłożonej marmurami, a zakończonej rodzajem ogrodu zimowego. Szklany dach był rozsunięty, promienie słońca łamały się w strumieniach wodotrysku, umieszczonego w środku ogrodu. Przez okna otwarte na drugim piętrze widać było szereg osób, siedzących przy stołach i zatopionych w jakiejś pracy. Postacie te uderzały niezwykle wielkimi głowami. Gdy Plato wprowadził profesora do ich sali, żaden z nich nie zwrócił na to uwagi, tylko dalej zajęci byli pisaniem w manuskryptach albo przerzucaniem jakichś foliałów.

— To są nasi uczeni, mianowicie matematycy — szepnął Plato.

— Ależ to grube głowy — zawołał Filip. —

Prawdziwe straszidła.

Profesor mimo woli uśmiechnął się, gdyż Filip rzeczywiście miał rację. Każdy z tych osobników miał potwornie wielką głowę i silnie wypukłe czoło, tak, że nos, oczy i usta wyglądały prawie znikomo.

— Strona zewnętrzna naszych uczonych — objaśnił Plato — pochodzi stąd, że w czasie ich stanu embrionalnego dodawano im więcej substancji mózgowych, zwłaszcza tych, które wywołują uzdolnienie matematyczne. Mają oni też tylko zmysł do rozwiązywania problemów matematycznych i zadziwi się pan profesor widząc, jakie zagadnienia rozwiązują oni już w wieku 12 lat, Rachunek całkowity jest dla nich czymś w rodzaju tabliczki mnożenia.

Plato poprowadził Avantego do jednego z matematyków i przedstawił go. Ten podniósł się z trudem z krzesła, przy czym profesor zauważył, że miał on ciało prawie nie rozwinięte, pierś wąską, brzuch jakby w okresie zanikowym, a nogi wątłe i owalne. Uczony z roztargnieniem słuchał, co mówił Plato, nie okazał jednak żadnego zainteresowania się Avantim, lecz wskazując na swe rachunki zaczął coś odpowiadać. Plato przetłumaczył, że matematyk właśnie ukończył dowód, iż atomy zarówno w ciałach pojedynczych jak i w złożonych, wirują około siebie na tych samych prawach, co gwiazdozbiory. Im więcej skomplikowane są połączenia, tym bardziej skomplikowane są drogi atomów. Jutro zacznie on obliczanie dróg atomów w substancjach białkowych. Atomy węgla można poniekąd porównać do słońc.

Następnie uczony opadł na krzesło i dalej zagłębił się w swe obliczania. Profesor pomyślał, że gdyby ten uczony nie zajmował się atomami, czyniłby wrażenie zdziecinniałego idioty.

— Mieszkania uczonych znajdują się także w tym domu — powiedział Plato.  
— Pójdziemy tam.

Profesor w milczeniu skłonił się wszystkim siedzącym w sali matematykom,



ale żaden z nich nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

— To są właściwie żywe maszyny do rachowania — mruknął Filip. — Ale jeśli którego z nich zaboli taka wielka głowa, to dopiero musi mu dolegać.

Mieszkania uczonych były urządzone bardzo pojedynczo. Każde składało się z dwóch pokoi, sypialnego i pracowni, zaopatrzonych zarówno w aparaty do chłodzenia, jak i w oświetlenia sufitowe.

Urządzenia te czyniły wrażenie klasztoru, jeden pokój był podobny do drugiego, a Plato objaśnił, że wszyscy homunkulusy mieszkają tak samo. W niektórych pracowniach siedziało kilku uczonych, zajętych swymi pracami. Filip zapytał naiwnie, czy taki „głowacz” odrywa się kiedy od swoich zajęć, na co odpowiedział Plato, że mają oni wspólny salon, w którym schodzą się na rozmowę, dla rozerwania się lub przeczytania gazet. Dodał także, że mają wspólną jadalnię, tam jednak o rozrywkę trudno, gdyż nawet przy jedzeniu zajmują się oni swymi zagadnieniami i nawet obsługa musi im często przypominać, że stoją przed nimi potrawy.

Plato zaproponował spożycie przekąski. Udano się do ogrodu, gdzie w ciągu dwóch minut służba zastawiła stół. Filip wpadł w zachwyty, ujrawszy na stole karafkę, z owym „czarodziejskim nektarem”, jak go stale nazywał, zrobił też uwagę, że dobrze jest, iż ten trunek nie ma alkoholu, gdyż w takim razie musiałby u homunkulusów nastąpić przewrót przez konieczność wprowadzenia instytucji policji.

— Mnie się zdaje — zauważył Plato — że jednak za pańskich czasów były stosunki niesprawiedliwe i dziecinnie złośliwe. Państwo ciągnęło zyski ze sprzedaży alkoholu, a gdy kto po użyciu tej trucizny zachorował, państwo karało go. Nam owe urządzenia wydają się tak trudnymi do pojęcia, iż dziwić się musimy, że wasze organizmy państwowe mogły istnieć czas dłuższy!

Profesor zamyślił się. W ciągu tych dwóch dni przeżył tyle nadzwyczajności, że jego własna epoka wydawać się mu zaczęła czymś niesłychanie niskim, małym, czymś prawie pogardy godnym. I o swoich czasach zaczął myśleć tak samo, jak niegdyś, kiedy dumny ze swej współczesnej kultury, myślał z pogardą o Papuasach i Eskimosach.

— Ale — zapytał — czy ci ludzie mają jakie płace, czy są utrzymywani na koszt państwa?

— U nas nie ma pensji, u nas nie płaci się za pracę. Każdy pracuje, ponieważ czuje się obywatelem państwa i uważa za swój obowiązek służyć państwu, a za spełnienie obowiązków nie trzeba nagrody.

— Więc jesteście jakby gniazdem mrówek.

— Coś w tym rodzaju. Być może, że przyroda w owej formie współżycia wskazała najlepszą formę państwowości, i my po tysiącach lat rozwoju przyszliśmy do owej doskonałości, którą przyswoiły sobie mrówki jeszcze przed początkiem rozwoju rodzaju ludzkiego. U nas mieszkańcy każdego domu nie troszczą się o swe utrzymanie i swe potrzeby, wiedzą oni, że jest to obowiązek państwa. Każdy dom dostaje codziennie z magazynów państwowych tyle, ile potrzeba dla każdego mieszkańca.

— Toż tu musi być raj dla próżniaków — zawołał Filip.

— Pan się myli. U nas nie ma próżniaków. Każdy automat, jak pan nas nazywa, spełnia tu automatycznie swe obowiązki i nikomu nie przyjdzie na myśl mniemać, jakoby uczynił coś wielkiego przez to, że obowiązki swe spełnił. Praca, u nas trwa przez 6 dni, po cztery godziny. Dzień siódmy jest wolny.

— Mnie się zdaje — zauważył Avanti zamyślony — że wasz organizm państwowy jest czymś w rodzaju zegarka. Obawiam się też, że gdyby u was zabrakło jednej siły, jednego kółeczka, cała maszyna może utknąć.

— Przed taką ewentualnością zabezpiecza nas możliwość produkowania sił pracy. Z naszych zakładów wychodzi co roku tyle osobników, ile potrzeba dla pokrycia ubytku. W ten sposób liczba mieszkańców jest u nas stała i przez to nie zachodzi także niebezpieczeństwo przeludnienia, ze swoim straszhliwymi następstwami.

— No, a gdy ktoś wysłuży np. 40 lat, czy go potem pensjonujecie, czy też, aby zmniejszyć państwu koszty utrzymania, całkiem po prostu zakatrupicie go? — zapytał Filip.

— Muszą panowie poznać najpierw historię życia każdego homunkulusa. W osiem lat po opuszczeniu retorty, w której przeszedł swój rozwój, homunkulus idzie do szkoły, w której przepędza 12 lat, przygotowując się do zawodu z góry mu wyznaczonego.

— Więc już embrionowi wyznacza się zawód? — spytał profesor zdziwiony.

— Proszę pana profesora — zawołał Filip — oni sobie po prostu fabrykują tyle a tyle szewców, krawców, stolarzy, rzeźników, urzędników, ile im potrzeba. Muszą chyba jednak uważać, aby z retorty, w której ma się usmażyć dygnitarz, nie wyszedł kominiarz.

— Sprawa przedstawia się nieco inaczej. Są bowiem pewne zawody, które potrzebują znacznych sił fizycznych, inne zaś wielkiego rozwoju umysłowego. W czasie rozwoju poszczególnych indywiduów staramy się więc o to, aby już w stanie embrionalnym rozwijać właściwości odpowiednie do przyszłego przeznaczenia danych osobników. W ten sposób ułatwiamy pedagogom pracę wy-

chowawczy. U nas nie zdarzy się coś podobnego, jak niegdyś za waszych czasów, że nauczyciel wysiłał się, aby wykształcić młodego chłopca na nauczyciela, podczas gdy ten nie miał kwalifikacji nawet na zamiatacza ulic. I na odwrót, ileż to talentów zmarnowało się u was przez to, że nie mogły wejść na właściwy drogę. W naszych szkołach każdy uczeń otrzymuje odpowiednie minimum nauki, a dalej kształci się w szkołach fachowych, stosownie do dostarczonego mu zasobu uzdolnienia. Trzecia część życia służy do nauki, druga trzecia przeznaczona jest do służby państwowej. W 40 roku życia może porzucić swój zawód i odpoczywać, większość jednak homunkulusów pełni dalej służbę. W każdym razie w 45 roku życia służbę musi się opuścić.

— Więc ich pensjonują ?

— Właściwie nie. Nasi weterani mają prawo pobytu wszędzie, gdzie im się tylko spodoba, a ponieważ u nas nic nie płaci się za podróż, więc zajmują się zwiedzaniem świata. Większość jednak ma swego „konika” i dalej, jak na przykład ci matematycy, zajmuje się do końca życia swoimi dotychczasowymi pracami.

— Za moich czasów — zawołał Filip — byli także weterani, którzy również mieli swego „konika”, mianowicie na starość zaczynali bawić się w żołnierzy.

— A czy wasi weterani mogą nadal pozostawać w dotychczasowych mieszkaniach?

— Nie. W zasadzie weteran może zamieszkać, gdzie się mu podoba, ale w pobliżu wielkich centrów muszą oni pozostawić wolne miejsce dla pracujących. Te centra mieszczą się na równinach, toteż weterani osiedlają się przeważnie w górach, w Alpach, nad jeziorami szwajcarskiemu itd.

— Proszę pana — przerwał Filip — ja bym się chciał o coś zapytać. Chodzi mi o to, czy... jakby to powiedzieć... czy każdy może potem mieć własną siedzibę, na przykład mój obecny służący?

— Naturalnie.

— No, ale jeśli tam w górach mieszkają wielcy panowie, namiestnicy, radcy? Tacy będą krzywo patrzeć na sąsiada, który dawniej czyścił im buty.

— Wcale nie, gdyż u nas jest równość wobec obowiązku pracy.

Filip za tarł ręce, jakby był bardzo zadowolony z tego wyjaśnienia. Dodał jednak jeszcze:

— A co trzeba zrobić, aby móc podróżować ?

Choć niby bilet nic nie kosztuje, ale przecież napiwki muszą być.

— Nie wiem dlaczego by być musiały, skoro u nas nie ma pieniędzy. Podróż aerokabem czy koleją jednako nic nie kosztuje.

— Tego nie mogę zrozumieć. Więc u was nie ma ludzi bogatych?

— Nie ma także i ubogich.

— To mi wygląda na szwindel — zawołał Flip, niedowierzająco kręcąc głową.

— Mój kochany — odezwał się profesor — jesteśmy tu dopiero dwa dni, więc za krótko, abyśmy mogli do wszystkiego się przyzwycząić. Jeśli pobędziemy tu ze dwa lata, wtedy może prędzej niejedno zrozumiesz,

— Choćbym żył tak długo, jak Matuzal, to i tak tego nie zrozumieć — oświadczył Filip.

Plato zaproponował, aby powrócić do domu na obiad, a po odpoczynku zwiedzić warsztaty pracy. Projekt przyjęto, po czym wszyscy udali się automobilem z powrotem do domu.

## IV. W KOLEI. WETERAN. U ŹRÓDEŁ PRACY.

O godz. 3 popołudniu dr Avanti, Filip, Plato i Archimedes przybyli automobilem na dworzec kolejowy. Filipa, uderzyło z miejsca, że na dworcu nie było żadnych kas biletowych. Podróż bez biletu uśmiechała się mu.

Olbrzymia hala półkolista zawierała szereg drzwi z napisami w języku homunkulusów, prawdopodobnie orientacyjnymi. Drzwiami ciągle wchodzili i wychodzili ludzie. Było ich wielu, wszyscy spieszyli się, a jednak wszyscy poruszali się cicho, prawie bez szmeru. Nie było słyhać żadnych nawoływali, nie było zgiełku i wrzawy, nie padły żadne głośniejsze słowa. Było w tych ruchach coś upiornego. Do tego wszyscy przechodzący mieli jednakże wyrazy twarzy, tak dalece, że trudno było odróżnić ich wiek. Jeżeli jeszcze dodamy, że wszyscy byli jednako ubrani, można sobie wyobrazić, że hala czyniła wrażenie czegoś niesamowitego.

Przy tym wszystkim nie było żadnych sygnałów, żadnych dzwonek ani świstu lokomotyw.

Uderzało również, że przechodnie nie mieli ze sobą żadnych pakunków albo

tylko małe pakiety.

— To chyba kolej lokalna — zauważył profesor. — Tu nikt nie ma kufrów.

— Nie, to jest główny dworzec — objaśnił Archimedes. — Stąd odchodzą pociągi do wszystkich ważnych punktów świata, że zaś podróżni nie biorą ze sobą żadnych kufrów, pochodzi stąd, że niczego ze sobą brać nie potrzebują, wszędzie bowiem, dokądkolwiek przybędą, znajdą wszystko, czego potrzebują, zarówno ubranie i bieliznę, jak i utrzymanie.

— I to wszystko otrzymują za darmo? — zawołał Filip.

— Naturalnie. Pan zapomina, że u nas nie ma pieniędzy.

— Wspaniale! Tylko dziwi mnie, że w tych warunkach homunkulusy ciągle nie podróżują.

Archimedes poprowadził przez drzwi krańcowe w półkolu na peron. Właśnie odjeżdżał pociąg, złożony z dwóch wagonów, wielkich, o 12 kołach, podobnych do dawnych wagonów sypialnych. Wnet po jego odjeździe nadszedł drugi pociąg, podobny do tamtego, również złożony z dwóch wagonów. Około 50 osób czekało na jego nadejście i gdy stanął, wsiedli zaraz do wagonów. Konduktorów nie było. Wsiadający nie zdradzali żadnego podniecenia jazdą, nie denerwowali się wcale. Natomiast Filip był niesłychanie podniecony i ciągle wyrażał obawy, że koleje homunkulusów mogą kryć w sobie różne diabelskie niespodzianki. Skoro jednak wsiadł do wagonu, uczuł się zadowolonym, gdyż wagon ujmował swym wygodnym urządzeniem, a do tego dzięki skroplonemu wodorowi, wewnątrz było zupełnie chłodno, aczkolwiek dzień był upalny.

Homunkulusy zajmąwszy miejsca, wydobyli gazety i w milczeniu zaczęli je czytać.

Uwagę profesora zwrócił jakiś starszy homunkulus, mający na lewej piersi jakąś dziwną odznakę, coś w rodzaju orderu. Towarzysze podróży odnosili się do niego z dużym szacunkiem, a gdy mu gazeta upadła na podłogę, kilku skoczyło, aby ją podnieść. Pluto wyjaśnił, że jest to weteran pracy, który prawdopodobnie udaje się do miejsca, gdzie niegdyś był zatrudniony, co zdarza się bardzo często.

— To jest nasza szlachta — dorzucił.

Rozległ się przyjemny głos dzwonka elektrycznego, jako znak odjazdu. Pociąg ruszył, przesuając się wśród labiryntu szyn. Profesora uderzyło, że widział zaledwie tu i ówdzie poszczególnych funkcjonariuszy kolejowych, co Archimedes wytłumaczył doskonałością urządzeń, tak dalece, że od 30 lat nie było już nigdzie żadnego wypadku kolejowego, a ostatni spowodowany został trzęsieniem ziemi. Rozległ się ponowny sygnał i na ścianie bocznej ukazała się tablica z napisem:

„A-ta-ko”.

— To najbliższa stacja — wyjaśnił Archimedes.

Filip z zajęciem obserwował przybycie pociągu na tę stację, widział, jak kilku podróżnych wysiadło, inni zajęli miejsce, a wszystko to odbyło się bez pomocy konduktora, bez urzędników, bez sygnałów.

— Zaraz przybędziemy do dzielnicy fabrycznej — zauważył Archimedes.

— Ależ tu nie ma żadnych kominów. Ładne fabryki bez kominów!

— Bo u nas nie ma maszyn parowych, odpadają też kominy i złączone z tym zanieczyszczenie powietrza, powodujące choroby,

Pociąg zwolnił biegu: ukazał się nowy napis.

Jesteśmy u celu.

— To się nazywa podróżować — zawołał Filip wysiadając. — Człowiek się nic nie zabrudzi. Nie tak było za naszych czasów. Z wagonu wychodziło się, jak z komina. Nasze czasy, proszę pana profesora, były bardzo brudne.

Szerokimi schodami udano się na wielką ulicę, którą przeciągały wielkie wozy ciężarowe, nie sprawiając zresztą żadnego łoskotu.

Nadjeżdżał wielki automobil, podobny do dawnych omnibusów. Archimedes podniósł rękę, wóz zatrzymał się i orszak profesora wsiadł do wnętrza, gdzie znajdowało się kilku siedzących.

— Ciekawym, co to za jedni — mruknął Filip.

— To są robotnicy, jadący dla odbycia swej czterogodzinnej pracy. Przed południem pracowali 2 godziny, a teraz po 6 godzinach pauzy, jadą skończyć swą szychę.

— Bardzo ładnie. Sześć godzin roboty, to mi się wcale podoba, jest czas na obiad, spanie i bilard. Tylko to jest peszące, że tak okropnie wszyscy jesteście do siebie podobni. Żeby wam choć dla odróżnienia dać inne ubrania.

— Tabliczki zupełnie wystarczają do orientowania się. Podają one datę urodzenia i zawód, to jest wszystko, co potrzebne.

— Otóż to mi się nie podoba, że u was każdy jest tylko numerem. Dlaczego nie macie nazwisk?

— Czyżby nazwiska za waszych czasów więcej mówiły, niż u nas numera? Nieraz brzmiały one silnie, a dotyczący osobnicy byli bez wartości. Zresztą, wy mieliście wielkie nazwiska, my mamy wielkie numery. U nas nazwisko straciło wszelką wartość, gdyż żaden z nas nie może go przekazać następcom, albowiem ich nie posiada. Do tego nie wiem, na co miałyby służyć nazwisko? Jednostka jest przecież niczym w państwie.

— A jeśli ktoś dokona czego wielkiego, to nie ma nawet tej nagrody, że jego

nazwisko przechodzi do następnych wieków.

— Czy za pańskich czasów stały się głośnymi nazwiska wszystkich tych, którzy rzeczywiście dokonali wielkich czynów? Czyż wielu takich wielkich odkrywców, wynalazców, dobroczyńców ludzkości, nie skończyło w nędzy i zapomnieniu? My jesteśmy lepszymi, my naszym wielkim dajemy pewny byt, my ich czcimy w ich dziełach.

Automobil zatrzymał się na chwilę i znowu wsiadło do niego kilku nowych podróżnych, między nimi jeden weteran. Wszyscy siedzący powstali i ofiarowali mu swe miejsca. Również Plato podszedł ku memu i zamienił z nim kilka słów, po czym weteran zwrócił się do profesora, podał mu rękę i rzekł:

— Ko-tem-bar, co, jak objaśnił Plato, oznaczało, że jest bardzo ucieszony z poznania profesora. Następnie na zaproszenie Platona usiadł obok zaczął za pośrednictwem Platona rozmawiać z Avantim. Wypytywał się przede wszystkim, jak było w dawnych czasach, przy czym wyraźnie dawał do poznania, że odpowiedzi nie rozumie, choć Plato wysiłał się, aby go dokładnie objaśnić, na nic się to nie przydawało. Natomiast z dalszych zapytań weterana można było poznać, iż przypuszczał on, że profesor i Filip pochodzą, z kraju, w którym byli tylko głupcy i złoczyńcy. Odetchnął też profesor z zadowoleniem, gdy weteran wysiadł z omnibusu.

— To był jednak kapitalny osioł — zawyrokował Filip, wysiadłszy na ulicę. — On już widocznie cierpi na niedomagania wieku, należałoby go odesłać do fabryki albo przefasonować.

— On tak samo nie rozumie pańskich czasów, jak pan naszych — odezwał się Plato — nie sadzę jednak, aby z tego powodu nazwać pana niemądrym albo słabym na umyśle. Homunkulusy są za przyzwoici na to.

— Jeżeli jeszcze raz odezwiesz się, odeślę cię do domu — zawołał Avanti, czerwony ze wstydu.

Filip umilkł, to jednak, co sobie pomyślał o homunkulusach, rzeczywiście nie nadawało się do powtórzenia.

Uszedłszy kilkanaście kroków, stanęli przed drzwiami wielkiej hali. Właśnie na podwórze zajeżdżał wóz naładowany olbrzymimi blokami.

— Co to? — zapytał Filip.

— To drzewo.

— Drzewo? Chciałbym widzieć te drzewa, z których wycięto takie bloki.

— To byłoby niemożliwe, gdyż owe bloki nie pochodzą, z lasu, lecz są wytworem fabrycznym.

— Co, sztuczne drzewo? — zawołał profesor. Ale chyba robione z natural-

nego drzewa.

— Nie. My umiemy wytwarzać sztucznie wszystkie organiczne substancje w drodze zwykłej syntezy. W ten sam sposób wyrabiamy także drzewo.

— Dobrze, ale skąd bierzecie takie ogromne ilości węgla, potrzebne do wyrobu drzewu?

— Ziemia jest niewyczerpaną kopalnią nieorganicznych połączeń węglowych. Wydarliśmy roślinom tajemnicę użytkowania węgla ze związków nieorganicznych do budowy związków organicznych. Źródło bowiem życia, to jest słońce, które od chwili zakiełkowania życia organicznego na ziemi, dostarcza mu sił dla tych chemicznych procesów, jest jeszcze niezmienione. Ziemia dostarcza nam węgla, powietrze tlenu, morza wodoru, a dopóki słońce świeci, nie potrzebujemy się obawiać o nasz byt.

Profesorowi wydało się w tej chwili, że homunkulusy są owymi wszechpotężnymi bogami, w jakich wierzyła niegdyś ludzkość u kolebki swych dziejów, a którzy jej zdaniem wprzęgli do swej służby wszystkie siły nieba i ziemi.

Z budynku wyszedł homunkulus i przybliżył się do grupy profesora. Archimedes przedstawił go jako dyrektora tych fabryk. Poprowadził on zwiedzających do hali, w której około 200 pił cięło bloki drzewa na płyty. Uderzało, że nie było tu silniejszego szmeru, ani też nie było widać trocin i kurzu, nieuniknionego niegdyś zjawiska przy rżnięciu drzewa. Archimedes wyjaśnił, że zamiast pił używa się teraz noży o twardości diamentów.

– Na noże te prasy hydrauliczne naciskają zwolna bloki drzewa. Pochodziło to stąd, że tylko nieliczni mogli sobie sprawić maszyny i skutkiem waszych niedostatecznych urządzeń socjalnych, każdy postęp u was był powodem głębszych zakłóceń w szerokich rozmiarach. U nas natomiast każdy nowy wynalazek staje się błogosławieństwem dla ogółu.

Dyrektor zaprowadził gości do następnej sali, w której jakieś skomplikowane maszyny tokarskie automatycznie wyrabiały z przykrojonych kawałków drzewa nogi do stołków i składały je na stojący na szynach wagon. Właśnie, gdy na wagon padła ostatnia noga, tak że był wypełniony, rozległ się głos dzwonka; maszyny stanęły nieruchomo, a wagon potoczył się po szynach i wyjechał ze sali. równocześnie zaś z drugiej strony nadjechał nowy wagon. W chwili, gdy stanął na tym samym miejscu co poprzedni, maszyny zaczęły na nowo pracować.

Było coś przyniatającego w tej automatycznej robocie.

— Można by powiedzieć — rzekł profesor — że te maszyny fungują jak ludzie, że są samodzielnymi.

— Za to ludzie stali się automatami — zauważył Filip.



— Filipie, bardzo proszę.

W drugiej sali maszyny wyrabiały ramy do okien i odrzwia. Szło to tak sprawnie i tak szybko, że Filipowi było wprost nieswojo na ten widok. Był też bardzo zadowolony, gdy po dwóch godzinach zwiedzania fabryki, dyrektor zaprosił gości do siebie i kazał podać herbatę, a zwłaszcza karafkę z owym czardziejskim nektarem.

Profesor wyraził dyrektorowi swój podziw dla urządzeń fabryki i oświadczył, że za jego czasów tak szerokie zastosowanie maszyn nie dałoby się przeprowadzić, chyba tylko po usunięciu tysięcy pracowników. Za dawnych czasów każdy postępek był okupywany ofiarami w ludziach.

W czasie powrotu Archimedes zaproponował zwiedzenie jeszcze drukarni dziennikowej, ale profesor nie chciał już na dzisiaj więcej nowych wrażeń, a także Filip napierał się do domu, gdyż przykrzyło się mu za fajką. Zaczęto zatem omawiać program dnia następnego i tu zadecydował głos Filipa, który zaczął usilnie prosić, aby nazajutrz zrobić wycieczkę powietrzem. Pomysł ten przemówił także do profesorów.

## V.

### W PRZESTWORZACH.

— Więc Filipie, dziś odbędziemy drogę powietrzem — zawołał Avanti wesoło, gdy Filip zjawił się u niego rano.

— Nie boisz się tej wyprawy?

— Jest mi trochę nieswojo, ale te automaty robią wrażenie solidnych, tak że chyba nie będzie żadnego niebezpieczeństwa. Tylko, iżby oni sami byli trochę innymi..

— A co ci się w nich podoba?

— Nic można z nimi mówić. Muszę zapytać Archimedes, czyby nam nie sprawili jakichś lepszych egzemplarzy, w których by było trochę życia. Mnie ciarki przechodzą, gdy siedzę z nimi sam. Nawet kucharz, gdy mówi, to tak samo, jak gdyby książka mówiła. Robi mi się wprost nieswojo. Wczoraj wieczorem opowiadałem im różne dowcipy i czy pan profesor uwierzy, że żaden z

nich nie roześmiał się? Siedzieli jak bałwany. A przecież były to dobre dowcipy, najnowsze.

— Najnowsze — z przed dwóch tysięcy lat...

— Dla nich w każdym razie nowe. Ale to są pniaki nie ludzie, a próbuję jeszcze jednej rzeczy, kupię sobie karty do taroka i nauczę ich grać. Może wtedy w to panopticum wejdzie trochę życia.

— Kart przecież nie kupisz tu.

— To mi je Plato da z jakiego muzeum.

— A o cóż będziesz grał? Homunkulusy nie mają pieniędzy.

— Choćby o groch, aby tylko zagrać. To przecież okropne, że tu nie ma ani restauracji, ani kawiarni. Dzienniki są po prostu jakimiś urzędówkami, ze samymi tylko ogłoszeniami.

— Myślę, że z tarokiem da się jakoś zrobić, tylko bądź cierpliwy. Jesteśmy tu dopiero kilka dni. Ale ty postępujesz typowo po ludzku: są ludzie, którzy czują się nieszczęśliwymi, jeżeli się im dobrze powodzi. Masz tu najspokojniejsze życie, jakie tylko możesz sobie wyobrazić, nie masz trosk, kłopotów, czegóż jeszcze chcesz więcej ?

— Chcę ludzi, ludzi, z którymi mógłbym mówić, ludzi którzy by się śmiali, którzy by umieli kłąć, Jeśli im się co nie podoba, ludzi, którzy by byli wesołymi, a nie żeby byli zegarkami!

— Zdaje mi się, że jednak masz tu dosyć rozrywek. Dziś np. robimy wycieczkę powietrzem. Gdybyś się ze mną nie przeniósł w dzisiejsze czasy, zapewne nigdy nie miałbyś takiej sposobności. Do tego dodaj, jakie tu widzisz nowości i osobliwości.

— To wszystko prawda, ale ja tu nie mam nikogo, z kim mógłbym o tym wszystkim pogadać. Chyba sprawię sobie psa...

Rozmowę przerwali Plato i Archimedes, którzy weszli zapraszając na wycieczkę.

— Dokąd się wybierzemy? — zapytał profesor.

— Dokąd pan profesor zechce. Na północ, czy na południe, wschód czy zachód, wszystko jedno. Załoga aerokabu jest na pańskie rozkazy.

— No, Filipie, może by tak przez Alpy? Może cię to rozerwie, masz dziś nostalgię, brak ci niejednego z twoich przyzwyczajęń.

— Ależ dlaczego nie mówi pan o tym — zawołał Plato. — O ile coś leży w naszej mocy, postaramy się spełnić pańskie życzenia.

— Filipowi przykrzy się za partyjkę. Chciałby czasem zagrać — objaśnił Avanti.

- Zagrać? Nie rozumiem. Co to znaczy — zauważył Plato,
- Chciałby w karty zagrać, w taroka. Zawsze to lubił namiętnie.
- Karty? karty?... ach, przypominam sobie, że w muzeum są takie zabytki.

Postaram się dostarczyć ich panu.

- Takie muzealne karty poznać można z drugiej strony, to nie sztuka grać.
- Dostarczymy panu nowych, wspanialszych.
- A któż ze mną zagra, skoro nawet nie wiecie, co to znaczą karty.
- I o to się postaramy.

Ta obietnica, poprawiła humor Filipowi, oświadczył gotowość udania się nad Alpy, wyraził tylko obawę, czy statek nie potknie się o jaką górę.

— Niech się pan nie obawia — pocieszał Archimedes. — Nawet najwyższe szczyty zostaną jeszcze parę metrów pod nami.

— Czy i Mont Blanc?

— Także.

— No zobaczymy. Ale jeśli tak, to sternik gotów się pomylić i zamiast na ziemi wylądujemy potem na księżycu.

— To byłoby niemożliwe — oświadczył serio Archimedes. Do tego brak nam najważniejszego środka.

— Co? Homunkulusom może czego brakować?

— W tym wypadku powietrza.

Dysput przerwał profesor, pytając, czy do podróży trzeba się ubrać odpowiednio, na co odpowiedział Archimedes, że wystarczy wziąć ze sobą tylko kapelusz, gdyż reszta znajdzie się na okręcie.

Za kwadrans przebyli samochodem do „porta“, to jest do olbrzymiej hali kilkupiętrowej i wsiedli do windy, która poniosła ich do góry.

— Ćwiczenia wstępne — pomyślał Filip, który był silnie podniecany z ciekawości, a zarazem ucszuwał lęk przed podróżą.

Winda wyniosła ich na wielką platformę w kształcie galerii, wiodącej do hali, w której stał osobliwy statek powietrzny. Miał przynajmniej 70 metrów długości, 20 szerokości i był dwa razy tak wysoki. Na obu końcach był zaopatrzony w śruby podobne do okrętowych, śmigłami sięgające daleko poza ściany hali.

— Z takiego potwora nie łatwo chyba wylecieć — zauważył Filip, udając się za profesorem na pokład, otoczony barierą.

Na pokładzie stało kilku homunkulusów, którzy sztywnymi ukłonami powitali przybyłych. Archimedes przedstawił kapitana i oficerów statku, po czym na zaproszenie kapitana wszyscy udali się do jego kabiny, aby poczekać na odjazd. Kabina była właściwie salonem, urządzonej tak wytwornie, że Filip z zakłopo-

taniem zapytał, czy nie poprzewraca się to wszystko, gdy okręt zacznie się w powietrzu kołysać. Archimedes oświadczył jednak, że Filip z pewnością nigdy jeszcze nie podróżował tak spokojnie, jak to teraz nastąpi.

Profesora uderzyło, że drzwi wszystkie były prawie hermetycznie zamykane. Archimedes wyjaśnił, że zrobiono to w tym celu, aby na znacznych wysokościach nie być narażonym na skutki rozrzedzenia powietrza. Tak np. na wysokości 4000 metrów schodzi się z pokładu do pokojów, drzwi zamykają się szczelnie, zaczynają działać pompy powietrzne i oddycha się normalnie atmosferą ziemską.

— Znakomicie ! Ale to mnie dziwi, że potraficie się wznieść tak wysoko bez użycia balonu.

— Balon nie jest potrzebny, wystarczają do tego śruby poruszone elektrycznie oraz pewien przyrząd, którego zasady nawet nie przeczuwano za pańskich czasów.

— O!

— Aparat zwierciadłowy?...

— Aparat zwierciadłowy oryginalnej konstrukcji i oryginalnego przeznaczenia.

— Może pan profesor zechce obejrzeć.

Archimedes poprowadził korytarzykiem i otworzył drzwi w podłodze, po czym ruszył schodkami na niższe piętro. Tutaj na podłodze statku była rozciągnięta jakaś zagadkowa sieć druciana, upleciona z prętów metalowych matowo srebrnych.

— Oto aparat zwierciadłowy — objaśnił Archimedes. — Jak pan widzi, nie ma on powierzchni gładkiej, lecz chropowatą, ale też jego zadaniem nie jest odbijać promienie świetlne, ale promienie siły.

— Zupełnie nie rozumiem. I ze wstydem wyznaję, że nawet nie mogę się domyśleć o co chodzi.

— Urządzenie niniejsze ma na celu odbijać tak zwane promienie ciężkie, które ziemia do nas wysyła. Ciężkość jest siłą, podobnie jak każda inna siła. W naszych już czasach powiodło się ciężkość przemieniać w elektryczność, w światło, ciepło. Zdaje mi się, że już za pańskiej ery zrobiono spostrzeżenie o odchyłaniu pewnych promieni świetlnych za pomocą, magnesu. Był to bądź co bądź pewien początek. My, homunkulusy, czy jak pan Filip nas nazywa, automaty, doprowadziliśmy do tego, że przy pomocy pewnych pomysłowych aparatów, możemy odchyłać wszelkie promienie siły. Z chwilą zaś, gdy powiodło się nam odchyłać od swego kierunku promienie tej siły, która nazywa się ciężkością, czy siłą wzajemnego przyciągania, nastąpiło rozwiązanie jednego z największych

problemów fizycznych na świecie.

— Dobrze, dobrze... zaraz... Jakże wpadliście na to? Jaki był punkt wyjścia

— Zjawiska elektrycznego przyciągania i odpychania. Widzieliśmy, że elektryczność wpływa na siłę przyciągania mas. Równomierne bieguny odpychają się. Te zjawiska stanowiły punkt wyjścia do badań. Rezultat jest wspaniały. Jest nim wynalezienie tego zwierciadła siły ciężkości. Z chwilą, gdy elektryczność zacznie działać na tę sieć, siła ciężkości ziemi przestaje działać na nasz statek, odbija się od zwierciadła jak promienie świetlne od zwykłych zwierciadeł.

— Niesłychane. Wprost za trudne do pojęcia! — szeptał profesor oszołomiony.

Rozległ się głos dzwonka elektrycznego.

— Jeżeli pan życzy sobie widzieć z pokładu moment odlotu, to musimy się pospieszyć. Za 5 minut wyruszamy w drogę.

Filip pierwszy wybiegł na pokład. Był podniecony ciekawością. Wszystko go interesowało. Zobaczył koło budki sternika leżący zwój olbrzymiego łańcucha, którego ogniwa miały grubość ramienia męskiego. Ten bądź co bądź niezwykle łańcuch tak zajął Filipa, że pobiegł ku niemu i usiłował podnieść jego koniec. Kapitan, Plato i Archimedes patrzeli z pobłażliwością, jak Filip, czerwony z wysiłku, spływający potem, usiłował dwa ogniwa poruszyć. Nagle stało się coś niespodziewanego. Jakby pod zaklęciem we Filipa wstąpiły nagle olbrzymie widocznie siły, gdyż łańcuch dźwięknął i w tejże chwili Filip podniósł do góry 8 ogniw.

Oszupiałym wzrokiem spojrzął Filip błędnie wobec tego czarodziejskiego zjawiska i z przerażenia puścił łańcuch.

I znowu stało się coś nieprzewidzianego, niesamowitego: łańcuch zamiast runąć na podłogę z łoskotem, zaczął zwolna opadać i nawet nie było dobrze słyhać, kiedy ta masa żelazna spoczęła na dawnym miejscu.

— Kiż cię pieron! — wykrztusił Filip na pół przytomny ze strachu, stojąc bezradnie nad łańcuchem.

— Właśnie zwierciadło zaczęło działać — objaśnił Archimedes. — Proszę pana jednak zachowywać się teraz zupełnie spokojnie, gdyż znajduje się pan w warunkach nowych, zupełnie panu nie znanych,

— Filipie — zawołał profesor — pozostań teraz przy mnie i w czasie podróży proszę się ode mnie nie oddalać.

Jak ratunku czepił się Filip tego wezwania i skoczył przez łańcuch, aby się prędzej dostać do profesora. I znowu stało się coś nieoczekiwanego: mianowicie ów skok był taki, że Filip wyleciał łukiem w powietrze na 5 metrów wysoko.

— Trzymajcie! Trzymajcie!— wrzeszczał resztkami głosu zdławionego w gardle przestraczem.

Na chwilę zawisł nieruchomo w powietrzu, po czym zaczął opadać zwolna, jakby piórko na pokład.

Profesor spoglądał na to jak skamieniały.

Upłynęło kilka sekund długich jak wieczność, zanim Filip opadł na pokład. Był blady jak kreda i dygotał cały.

— Niech pan będzie zadowolony z tego, że pomimo działania zwierciadła, jeszcze część siły przyciągania działa, w przeciwnym bowiem razie poleciałby pan dalej bez nas — pocieszał Archimedes Filipa.

Filip tymczasem posuwać się zaczął, a raczej pełzać ostrożnie ku profesorowi i dostawszy się do budki sternika, opadł na krzesło, chwytając ustami powietrze. Po chwili przyszedł o tyle do siebie, że zapytał:

— Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy zeszli do kajuty? Tam jest przynajmniej dach nad głową i tam nie można by tak latać jak czarownica po powietrzu... Ale co to właściwie było ze mną?

— Przestała działać siła ciężkości, stracił pan swój ciężar.

— To może by przywiązać sobie jakie ciężary?

— Na nic by się to nie przydało, gdyż tu w tej chwili wszystko nie ma wagi. Sam się pan o tym przekonał na podnoszeniu łańcucha... Proszę się nie podnosić, proszę siedzieć!

— Proszę mnie przywiązać, to będzie najlepiej. Bo ciągle mi się zdaje, że muszę lecieć w powietrza.

Podobnego uczucia doznawał także profesor czuł się nadzwyczaj lekkim.

Rozległ się nowy sygnał, statek zaczął się podnosić, rozległ się stłumiony szum potężnej śruby. Zwolna, majestatycznie, kolos wypłynął z hali.

Profesor stał przy barierze i uważnie spoglądał ku dołowi. Również Filip przysunął się bardzo ostrożnie z krzesłem do bariery i patrzył bacznie na znikające dachy.

Statek płynął w kierunku zachodnim na wysokości przeszło 1000 metrów. Szybkość jego musiała być wielka, gdyż krajobrazy znikły pospiesznie. W ciągu godziny przelecieli kilkakrotnie ponad dużymi miastami i rozległymi łąkami. Filip spoglądał w milczeniu, zapatrzony w przestrzeń. Przypomniała się mu jego młodość, tak strasznie daleka, przypomniało dzieciństwo, gdy gdzieś na rodzinnych polach biegał z rówieśnikami, zrobiło się mu bardzo smutno, westchnął i łzy poczęły mu z oczu padać.

— No Filipie — odezwał się łagodnie profesor — nie poddaj się nostalgii.

— Kiedy proszę pana profesora, tak mi ciężko na sercu... Może bym poszedł do środka, aby być sam na chwilę...

— Pójdę z tobą. Nie trzeba się poddawać uczuciom.

Plato i Archimedes patrzeli zdziwieni na Filipa. Nie mogli zrozumieć, co się mu stało. Wreszcie Plato zapytał z pewnym zakłopotaniem:

— Czy panu Filipowi jest niedobrze? Na okręcie jest lekarz...

— Nie — nie potrzeba go — odparł Avanti — tego stanu nie uleczy żaden lekarz. To tęsknota za ojczyzną, to tęsknota za przeszłością.

Homunkulusy, milcząc, wpatrywali się w twarz profesora.

— Tęsknota? — zapytał Plato — co to jest właściwie? Taka choroba u nas nie jest znana. Gdyby pan profesor był łaskaw bliżej ją nam określić.

— Dobrze, ale później, gdy wrócimy do siebie. Na razie chodźmy do salonu.

Archimedes zamknąwszy drzwi hermetycznie i pouczywszy, jak się je otwiera, przesunął dźwignię, umieszczoną koło ściany. W tej chwili profesor odniósł wrażenie, że podłoga się otworzyła na przestrzeni około 20 metrów kwadratowych.

— Może pan profesor śmiało pójść dalej. Ta szklana masa jest bardzo silna. Tędy może pan wygodnie oglądać okolicę, z tą korzyścią, że nie jest pan narażony na zmiany w ciśnieniu powietrza. A tu są lornetki, które przedmioty z odległości 2000 metrów zbliżają na 30 metrów.

Po tych słowach opuścił salon, profesor i Filip siedząc na krzesłach w milczeniu patrzyli w głąb; pod ich stopami pola i lasy przesuwały się przed ich wzrokiem.

— To są jednak spryciarze — odezwał się Filip. — Umieją niejedno. Ale... i tak nie znają się na wszystkim. Nie mają pojęcia o tym, że komuś może być ciężko na sercu...

Urwał.

Profesor w milczeniu wysłuchał tej uwagi. I on już zaczął w homunkulusach dostrzegać niejedno, co się mu nie podobało.

— Ja już wiem — ciągnął Filip po chwili — czego im brakuje. Te automaty nie mają serca.

— To nie mogliby żyć.

— Ja to jednak inaczej myślałem. Takie serce, które krew pędzi do żył, to oni mają, i to pewnie, dobre, bo chyba ich fabryki tę śrubę dobrze skonstruowały. Ale im brakuje innego serca, tego serca które daje się cieszyć, daje się śmiać i płakać. Takiego serca nie mają automaty. O tym zapomniano przy konstrukcji.

— Może masz rację. Ale doprawdy nie wiem, na co by im w ich dzisiejszych warunkach przydało się takie serce. Trzeba jednak przyznać, że są tędzy i mądrzy.

— Ale też jest to wszystko — mruknął Filip lekceważąco.

W toku rozmowy obaj nie zauważyli, że krajobraz pod nimi zmienił się. Rozpostarła się pod nimi gęsta mgła, która zasłoniła widok ziemi.

— Ależ tam musi być wielka łaźnia — zawołał Filip — skoro tak dużo jest pary.

— To chmury.

— Ach, to warto by może przypatrzeć się im z bliska. Jeszczem w chmurach nie jeździł.

Filip pospiesznie pobiegł ku drzwiom i chciał je otworzyć.

— Zaczekajże, bo jeszcze zrobisz co złego. Tu jest dzwonek, zawołajmy kogo.

Filip stanął przy drzwiach, a profesor nacisnął guzik.

Za ścianą rozległy się szybkie kroki, drzwi otworzyły się nagle i w tymże momencie zawiął gwałtowny przeciąg, który porwał Filipa i rzucił w objęcia wchodzących, Platona i Archimedesesa.

— Do diabła! Co za przeciąg! — wrzasnął Filip, którego obaj homunkulusy siłą wpychali z powrotem do pokoju.

Także profesor był na chwilę skonsternowany, wnet jednak zrozumiał, co się stało i zawołał:

— Powietrze uchodzi z salonu! Zamykajmy drzwi!

Połączonymi siłami udało się drzwi z powrotem zamknąć,

— Ładnie się dostał — stęknął Filip. — Co to właściwie było.

— Usłyszawszy dzwonek alarmowy — rzekł Archimedes — sądziliśmy, że może stało się co panu Filipowi i dlatego weszliśmy tak szybko. Jesteśmy na wysokości 2500 metrów, różnica między ciśnieniem na zewnątrz a ciśnieniem w pokoju wynosi 250 milimetrów. Pana Filipa chciało wydmuchać gęściejsze powietrze z wewnątrz pokoju.

— Wszystko jedno czy z wewnątrz czy z zewnątrz, ale że chciało wydmuchać i to dokładnie, to prawda. Tu jednak nie jest bezpiecznie !

Archimedes dał sygnał innym dzwonkiem i za chwilę wszyscy wygodnie wyszli na pokład.

Panowała tak gęsta mgła, że na trzy kroki nie było już nic widać. Do tego panowało dotkliwe zimno. Filip posuwał się bardzo ostrożnie ku barierze.

— Otóż zeglujesz teraz w obłokach — zauważył profesor.

— Ii... dosyć mała przyjemność. Nie chciałbym być aniołem: za zimno tu i za



mokro.

Profesor roześmiał się mimo woli, był jednak zadowolony. Filip odzyskał z powrotem swój humor.

— A skąd czerpicie tak ogromną siłę popędową?

— Prosto z ziemi. Za pośrednictwem radiotelegrafii.

Tymczasem Plato polecał podać śniadanie. Zasiedli więc przy stole koło okna we czterech i zabrali się do jedzenia, ku wielkiemu zadowoleniu Filipa, tym bardziej ucieszonego, że do śniadania podano także wielką flaszkę „nektara“.

— Zdaje mi się — zauważył Filip — że popełniłem dotąd wielki błąd, pijąc tego nektaru za mało.

Starął się też powetować sobie przy jedzeniu minione straty.

Profesor wpadłszy w dobry nastrój, zaczął opowiadać wspomnienia ze swoich czasów i ze swej młodości. Homunkulusy słuchali w milczeniu, znać jednak było, że tylko z grzeczności powstrzymywali się od krytyki, gdyż to co słyszeli, wydawało się im wprost barbarzyńskim. Kiedy jednak Avanti skończył, Plato nie zdołał powstrzymać się od tego, aby nie wypowiedzieć pełnego potępienia owych czasów, dla których najlepszym sądem było, że właśnie profesor uciekł z nich w przyszłość.

Tymczasem Archimedes spojrzawszy na barometr, oświadczył, że statek opadł o 1500 metrów i że właśnie znajduję się nad Alpami, a wobec chęci Filipa, aby się temu przypatrzeć, dał znak wstrzymania pomp. Po chwili rozległ się dzwonek wskazujący, że ciśnienie zewnętrzne i wewnętrzne zrównoważyło się, wobec czego wszyscy wyszli na pokład.

Widok był rzeczywiście majestatyczny. Potężne kolosy sterczały wśród zieleni dolin przerywanej tu i ówdzie czerwienią dachów, a szczyty były pokryte bielą śniegów. W dali zaś widniało olbrzymie pole lodowe.

— To Grosglokner — wskazał Archimedes.

Wspaniała panorama przytłaczała swoje dostojności? Avanti i Filip milcząco patrzeli na krajobraz.

— Tu jednak jest coś do widzenia — odezwał się po chwili Filip. — Warto na góry patrzeć z góry. Jednakże trzeba mieć respekt przed tymi automatami za wynalezienie takiej jazdy.

— Więc przecież jesteś zadowolony.

— Zadowolony jestem, bo jest tu coś wspaniałego, ale...

— Ale?...

— Proszę pana profesora spojrzeć tylko na tych homunkulusów. Dla nich ten cały widok jest niczym, tak obojętnie patrzą na to wszystko. Przecie z takimi

istotami nie można żyć po przyjacielsku. Miny mają jednakie, ani nie znać na nich jakiegoś wzruszenia. Mnie się zdaje, że w nich wszystkich jest jakiś błąd konstrukcyjny. Oni nie umią się cieszyć.

— Może masz rację — szepnął profesor zamyślony.

Rzeczywiście Plato i Archimedes stali razem z kapitanem tak obojętni na cuda dzikiej przyrody górskiej, że nawet cienia zainteresowania się nie znać było na ich twarzach.

— Wolałbym — zawołał Filip — aby byli mniej mądrymi, a za to bardziej... jakby to powiedzieć...

— Więcej serdecznymi, wylanymi.

— Otóż to, otóż to. Mnie się zimno robi, gdy taki automat odezwie się do mnie.

— Może to jednak i lepiej dla nich, że nie czują radości, bo przez to nie czują także i bólu;

— Bardzo dziękuję — przerwał Filip — gdy kiedyś umrę, to wtedy nie będę czuł radości i bólu, ale teraz, dopóki żyję...

Dalej nie mógł mówić, gdyż zbliżył się Plato i zaczął objaśniać kierunek drogi.

— A gdzie wylądujemy ? — zapytał profesor.

— Na dobrze znanym panu miejscu, sławnym za pańskich czasów, w Wenecji.

— To ślicznie! — wykrzyknął uradowany Avanti. — Byłem tam nieraz, znowu zobaczę owe wspaniałe budowle...

— Nie znajdzie pan tam wiele z przeszłości — przerwał Plato. — Owe dawne budowle już dawno rozsypały się w gruz, laguny wyschły...

— Co?... Jak?... to przecież w ten sposób znikła cała poezja miasta!

— Poezja... może i tak... ale miasto stało się za to zdrowszym, niż niegdyś. Poezja... pan profesor to tak nazwał?

— Tak. Poezja.

— Nie wiem dobrze, co pan chciał przez to powiedzieć — rzekł wahająco Plato — zapewne będzie to coś takiego, czego my nie mamy. Co właściwie to słowo oznacza?

Profesor zaczął sobie zadać trud wytłumaczenia obu homunkulusom pojęcia poezji, więc mówił o wspomnieniach lat dziecińczych, o uroku pól śnieżnych, o wspaniałości górskich krajobrazów, ale wszystko to było dla Platona i Archimedesa nieprzystępne. Odpowiadali wprost, że nie rozumieją, o co może chodzić, a co się tyczy wspomnień z lat dziecięcych, robili zdziwiono miny, że profesor

może o coś podobnego pytać.

— Sądzę — zauważył Plato — że nasza epoka nie jest właściwym podłożem dla poezji. Pełny rozwój techniki, zniesienie różnic społecznych, zupełny zrównanie wszystkich mieszkańców, nie tworzy źródeł dla tych różnych stanów.

— A co najważniejsze — wtrącił się Filip — do poezji brakuje wam kobiet. Zawsze stawałem się bardzo poetycznym, ile razy byłem zakochany. Miłość pozostaje w związku z organami ciała. Pamiętam, gdy zakochałem się pierwszy raz, to śpiewałem przeważnie smutne piosenki, na przykład: „Błądzą o północy, choć wielki deszcz leje”, co mi się bardzo podobało, ale było całkiem nieprawdziwe, gdyż właśnie wtedy pracowałem u mego wuja, piekarza, i całą noc przesiedziałem w piekarni. A czasami znowu, to czytałem wiersze, a czasem to mnie poezja tak rozbierała, że nie mogłem wytrzymać.

Profesor mimo woli roześmiał się z takiej definicji i zapytał:

— Więc u was chyba nie ma poetów?

— Poetów w dawnym znaczeniu niema. Ale za to jest u nas grupa ludzi, którzy nieźle zajmują się badaniem utworów waszych poetów, studiują te utwory na nowo i piszą nowe dzieła o życiorysach twórców. O niejednym poecie powstały już całe biblioteki.

— Bardzo ładnie — rzekł profesor — ale samych utworów nie czytujecie.

— To byłoby bezcelowe. Nie wiedzielibyśmy, co z tym począć, to wszystko jest dla nas zupełnie niezrozumiałe, zupełnie obce.

Aerokab wysunął się z ponad Alp i wpłynął na niż lombardzki. W dole rozłożył się ten sam krajobraz; szerokie pola uprawne i ogromne miasta i tak na przamian. Wśród pól wił się szeroki strumień, o brzegach równych, ujętych w kamienne wały.

— To Pad — wyjaśnił Plato. — Jesteśmy we Włoszech, za, pół godziny wylądujemy.

Profesor patrzył w milczeniu na rzekę, po czym zauważył, że widok tego strumienia płynącego prosto ku morzu, nasuwa mu podobieństwo do kanałów na Marsie.

— Porównanie słuszne — dodał Plato — tym bardziej, jeśli pan profesor uświadomi sobie, że wszystkie nasze rzeki są w ten sposób uregulowane. Zarówno dolne biegi Dunaju, Renu, Łaby, Wisły mają kierunek prawy, a w związku z tym uregulowane także być musiały ich górne biegi. Gdyby też na naszą, ziemię spojrzeć z odległości kilku tysięcy kilometrów, ten system kanałów przypominałby panoramę Mara.

— To pewnie i na Marsie mieszkają homunkulusy — odezwał się Filip.

Na płaszczyźnie ukazały się zarysy wielkiego miasta, a hen za nim morze.

— To Wenecja — oznajmił Plato. — Nie pozna pan jej dzisiaj. Pad i Adyga dawno już zasypały część morza, miasto leży dziś daleko od niego, laguny znikły, na miejsce starych budynków wybudowaliśmy nowoczesne domy, odpowiadające dzisiejszym stosunkom.

— Więc znikły tu ostatnie ślady romantyki — rzekł profesor silnie poruszony.

— Romantyki?... To zapewne oznacza przypomnienie dawnych minionych czasów?

— Romantyka — wtrącił Filip — to znaczy, że jeśli spotkam starą ruinę na górze, to siadam na kamieniu i myślę, jak to dawniej było, jak przybywali tu rycerze i były piękne królowny... u was nie ma pewnie nawet ruin.

— Nie ma — odpowiedział sucho Plato — dla ruin nie mamy zrozumienia. Dużo zaginęło z tego, co panowie niegdyś posiadaliście, do tej kategorii należy także pojęcie romantyki. Z resztą nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy kulturować wspomnienie czasów, które były znacznie gorsze od naszych. Trzeba przyznać, że tracąc owe czasy, straciliśmy niewiele, a zyskaliśmy dużo.

Profesor spojrział milczeniem na mówiącego, za to Filip był tak podniecony owym przemówieniem, że mogło przyjść z jego strony do jakichś gwałtownych kroków, gdyby nie niespodziewane ukazanie się w powietrzu małego statku powietrznego, czegoś w rodzaju łupiny z orzecha, zdążającego wprost ku aerokabowi.

— Co to ? — zawołał Filip. — To nam jeszcze okna wybije!

— To sternik, który wyjechał naprzeciw nas, aby nas zawieźć do portu — objaśnił Archimedes

Statek sterniczny opadł na pokład, sternik wysiadł i udał się do budki sternika.

— No i widział pan profesor — zawołał Filip — przybył nowy automat, wysiadł i nawet nie można by go teraz odróżnić, gdyby się chciało go wyszukać. Ich wszystkich sfabrykowano na jedno kopyto.

Aerokab zaczął zwolna opadać, drzewa i domy stawały się coraz wyrazistsze, coraz bliższe. Na chwilę, zatrzymał się nad wielką platformą, i zaczął się zwolna obniżać. Filip ze zdziwieniem ujrzał, jak z jednego i drugiego boku aerokabu zaczęły się wysuwać w górę ściany. Nastąpiło lekkie uderzenie, statek opadł na dno hali.

— Jesteśmy w Wenecji — obwieścił Archimedes.

Gdy zeszli na dół, profesora uderzyło, że w mieście panował spokój i nie było dawnego hałasu ani wrzawy znanej mu z czasów jego pobytu tutaj.

Na znak dany przez Archimedesą nadjechał automobil. Szofer wysiadł,

skłonił się i otworzył drzwiczki. Szoferzy innych automobilów, jako też przechodnie nie zwracali najmniejszej uwagi na przybyłych.

— Więc to są dzisiejsi Wenecjanie? — zawołał Avanti rozczarowany.

— Tak jest — odrzekł Plato. — Oni są także homunkulusami.

## VI. ŚWIĘTO NARODOWE. ROZCZAROWANIE FILIPA.

Profesor i Filip nie długo zabawili w Wenecji. Różnica między przeszłością a teraźniejszością była tak wielka, że profesorowi było za ciężko patrzeć na nowe formy i przypominać sobie równocześnie, że niegdyś będąc tu jako 24-letni młodzieniec i oglądając plac św. Marka, oddychał pełnią artystycznych wrażeń. Dziś miasto wyglądało jak przybytek zmarłych. poruszających się rzeczywiście automatycznie.

Na życzenie profesora odjazd z powrotem nastąpił rychło i już trzeciego dnia byli znowu u siebie. Tutaj było im jakoś więcej swojsko, tu czuli się lepiej.

— Jakżeż Filipie — odezwał się profesor serdecznie — cóż ty na to wszystko?

— Proszę pana profesora, jeżeli ja widzę pana profesora obok siebie, to mi jest dobrze i jeśli tak jesteśmy sami, jak teraz, to mi się zdaje, że wszystko jest, po dawnemu, jak wówczas, gdy na święcie byli jeszcze prawdziwi ludzie, a, nie same maszyny.

Profesor skinął głową, potakująco.

— Ale jeśli jestem między tymi automatami — ciągnął dalej Filip — to mi się zimno robi. Oni tak wyglądają, jak gdyby trzeba było dopiero ciągnąć ich za język, aby mogli coś powiedzieć I nie znoszę takich, którzy się nie śmieją. Jeszcze Plato uśmiechnie się czasem, ale on chyba musi mieć jakiś błąd konstrukcyjny.

— Nie widziałem jednak żadnego płaczącego — zauważył Avanti.

— To prawda, proszę pana profesora, ale ja bym się także bardzo ucieszył, gdybym zobaczył, że który z nich płacze. Bo zdawałoby mi się wtedy, że to jest naprawdę człowiek.

— Masz jednak słusność.

— Bo proszę pana profesora, mnie to się tak zdaje, że między śmianiem się a płaczem mieści się to, co nazywamy życiem. A ci ani nie płaczą, ani się nie śmieją.

Następnego dnia Plato zapytał profesora, czy chciałby wziąć udział w uroczystości największej, jaką obchodzą homunkulusy. „Jest to uroczystość – objaśniał — jakiej za pańskich czasów wcale nie znano. Mianowicie obchodzimy uroczyście dzień, w którym umarła, ostatnia kobieta. Dziś upływa 733 lat od owej chwili, a 15 lat przed tym zmarł ostatni mężczyzna urodzony z kobiety. Dzisiejszym świętem czcimy uroczyście początek tej wielkiej epoki, która jest niepodzielnie pod władzą homunkulusów.

— Więc obchodzicie wspomnienie wymarcia kobiety. Zatem jest to chyba, uroczystość żałobna.

— Nie panie profesorze, przeciwnie, jest to manifestacja dumnej radości dla nas, homunkulusów, że nasz potężny duch zdołał uwolnić się z wszelkich więzów i pęt natury. Ów dzień, w którym zmarła ostatnia, kobieta, dał nam tę wielką rękojmnię, że odtąd wolni od najdotkliwszych spętań przyrody możemy z pełnią sił oddawać się naszym celom. My już nie podlegamy przyrodzie, zerwaliśmy jej kajdany i dopiero my teraz wypełniliśmy pierwsze słowo starej waszej biblii, że ziemia i przyroda są człowiekowi podległe. Wy zaś byliście tylko niewolnikami i to dręczonymi bezlitośnie przez waszą władczynię naturę.

— Co będzie istotą tej uroczystości. — zapytał Avanti. — O ile bowiem dotąd zdołałem zauważyć, homunkulusy przy pełnej trzeźwości swych zmysłów nie są wrażliwymi na radość lub ból, takie zatem święto wydaje mi się, u was niemożliwym.

— Odczuwanie przez nas radości, panie profesorze, jest innego rodzaju, polega ono na tej wiadomości, że od pojęcia zwierzęcia, nazywanego dawniej człowiekiem, wznieśliśmy się na wyżyny czystej duchowości. Jest prawdą, co pan powiada, że nie odczuwamy, tak silnie jak niegdyś pańscy współcześni, ale za to nasza świadomość pogłębiła się ogromnie. Uczucia bowiem były tylko zbyt częstymi zaporami, dla prawdziwego poznania, były one powodem tak częstego zasłaniania oblicza, skoro tylko prawda stawała przed nim. Dla nas światło prawdy straciło swą grozę.

— Na czymże więc polegać będzie wasz obchód?

— W mieście odbędą się w szeregu punktów w odpowiednich salach zgromadzenia, na których nasi mówcy wygłoszą odczyty o doniosłym znaczeniu rocznicy.

— Wasi mówcy? — zapytał profesor. — Jak to rozumieć? Więc mówców się

fabrykuje!

— Tak jest, ale tylko niewielu. Za pańskich czasów było mówców za dużo. my nie mamy tego szkodliwego nadmiaru. Wszyscy nasi mówcy wygłaszają równobrzmiące przemówienia na dzisiejszej uroczystości, jedynie z małymi zmianami, o tyle, jeżeli w ciągu roku nastąpi jakiś ważny wynalazek albo odkrycie naukowe. O takim fakcie wspominają nasi mówcy, naturalnie z odpowiednim uznaniem.

— Jednakże nie wydaje mi się praktycznym, że dla przemówienia w jednym tylko dniu państwo produkuje tak wielu mówców.

— A przecież za pańskich czasów państwo wydawało na takie cele wprost olbrzymie sumy. Proszę sobie przypomnieć tylko wasze parlamenty.

Profesor w myśli musiał przyznać rację.

Wszedł Filip a dowiedziawszy się o co chodzi, oświadczył, że cieszy się, iż pójdzie na uroczystość. która niewątpliwie będzie połączona z muzyką.

— Z muzyką? — zapytał zdziwiony Plato,

— No chyba, że z muzyką, bo przecież nie może być uroczystości bez muzyki. Wszakże macie tu różne kapele.

— Nie. Nie mamy także muzyki, znikła u nas zupełnie. Mamy za to uczonych badaczy muzyki, zajmujących się studiowaniem starych tysiącletnich dzieł muzycznych, ale poza tym... Zresztą muzyka nie ma żadnej praktycznej wartości.

— A tańczycie? — pytał dalej Filip.

— Tańczyć? — powtórzył Plato z niezmiernym zdziwieniem. — Tańczyć?... Kto ma tu tańczyć?

— No chociażby w teatrze. Przecież teatry macie!

— Nie mamy... Ale zaczynam już nieco rozumieć panie Filipie, dla tego wszystkiego, o co pan teraz pytał, my nie posiadamy odpowiednich skłonności. Wszystkie owe sztuki znikły z powstaniem państwu homunkulusów.

— Już sobie wyobrażam, jaka to będzie ładna uroczystość — zawołał Filip. — Ładnie wdepnął!

Odwrócił się z lekceważeniem, poszedł ku oknu i z ponurą miną, zaczął patrzeć w ogród.

Nastała chwila głębokiego milczenia.

Wreszcie odezwał się Avanti:

— Panie Platonie, sadzę, że zaczynam pojmować homunkulusów; ten typ osobliwy bądź co bądź, pozbawiony radości...

— Pozbawiony radości?... Nie panie profesorze. Ściślej będzie powiedzieć, że



jest to ród, pozbawiony trosk, zgryzot, boleści, że jest to ród, przeżywający spokojnie swe dni. mający serce nie dręczone żadnym bólem...

— A którego serce nieprzystępne jest żadnej radości — wtrącił Avanti — ród, który ma tylko głowę i rozum i nic poza tym.

— Otóż to jest trafne — zawołał Filip — a głównym powodem tego jest, że nie mają tu kobiet. Gdyby były tu kobiety, to automaty już by zaczęły śpiewać. Tak na początek raz, z radości, później coraz częściej, z kłopotów. I tańczyć nauczylibyście się, bo jest to bardzo przyjemna rzecz, jeżeli się trzyma w rękach takie miękkie, babskie stworzenie, A potem nauczylibyście się grać teatr amatorski, w którym albo się rozchodzą, albo się biją ze sobą, na co bardzo przyjemnie jest patrzeć.

Plato kiwając głową, spoglądał milcząco na płomiennego mówcę.

— Tak jest, panie Plato — ciągnął dalej Filip — pan myśli, że dokazaliście Bóg wie czego, pozbywając się kobiet. Za to życie u was jest jak zupa niesolona.

— Jeżeli panom to nie dogadza. — wtrącił Plato — to możemy nie udawać się na uroczystość.

— Ależ przeciwnie, kochany panie — zawołał Avanti. — Myśmy tak źle nie myśleli, tylko widzi pan, do niejednego nie możemy się tak od razu przyzwyczaić. Owszem, pójdziemy bardzo i chętnie, aby zobaczyć, jak u was odbywają się uroczystości. Prawda, Filipie, pójdziesz także...

— Jak pan profesor rozkaże.

— Więc chodźmy.

Przed willą, czekał automobil oraz Archimedes i Lessing. Obaj oni, jako też szofer mieli na piersiach jakieś osobliwe złote duże medale, jakich profesor dotąd jeszcze nie widział.

— Może panowie zechcą, także przypiąć takie, medale — rzekł Plato. To na znak uczczenia dnia dzisiejszego.

Medal był ze szczerego złota i przedstawiał wielkie słońce oraz grupę ludzi wyciągającej ku niemu ręce.

— Medal ten ma wykazywać, jak bardzo staliśmy się synami słońca od owego dnia, który dziś obchodzimy — objaśnił Plato, przypinając medal profesorowi i Filipowi.

Po udekorowaniu się, wszyscy siedli do automobili i ruszyli. Ulice miasta przedstawiały zwykły widok, nic nie wskazywało, że dzień jest świętem narodowym.

— Nigdzie nie ma chorągwi — zauważył Filip — także domów nie podekorowali.

Gdy przybyli przed olbrzymią halą, w której się miało odbyć zgromadzenie, jakiś homunkulus, zapewne mistrz ceremonii, poprowadził ich ku pierwszym miejscom i wskazał fotele.

Filip z ciekawością rozejrzał się po sali i zrobiło się mu zimno. Było tu zebranych około 2000 homunkulusów. Wszyscy siedzieli na swych miejscach nieruchomo, milcząc, żaden nie rozmawiał, zwykłego szmeru na większych zebraniach nie było tu wcale. Te nieruchome postacie jednak poubierane, zupełnie podobne do siebie, z martwymi twarzami, tworzyły jakiś upiorny widok, coś w rodzaju zgromadzenia trupów.

— Jak na uroczysty fest, wygląda tu za smutno — odezwał się Filip. — Prawdziwe panoptikum! To figury woskowe nie umieją chyba, mówić.

— Bądź że cicho — strofował Avanti — przecież słyhać cię w ostatnich miejscach!

— Panie profesorze — odezwał się Plato — Nic nie szkodzi, jeżeli pan Filip czuje potrzebę mówienia. Jego słów tu nikt nie rozumie, a choćby nawet zrozumiano je, to i tak nic by to nie szkodziło, gdyż my homunkulusy nie umiemy się gniewać. Nasza konstrukcja nie dopuszcza takiej wrażliwości.

Plato wypowiedział te słowa nieco ponuro i profesor pomyślał, że rzeczywiście Filip ma rację mówiąc, iż Plato ma jakiś „błąd konstrukcyjny”. Plato bowiem w tej chwili wyglądał tak jak gdyby się nieco gniewał. Także Filip uczył się dotknięty słowami Platona, na szczęście jednak w tej chwili zbliżył się ktoś widocznie z aranżerów uroczystości i podał profesorowi kilka kart drukowanych.

— To tekst dzisiejszej mowy uroczystej — objaśnił Plato. — Przetłumaczono ją umyślnie dla nas, aby pan profesor mógł śledzić tok przemówienia.

Na trybunę wstąpił mówca. Wszyscy siedzący podnieśli się ze swych miejsc. Mówca skłonił nisko na co stojący odpowiedzieli lekkim skinieniem głowy, po czym usiedli.

— Nawet mu nie zaklaskali! — szepnął Filip. — Byłem raz na zgromadzeniu...

— Bądź że cicho — upomniał profesor.

— Może pan spróbuje przeczytać ten tekst — szepnął Plato do Filipa łagodnie — zobacz pan, co mówca, wygłasza.

Filip spojrział ponuro na mówiącego, zabrał się jednak do czytania.

Jeżeli tekst odbitki był wiernym przekładem wygłaszanej mowy, to mowa ta mogła być wszystkim innym, tylko nie pochwałą kobiet. Brzmiała ona mniej więcej następująco:

„Stosunek mężczyzny do kobiety był zawsze przeszkodą postępu. Pociąg

mężczyzny do kobiety ujawniający się najgwałtowniej właśnie w wieku najodpowiedniejszym do czynu, często i najlepszym siłom przeszkadzał poświęcić się w zupełności postępowi dla dobra ludzkości. Ciągły niepokój napełniał mężczyzn zrodzonych z kobiety, nierzadko nawet do późnej starości. A ileż mieściło to w sobie bólu, żalów, cierpień rozdzierających serce. My, mając dziś głowę i serce wolne od takich zakłócających myśli, możemy teraz z całym spokojem osądzić, że przynajmniej 90 procent wszelkich cierpień, trosk i zgryzot, jakie przepełniały świat przed naszą erą, musi pójść na rachunek owego nieszczęsnego stosunku.

Przypatrzmy się tylko, jak się przedstawia historia życia mężczyzny w owych czasach, zanim nastąpił złoty wiek szczęsnego rodzaju homunkulusów.

Już młodzieniec narażony był na przypadłości choroby, zwanej wówczas "miłością". „Z jego ocz tryskały łzy” — pisał ówczesny poeta. Już z samego tego cytatu widać, jak boleśnie musiały się ujawniać pierwsze objawy choroby. Potem, po dłuższych lub krótszych cierpieniach, dochodził mężczyzna ostatecznie do tego, że, aby uspokoić swoją — jak się to nazywało „tęsknotę” — zenił się, co było wówczas ustawowo przepisany środek leczniczy, czego jednak bardzo często nie trzymano się. Czy jednak ów nieszczęśliwy wybrał dla zaspokojenia „tęsknoty” tę przepisaną drogę, czy nie, to zawsze przecie owo „wypełnienie prawa natury” — jak to nazywali owi zacofańcy, narażało danego osobnika na olbrzymie koszty i największe nieprzyjemności. Trzeba bowiem uzmysłowić sobie, chociaż to trudno sobie wyobrazić, że w owych barbarzyńskich czasach nie państwo troszczyło się o utrzymanie jednostki, ale przeciwnie, każdy poszczególny osobnik musiał się sam starać o siebie. I to nie tylko o siebie samego, ale także i o te wszystkie indywidua, które w następstwie zadowolenia swego popędu zwierzęcego skupiał koło siebie, a więc swą żonę, swoje dzieci, często także matkę żony, zwaną wówczas teściową, a będącą jak podają stare źródła — nieograniczona władczynią owego mężczyzny. W takich warunkach dany osobnik zatracił świadomość swej indywidualności, tracił zdolność ujmowania całości, zrozumienia swego stosunku do państwa, stawał się bezwzględnym egoistą i żył tylko dla tego koła osób, które nazywano rodziną. Państwo, wielkie zjednoczenie wszystkich ludzi, było dla niego niczym. On był tylko samotnikiem wśród milionów tych ludzi, między którymi mieszkał. Jeżeli zaś ktoś zaniedbał owej formy ustawowej, aby te tak zwane naturalne popędy zaspokoić w drodze zakładania rodziny, to popadł w największe niebezpieczeństwa, w niebezpieczeństwa, które mu szkodziły zarówno na umyśle, jak i na ciele”.

Filip czytał skwapliwie tekst, ale ustawicznie podrzucało nim. Ilekroć jednak chciał usta otworzyć, profesor skinieniem ręki nie zezwalał na to.

„Dla nas — brzmi dalej tekst mowy są nie do pojęcia owe niezliczone cierpienia, wynikające z tych wstrętnych stosunków międzyludzkich dawnych czasów. Opowiadają nam o tym pisma tak zwanych poetów. O tę samą kobietę ubiegało się często trzech do czterech mężczyzn, co wiodło do zabójstw i morderstw. Pokonani rywale najczęściej odbierali sobie życie, a nierzadko zabijali przedtem tych, którzy zwyciężyli. Powodowało to rozliczne rozbijania rodzin, gdyż często zdarzało się, że mężatka wołała innego od swego męża, albo że mężczyzna skutkiem swego niestałego charakteru, okazywał skłonność do innej kobiety. Następstwem tego były cierpienia udręki i koszty sądowe.

Takie stosunki były jednak tak powszechne, że opanowywały wszystkich ludzi i czyniły z nich niewolników zwierzęcości. Donoszą nam o tym pisarze dawnych czasów, owi poeci. Najwybitniejsi z nich nie pisali o niczym innym, jak tylko o różnorodnych formach zaspakajania popędów ludzkich. Im zaś jaśniejszy i zgrabniejszy był taki opis, tym więcej był czczony poeta, i tym bardziej kupowano jego książki.

Trzeba zaznaczyć, że pierwotnie były przepisy według których mężczyzna i kobieta, założywszy rodzinę w sposób ustawowy, nie mogli się już rozejść, chociażby absolutnie nie nadawali się sobie. Statuty dotyczące zabraniały zarówno mężczyźnie jak i kobiecie wyszukać sobie odpowiedniejszych osobników do współżycia. Czcigodni homunkulusy! Żadne tak zwane dawniej więzienie, z wszystkimi swymi strasznymi urządzeniami, nie było gorsze od owej ciągłej niewoli. Tysiące najlepszych sił owego rodu ludzkiego niszczyła ta straszna skłonność dwu płci. Wytwarzało się dla ludzkości położenie beznadziejne, a ówczesne stosunki społeczne powodowały, że każdy uważał powiększanie swej tak zwanej rodziny przez dzieci, za złe następstwo. Także robotnik starał się mieć jak najmniej dzieci. Ponieważ nauka posunęła się równocześnie tak daleko, że mogła temu zagadnieniu podołać, przyrost ludności zaczął się stale zmniejszać. Objaw ten zaczynał przybierać cechy katastrofalne, świat zaczął się wyludniać. Wówczas w r. 3156 profesorowi Y-so-ley powiodło się wytworzyć pierwszego homunkulusa!”

Ku zdumieniu Filipa rozległo się nagle klaskanie w ręce; to homunkulusy dawali w ten sposób znać, że są z wywodów mówcy zadowoleni.

— Naturalnie — mruknął Filip — jednako nakręcone maszyny! — po czym czytał dalej:

„Ten epokowy krok sprowadził raptowny postęp na świecie. Nowy ród, który teraz powstał, ród nie znający trosk, mógł bez dawniejszych przeszkód poświęcać wszystkie swe siły i całą swą myśl wielkim i jedynym zagadnieniom życia dla

dobra państwa i służyć tylko jednej wielkiej wspólnotcie. Ludzie, wychodzący z naszych fabryk, nie wiedzą co to jest ból i cierpienia, nie znają niedoli, wnikającej z dawnych żąd. Podobnie jak mrówki, jak pszczoły, żyjemy teraz wspólnie, pracując na rzecz całości, a za to mamy zapewniony spokojny byt, zaopatrzenie we wszystko, mamy stan błogosławiony, jaki niemożliwy był do osiągnięcia, dopóki na ziemi żyły kobiety.

Z tych powodów dzisiejszy dzień, jako rocznica wielkiego momentu śmierci ostatniej kobiety, ma dla nas tak wielkie znaczenie. Ze śmiercią ostatniej kobiety rozpadły się ostatnie węzy krepujące ducha ludzkiego. Na grobie ostatniej kobiety zakwitło trwałe szczęście i spokój obecnych i przyszłych pokoleń”.

Mówca skończył.

Wszyscy obecni powstali z miejsc, skłonili się lekko i lekko klasnęli w ręce.

— Pysnie — zawołał Filip. — Czy pan profesor sądzi, że pozwolą mi teraz głos zabrać?

— Na co by ci się to przydało, skoro nie mówisz ich językiem?

— Szkoda. — zauważył Filip z prawdziwym żalem, skrobiąc się po głowie. — A tak chętnie chciałem im wykazać, że to wszystko, co on mówił, to są najczystsze nonsensy. Automaty rozprawiają tak o kobiecie, jak ślepy o kolorach. Przecie oni nie mają możliwości odczuwania miłości, a to takie przyjemne uczucie. Do diabła z takimi interesami!

Tymczasem wszyscy homunkulusy podnieśli się ze swych miejsc jakby na komendę i zaczęli wychodzić ze sali. Uroczystość była skończona.

— Co? To już wszystko? — zawołał Filip. — Ślicznie dziękuję za taką uroczystość, chyba, że oni idą teraz co popić. Po wysłuchaniu takiej mądrej mowy należy się im to.

— Nie — wtrącił Plato oni wszyscy idą teraz do swoich zajęć.

Filip spojrział na Platona zjadliwie i zapytał;

— Proszę pana, czy oni wszyscy gniewają się na siebie? Bo żaden z nich nie rozmawia z drugim.

— O czym mają ze sobą rozmawiać? Wszystko, co powiedział mówca, wydaje się im zupełnie naturalnym..

— Ależ chyba między nimi jest choć kilku takich, którzy są dobrymi przyjaciółmi. Oni zawsze mieliby o czym pomówić, podzielić się wrażeniami. Ja przed dwoma tysiącami lat miałem kilku dobrych przyjaciół. Mieliśmy zawsze dużo do pomówienia, czasem śmialiśmy się razem, a czasem kłóciliśmy się. A gdy który z nas podróżował, to przysyłał drugim widokówki, aby dać dowód, że pamięta, o nich.

— Przyjaciół? — powtórzył Plato. — To jest coś takiego, czego rzeczywiście nie rozumiem. Do czego mieliby homunkulusom służyć przyjaciele?

— No, na przykład, jeśli który jest w potrzebie.

— Kiedy homunkulusy nikogo nie potrzebują.

— To przecież mogliby się z niejednego razem cieszyć...

— Z czego mieliby się homunkulusy cieszyć?

— Ah... tak, tak... Prawda... Powiedźże mi pan, czy tych wszystkich homunkulusów trzeba codziennie nakręcać?...

— Jak pan to rozumie?

— Filipie — odezwał się profesor głosem bardzo łagodnym — opanuj się trochę. Gdy tu pobędziemy dłużej, przyzwyczaisz się do niejednego.

— Nigdy — krzyknął Filip, nie zdolny już do panowania nad sobą. — Do tej bandy pajaców maszynowych nie przyzwyczaję się nigdy! Oni nie mają duszy, to są tylko naprawdę automaty. Boże, Boże... jak ślicznie było niegdyś na ziemi.

Filip opadł na krzesło i zaczął nerwowo szlochać.

— Filipie! Uspokójże się — zawołał profesor przestraszony i zaczął go głaskać po głowie.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim Filip jako tako przyszedł do siebie.

W międzyczasie sala opróżniła się i powychodzili z niej wszyscy, przy czym uderzyło profesora, że żaden z wychodzących nie zwrócił najmniejszej uwagi na niego i na Filipa. Plato i tym razem ze zdziwieniem przypatrywał się płaczącemu Filipowi i zapytał, czy nie zrobiło się mu słabo.

— Nie, nie — uspakajał Avanti, biorąc Filipa pod rękę i wyprowadzając go. — Filip z trudem przyzwyczaja się do tutejszych nowych warunków, jest nerwowo... Dawniej miał dużo przyjaciół, których mu teraz brakuje, był przyzwyczajony rozmawiać z nimi, grać w karty...

— Mnie się zdaje — przerwał Plato — że pan Filip jeszcze dziś będzie mógł zagrać w taroka. Państwo wyznaczyło w tym celu dwóch matematyków, aby na życzenie pana Filipa grywali z nim. Są to wybitni uczeni. Otrzymali oni polecenie przestudiowania gry i prawdopodobnie będą jeszcze dziś u nas.

Filip zażawionymi oczyma spojrzał na mówiącego i w duchu przysięgł sobie, że swych nowych partnerów ogra doszczętnie.

Obiad spożył profesor w gronie swego otoczenia. Właśnie podano cygara, gdy służący zameldował, że przybyło dwóch panów.

— To są partnerzy do gry zauważył Plato.

Filip był uszczęśliwiony i z radości kilkakrotnie nalał sobie „nektaru.

Jednakże widok przybyłych nieco osłabił dobry jego nastrój. Obaj mieli

bardzo wielkie głowy, krótki wąty tułów i cienkie nogi w kształcie litery o. Profesor prosił ich, aby usiedli — usłuchali posłusznie. Filip podał im po szklance swego ulubionego trunku. Przyjęli w milczeniu, postawili szklanki przed sobą i nieruchomo zapadli w zadumę, z pełną obojętnością odnosząc się do otoczenia.

Wobec tego profesor poruszył sprawę dzisiejszej uroczystości i nawiązując do jej strony zewnętrznej, zapytał Lessinga, czy on jest artystą.

— Nie — odpowiedział Lessing — u nas nie ma rzeczywistych, tworzących artystów, malarzy.

— Skoro w waszych fabrykach wyrabiają ludzi różnych kategorii i do różnych zajęć, to przecież można by spróbować stworzenia i artystów.

— Próbowaliśmy nieraz — dorzucił Plato zamyślony — jednakże egzemplarze sporządzone tą drogą nigdy nie wyszły poza ramy naśladowania tego, co już było i nigdy nie udało się im stworzyć nowy obraz, nową oryginalną rzeźbę, lub napisać rzeczywiście nowy dramat. Zawsze działali tylko w ramach naśladownictwa.

— A jak pan myśli, co może być przyczyną tego osobliwego zjawiska? — zapytał profesor żywo.

Tymczasem Filip widząc, że zanosi się na dyskusję, a nie mogąc się doczekać sposobności rozpoczęcia gry, wtrącił się do rozmowy, zapytując, czy może zabrać gości do siebie. Profesor zadowolony, że Filip przyszedł już równowagi i dobrego humoru, zezwolił na to, przy czym Plato objaśnił jeszcze, że obaj matematycy wyuczyli się kilkunastu najniezbędniejszych wyrażen, aby się mogli z Filipem porozumieć. Poza tym przestudiowali oni zasady taroka według ściśle matematycznych prawideł, wobec czego Filip niewątpliwie będzie z nowych partnerów zadowolony.

Filip skłonił się pozostającym, kiwnął rękę na gości i wyszedł z nimi martwiąc się już jednak z góry, że jeśli wygra od nich wszystko ich złoto, to i tak nie będzie miał z tego żadnej korzyści.

Po odejściu ich profesor powtórzył pytanie, dlaczego homunkulusy nie mogą wyprodukować artystów.

— Różne powody podawano w tym względzie — zaczął po woli Lessing. — Nasze życie w rozlicznych kierunkach jest tak różne od życia ludzi zrodzonych z kobiet — Głównie podnoszą, że przede wszystkim tryb naszego życia, jego regularność oraz brak podnieceń, są właśnie owym czynnikiem uchylającym twórczość. Homunkulusy są rodzajom zupełnie trzeźwym. Mają oni silnie rozwinięty zmysł praktyczności, który ich wiedzie głównie do tego, co jest poży-

teczne i potrzebne.

— Sądzę — przerwał żywo profesor — że jednak ja znam prawdziwą przyczynę: mianowicie wam brakuje kobiet i to jest istotą rzeczy.

Homunkulusy spojrzeli po sobie z pewnym osłupieniem.

— Tak jest — mówił profesor. — Przeczytałem uważnie dzisiejszą mowę. Jest w niej dużo prawdy. Wy nie znacie trosk i podnieceń, nie wiecie nic o owych męczarniach i udrękach, wynikających ze stosunku mężczyzny do kobiety, to prawda. Ale też na odwrót, nie wyczuwacie owego ogromu szczęścia, wynikającego z tego samego stosunku, a którego szczęście wiodło niegdyś ludzi do najwyższej twórczości w sztuce. Ów stosunek zmuszał niegdyś mężczyznę do wiecznej walki i dawał mu najpiękniejsze rozkosze. Poezja wszystkich czasów i wszystkich ludów obejmuje kult kobiety. To samo widać w rzeźbie i malarstwie. Wy jesteście istotami bez cierpienia, to prawda, ale także i bez szczęścia. To co niegdyś poruszało nasze serca, miłość dla kobiety, dla rodziny, dla ojczyzny — to wszystko jest wam obce, nieznanne. Owe tysiączne głosy, jakie ożywiały niegdyś nasze dusze, zaginęły, nie ma ich w was, w was jest tylko spokój i zimno.

Profesor mówił z takim ożywieniem, że aż powstał z miejsca i nerwowym krokiem chodził po pokoju.

— Wam brakuje prawie każdego z tych uczuć, które nas ożywiały, które nam dawały szczęście! — dorzucił gorzko.

— Ale brakuje nam także i tych uczuć, które mogłyby nas uczynić nieszczęśliwymi — odezwał się Plato. Było widocznym, że podniecenie uczonego nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

— My zresztą zajmujemy się sztuką — wtrącił Lessing. — Wasze wielkie dzieła przechowały się częściowo do naszych czasów, przechowujemy je w muzeach, a nasi historycy sztuki rokrocznie piszą o nich znakomite dzieła. Każdy zabytek sztuki ma już kolekcję dzieł traktujących o nim, nasza encyklopedia sztuki liczy dwa tysiące tomów. O każdym poecie mamy liczne biografie, rozbiory i objaśnienia. Autorzy zaś tych rozpraw cieszą się u nas największym poważaniem i wiedzie się im znacznie lepiej, niż samym naszym autorom.

— Ale sami nie potraficie tworzyć, malować, rzeźbić.

Lessing wzruszył ramionami i rzekł:

— Zadowolamy się interpretowaniem piękna zawartego w owych dziełach.

— A czy homunkulusy są ustawowo zobowiązani solidaryzować się z poglądami krytyków sztuki? — spytał z pewną ironią, profesor.

— Nie — odpowiedział spokojnie Lessing. — Jak panu wiadomo, u nas nie ma żadnych zobowiązań. Ponieważ jednak celem życia naszych krytyków sztuki



jest to właśnie, aby innym ułatwić wyrobienie sądu o sztuce, przeto homunkulusy mają przekonanie, że sąd krytyków jest nieomylny i dlatego oceniają jako wielkie i piękne to, co krytycy w ten sposób oznaczyli.

— Bardzo wygodnie – zauważył Avanti sarkastycznie. — w ten sposób sądy o sztuce są dyktowane przez państwo, prawda?

— A kto za pańskich czasów dyktował te sądy? — zapytał Lessing ciekawie.

Profesor rozgniewany tym zapytaniem chciał odpowiedzieć z oburzeniem, jednakże momentalnie przyszło mu na myśl, jacy to byli krytycy za jego czasów. Znał ich przecie tylu! Nierzadko ludzie, którzy nie mieli żadnego słuchu i nie potrafili odróżnić fletu od katarynki, pisywali szerokie krytyki o wieczorach muzycznych o koncertach, o operach. On sam miał raz w leczeniu pacjenta, który nie reagował na barwy, a który był jednym z najpoważniejszych uznanych krytyków sztuki i o którego pochwały ubiegali się najwięksi malarze. Przypomniało mu się także, jak jednego razu był w redakcji pewnego wielkiego dziennika i gdy rozmawiał z naczelnym redaktorem, dano znać, że krytyk teatralny zachorował i nie będzie mógł pójść na premierę. Gdy po wielu naradach i bieganinie okazało się, że zarówno reporter jak i sprawozdawca sądowy oraz sprawozdawca parlamentarny nie mają czasu, aby pójść na premierę i napisać o niej sprawozdanie, nie porastało nie innego do zrobienia, jak posłać do administracji po tego funkcjonariusza, który zwykle publiczności udzielał wyjaśnień w sprawie anonsów, i jemu powierzyć napisanie recenzji.

Te wspomnienia zdetonowały nieco uczonego i na postawione mu kłopotliwe zapytanie odpowiedział ogólnikowo:

— Każdy dziennik miał za moich czasów swoich stałych krytyków.

— Byli to zapewne bardzo odpowiedzialni i dobrze wyszkoleni ludzie.

— Tak sobie... Niestety czasami ulegali wpływom...

— Ulegali wpływom? Ale chyba nie ze strony państwa, ani ze strony właścicieli pism?

— Z różnych stron... nie, raczej z bardzo wielu stron... Także polityka odgrywała przy tym wielką rolę. Jeżeli artysta należał do jakiejś partii, to mógł być pewny, że organa tej partii będą go wysławiały pod niebiosa, a dzienniki partii przeciwnych odmówią mu wszelkiego talentu.

— Nawet jeśli jego dzieła były dobre? — pytał ze zdziwieniem Lessing.

— Wartość dzieła nie odgrywała żadnej większej roli... Do tego, także osobiste antagonizmy u krytyków były ważnym czynnikiem...

— Ależ to były wprost straszne stosunki! — zawołał Lessing. — I czy takim krytykom dawano wiarę?

Profesor wzruszył ramionami.

— W przeciwnych wypadkach — tak, aczkolwiek ogromnie często zachodziły rażące pomyłki w recenzjach.

— To było bardzo źle — rzekł Plato zamyśleniu.

— Każdy sędzię powinien być sprawiedliwy, więc także i sędzia sztuki — zawyrokował Lessing.

W tej chwili od strony korytarza rozległ się donośny wzbudzony okrzyk.

— Co to? Kto to krzyczy? — zawołał Avanti zdziwiony.

Zaczęto nadśłuchiwać. Po obwili ten sam głos rozległ się ponownie, tylko jeszcze silniejszy.

— Zdaje mi się, że to głos pana Filipa — zauważył Plato.

— Przecież chyba nie zaczął się kłócić ze swymi partnerami, choć wykluczone to nie jest — zawołał Avanti.

Krzyk ponowił się a równocześnie dał się słyszeć hałas jakby przewracanych mebli.

— Jednak tak wygląda, jak gdyby się tam bili — krzyknął profesor i rzucił się ku drzwiom.

Nie można się było mylić. Z pokoju dochodziła wrzawa coraz głośniejsza, jego wrzask był coraz silniejszy.

Gdy profesor wpadł do pokoju Filipa, oczom jego przedstawił się niezwykle widok: stół leżał przewrócony, szklanki i złote monety były porozsypywane, a Filip czerwony z gniewu stał na środku pokoju i zapamiętałe darł karty na kawałki i rzucał je na swoich partnerów, którzy zresztą siedzieli na stołkach nieruchomo, z zupełną obojętnością w twarzy.

— Co się stało? — zawołał profesor.

— Co się stało? Stało się coś, czego jeszcze nie było — krzyknął Filip, drąc dalej karty,

— Filipie, tu nie spelunka, zachowaj się przyzwoicie. Co się stało, mów.

Plato i Laissing spoglądali swymi martwymi i twarzami zimno na Filipa.

— Co się stało? — powtórzył Filip. — Oto ci dwaj panowie są albo ordynarnymi oszustami, albo największymi czarownikami, jakich świat wydał.

— Uspokój się i opowiadaj, jak było. Czy ci panowie zrobili ci jaką krzywdę? Filipa zmieszało to zapytanie.

— Krzywdę? — nie... a właściwie tak... ja sam zresztą nie wiem, jak się to stało. Graliśmy już czas dłuższy. Dostaję wcale dobre karty, a mimo to stale przegrywam. Nie wygrałem jeszcze ani jednej gry. Wygląda, to tak, jakby Wszystko było zaczarowane. Zabrali mi wszystko moje złoto!

— Nie twierdzisz chyba, że ci panowie oszukiwali cię. To byłoby największą niesprawiedliwością, gdyż twoi partnerzy nie mają najmniejszego interesu w tym, aby chcieli sobie pomagać!

— Nie, wcale tego nie mówię, ale gram od godziny i każdą grę przegrywam. Jakieś sztuczki diabelskie czy co? Może te automaty mają jaki tajny telegraf i poznają, jakie mają karty. To byłoby oszukiwanie w sposób naukowy!

— Filipie, wypraszam sobie, abyś dalej mówił w ten sposób. To jest już niesłychaną obrazą!

Tymczasem Plato, Lessing i Archimedes przysłuchiwali się tej dyskusji spokojnie, jak gdyby tu chodziło o jakiś spór naukowy. Plato zainterpelował obu graczy w ich języku o przebieg zajścia, po czym oświadczył:

— Obaj gracze podają, że zadawali sobie pełny trud, aby grać według reguł gry. Nie czują się także wcale dotknięci zachowaniem się pana Filipa. Gra początkowo szła zupełnie spokojnie, potem pan Filip zaczął kartami silnie bić o stół, a następnie rzucać je szybko. Wreszcie podarł karty, przewrócił stół i swoje krzesło i zaczął głośno mówić wyrażeniami, jakich w podręczniku do nauki taroka nie znaleźli jego partnerzy. Byli też obaj zdania, że Filip uczył się gry z innego podręcznika, na co ich zdaniem wskazują, takie wyrażenia, jak: świństwo, sto par diabłów, banda szachrajów, których to słów pan Filip często podczas gry używał.

Profesor mimo woli uśmiechnął się, nadto ucieszyło go, że homunkulusy w ten sposób zrozumieli zajście. Filipowi jednak należała się nauczka, toteż Avanti oświadczył:

— Za to, że zrobiłeś skandal, trzeba żebyś przeprosił swoich gości i usprawiedliwił się przed nimi.

— Co? Ja ich mam przepraszać? Za to, że mi zabrali wszystkie pieniądze?

— Filipie, bardzo proszę! Jeżeli zależy ci na tern, abyś dalej pozostawał ze mną, to musisz zaniechać tonu, jakim w tej chwili przemawiasz.

To poskutkowało.

— Proszę pana profesora — zawołał Filip — proszę się nie gniewać, ale pan profesor widzi, że ta gra nie była chyba samowita i za to mam się jeszcze usprawiedliwiać? Jeżeli jednak pan profesor każe, to... naturalnie przeproszę tych automatów, choć...

— Nie chciałbym ci narzucać, abyś uczynił coś przeciw twemu mniemaniu — rzekł Avanti z wahaniem,

Na to wtrącił się do rozmowy Archimedes i poprosił o pozwolenie rozmówienia się z oboma graczami.

— Proszę pana.

Rozmowa Archimedesesa z obu partnerami trwała czas dłuższy, po czym Archimedes zaczął streszczać ich relację. Ich główną opinią było, że Filip był skończonym partaczem jako gracz, dyletantem najgorszego gatunku, nie mającym pojęcia o grze w taroka. Obaj podawali przykłady jego gry, wprost dla niego druzgocące. Jeżeli grał sam, rujnował się sam, a jako współpartner szkodził tylko drugiemu. W ogóle nie miał on najmniejszego pojęcia o kombinowaniu matematycznym, o przewidywaniu, jakie karty na podstawie rachunku prawdopodobieństwa mogą posiadać dwaj inni.

Filip wpatrywał się na mówiącego osłupiałym wzrokiem, gdy jednak Archimedes zaznaczył, że obaj matematycy wyrazili gotowość pouczenia Filipa, jak się grać powinno, kategorycznie odmówił temu.

— Nie chcę mi się — zawyrokował — zanimbym się nauczył grać według tych jakichś rachunkowych prawideł, upłynęłoby za dużo wody. Zresztą moi panowie nie gniewajcie się na mnie, ale tak myślę, że sfabrykowano was nieco za późno, gdybyście bowiem żyli za moich czasów, to z waszą uczonością zrobilibyście miliony na grze.

— Wiesz — zawołał Avanti — może i to lepiej, że nie chcesz się uczyć, bo nie powtórzysz dzisiejszego skandalu.

Gdy profesor odszedł do siebie, Filip kroczył czas jakiś zamyślony po pokoju, po czym nagle uderzył się ręką w czoło i zawołał:

— Przecież powinienem był przewidzieć, że praca maszynowa jest dokładniejszą od pracy ręcznej!

## **VIII.**

### **WE FABRYCE LUDZI.**

### **WIZYTA W SZKOLE.**

Następny dzień przyniósł Filipowi wielką niespodziankę. Mianowicie Avanti rozważywszy w samotności, że jednak Plato, Archimedes i Lessing mogli zrozumieć choć częściowo skandaliczne wystąpienie jego służącego, postanowił ukarać Filipa.

Gdy Filip rano chciał wejść do pokoju swego pana, homunkulus stojący na służbie zabronił mu wstępu. Spowodowało to dosyć gwałtowną scenę, co prawda

gwałtowną tylko jednostronnie, gdyż tylko Filip podniesionym głosem dosyć osobliwymi wyrazami przemawiał do służącego. A ten natomiast stojąc pode drzwiami, odpowiadał tylko monotownie:

— Kowa keoto.

Filipowi było tego wreszcie za dużo, pochwycił więc homunkulusa za ramiona, aby go na bok usunąć, ale homunkulus porwał wówczas Filipa na ręce, podniósł go z łatwością do góry, odniósł kilkanaście kroków od drzwi i postawił ostrożnie na ziemi, po czym spokojnie wrócił na stanowisko.

Filipa, oszołomiło to zupełnie. Z dawniejszych czasów uważał się za wcale silnego, a tu tymczasem taki automat pochwycił go jakby żelaznymi kleszczami, przeciw którym opór był nie możliwy.

— Do diabła mruknął, rozcierając, sobie na przemian lewe i prawe ramię — oni jednak fabrykują atletów.

Po namyśle Filip spróbował po dobremu wytłumaczyć atlecie, że ten powinien go wpuścić, to jednakże także na nic się nie przydało i nieprzejednany służący powtarzał tylko wciąż w kółko: Kowa Keoto.

Filip wpadł w pasję, pomyślał jednak, że to i na nic się nie przyda. Nagle zdjął go lęk — Co się mogło stać? Czyżby to była zemsta, homunkulusów za jego wczorajszy epizod?

Nagle na korytarzu ukazał się jakiś homunkulus. Filip poznał, że to jest Plato i z radością skoczył ku niemu, prosząc z grzecznością jakiej mu jeszcze nigdy nie okazał, o pośredniczenie u owego cerbera.

— Niemożliwe — odrzekł grzecznie Plato. — Właśnie otrzymałem polecenie oddać panu ten list od pana profesora.

Filip zmieszany i niepewny drżącymi rękami przerwał kopertę i zaczął czytać: „Wczorajsze zajście, które wyłącznie Ty tylko spowodowałeś, wzburzyło mnie. Aby Ci dać sposobność do swobodnego pomyślenia o tym, co uczyniłeś, zabraniam Ci wstępu do mnie na 14 dni. Nie staraj się dotrzeć do mnie, toby Ci się na nic nie przydało. Mam nadzieję, że po czternastu dniach o tyle się poprawisz, że będziesz mógł zachowywać się w moim towarzystwie przyzwoicie.

Dr Ava n t i.”

— Pysznie! — mruknął przez zęby. — Więc dymisja.

— Pan profesor nie życzy sobie, aby go pan w ciągu czternastu dni odwiedzał — zauważył Plato.

— Tak... ale któż będzie pomagał profesorowi w ubieraniu się?

— Jest do tego wyznaczony służący.

— A kto będzie golił?

— Także służący.

— No, to któż będzie rozmawiał z profesorem o przeszłych czasach?

— Mnie się zdaje, że właśnie pan profesor po wczorajszym epizodzie nie chce rozmawiać o przeszłych czasach i chce być sam.

Filip zamyślił się.

— A cóż pan profesor będzie czynił podczas mojej nieobecności?

— Ma zamiar uczyć się naszego języka.

— Hm... no, a cóż ja mam teraz robić?

— Co tylko pan chce. Jest pan zupełnie wolny. Może, pan spacerować, podróżować mobilem, koleją, aerokabem. Może zechce pan także uczyć się naszego języka?

— Ciekawe, że przeciw temu wyrokowi nie ma rekursu — mruknął Filip, podał rękę Platowi na pożegnanie, rzucił groźne spojrzenie na strażnika pod drzwiami i poszedł do swego pokoju.

Nałożył fajkę, siadł przy oknie i zamyślił się ponuro.

Prześliczny dzień słoneczny, czysta zieleń ogrodu, rozgrzane ciepłem powietrze, wpłynęły zwolna dodatkowo na przygnębienie i ułagodziły Filipa.

— Więc jestem napędzony — myślał. — Mój pan poświęci te czternaście dni kształceniu się, no to i ja będę się kształcił. Będę zwiedzał miasto, będę podróżował.

Przyszło mu jednak na myśl, że nie zna języka homunkulusów. Co zatem może się z nim stać, jeżeli będzie chciał powrócić, a nie będzie mógł nikogo o to zapytać. Zrobiło się mu zimno. Nie móc powrócić do swego pana, błąkać się ciągle między tymi obcymi automatami! To okropne!

Postanowił jednak zapytać o radę Platona.

Trwało czas dłuższy, zanim zjawił się Plato. Gdy wysłuchał o co chodzi, rzekł:

— Dam panu list. Gdy pan będzie chciał wrócić do domu, proszę tylko pokazać ten list pierwszemu lepszemu przechodniowi, a każdy po przeczytaniu wskaże panu pierwszy kierunek. Potem pokaże pan list na dalszych ulicach i w ten sposób nie zagubi się pan.

— No, a gdy będę głodny, gdy mi się będzie chciało pić, co mam wtedy zrobić?

— Zarówno w wagonie kolejowym, czy na statku powietrznym otrzyma pan wszystko, czego pan zechce. To znaczy, otrzyma pan to wszystko, co otrzymuję, wszyscy homunkulusy.

A gdy będzie pora obiadowa, podejdzie pan do pierwszego lepszego prze-

chodnia i zapyta pan: „Yi to-wa-hu”. To znaczy, gdzie jest jadalnia dla podróżnych. Tam dostanie pan obiad oraz ten pański nektar.

— I to bez pieniędzy?

— Naturalnie. Przecie u nas nie ma pieniędzy. U nas wszystko jest za darmo.

— Wcale dobre urządzenie. Bardzo panu dziękuję za objaśnienia. Zapewne nie długo będzie trwało, zanim otrzymam od pana ten obiecany paszport czy list.

— Najwyżej pół godziny. Zaraz po niego poślę. Ale na jedno chciałem jeszcze zwrócić panu uwagę: cygara musi pan zabrać ze sobą, gdyż nigdzie ich pan nie dostanie.

W pół godziny później Plato doręczył Filipowi obiecany list. Było to pismo na mocnym japońskimi papierze zaopatrzone wielką pieczęcią czerwoną. Na prośbę Filipa Plato przeczytał mu ten list. W tłumaczeniu opiewał on:

„Okazicielowi niniejszego pisma rządowego mają wszystkie władze i poszczególne jednostki we wszelki możliwy sposób ułatwiać wszystko, czego tylko zażąda, o ile nie sprzeciwia się to naszym ustawom. Należy mu także wskazywać środki i drogi, wiodące do spełnienia jego życzeń”.

— Bardzo dobrze — zawołał Filip uradowany. — Ten list więcej znaczy niż pieniądze. Jest to klucz do wszystkich bram.

— Tak jest.

Filip przed wyruszeniem na wycieczkę zajął się ze szczególniejszą starannością swym strojem. Wdział żakiet, piękną pikową kamizelkę, założył jaskrawą, krawatę i zapiął w nią szpilkę brylantową. Ta szpilka zakłopotła go jednak, gdy sobie przypomniał, że tutaj wyrabiają brylanty i to znacznie większe.

— Otóż to! — wykrzyknął — to są, skutki fabrykacji! Te automaty nie mają żadnych ideałów!

Do czego się to powiedzenie miało odnosić, nie wiadomo, ale Filip tak samo wymyślał na brak ideałów u homunkulusów, gdy zakładał pierścionki z brylantami. Ostatecznie jednak wdział kapelusz, wziął laskę do ręki, obrzucił się jeszcze raz spojrzeniem do lustra i zadowolony mruknął:

— To jest coś zupełnie innego, niż automaty.

O takich nie mają tu żadnego pojęcia!

Zapełniwszy sobie kieszeń cygarami i stwierdziwszy że ma ze sobą list rządowy, Filip wyszedł z spokoju— Koło drzwi profesora stał atleta. Filipowi przyszło na myśl, że dobrze byłoby pożegnać się z profesorem, ale uświadomił sobie, że nieprzejednany stróż nie wpuści go.

— Nie, to nie — mruknął – wypowiedział mi profesor służbę na czternaście dni, to i ja jemu wypowiadam służbę na dni czternaście.

I ruszył parkiem na ulicę. Po drodze włożył sobie kwiatek do butoniery, ale melancholijnie pomyślał, że tu przecież nie ma dla kogo się stroić. I westchnął głęboko.

Na ulicy był ruch normalny. Kilku homunkulusów przechodziło, ale żaden nie zdradził zainteresowania na widok człowieka, ubranego inaczej. Jedyne tylko stojący na rogu ulicy osobnik, widocznie pełniący służbę policyjną drogową, spojrzał na Filipa ciekawie. Dostrzegłszy to, Filip zapalił cygaro, podszedł do niego i rzekł uprzejmie:

— Prawda, jaka dziś piękna pogoda.

— Utami ? — brzmiała odpowiedź.

— Mamy dziś śliczną pogodę — powtórzył Filip.

Homunkulus wstrząsnął głową i powtórzył:

— Utami.

— Idź do diabła! — krzyknął Filip, ukłonił się policjantowi uprzejmie i odszedł.

Policjant również odkłonił się uchyleniem kapelusza.

— To się nazywa policjant! — filozofował Filip. – Nawet nie saltuje!...

Idąc dalej, Filip spostrzegł, że cała ulica ma wygląd jednakowy, domy wszystkie są do siebie podobne, ale nie ma żadnego ruchu, żadnych sklepów. A przecież dawniej o takiej porze roilo się tu od przechodniów i z niejednego sklepu wyglądała na ulicę ładna twarzyczka. Filip westchnął.

Na rogu jednej z ulic stało dwóch homunkulusów i zdawali się na coś czekać. Filip pomyślał, że zapewne nie znają się, gdyż nie rozmawiają ze sobą. Zbliżył się do nich i uchyłając kapelusza, powiedział: Dzień dobry.

— Busaki — odpowiedzieli obaj równoczesne, zdejmując kapelusze.

— Busaki — powtórzył Filip mechanicznie, na co znowu odpowiedzieli obaj: Busaki.

— To widocznie znaczy tyle, co dzień dobry, albo coś w tym rodzaju — pomyślał Filip zadowolony, że przecież nauczył się już czegoś.

Ukazał się automobil. Obaj homunkulusy podnieśli, rękę do góry; Filip uczynił to samo. Automobil stanął. Homunkulusy wsiedli, Filip także. Dokąd automobil zdązał, Filip nie wiedział, ale było mu to zupełnie obojętne.

Wóz ruszył. Wśród siedzących panowało zupełne milczenie, tak że Filipowi zaczęło się robić nie swojsko.

Monotonię drogi przerwało zatrzymanie się wozu. Wsiadł jakiś weteran, co Filip poznał po tam, że wszyscy siedzący powstali na jego powitanie.

— Busaki — krzyknął Filip do weterana.



— Busaki — odpowiedział tenże, kłaniając się Filipowi i zajmując miejsce obok niego...

— Busaki — powtórzył Filip, nie wiedząc, jak dalej kontynuować zaczęłą rozmowę,

— Busaki — odpowiedział ponownie weteran, kłaniając się.

Filip umilkł. Tymczasem weteran zaczął do niego coś przemawiać. Nie wiedząc, co odpowiedzieć. Filip powtórzył znowu: Busaki — na co weteran dopowiedział znowu tym samym słowem i dalej mówił. Kiedy jednak Filip ponownie zawołał: Busaki — weteran odwrócił się od niego i zaczął rozmowę z innym homunkulusem.

— Pal cię diabli — pomyślał Filip i zapalił cygaro.

To widocznie zaimponowało weteranowi. gdyż przerwał rozmowę, popatrzył przez chwilę ze zdziwieniem na Filipa i wskazując palcem na cygaro, zaczął szybko coś mówić.

— To cygaro - odpowiedział Filip i zaciągnąwszy się silnie, dmuchnął mu dymem w nos.

Weteran począł gwałtownie kaszleć, a potem zerwawszy się z miejsca, zaczął żywo gestykulować i coś gwałtownie mówić. W mowie tej powtarzało się wyrażenie: Kui.

— Co? — krzyknął Filip. To przecież najlepsza, sorta, a nie pfuj.

Weteran perorował dalej.

— Aha — pomyślni Filip – ten automat dziwi się, co to za świntuch ze mnie. gdyż ciągle wymyślą od pfuj. Ale co mnie to obchodzi.

Tymczasem i inni podróżni, widocznie za wpływem mówcy, zaczęli wołać: Kui, a wreszcie dali znak, aby automobil stanął.

— Chce mnie wyrzucić, dam ja im! pomyślał Filip, wyciągnął z kieszeni list Platona i podsunął weteranowi pod oczy.

Skoro ten zobaczył czerwoną pieczęć, natychmiast zamilkł, pospiesznie przeczytał pismo, po czym zdjął kapelusz, skłonił się nisko Filipowi i powiedział uroczyście: Busaki.

Następnie weteran wygłosił do obecnych dłuższą przemowę, która widocznie była jakąś mową pochwalną na cześć Filipa, gdyż po niej wszyscy powstali z miejsc i wygłaszając słowo: Bu-sa-ki, uroczyście podawali Filipowi rękę. Potem jeden z homunkulusów dał znak i automobil ruszył dalej.

Filip był bardzo zadowolony z efektu, jaki wywołał ukazaniem listu, żałował tylko, że nie może się rozmówić z nikim, bo niewątpliwie pogwarka w takich warunkach była by nader interesująca. Już sobie wyobrażał, jakie dziwne mógłby

naopowiadać homunkulusom. Postanowił też sobie, że weźmie się do nauki ich języka. Samo zaś zachowanie się, ich tak go ujęło, że zamierzył się, aby wyrzucić cygaro, które tak bardzo ni spodobało się podróżnym, jednakże uprzejmy weteran pochwycił go za rękę i dał do poznania, aby dalej palił. Mimo to Filip okazał się rycerskim i cygaro wyrzucił, co spowodowało obecnych do złożenia mu nowego ukłonu.

Po kilku minutach dalszej podróży wóz zatrzymał się. Weteran wysiadł, a Filip uczynił to samo machinalnie, nie omieszkawszy przed tym powiedzieć pozostającym uroczyście: Bu- sa-ki.

Przez jakiś czas szli obaj obok siebie w milczeniu, aż przyszedli do jakiegoś wielkiego gmachu, w rodzaju jakby pałacu. Tu weteran zdjął kapelusz, ukłonił się Filipowi i oddalił się.

Filip otworzył usta ze zdziwieniem. Cóż teraz będzie ze mną — pomyślał.

Stał chwilę bez ruchu, po czym bezmyślnie ruszył dalej. Zaczął mu dokuczać głód, od trzech godzin nic nie jadł. Co tu zrobić, kogo zapytać. Ulice były puste.

Filip doznał uczucia samotności i zdjął go lęk. Zaczął żałować, że wydalil się z domu, zaczął tęsknić za profesorem.

Gdy tak bezradnie rozmyślał, nadjechał automobil i zatrzymał się przed pobliskim domem. Wysiadł szereg homunkulusów i zaczął wchodzić do tego budynku. Filip ruszył za nimi. Wszyscy wchodzili do wielkiej sali, zastawionej stolikami i każdy siadał osobno. Filip uczynił to samo, patrząc z zaciekawieniem, co będzie dalej. Przeczował, że jest tu coś w rodzaju restauracji i rzeczywiście, nie mylił się. Po chwili zjawił się przed nim homunkulus skłonił się i podał zastawę, po czym przyniósł porcję zupy, pieczeń, która, zresztą zdaniem Filipa, mogłaby być trochę większa, oraz leguminę, a w dodatku czarodziejski trunek.

Filip był uszczęśliwiony. Wszystko smakowało mu wyśmienicie, nie żałował też sobie trunku. By to mu tylko nieswojo, że nie mógł z nikim porozmawiać. Homunkulusy czytali gazety, te jednak były dla Filipa niedostępne.

Zrezygnowawszy z możliwości rozerwania się w inny sposób, Filip zapalił cygaro i zaczął się złośliwie rozglądać. Rzeczywiście po małej chwili obecni poczęli podnosić nosy do góry, jak psy gończe, zaczęli wciągać w siebie powietrze, krzywić się i kichać.

— Zaczyna się — pomyślał Filip uradowany i dalej dmuchał dym daleko przed siebie.

Wkrótce na sali powstało żywsze poruszenie, zaczęły się krótkie rozmowy, które przeszły wnet w szmer coraz głośniejszy, i coraz częściej zaczęły padać słowa: Kui, kui. Równocześnie homunkulusy zaczęli żywo gestykulować i

wskazywać na Filipa.

— Dobrze, dobrze — myślał Filip zadowolony — wymyślajcie, ja i tak tego nie rozumiem.

Tymczasem homunkulusy z oznakami budzącego się widocznie temperamentu zaczęli spoglądać ku drzwiom i wołać kogoś, widocznie jakiegoś dozorcę. Ten nadszedł pospiesznie, pomówił kilka słów z obecnymi, po czym podszedł do Filipa i zaczął coś mówić.

— Nie rozumiem — odparł Filip, puszczając kłęb dymu.

Dozorca wskazał na cygaro i krzyknął głośno:

— Kui.

— Żadne kui — odparł Filip flegmatycznie, strzepując popiół z cygara na ziemię. Homunkulusy stanęli półkolem około niego, spoglądając prawie groźnie. Wyglądali rzeczywiście na podnieconych.

Dozorca widząc, że jego interwencja na nic się nie przydała, odszedł i po chwili wrócił w towarzystwie jakiegoś widocznie dygnitarza, gdyż wszyscy skłonili się mu nisko. Przybyły stanął przed Filipem i zaczął coś przemawiać, przy czym wielokrotnie powtarzał słowo: Kui

Filip w odpowiedzi na to coraz intensywniej pociągał dym z cygaru, i dmuchał z siłą przed siebie.

Dygnitarz spostrzegłszy, że przemówienie na nic się nie przydaje, dał ręką znak dozorczy, a ten sięgnął po cygaro, widocznie z zamiarem wyrzucenia go.

To rozgniewało Filipa. Sięgnął do kieszeni po list, otworzył go i podsuwając dozorczy czerwoną pieczęć pod nos zawołał:

— Spójrzysz no tu pokrako!

Dozorca zobaczywszy pieczęć, formalnie skulił się i cofnął. Takie dygnitarz na widok pieczęci skłonił się nisko, a przebiegłszy pospiesznie okiem treść pisma, zawołał uroczyście: Bu-sa-ki, po czym zwrócił się do obecnych i zaczął długo przemawiać. Ta rozmowa zrobiła widocznie silne wrażenie, gdyż wszyscy uroczyście skłonili się Filipowi.

Dygnitarz odszedł, powoli także homunkulusy zaczęli się rozchodzić, wreszcie. Filip pozostał sam. Przeciągnął się, ziewnął, po czym także wyszedł. Nie wiedział co robić, ale ponieważ był najedzony, czuł się zadowolonym i nie troszczył się o to, co dalej będzie. Wesoło na widok nadjeżdżającego samochodu podniósł rękę do góry, a gdy wóz stanął, wsiadł do niego uradowany, że go zrozumiano.

Po kilku minutach drogi wóz zajechał na plac, znany już Filipowi, tu bowiem wznosił się port dla aerokabów. Nie namyślając się długo Filip pospiesznie udał

się do windy i wszedł na pokład okrętu właśnie w chwili, gdy dawano sygnał odjazdu.

— Malutko a byłbym się spóźnił — pomyślał. — Jestem wolny przez 14 dni, zrobię wycieczkę.

Dokąd okręt zmierzał, nie wiedział, ale też w tej chwili nic go to nie obchodziło.

Pamiętał jednak o swoich przygodach podczas poprzedniej wycieczki, to też gdy okręt ruszył, siedział ostrożnie na ławce, bojąc się podnieść z miejsca, aby nie wylecieć w powietrze.

Na pokładzie siedział szereg homunkulusów. Jedni spoglądali apatycznie w dół na znikające pod spodem lasy i łąki, inni czytali w milczeniu gazety.

— Głupia historia podróżować w kraju, którego języka nie zna się — pomyślał Filip i zarazem uczuł pewne osamotnienie. Przyszło mu na myśl, że i profesor jest teraz równie osamotniony i żał się mu zrobiło, że go opuścił.

Z resztą, dobrze mu tak — pomyślał — po co mnie napędził. I usadowiwszy się wygodnie na ławce, sięgnął po papierośnicę, Co się stało, nie było jej w kieszeni. Zgubił czy zapomniał? Pewnie zostawił ją w restauracji! Bagatela? A tu nie dostanie nigdzie cygara, choćbyś na głowie chodził. Dla Filipa, który był namiętnym palaczem, ten brak stał się nader dotkliwym, Stracił humor i wpadł w rozdrażnienie, sytuacja bowiem stała się beznadziejną. Tu z nikim nie można się porozumieć, nie można się postarać, aby papierośnicę, odszukano, nie wiedzieć co zarobić, aby samemu zawrócić. Filip w padł w pasję. Żeby choć wiedział, kiedy i gdzie okręt wyląduje, kiedy i jak będzie mógł wrócić do siebie. Co robić?

Zapadł wieczór. Statek pędził szybko przed siebie, homunkulusy zaczęły schodzić z pokładu do wnętrza, a Filip bojąc się, żeby nie uleciał w powietrze, siedział ciągle na ławce, trzymając się jej kurczowo, a w duchu przeżywając czarną. tragedię. Nagle usłyszał, że wymawiają jego nazwisko.

Na pokładzie stanął jakiś homunkulus i ciągle powtarza:

— Doktor Avanti, pan Filip.

Filip zaryzykował. Podniósł się ostrożnie z ławki, podszedł do mówiącego i uprzejmie oświadczył, że to on jest właśnie tym, którego nazwisko wywołuje. Gdy jednak homunkulus nie zrozumiał obcego języka nie reagował na to, Filip pokazał mu list Platona. To poskutkowało. Homunkulus skłonił się z respektem, poczym wziął Filipa za rękę i poprowadził do jakiegoś małego pokoiku, w którym było umieszczonych kilkanaście aparatów przypominających telefony. Homunkulus wziął jedną ze słuchawek i zaczął rozmawiać, przy czym nazwisko Avntiego i Filipa powtórzyło się kilka razy.

Chociaż Filip u homunkulusów, w tym kraju dziwów, nauczony doświadczeniem, powiedział sobie że tu niczemu nie trzeba się dziwić, to jednak najżywszym zdumieniem wypatrzył się słysząc rozmowę telefoniczną. Z kim ten rozmawia? Aerokab jest nad ziemią! W głowie kręciło mu się.

Z tego oszołomienia wyrwał go rozmawiający, dając mu znak, aby podszedł do telefonu.

Filip ciekawie ujął za słuchawkę i, o radości, z aparatu rozległ się głos jego profesora! Filipowi łzy stanęły w oczach, wzruszenie tak go opanowało, że przez chwilę nie rozumiał o co go pytano i nie był w stanie odpowiadać.

— Dokąd jedziesz? — powtarzał profesor.

— Nie mam pojęcia — zdołał wreszcie Filip wykrztusić, przychodząc nieco do siebie.

— Dokąd zdąża aerokab?

— Nie wiem.

— Ty chyba zwariowałeś.

— I mnie się tak zdaje.

— Powracaj zaraz! Natychmiast powracaj!

— Kiedy nie wiem jak okręt jest wysoko w powietrzu i nie mogę wysiąść. Wróciłbym jednak chętnie, gdyż zgubiłem papierośnicę.

— Już ją tu odniesiono. Zaraz... zaczekaj chwilę przy aparacie. Drugim aparatem będzie Plato interweniował.

Rzeczywiście odezwał się drugi aparat i w toku rozmowy homunkulusa Filip dosłyszał głos Platona, wnet zaś potem Plato sam odezwał się w jego aparacie.

— Dobry wieczór — zawołał Filip. — Panie, kiedy będę mógł wrócić?

— Bardzo szybko, sądzę, że około południa będzie pan już w domu.

— Oj to dobrze. Proszę pana powiedzieć panu profesorowi, że już nigdy nie puszcę się sam na taką wyprawę. A czy profesor bardzo na mnie zły?

— Nie — rozległ się w odpowiedzi głos Avantiego — ale z tarokiem musi się skończyć. No, bywaj zdrów, wracaj rychło i szczęśliwie.

Filip chciał jeszcze coś powiedzieć, ale słuchawkę odłożono.

— To jednak sprytne szelmy, te homunkulusy — pomyślał Filip bardzo zadowolony z rozmowy — mogą sobie tak z powietrza rozmawiać ze ziemią bez niczego! Tu chyba nie można by zginać.

Wyszedł z powrotem na pokład, gdzie zastał owego homunkulusa, który go wzywał do telefonu, rozmawiającego z jakimś komendantem widocznie, bo mający na piersi gwiazdę. Homunkulus wskazywał przy tym ręką na Filipa.

— Pewnie mnie wysadzą — pomyślał Filip — aczkolwiek aerokab nie opadał

wcale.

Tymczasem na pokład wyszło kilkunastu homunkulusów i ustawili wielki maszt, po czym na jego szczycie umieścili olbrzymią banię szklaną. Z bani tej wnet rozbłysło intensywne światło. Kilku homunkulusów przypatrywało się temu z całą powagą.

— Co oni wyrabiają. — myślał Filip. — Chyba przecie nie zechcą mnie osobiście przetelegrafować do profesora.

Upłynęło zaledwie 10 minut, gdy w oddali ukazał się jasny blask i z każdą chwilą stawał się coraz silniejszy. Homunkulusy ruszyli na brzeg pokładu i skwapliwie spoglądali w noc.

W minutę później Filip dostrzegł wyłaniający się z mroków aerokab, z godnym masztem świetlnym, tylko znacznie mniejszym.

— Aby tylko nie było zderzenia — myślał Filip z trwogą.

Obawy były nieuzasadnione. Nowy aerokab zjawiwszy się tuż nad okrętem, zaczął zwolna opadać i po chwili spoczywał na pokładzie. Załoga nowego statku spuściła schodki, po których zeszedł komendant i przywitawszy się z kapitanem wielkiego okrętu, zaczął z nim rozmawiać. Nazwisko Filipa powtarzało się przy tym często. Następnie kapitan skinieniem ręki zaprosił Filipa, aby za nim ruszył na schodki. Gdy ten usłuchał wezwania i stanął na pokładzie, kapitan powiedział do niego uroczyście: Bu-sa-ki, podał mu rękę i zeszedł z powrotem. Schodki podniosły się zaraz jakby automatycznie, po chwili mały statek podniósł się w powietrze i zaczął się oddalać.

Wszystko to stało się tak szybko, że Filip ze zdumieniem patrzył, jak świetlny maszt wielkiego okrętu zaczął spieszenie jakby olbrzymi meteor, znikać w ciemnościach, a potem zagaśł nagle.

— Żarty na bok — pomyślał — ale te homunkulusy niejedno umieją.

Usiadł na fotelu i zaczął rozmyślać. Było mu jednak niewygodnie, gdyż na pokładzie panowało przejmujące zimno, oraz silny przeciąg Filipowi zdawało się, że to jakaś silna burza wieje i trzymał się krzesła, aby go nie wydmuchało. Gdy jednak zimno zaczęło mu zanadto dawać się we znaki, usiłował powstać, aby gdzie poszukać jakiegoś zaciszniejszego kąta. Musiał jednak zaraz usiąść z powrotem, gdyż nogi skostniały mu już i nie był w stanie zrobić kroku. Na szczęście zjawił się na pokładzie jakiś homunkulus i dostrzegłszy szczękającego zębami, zaprowadził go pospiesznie do kapitana. Dostawszy się pod pokład Filip padł na sofę i zaczął dygotać. Kapitan pospiesznie podał mu karafkę z zielonawym trunkiem. Kilka szklanek wypitych jedna po drugiej, szybko rozgrzały Filipa, tym bardziej, że w kabinie było ciepło. Mimo to był bardzo wyczerpany i czuł tak

wielkie zmęczenie, że gdy zjawił się koło niego kapitan i gestem zaprosił go do telefonu, nie był w stanie zrozumieć w pierwszej chwili, o co go pytał profesor. Wreszcie jednak zdołał wykrztusić z siebie, że było z nim bardzo źle, gdyż wpadł w wielką burzę. To widocznie zdziwiło profesora, gdyż Filip po chwili usłyszał jak Avanti rozmawiał z Platonem, który tłumaczył że o burzy nie mogło być mowy, tylko pęd powietrza był nader silny, mały bowiem aerokab robił na godzinę 200 kilometrów.

— No, trzymaj się — dorzucił profesor — wnet zapewne zobaczymy się, gdyż twój okręt pędzi szybko do nas.

Filip położył się na sofie i dalej popijał czarodziejski trunek, wnet jednak zawołano go znowu do telefonu i profesor powiedział mu, że okręt dojeżdża już do miasta i że w porcie będzie oczekiwał go Archimedes. Rzeczywiście krótkim czasie dało się ucieć lekkie wstrząśnienie i zaraz potem homunkulus gestem zarosił Filipa do wyjścia.

Zeszedłszy po schodach do hali Filip zobaczy stojących przy samochodzie Platona i Archimedes, oraz ku niewypowiedzianej swej radości, także samego profesora. Zmieszalo go to i dosyć niepewnie uklonił się, nie wiedząc co go czeka.

— No, jak się masz — zawołał profesor wesoło — chodźże bliżej.

— Bo proszę pana profesora — zaczął Filip bąkać — powiedziano mi, że pan profesor napędził mnie na 14 dni, więc ja...

— Eee, bzdury — przerwał profesor — tymczasem byłbyś jeszcze zajechał do Ameryki albo do Australii i co by było. Nie wróciłbyś na czas, dlatego cofnąłem dymisję. Siadajże.

Filip uradowany ruszył ku szoferowi.

— Nie tam — zawołał profesor — siadaj tu przy mnie.

— Jak to... jakże... kiedy nie wypada...

— Masz teraz słuchać, siadaj.

Filip usiadł w milczeniu. Profesor podał mu cygaro. Filipowi ręka drżała.

— Proszę, pana profesora — odezwał się — gdy zgubiłem papierośnicę, zobaczyłem jakie zrobiłem głupstwo wydalając się z domu.

— Więc to brak cygara skłaniał cię do powrotu?.

— Nie, nie, nie to, ale brak cygara tylko mi powiększał osamotnienie. Bo proszę pana profesora, czułem się tak strasznie osamotniony, że zacząłem żałować, iż dałem się uśpić i po prostu napadła mnie rozpacz. Dopiero gdy usłyszałem głos pana profesora w telefonie, to mi się serce rozradowało... Proszę pana profesora... telefonowanie to piękny wynalazek...

Profesor uśmiechnął się nieznacznie.

— A czy wiesz, gdzie my cię znaleźli?

— Nie, nie mam pojęcia.

— Byłeś już o 30 kilometrów od brzegów Anglii.

— Gwałtu!... Jak to jednak dobrze, że się tam nie dostałem! Tam już z pewnością byłbym się nie wyznał.

— Dlaczego? — przerwał Archimedes .... Tam jest tak samo, jak i u nas, a wszystkie nasze miasta są budowane według jednego wzoru.

— Także, to nie warto podróżować. Zresztą ja sam już się nigdy nie wybiorę w podróż, chyba razem z panem profesorem.

— Nie mój kochany. Ja w ostatnich dniach tyle widziałem nowości, że jestem zmęczony, chcę uporządkować wrażenia i spisać swoje uwagi. Toteż teraz nie wybieram się nigdzie, chcę posiedzieć sam w domu.

— Moje nerwy są także podarte i dlatego pan profesor będzie łaskaw darować mi, że przy kartach zrobiłem awanturę. Ale już więcej nie będę grał.

— Owszem, grać możesz, bo ci wierzę, że nie będziesz robił skandalów. Zresztą i temu się zapobiegnie. Dostaniesz takie krzesło, że bez pozwolenia twoich partnerów nie będziesz mógł z niego wstać, a do tego karty będą z materiału nie nadającego się do podarcia.

— A to ładnie! To już lepiej od razu w kaftan bezpieczeństwa!

— Który co prawda należałby ci się przy owej grze.

Filip umilkł

Po przybyciu od domu profesor, gdy homunkulusy odeszli, zapytał Filipa o wrażenia z drogi.

— Mnie się ciągle wydawało, proszę pana profesora, że znajduję się wśród ludzi śpiących, wśród ludzi, którzy wszystko robią we śnie, którzy chodzą, jeżdżą, jedzą — śpiąc. To bardzo cichy i smutny świat, Jest tu co prawda wszystko dobrze urządzone, można za darmo dostać wszystko to, co dawniej było może niedostępne, ale tu nie można z nikim mówić.

— Może dlatego, że nie umiesz języka.

— Będę się uczył, czas mam na to. Kilka słów już umiem, na przykład: Kui, kui.

— Co to znaczy?

— Prawdopodobnie coś w rodzaju: pfuj, świństwo. Bo zawsze tak wołali, ile razy zapaliłem cygaro. Ale to było ciekawe, że gdy poczuli dym, to zmieniali się i stawali się podobnymi do prawdziwych ludzi. Wyglądali tak jak gdyby się chcieli bić. Mnie się jednak zdaje, że w ich konstrukcji są jakieś błędy i to częste. Ich



należałoby robić więcej wesołymi.

— To wówczas byliby czasami także smutnymi.

— A cóż to szkodzi? To i my jemy raz słodko, raz kwaśno, a jeść zawsze jednakowo byłoby za nudne.

— Wkrótce wybierzemy się do zakładów, gdzie wyrabiają homunkulusów.

— O, to będzie ciekawe. Chociaż ja nie bardzo ładnie myślę o tych fabrykach.

— Czemu? Wszakże to jest najwyższy szczyt rozwoju, owo wydarzenie naturze tajemnicy tworzenia.

Filip wzruszył ramionami lekceważąco i dodał:

— E, za naszych czasów szło to znacznie prościej i było z tym ludziami lepiej.

— Ty się na tym nie rozumiesz — odparł Avanti, śmiejąc się.

— Jak to nie rozumiem? Gdyby tylko z Kasią poszło było inaczej...

— No, no, idź spać.

Nastało kilka dni spokojnych. Profesor pisał swe wrażenia i uczył się przy pomocy Archimedesowego języka homunkulusów, przy czym robił tak szybkie postępy, że wnet mógł porozumiewać się ze swym otoczeniem.

Także Filip uczył się nowego języka, ale choć jak się wyrażał, od tej nauki głowa mu pękała, to jednak postępy szły dosyć wolno. Toteż jednego dnia Filip oświadczył profesorowi, że jest wściekły na swoich przodków, gdyby bowiem byli świat zawojowali, nie potrzebowałby teraz „kuć” dziwacznych wyrazów.

— Masz poniekąd rację — rzekł profesor zamyślony. — Za naszych czasów kłócono się wzajemnie, zamiast iść wspólnym wysiłkiem ku przyszłości. A ponieważ takie kłótnie bywały w każdym narodzie, zatem naród, który by ich unikał i stworzył wspólnie najwyższą sumę wysiłku dla wspólnego celu, byłby niewątpliwie zdobywcą świata. Narody, które się wewnątrz kłócą, są krótkowzroczne.

— Ja też pamiętam, że raz poszedłem z moim przyjacielem na zebranie polityczne, które się odbywało w hali piwnej. Tam jeden mówił tak samo, jak pan profesor i bili mu brawo. Drugi mówił o dobrych obyczajach przodków i nawoływał do zaniechania zbytków i do oszczędzania. I bili mu brawo. A potem trzeci zaczął besztać przodków i mówi, że to same łajdaki, bo stracili przeszłość ojczyzny. Na to zaczęto krzyczeć, że tak mówi zdrajca narodu, a mówca krzyczał wyście zdrajcy! A potem zaczęto się bić. I ja się biłem i rzucałem kuflami, a potem stoikami na prawo i lewo. A potem zgaszono światło, ale biliśmy się dalej. Dostałem laską w głowę, chwyciłem stół i rozbiłem go komuś o głowę. A gdy potem zaświecili światło, zobaczyłem, że to był mój przyjaciel i krew mu się lała z nosa i z ust. Ale on się nie pogniewał na mnie, tylko mi powiedział, że dobrze

zrobiłem bijąc, gdyż biłem się o honor narodu. Potem wyszliśmy razem, ale nas zaaresztowano, choć wnet potem wypuszczono. Mój przyjaciel pokazał mi zęba, którego mu wybiłem. Tego zęba dał sobie potem oprawić w srebrne listki koni-czyny, na wierzchu były barwy narodowe, a pod spodem wyryta data wybicia z napisem: „Utracony w walce o honor narodu”.

Profesor wysłuchawszy tego kuriozum parsknął śmiechem dodał jednak:

— Rzeczywiście u nas specjalnie walczone ze sobą namiętne pod hasłem: o honor narodu, i wzajemnie zarzucano sobie zdradę. A jakaż to stara wada! Jeszcze rzymski historyk Tacyt pisał o niej.

— Ja też tak myślę, że tylko dzięki tej wadzie muszę się teraz uczyć kaleczenia języka.

Uczył się też Filip codziennie, ale więcej czasu spędzał w ogrodzie i czytywał stare roczniki gazet ze swoich czasów. Zapytywany przez profesora o postępy, żalił się, że gdy zagada językiem automatów do jakiego przechodnia, to zwykle napotyka na głuchych i musi kilkakrotnie powtarzać zapytanie. Profesor wytłumaczył mu, że przyczyną, jest jego błędna wymowa, zarazem jednak zapowiedział mu, że odtąd codziennie wieczór będzie go przepytawał z postępów. To poskutkowało, gdyż Filip pod kontrolą rzeczywiście zaczął korzystać z lekcji. Zaczęły się też wieczory u profesora, na których rozmawiano tylko nowym językiem. Filip pocił się przy tym, gdy mu jednak zabrakło wyrażenia i użył swoich słów, profesor nie reagował na to.

## IX.

### NIESŁYCHANY POMYSŁ FILIPA.

Tymczasem minęło lato i drzewa w parku przybrały już barwy jesienne.

Pewnego dnia profesor zapowiedział Filipowi, że wieczorem nastąpi egzamin z jego postępów w nauce języka.

— Ustnie to pójdzie jakotako — rzekł Filip — ale pisemnie to nie chyci.

— Nic nie szkodzi. Tu listów nie potrzebujesz pisywać. Ale czytać potrafisz.

— Tak jest.

— Mówić także?

— Tak. Ciągłe rozmawiałem z naszymi automatami w parku.

Egzamin wypadł zupełnie dobrze, ku wielkiemu zadowoleniu profesora.

Nawet Lessing był zadowolony z postępów tego ucznia mającego ponad dwa tysiące lat życia.

Profesor uściśnął Filipowi serdecznie dłoń i wyraził żal, że niestety nie może mu nic dać w upominku, gdyż tu wszystko nie ma wartości.

— Proszę pana profesora — rzekł wzruszony Filip — mnie nie trzeba nic ofiarowywać, dla mnie jest to najlepszą nagrodą, że pan profesor jest ze mnie zadowolony. Mnie to bardzo cieszy i tak myślę sobie, że jest mi lepiej niż tym wszystkim homunkulusom, którzy nawet nie odczuwają radości. Jeszcze nie słyszałem, aby tu który z nich pochwalił drugiego...

— Albo nawymyślał drugiemu, pominąwszy jeden wyjątek.

Filip spochmurniał skutkiem tego przypomnienia.

— No, nie gniewaj się na mnie — rzekł Avanti pojednawczo. — Sprawileś mi rzeczywiście wielką przyjemność, nauczywszy się języka. Teraz możemy swobodnie poruszać się po całym świecie. Może teraz lepiej poznamy ten dziwny świat, może zrozumiemy teraz te senne postacie.

— Mnie się jednak zdaje, że to się nam nie uda. Gdy wybrałem się sam na wycieczkę, to nie zdarzyło mi się, abym gdzie widział dwóch homunkulusów rozmawiających ze sobą. Ich do tego nie ciągnie i z nami także nie będą rozmawiali. Z nich każdy siedzi jak pniak niemy, może każdemu się zdaje, że tylko on sam jeden jest na świecie.

Wróciwszy do siebie Filip kładł się już spać, gdy nagle drzwi się otworzyły i wszedł profesor. Był silnie poruszony, w oczach miał łzy.

— Co się stało — krzyknął Filip, zrywając się z łóżka.

— Nie, nic, tylko chciałem, abyś na chwilę poszedł do mnie.

Filip z lękiem spoglądał na profesora, idącego ociężałym krokiem, jakby złamanego.

— Nic się nie stało — rzekł profesor powoli — tylko, widzisz, naszła mnie silna depresja, nostalgia. Poczulem wielkie osamotnienie i dlatego chciałem cię na chwilę mieć przy sobie. A przyznam ci się, że odczułem to pierwszy raz silnie wówczas, gdy wybrałeś się w podróż. Zabrakło mi wówczas człowieka, przy sobie... byłem też szczerze uradowany, usłyszawszy twój głos przy telefonie...

— A proszę pana profesora — przerwał Filip, silnie poruszony — jak ja się bałem, co się stanie, jeżeli nie będę mógł wrócić do pana profesora! I taki byłem uradowany, gdy usłyszałem głos pana profesora w telefonie, że nie mogłem przez chwilę ust otworzyć. Bo na tych wszystkich ulicach i wszędzie jest tu okropnie smutno i tak strasznie jednako. Miasto wygląda jakby wymarłe. Nie widać nigdzie ani kobiet and dzieci bawiących się, ani psów nawet nie ma na ulicach. Tu

jest wszystko martwe. Parzyłem, czy gdzie nie znajdę jakich wystaw sklepowych, ale nic z tego... Ja jednak tak sobie myślę, że za jakie pół roku przyzwyczaję się do tego widoku. I jeśli o mnie chodzi, to stało się dobrze, że się z panem profesorem wybrałem tutaj, bo gdybym był pozostał, to już dawno nie żyłbym, a tak to zawsze zobaczyłem coś nowego. Że zaś tutaj umrę, to nie będzie niczym nadzwyczajnym. Tu podobno umierają w sposób przyjemny, tu się umiera bez lekarza.

Avanti mimo woli roześmiał się.

— Na przyszły tydzień — rzekł — wybieramy się do zakładów, gdzie produkują homunkulusów. Sądzę, że cię to zainteresuje.

— O i jeszcze jak. Bo jeśli to będzie możliwe, to panu dyrektorowi tych fabryk powiem kilka mądrych słówek.

— No, cóż takiego? — zapytał profesor z zainteresowaniem.

— Kiedy proszę pana profesora, ja się wstydzę, powiedzieć...

— Ależ mówże!

— No, to ja sobie tak uplanowałem, że zapytam się dyrektora, czy nie byłoby możliwe, aby on dla nas obu sfabrykował dwie kobiety... Bo mnie się zdaje, że tu utrzymanie rodziny nie będzie dużo kosztowało.

Profesor oniemiał na chwilę.

— Ależ — wybuchnął wreszcie — to jest najbardziej wariacki pomysł, jaki w ogóle zrodzić się mógł na świecie! Do tego, takiej prośby ci nie uwzględnią, to bowiem godzi przede wszystkim w podstawowe zasady tego państwa.

— A co mnie państwo obchodzi. Jednakże te automaty są dla nas tak uprzejmymi i uczynnymi, że może zechcą spełnić tę drobnostkę.

— Drobnostkę, dobry sobie! Wiesz co, ja jednak uważałem cię za mądrzejszego. Zwracam ci też uwagę, że mnie osobiście będzie bardzo nieprzyjemnie jeżeli zgłosisz taką prośbę. W każdym zaś razie nie śmiesz mnie mieszać do tego, nie wolno ci powiedzieć, że i mnie się zachciewa kobiety. Tego ci stanowczo zakazuję. Zresztą... sam się przekonasz, że na tym punkcie nie okażą ci żadnej uczynności.

Filip ruszył ku wyjściu. Stanąwszy przy drzwiach, odwrócił się i rzekł:

— Proszę pana profesora, czy mógłbym się o coś zapytać?

— Czy to jeszcze w tej samej sprawie?

Filip poskrobał się po głowie i rzekł niepewnym głosem :

— Proszę pana profesora, mam u siebie fotografię Kasi, z jej młodszych lat... Ona była wówczas bardzo szykowną dziewczyną... Czyż, gdy tę fotografię pokazę dyrektorowi, będzie on mógł zrobić mi kobietę według tego wzoru?

— Jesteś skończonym osłem — wybuchnął profesor i odwrócił się.

— Ja mu jednak powiem to wszystko — myślał Filip buntowniczo, idąc do siebie. — Chyba ten dyrektor nie będzie takim niedźwiedziem, aby mi odmówił takiej łatwej rzeczy.

Przyszedłszy do swego pokoju Filip zapalił fajkę, wydobyl fotografię Kasi zachowaną dosyć dobrze, mimo dwóch tysięcy lat i zaczął się jej przypatrywać, oddając się przy tym słodkim marzeniom. Wyobrażał sobie już naprzód, jaki to będzie radosny dzień, gdy mu z fabryki dostarczą gotową narzeczoną.

— Jak to będzie wówczas przyjemnie — myślał, zacierając ręce z radości — może też, jeśli się uda eksperyment, założę w tym kraju nowe pokolenie!

Minęło kilka dni. Filip kilkakrotnie próbował nawiązać z profesorem rozmowę na temat swojej prośby, chciał profesorowi wytłumaczyć, że taka prośba rozumie się sama przez się, za każdym jednak razem, skoro tylko napomknął cośkolwiek w tej sprawie, profesor radykalnie przerywał rozmowę. Wtedy Filip ze smutkiem w sercu wracał do siebie, wyjmował fotografię i wpatrywał się w nią załzawionymi oczyma.

Pewnego wieczoru Avanti zawiadomił Filipa, że rano nastąpi zapowiedziana wycieczka.

Filipowi zabito serce.

— Sądzę — rzekł profesor poważnie — że rozmyśliłeś się już i zrezygnowałeś ze swego głupiego pomysłu.

Filip zda się odpowiedział. Nie chciał profesora rozgniewać, a nie chciał także kłamać.

— Nie masz pojęcia — ciągnął dalej uczony — jak niesłychanie trudno jest uzyskać pozwolenie na zwiedzenie tych zakładów. Żadnemu z homunkulusów nie wolno tam wchodzić, a to ze względu na same warunki rozwoju nowo urodzonych, a raczej, powiedzmy stworzonych istot. Ze strony rządu było to wielką uczynnością dla nas, że nam pozwolono, choć z pewnymi małymi trudnościami, zwiedzić te zakłady, jeszcze raz ostrzegam cię, abys dyrektora nie zanudzał swoją zwariowaną ideą.

— Czy dyrektor sam będzie nas oprowadzał — zapytał żywo Filip.

— Tak jest.

Filip z zamyśleniem spoglądał przed siebie.

Gdy wsiedli do automobilu, profesor jakoś elegijnie nastrojony rzekł do Platona i Archimedesza, że w tej chwili, gdy będzie miał sposobność zobaczyć zdobycze wiedzy, które wywróciły cały porządek świata, on sam wyczuwa, iż znajduje się w znacznie gorszym położeniu, niżli jakikolwiek inny badacz lub

podróżnik, każdy z nich bowiem miał po odkryciu sposobność podzielenia się tym z innymi, gdy tymczasem profesor poznanych przez siebie nowości nie ma komu przekazać.

Filip skwapliwie skorzystał z tej uwagi i zawołał:

— Proszę pana profesora, jeżeliby mi tylko spełnili w zakładzie moje życzenie, to będziemy mogli automatom pokazać coś nowego.

— Może byś przestał nareszcie tych głupstw! — odparł Avanti.

Automobil jechał szeroką drogą, którą właśnie szły długim szeregiem także duże wozy, wiozące jakieś dziwnie wyglądające podłużne skrzynie, czarno pomalowane.

— Wygląda to jakby trumny — zauważył Avanti.

— Bo też rzeczywiście są to trumny — objaśnił Plato. — Ta droga wiedzie do krematorium naszego miasta i zwłoki wszystkich tych, którzy obecnie zamieszkują to miasto, będą tu kiedyś spalone.

Profesor z zamyśleniem spoglądał na setki zajeżdżających wozów żałobnych.

— Wcale mi się nie podobają takie pogrzeby — wtrącił się Filip. — Jak to za naszych czasów wyglądało inaczej. Było dużo wieńców, ładne powozy, a jak umarł jaki weteran albo generał, to grały muzyki i strzelano i było na co patrzeć.

— Przypomnij sobie jednak — rzekł z namysłem uczony — że pogrzeby ubogich za naszych czasów, wychodzące ze szpitala powszechnego, były podobnie masowe, jak te tutaj i czyniły podobne wrażenie. U nas o pogrzeb biedaka nikt się nie troszczył, pogrzeb ten był zupełnie prosty. Tutaj jest to wszystko jedno, gdyż tu wszyscy są sobie równi.

Powiedziawszy to, profesor zapytał, czy byłoby możliwe oglądać krematorium. Plato wyjaśnił, że może się to stać każdej chwili i skierował zaraz automobil ku krematorium. Jazda nie trwała długo. Minąwszy wielką bramę wjazdową udano się do kancelarii, w której właśnie panowała intensywna praca, siedział tu szereg urzędników, którzy odbierali papiery od zajeżdżających wozów, stwierdzali ilość sztuk dokumentów i badali, czy także tyle dowieziono trumien. Zarówno papiery jak i trumny były zaopatrzone tymi samymi znakami, które za życia nosili na sobie homunkulusy. Gdy te formalności zakończono, wóz z trumnami odjeżdżał dalej w głąb podwórza.

Filip przypatrywał się z zajęciem jak woźnica nowo przybyłego wozu oddawał papiery.

— Osiem sztuk — powtórzył odbierający urzędnik, a równocześnie jakiś jakby kontroler zaczął liczyć trumny na wozie.

— Brr — wstrząsnął się Filip — aż ciarki mnie przechodzą na ten widok. Toż

to prawdziwe biuro spedycyjne! Należało tylko kościotrupa. ustawić na szyldzie!

W samym krematorium nie wiele było do zobaczenia. Była to dosyć obszerna hala, otoczona wysokim murem. W murze tym były w równych odstępach drzwi metalowe, a przed nimi stały małe rusztowania, na które składano trumny. Za poruszeniem drzwiami, otwierały się drzwi i trumny wjeżdżały bez szmeru w ciemne otwory.

— W niespełna, minucie zwłoki zamieniają się na popiół — objaśnił Archimedes.

— A potem popiół zbiera się w urny? — zapytał żywo Filip.

— W jakie urny?

— No, w urny, w których popiół przechowuje się, dla potomnych.

— Przecież popiołu się nie przechowuje — zauważył zdziwiony Plato.

— Nie? Więc cóż się z nim robi?

— Zbiera się go starannie, wywozi ma pola i tam zużywa do uprawy.

— Więc używa się go na nawóz? — profesor wzdrygnął się.

— To świństwo — zawołał Filip.

Homunkulusy spoglądali po samie zdziwieni.

— Proszę pana. — zapytał Plato — a jak postępowano za pańskich czasów? Zwłoki zakopywano do ziemi, gdzie skazane były na powolne gnicie, wydając ze siebie w ziemię straszne trucizny. My przy naszym sposobie grzebania usunęliśmy i proces rozprzestrzeniania choroby i zarazy. My oddajemy ziemi z organizmów tylko same części nieorganiczne.

— Więc w ogóle nie przechowujecie niczych popiołów? Ani nawet popiołów tych, którzy położyli wielkie zasługi?

— Ich zasługi żyją w ich dziełach. Popiół ich jest martwy. My zadowolamy się dziełami.

— Proszę pana profesora — odezwał się Filip — to, co teraz widziałem, jest chyba najsmutniejszym w świecie automatów. Mam tego dosyć!

— Nie rozumiem — spytał Plato — dlaczego pan Filip jest zagniewany.

— Proszę panów — oświadczył Avanti — za naszych czasów problem ten przedstawiał się inaczej. Cześć, jaką mieliśmy dla wielkiego człowieka, przenosiliśmy także na jego zwłoki. Tam gdzie spoczywały jego szczątki, pielgrzymowały tłumy, grób jego czczono pomnikiem, stanowiącym wyraz wdzięczności współczesnych. A potem po szeregu lat stawiano temu mężowi pomniki także na innych miejscach.

— Nie rozumiem — rzekł Plato otwarcie — dlaczego, skoro życie w organizmie ustało, miano czcić wielkiego ducha w martwych gnijących wnętrzo-

ściach i w kościach butwiejących. Przecież ów duch nie żył w zgniliznie.

— Tak? — wtrącił Filip — A gdy wy teraz popiół zmarłych wyrzucacie na pola, jako nawóz, to ja tego także nie rozumiem. To jest ordynarne, plugawe, wstrętne, ohydne, to jest więcej, niż świństwo!

Plato odpowiedział spokojnie:

— Gdy zwracamy martwy proch ziemi, z której on powstał, proch ten dostaje się znowu w obieg życia. Nowe życie daje mu nowe formy bytu, martwy proch zmartwychwstaje. Owa upragniona nadzieja zmartwychwstania, przewijająca się przez religie wszystkich wieków, staje się rzeczywistością. Tylko odbywa się to w doskonalszej, czystszej formie, niż za waszych czasów.

— Tak? A skądże bierzecie życie dla owego martwego prochu? — zapytał Filip lekceważąco.

— Stamtąd, skąd się bierze wszelkie życie na ziemi: ze słońca.

— Synowie słońca! — szepnął Avanti.

Wychodząc z krematorium profesor zatrzymał się na chwilę i rzekł poważnym tonem do Platona:

— Ja was jednak teraz zrozumiałem. Dla was taki, smutny dla nas akt pogrzebu, nie jest żadnym aktem żałoby. Tu bowiem dla was zaczyna się przemiana. Tutaj jest miejsce, gdzie się zaczyna śmierć, ale nowe życie, bo tu, jak pan powiedział, martwy proch wchodzi w obieg nowego życia.

Homunkulusy przytaknęli.

— Tak — wtrącił Filip — gdyby tylko można było przypomnieć sobie potem, że się już raz żyło. A tymczasem co? Żyje się, powiedzmy 70 lat, potem idzie się do tego pieca, potem się zmartwychwstaje, żyje się i znowu wraca się do pieca, a potem znowu do fabryki. I tak w kółko. Trochę to za nudne, ale być może, że tak w istocie być powinno.

Wsiadli do samochodu.

— A teraz jedźmy tam, gdzie powstają homunkulusy — rzekł profesor.

— Tam będzie więcej ciekawego do widzenia — zawołał Filip i sięgnął ręką do kieszeni, aby się upewnić czy nie zgubił fotografii Kasi. Filip był stanowczo zdecydowany poprosić dyrektora, aby mu zrobił narzeczoną.

Po godzinie jazdy przybyli do wielkiego kompleksu budynków, stojących wśród ogrodów. Wejście do wnętrza nastęczało rzeczywiście wiele trudności. U wejścia do gmachu frontowego musieli się zatrzymać w poczekalni. Tu jakiś urzędnik odebrał od Platona szereg papierów zaopatrzonych czerwoną pieczęcią, poprosił aby chwile poczekał i oddalił się.

— Chyba boją się, abyśmy im nie skradli kilkoro dzieci — zauważył Filip.



— Nie — odparł Plato — ale tu trudności zwiedzania są zupełnie uzasadnione. Służba jest tutaj nader odpowiedzialna, najmniejsze przeoczenie może spowodować uszkodzenia rozwijających się istot i nie dać im pełni doskonałości do służby publicznej. My także pomimo otrzymanego zezwolenia na zwiedzanie, nie będziemy mogli zatrzymać się tu dłużej, aby nie zabierać czasu pracującym i nie absorbować uwagi funkcjonariuszów.

Bo kwadransie czekania zjawił się dyrektor w towarzystwie dwóch widocznie asystentów. Powitał ukłonem przybyłych i poinformował, aby zachowywali się jak najspokojniej i jak najostrożniej. Dodał zarazem, że aczkolwiek urzęduje tu już 13 lat, zdarza się mu po raz pierwszy, że pozwolono na zwiedzenie zakładów.

Z jego zachowania się widać było, że nie jest uradowany wizytą.

Dyrektor poprowadził do wielkiej sali, wyglądającej na laboratorium chemiczne. Stały tu rzędem stoły o płytach diamentowych, zastawione różnymi przyrządami. Przy stołach siedziało kilkunastu pracowników, tak zajętych swymi czynnościami, że nawet nie spojrzeli na wchodzących.

— Ta sala służy tylko do badania próbek chemikaliów, albo do specjalnych doświadczeń — objaśniał dyrektor. — Więcej interesujący będzie dla panów drugi pokój.

Ten był również tak samo urządzony jak pierwszy, tylko tutaj odbywały się badania mikroskopowe. Przy każdym stole siedział pochylony nad mikroskopem homunkulus, wyglądający według późniejszej uwagi Filipa przeraźliwie poważnie.

— Z chwilą, gdy powiodło się nam wytworzyć sztucznie białko — zaczął dyrektor — kwestia stwarzania żywych istot była w zasadzie rozwiązana. Zresztą trwało to całe wieki, zanim zdołano wydrzeć tajemnicę wszystkich połączeń białkowych. Gdy jednakże powiodło się wydrzeć naturze jej tajemnicę i gdy zdołano w sztucznej drodze przez łączenie różnych połączeń białkowych wytworzyć protoplazmę żyjącą, nauka posiadała tajemnicę życia. Dalsze odkrycia postępowały już szybkim tempem, a były coraz większe i donioślejsze. Ich rezultatem było poznanie istoty życia zwierzęcego. W tej sali wyrabia się sztuczną protoplazmę, a ci urzędnicy mają za zadanie badać ją pod względem chemicznym i fizycznym, mianowicie czy odpowiada wymaganiom naszym dla dalszej produkcji.

Avanti i Filip spojrzeli przez mikroskop. Avanti przypatrywał się z silnym zainteresowaniem, natomiast Filip odwrócił się wnet rozczarowany, mówiąc, że nie ma na co patrzeć. Dopiero profesor pouczył go, że owa nikła plamka śluzowata jest tą ważną protoplazmą i że tylko dobrze wyćwiczone oczy badacza mogą

ją w mikroskopie dostrzec. Mimo to Filip nie był zadowolony. Nie zajęła go także i następna sala, chociaż tam dyrektor miał dłuższy wykład o produkowaniu jądra. Za to profesor z silnym poruszeniem ciągle zaglądał do mikroskopów i prowadził z dyrektorem nader ożywioną rozmowę, przeplataną łacińskimi nazwami. Na chwilę, tylko zainteresowało Filipa, gdy zdołał przez mikroskop dojrzeć w słuzowatej plamce coś w rodzaju małej glisty.

Dalsza olbrzymia sala, do której weszli, była prawie nieoświetlona. Od sufitu z dużej lampy padało jakieś osobliwe żółtawe światło, tak jednak niedostateczne, że potrzeba było dłuższy czas wpatrywać się, aby oczy oswoić i dostrzec, co jest w sali. Stały tu wielkie szafy, wypełnione sześciokątnymi słojami szklanymi. Filip zauważył, że wygląda to na ule, zdziwił się też niemało, gdy się dowiedział, że w tych słojach odbywa się proces rozwoju homunkulusów ze sztucznego jaja aż do sztucznego człowieka.

Każdy słoje był zaopatrzone w dwa gumowe węże wiodące do wielkiego naczynia, stojącego na środku sali. Z rozmowy profesora z dyrektorem dowiedział się Filip, że w owym naczyniu znajdował się płyn odżywiający, który, automatycznie doprowadzany do słojów, żywił znajdujące się w nim embriony.

Profesor za zezwoleniem dyrektora zaglądał do poszczególnych słojów i wpatrywał się w nie z ogromnym zajęciem. Także Filip zaglądnął do jednego słoja, zobaczył jakąś małą bryłkę czy kłębuszek, a w następnym słoju taką samą bryłkę różowawą, tylko nieco większą. Filip doznał rozczarowania.

W sali panowało ogromne gorąco. Filip spływał potem, był też zadowolony, gdy wyszli ze sali.

Na korytarzu Filip ze zdziwieniem spostrzegł że Platona i Archimedesów nie było z nimi, dowiedział się jednak, że homunkulusy nie mają wstępu do tych zakładów.

— Aha — zauważył zadowolony — zawsze mówiłem, że jesteśmy czymś więcej niż automaty.

W następnej sali czekała Filipa, wielka niespodzianka. Ta sala była także tak samo zaciemniona jak poprzednia i tak samo było w niej gorąco. Tutaj pracował cały szereg funkcjonariuszy. Odpuszczali oni płyn ze słojów, po czym wyjmowali z nich owe różowe bryłki. Filip wobec ciemności nie mógł dojrzeć kształtów tych bryłek, za to słyszał z prawdziwym zdziwieniem, że każda z nich kwękała jak nowonarodzone dziecko.

— Aha — myślał — to tutaj homunkulusy przychodzą, na świat.

Profesorowi błyszczały oczy z ciekawości i zadowolenia. Chciał o coś spytać, ale powszechne kwękanie w całej sali uniemożliwiało wszelką rozmowę.

W sali panowała jakaś słodkawo duszna, mdła woń, Profesor czuł, że wnet mógłby tu zemdleć, toteż pomimo całej swej ciekawości odetchnął z zadowoleniem, gdy wyszli na korytarz.

— Panowie są zapewne nieco znużeni — zauważył dyrektor i zaprowadził gości na balkon, kazawszy podać przekąski.

— Właściwie najistotniejsze działy zwiedziliśmy — oświadczył — pokażę panom jeszcze sale, w który pielęgnuje się nowo stworzonych homunkulusów w pierwszych tygodniach rozwoju.

— O! — krzyknął Filip zaciekawiony — a skądże bierzecie mamki?

— Filipie, ty rzeczywiście strzelasz bez namysłu — zawołał profesor z gniewem. — Przypomnij sobie, czy za naszych czasów zawsze karmiono mamkami? A czy nie mogłeś przypuścić, że od owej pory chemia zrobiła tak olbrzymie postępy, iż dziś niewątpliwie są środki, zastępujące w znacznie lepszym stopniu mleko jako czynnik odżywczy?

— Tak jest — przytaknął dyrektor — zresztą zobaczymy to wnet.

Podczas jedzenia zapytał Avanti ilu homunkulusów rocznie produkują zakłady oraz czy ich ilość jest stała z roku na rok.

— Jesteśmy w możności w tych zakładach produkować rocznie o 20.000 więcej osobników niż to czynimy — oświadczył dyrektor — przeciętnie jednak dostarczamy co roku 8 do 10 tysięcy. Nigdy nie produkujemy ponad rzeczywiste zapotrzebowanie. Rząd co roku podaje nam wykaz zapotrzebowania homunkulusów i to już z podziałem na kategorie.

— To coś w tym guście — wtrącił Filip — jak za naszych czasów budżet pana ministra wojny.

— Więc wasz budżet państwowy oblicza się nie w pieniądzach ale w ludziach.

— Sprawa rzeczywiście przedstawia się w ten mniej więcej sposób — odparł dyrektor. — Zasadą ekonomii naszego państwa jest aby nigdy nie było więcej lub mniej homunkulusów, lecz tylko tyle, ile potrzeba dla państwa. Po wielkiej katastrofie żywiołowej jaka się zdarzyła podczas trzęsienia ziemi we Włoszech, gdy część Włoch na południe od Neapolu wraz ze Sycylią, zapadła się w morze i pochłonęła miliony homunkulusów, otrzymały nasze zakłady znacznie większe zamówienia i musieliśmy się starać, aby nadrobić ów ubytek, tak aby nie oddziałal on na funkcjonowanie całego organizmu państwowego. Poza tym jednak z roku na rok wydajemy mniej więcej równe ilości osobników.

— Proszę mi jednak powiedzieć — odezwać się Avanti — czy stwarzanie wszystkich osobników odbywa się jednakowo, czy też są przy tym jakie różnice?

— Tak jest, są różnice. Z tych zakładów wychodzą przeważnie urzędnicy, profesorowie czyli pracownicy umysłowi. Tutaj też, odpowiednio do przyszłego zawodu, embriony są inaczej hodowane, mianowicie kładzie się główny nacisk na rozwój mózgu. W innych zakładach produkują tylko robotników, i tam kładzie się nacisk na wytworzenie u nich odpowiednio rozwiniętych mięśni.

— A to ładne pojęcia o wolności i równości — oburzył się Filip. Tu każdy musi być tym, czym go zrobili! Czy to słusznie? Za naszych czasów syn chłopca mógł zostać papieżem. Napoleon był synem małego adwokata.

— A czy u panów nie marnowały się talenty? — zapytał dyrektor. — Czy nie ginęły genjusze z braku odpowiednich warunków? Czy głupcy nie stali nieraz na naczelnych stanowiskach i nie rządzili mądrzejszymi od siebie?

Filip milczał zawstydzony. On sam niegdyś wypowiadał podobne uwagi.

— My nie jesteśmy niesprawiedliwymi — ciągnął dalej dyrektor. — U nas również polega na tym, że każdy, czy to z tej czy z innej fabryki ma to samo prawo do życia. Ten, który fizycznie pracuje dla państwa, jest w swych prawach i obowiązkach zupełnie równy temu, który pracuje umysłowo. Według dawnej miary ja powinienem być przez panów uważany za pierwszego urzędnika w państwie. Tymczasem moje potrzeby są zaspokajane w ten sam sposób, co i potrzeby robotnika fabrycznego lub polnego. U panów pod tym względem było znacznie gorzej. U was o przyszłości decydowała kołyska. Jeżeli była ona królewską, to chowany w niej osobnik zostawał królem albo księciem, choćby nie był zdolny nawet do zamiatania ulic. I zawsze był on czymś więcej, niż wszyscy inni, którzy nie chowali się w tak znanych niegdyś dostojnych domach, chociażby nawet pod każdym względem go przewyższali. My zapobiegliśmy takim różnicom radykalnie: dajemy każdemu uzdolnienie najlepsze dla jego przyszłego zawodu.

— Za naszych czasów — szepnął Filip — nie szło tak sumarycznie po fabrycznemu.

— My też wprowadzamy różnice — odparł dyrektor. — Jednym rozwijamy mięśnie, innym mózg.

— A tak, prawda — dodał Filip, przypomniawszy sobie matematyków. — Zresztą, to wszystko, co tu widziałem, jest wprost nadzwyczajne. Sądzę też, że gdyby pan dyrektor zechciał, to mógłby mi spełnić jedną małą prośbę.

— Proszę: o co panu chodzi?

Filip sięgnął do kieszeni po fotografię.

Profesor widząc to pochwycił go gwałtownie za rękę i zawołał:

— Ty jednak rzeczywiście nie zaniechałeś tego błazeństwa?

— Proszę pana profesora, to nie jest błazeństwo. Gdy przed 2000 lat dałem się uśpić, byłem przekonany, że gdy się zbudzę, zastanę na świecąc także kobiety. W przeciwnym razie byłbym się lepiej zastanowił nad tą całą sprawą. Mnie zresztą ciągnie do kobiety i już nic na to nic poradzę, że jestem taki a nie inny. I pan profesor nie powinien się na mnie gniewać o to, że ja taki jestem.

— O co panu właściwie chodzi — dopytywał dyrektor.

— Ależ, chodzi mu o nonsens — rzekł porywczo profesor. — O nonsens, którego zresztą nigdy by pan nie spełnił. Filipie, posłuchaj, zaczekaj jeszcze, ja w domu pomówię z tobą obszernie na ten temat, a jeżeli potem będziesz się jeszcze upierał przy swoim zamiarze, ja sam przedłożę twoją prośbę u właściwych czynników.

— Kiedy proszę pana profesora, my już nie prędko możemy się zobaczyć z panem dyrektorem, ja też dlatego chcę skorzystać ze sposobności. Proszę też pana profesora nie gniewać się na mnie, że jestem takim starożytnym człowiekiem, ale ja już inaczej nie mogę. Mnie potrzeba kobiety.

— Więc rób sobie, co chcesz — mruknął Avanti i odwrócił się od Filipa.

— O cóż panu chodzi — ponowił dyrektor zapytanie. — Mówił pan, że widział pan tu tyle nadzwyczajności, byłoby też słusznym, abyśmy także od pana dowiedzieli się o czym nadzwyczajnym.

Filip pomilczał chwilę, puczem zaczął uroczyście:

— Wielmożny panie dyrektorze. Jak pan dyrektor wie ze swych studiów, ludzie za moich czasów byli inni niż homunkulusy. Załatwiali oni swój rozwój we własnym zarządzie, nie fabrycznie, co zresztą na ogół było wcale przyjemne zwłaszcza, jeżeli się miało pieniądze. Ja pochodzę z owych czasów i przed 2-ma tys. lat miałem narzeczoną, która, mnie bardzo kochała.

— Nie kłam przynajmniej — wtrącił profesor.

— Przepraszam, miałem narzeczoną, którą ja bardzo kochałem i która naturalnie już dawno umarła. Ale ja ją jeszcze teraz bardzo Kocham i dlatego chciałem prosić pana dyrektora, aby był tak łaskaw, i zrobił mi tę drobnostkę i według tego wzoru — tu Filip wyciągnął fotografię Kasi i podał ją dyrektorowi — zechciał mi w swoje fabryce kazać zrobić narzeczoną.

Dyrektor spoglądał jakby osłupiały.

— My mamy zrobić żeńskiego homunkulusa? — spytał po chwili.

— Bardzo bym o to prosił — zawołał Filip ze łzami w oczach, składając ręce jak do modlitwy.

— To się jednak nie da zrobić — zauważył dyrektor. — W pierwszej linii trzeba się zapytać o to rządu, a bardzo wątpię, czy zgodzi się na tak niebezpieczny

eksperyment.

— Widzisz, — odezwał się profesor — mogłeś mi oszczędzić tego. — Przepowiadałem odmowę i zakazywałem ci przedkładać taką prośbę.

— Proszę pana profesora — zawołał Filip — to jest całkiem prywatna sprawa.

— Nie przesądzam sprawy — odezwał się dyrektor — ale w każdym razie sprawa nie pójdzie łatwo. Ja zresztą odpowiednio do moich obowiązków zakomunikuję rządowi pańskie życzenie.

— Jak długo może potrwać fabrykacja? — dopytywał Filip natarczywie.

— Jeżeli sprawa pójdzie przed parlament, a niewątpliwie tak się stanie wobec doniosłości problemu, to zawsze zabierze to cztery do sześciu tygodni.

— To byłoby nie dużo.

— Jeżeliby parlament zaaprobował życzenie, zaraz nadejdzie do nas odpowiednie zlecenie.

— O, to ładnie, — zawołał Filip, zacierając ręce. — Ja też bardzo gorąco proszę, pana dyrektora o spełnienie mojej prośby.

— Uczynię co będę mógł.

Filip uradowany zwrócił się do profesora i zawołał:

— Proszę też pana profesora nie gniewać się na mnie, ale nie mogłem inaczej postąpić. Mnie zanadto ciągnie do kobiety. Gdybym był przewidywał, że tu nie będzie kobiet, byłbym się nie dał uśpić.

— A czy rozważyłeś, w jakim przeciągu czasu będziesz mógł otrzymać swoją homunkuluskę, przyjmując, że rząd zgodzi się na jej wyprodukowanie? Może pan dyrektor raczy łaskawie wytłumaczyć to.

— Przed dwudziestym rokiem życia żaden homunkulus nie wstępuje do służby publicznej. Może pan zatem czekać najmniej dwadzieścia jeden lat, o ile rząd naturalnie zgodzi się na pańską prośbę.

— O, to dużo, to bardzo dużo — wykrzyknął Filip przerażony. — Wtedy będę miał 2057 lat. To już na niewiele przyda się kobieta. O, to niedobrze, to bardzo niedobrze. O tym nie myślałem.

— Może więc zechcesz cofnąć swój pomysł — wtrącił profesor.

— O nie — odparł Filip stanowczo — będę czekał. Już same widoki, że moja prośba będzie spełniona, dadzą mi dużo przyjemności. Będę czekał, ewentualnie wniosę podanie do wysokiego rzędu, aby mi narzeczoną kazał wydać wcześniej, gdy będzie miała 17 lat. U nas i z takimi latami się żeniono. Bardzo też pana dyrektora proszę o gorliwe poparcie mojej sprawy.

— Obiecałam to panu, i zrobię, co będzie możliwe.

Na tym skończyła się na razie rozmowa. Dyrektor zapytał, czy goście chcie-

liby zwiedzić salę niemowląt, na co profesor skwapliwie się zgodził.

Pawilon dziecięcy składał się z 12 sal wielkich wybornie przewietrzonych. Wzdłuż ścian stały rzędem małe łóżeczka, a w nich leżały na jedwabnej pościeli maleństwa. Pomiędzy łóżeczkami kręcił się szereg urzędników biało ubranych. Nie było słychać żadnego szmeru, gdyż podłoga była wyścielona dywanami.

Nagle z końca sali dało się słyszeć ciche kwilenie. Natychmiast zebrało się tam kilku funkcjonariuszów i starali się uspokoić maleństwo, podając flaszeczkę. Rzeczywiście wnet nastąpiła cisza,

— Dzieci te mają po cztery dni życia — szepnął dyrektor, po czym poszedł do jakiegoś osobliwego aparatu wiszącego na ścianie, i oglądał go bacznie. Następnie skinął na jednego z funkcjonariuszów i rzekł:

— Do przepisanej temperatury brakuje 0.23 stopni Celsjusza.

Poprosiwszy gości, aby się z nim razem udali, wyszedł pośpiesznie do kancelarii i zaczął bacznie studiować stan różnych aparatów, po czym dał znak dzwonkiem, a gdy wszedł nowy urzędnik, zapytał:

— Co to znaczy, że w sali brakuje 0.23 C. Skąd się to wzięło?

— Jedna maszyna zepsuła się — brzmiała odpowiedź. — Upłynęło 16 minut, zanim uruchomiono drugą maszynę i stąd pochodzi spadek ciepłoty.

Dyrektor zaczął dalej uważnie spoglądać na aparat sygnałowy, mający wielką złotą wskazówkę, po czym zapytał :

— Jak dawno puszczone w ruch nową maszynę?

— Przed pięciu minutami.

— Różnica wynosi tylko 0.08 C. Dobrze.

A zwróciwszy się do Avantiego oświadczył:

— Na tym punkcie musimy przestrzegać jak najuważniej temperatury. Maleństwa te są nader wrażliwe na ciepło i różnica kilku dziesiątych może być dla nich. szkodliwą.

Profesorowi przyszło na myśl jak za jego czasów setki tysięcy, a nawet miliony niemowląt wychowywały się w nędzy, jak biedne matki musiały dzieci trzymać w niehigienicznych, wilgotnych i zimnych mieszkaniach, nie mając za co kupić opału. Niegdyś różnice kilkustopniowe w temperaturze nie były dla niemowląt uważane za szkodliwe, a tu dyrektor zakładu wychowawczego upomina się u kilka dziesiątych.

— Widzę — rzekł profesor — że za naszych czasów państwo niesłychanie grzeszyło na punkcie rozwoju dziecka. Za naszych czasów były różnie tak zwane konieczności państwowe, ale nie znano wówczas najważniejszej, mianowicie, aby w każdej jednostce widzieć część państwa i aby popierać państwo w każdym

osobniku.

— To, co pan nazywa państwem w owych czasach, było zupełnie niekompletnym tworem. Czytałem o tym dużo bardzo osobliwych historii. Nie jestem historykiem i nie wiem czy to, co czytałem, odpowiada prawdzie, ale przecież już wówczas znano u was liczne wzory organizmów zbiorowych z przyrody.

— Jak to pan rozumie — zapytał profesor.

— Mam na myśli państwa zwierząt, państwa mrówek, pszczół. U nich cała działalność jednostek zmierza do dobra zbiorowego całego państwa, i na odwrót, wszystko co państwo wyprodukuje, wychodzi na korzyść każdej jednostki.

— Nieraz już, gdy zwiedzam wasze miasto, przychodziło mi na myśl, jak bardzo wasz ustrój jest podobny do ula pszczół. Tu każdy osobnik spełnia swe obowiązki wobec państwu tak, jak gdyby z wrodzonego naturalnego popędu.

— Bo też nie ma on żadnych innych obowiązków .

— Zdaje mi się, że to jest istotną przyczyną tego zjawiska — zauważył uczony z namysłem. — Tutaj każdy osobnik niema własnych popędów.

— Oj, to prawda — wtrącił Filip. Tu się robi wszystko maszynami i każdy nie jest niczym innym, jak tylko maszyną.

— A raczej kółkiem w maszynie — dorzucił potakująco profesor.

— Zgoda, tylko kółkiem w maszynie, ale rzeczywiście niczym więcej — dorzucił Filip. — Ale proszę pana dyrektora, proszę mi powiedzieć, po co jest to wszystko. Czy to musi być to wszystko, co się tu nazywa państwem? To wszystko nie jest niczym innym, jak tylko maszyną, wielką i bardzo skomplikowaną, a nie wiadomo, dla kogo ta maszyna pracuje. A gdyby tę całą maszynę zastanowić, to od razu skończy się historia. Tylko zanim to nastąpi, proszę łaskawie zrobić mi przedtem narzeczoną, szybko, według tego wzoru, jaki podałem.

— Ależ Filipie — zauważył profesor, śmiejąc się — ty masz dar mieszania mądrych i niemądrych uwag. Pytasz, na co to wszystko. Takie pytania stawiano już za naszych czasów i nikt nie umiał na nie odpowiedzieć. Ty także jesteś zadowolony, że przyszedłeś na świat.

— No, tak, ale pewnie nie wiele bym sobie z tego robił, gdybym się był nie urodził.

— Przypuszczam... Twoja filozofia jest dosyć oryginalną. Ciężko byłoby z tobą polemizować.

Dyrektor zapytał, czy goście życzą sobie widzieć dalsze pawilony niemowląt. Profesor odmówił, a dyrektor przyznał rację, że tam rzeczywiście nie ma już nic nowego i że pawilony w których się mieszczą niemowlęta coraz starsze, są jednakowo urządzono i do siebie podobne,



W ogrodzie spotkali Platona i Archimedesesa i razem zasiedli w altanie. Rozmowa toczyła się dalej, a Avanti dopytywał jak długo pozostają niemowlęta w tutejszych zakładach.

— Około 8 miesięcy — objaśnił dyrektor. — Potem dzieci przechodzą stąd do innych zakładów, w których trwa dalsza staranna pielęgnacja. W czwartym roku życia dzieci zaczynają naukę. Jeżeli by panom to odpowiadało, to jeszcze dziś można by zwiedzić taką szkołę.

Profesor skwapliwie przystał na to i zaczął się żegnać z dyrektorem, który odprowadzał go aż do samochodu. Filip bacznie patrzył, aby jeszcze raz pomówić z dyrektorem i gdy profesor podawszy dyrektorowi ostatni raz rękę, wszedł do samochodu, Filip pochwycił dyrektora za rękaw i zawołał:

— Proszę pana dyrektora, ja jeszcze raz usilnie proszę, aby pan dyrektor był łaskaw nie zapomnieć o mnie i o tym, o co prosiłem. Jeżeli by zachodziła potrzeba, abym wniósł podanie, albo żeby mi się osobiście stawił u wysokiego rządu, to zrobię, co potrzeba, bo jest to dla mnie sprawa nader ważna i mogę już teraz pana dyrektora zapewnić, że narzeczoną, którą mi pan dyrektor robi, będę zawsze bardzo kochał i będę się z nią zawsze dobrze obchodził i nigdy jej nie zbiję.

— Chodźże już raz — zawołał profesor.

— Zaraz, proszę pana profesora, ale to dla mnie jest sprawa bardzo ważna i to, o czym mówię z panem dyrektorem, to są pierwszorzędne kwestie.

Dyrektor przyrzekł jeszcze raz, że uczyni wszystko, co leży w jego mocy, aby poprzeć prośbę Filipa. Filip wzruszony tym, że łzami w oczach pochwycił rękę dyrektora i chciał ją ucałować. Dyrektor z widocznym zdziwieniem cofnął rękę, nie rozumiejąc co Filip zamierzał.

— Filipie, proszę natychmiast do siebie — rozległ się gniewny głos Avantięgo. — Nie zanudzaj pana dyrektora swymi głupstwami.

Filip jeszcze raz przypomniał dyrektorowi obietnicę i uradowany pobiegł do samochodu.

— Proszę pana profesora. — zaczął — to była dla mnie najżywniejsza sprawa, bo dla mnie niewiasta jest kwestią życia. Jeżeli się dowiem, że świetny rząd zgodzi się na sfabrykowanie mi narzeczonej, to zaraz cały świat będzie mi się wydawał ładniejszym i nawet z automatami się pogodzę.

Samochód mknął szybko wśród pól pokrytych wysokim zbożem.

— Czy daleką mamy drogę — zapytał profesor.

— Dostyc daleką — objaśnił Plato. — Dzieci wychowuje się zdaleka od miasta, aby im zapewnić najlepsze warunki higieniczne. Nasze szkoły stoją wśród drzew,

krzewów i pól. Dopiero gdy wychowanie się skończy i dany osobnik dojrzeje już do swego zawodu, wówczas przenosi się do miasta.

— To znakomicie. Jeżeli teraz pomyślę o dzieciach z moich czasów, widzę, jak ogromny postęp zapanował u was. Niegdyś miasto było źródłem powszechnego zepsucia dla dzieci. Tysiące ich niszczyły się fizycznie i moralnie. Przepędzały one swoją młodość w atmosferze zatrutowanej wyziewami z kominów fabrycznych, a umysł psuł się wcześniej na widok występków wielkomiejskich. Już wtedy poczyniliśmy spostrzeżenia charakterystyczne, że nasi wielcy, którzy przywodzili ludzkości, prawie nigdy nie byli rodem z wielkich miast, lecz tylko ze wsi lub z małych miasteczek. Prawdopodobnie dzięki temu nie doznali oni wczesnego zepsucia, jakie wnosi wielkie miasto.

Po jakimś czasie automobil przybył do wielkiego parku i Plato oświadczył, że są tu na miejscu. Wielkie kwadraty łąk, miłe gaje, staw, na którym przebywało różnobarwne ptactwo, zgrabny mostek drewniany, wiodący przez staw do małej wyspy, wszystko to tworzyło nader uroczą całość.

— Trzeba to jednak pochwalić — zauważył Avanti — Za dawnych czasów dziecko musiałoby sobie bardzo starannie wybierać rodziców, aby mogło znaleźć takie warunki dla siebie.

— Mnie na przykład wcale nie i poszło dobrze z tym wyborem — wtrącił Filip. — Gdy w domu zanadto broiliśmy i zrobiliśmy skandal, to ojciec całkiem po prostu wyrzucał nas za drzwi i z ulicy mogliśmy wrócić dopiero za trzy lub cztery godziny. Musieliśmy więc sami na siebie uważać, a jeśli który wrócił potem do domu z dziurą w głowie, to dla przyspieszenia wyleczenia dostawał sporą porcję kijów, a jeśli obok dziury w głowie była jeszcze dziura, w spodniach, to ta porcja była jeszcze większą.

Wysiadłszy z automobilu, wszyscy ruszyli szeroką, cieniastą aleją i wnet doszli do obszernego placu, wysypanego lśniącym białym żwirem. Na placu tym, pod dozorem około 50 nauczycieli, roił się nieprzejrzały zastęp pięcioletnich homunkulusów. Część ich bawiła się piłką, inni zajmowali się rzucaniem pierścieni, inni skakali przez sznur, a grupa kilkudziesięciu dzieci bawiła się w pytkę.

Profesor przypatrywał się dłuższy czas uważnie zabawom, wreszcie odezwał się.

— Dziwna rzecz, jak spokojnie odbywa się tu zabawa. Mimo, że jest tu tak wiele dzieci, nie słychać żadnych krzyków żadnego śmiechu ani płaczu.

— A jakie poważne miny mają te pędraki — dodał Filip. — Za moich czasów, jeśli zeszło się choć dziesięć bębnow, to był spektakiel taki, że o dziesięć kamienic dalej było co słyszeć. Pamiętam, że bawiliśmy się raz w Indian. Ja byłem

naczelnikiem. Toczyliśmy wówczas tak zacięte walki, że aż policja była zmuszona bawić się razem z nami i obu naczelników odprowadziła na inspekcję. A jak mnie potem ojciec zabrał z policji, to rodzonym skalpem musiałem odpokutować za mój zapał wojowniczy.

Dał się słyszeć głos dzwonka. Momentalnie wszystkie dzieci, jakby za ruszeniem sprężyny przestały się bawić, piłki, sznury i inne zabawki zaczęły zbierać służący, a dzieci same, bez hałasu, nawoływań i zamieszania ustawiły się w ósemki i na znak dany przez nauczycieli, ruszyły pochodem w aleję.

Profesor potrząsnął głowę.

— Porządek, jaki tu widzę, jest niewątpliwie zadziwiający — oświadczył i za moich czasów inspektor szkolny, ujrawszy coś takiego, byłby nader zadowolony. Ale wszystko to w sumie czyni na mnie tak osobliwe wrażenie, że nazwałbym je po prostu nieprzyjemnym, odpychającym. Tym malcom brak po prostu radości dziecięcej, nie skaczą, nie śmieją się, wszystko, co robią, wygląda tak, jakby... nakazane... jakby było automatyczne.

— Bo też rzeczywiście tak jest — oświadczył Plato. — U nas wszystko aż do najmniejszych szczegółów jest z góry obmyślane i ustanowione. Na podstawie naszych ksiąg możemy matematycznie wyrachować dokładnie, ile razy każdy homunkulus w swej młodości rzucił piłkę, ile razy skakał przez sznur, ile razy biegał z pytką w ręku. Wychowanie u nas jest rzeczywiście do najdrobniejszych szczegółów przygotowane, a znakomite poczucie obowiązku i przepisów u naszych nauczycieli i wychowawców daje nam pełną rękojmię, że wszystkie przepisy będą najskrupulatniej wypełnione. Doprowadziliśmy też do takiej perfekcji, że na każdą poszczególną godzinę lekcji w każdej klasie są wypracowane przez rząd osobne, specjalne plany nauki, określające jak najdokładniej cały materiał naukowy. Takich przepisów nie można, zmienić ani na odrobinę, a także nie wolno do nich dodać ani słowa więcej.

— Więc o indywidualizacji podczas nauki nie może być ani mowy w takich warunkach — zauważył Avanti.

— A na co indywidualizować? — zapytał zdziwiony Plato. Na punkcie wychowania i rozwoju wszyscy uczniowie, są jednakimi, żaden nich nie wychował się w tak zwanej niegdyś rodzinie, żaden z nich nigdy nie pozostawa pod jakimś indywidualnym wpływem.

— Wszyscy pod jedną miarę przykrojeni — dorzucił Filip. — Była tylko jedna forma, resztę robi się na hurt. Mój Boże, jak to było za moich czasów! Byli i kujony i tacy, co się sami wszystkiego nauczyli i tacy, którym nauczyciel nie mógł niczego wsadzić do mózgowicy. Byli bogaci i biedni, zgrabni i maszkary,

brudni i umyć, byli tacy, co nosili w zimie futerka i tacy, co chodzili boso. A tutaj jest tak bardzo inaczej, tutaj jest tak wszystko jednako.

Wyglądało to na rodzaj pochwały ze strony Filipa, jednakże kiwał on bardzo głową i ponuro spoglądał w ziemię.

Zaczął zwiedzać różne sale szkolne. W jednej z nich nauczyciel uczył o kuli i pokazywał ją dzieciom. W innej uczył o sześcianie, także go demonstrując, w następnej nauka obejmować walec.

Dzieci dawały bardzo mądre odpowiedzi

— Kula jest okrągła.

— Kostka jest kanciasta.

— Walec jest okrągły.

Wszystkie te odpowiedzi brzmiały bardzo serio. Malcy wyglądali jak poważnie, jakby byli profesorami, bo tego każdy wiedział, o co jest pytany: na znak nauczyciela wstawał z miejsca i odpowiadał trafnie.

W żadnej klasie nie było też słycać, żadnych rozmów, czy szeptów, nie było żadnego szmeru.

— No, tu się nauczycielowi dobrze wiedzie — zauważył Filip. — Ma on lekką służbę. Mnie się zdaje, że całym jego zatrudnieniem jest w ciągu godziny nakręcać tu małe automaty, a każdy z nich będzie odpowiadał, jak dobrze idący zegarek. Tu się chyba nie zdarzy, aby ukarano kiedy którego z tych malców.

— Nie — odpowiedział Plato, — to się u nas nie zdarza. Do rzadkości należy, aby który uczeń niedomagał na punkcie nauki. A jeśli taki wypadek zajdzie, to z pewnością, musiał się zdarzyć jakiś błąd w okresie tworzenia. Uczeń tu nie winien, nie ma go zatem za co karać.

— No, panie, panie — zauważył Filip, — gdyby tak pan mógł zobaczyć szkołę za moich czasów! Toż by pan miał spektakiel. Włosy by panu na głowie powstawały. Gdy byłem w ostatniej klasie, mieliśmy nauczyciela, który był bardzo powolny. Cośmy mu wyrabiali! Rzucaliśmy kulkami z papieru, z procy strzelaliśmy do niego, a w maju przynieśliśmy raz do klasy trzy duże pudła, pełne chrabąszczy. Co to był za jubel, gdy one zaczęły latać po klasie i tłuc się o szyby. Nauczyciel stał za katedrą, blady i wściekły i nie wiedział, co robić, a my wyliśmy z radości.

Plato i Archimedes z zupełnym osłupieniem słuchali tego opowiadania, po czym zapytali z zainteresowaniem, co się dalej stało?

— Dalej poszło wszystko, jak zwykle — odpowiedział Filip. — Nauczyciel sprowadził dyrektora. Był to niski mężczyzna, przed którym jednak mieliśmy respekt. Przyszedł on z tęgą trzcina i nie namyślając się ani chwili, zaczął nas

okładać, gdzie dopadł. Po głowie, po rękach, po plecach. Oj, bolało to, pamiętam, ale od razu byłem cicho i wszyscy inni także cicho siedzieli. Dyrektor został dalej na naszej godzinie i nauczyciel zaczął pytać i lekcja szła przyzwoicie.

— Ależ to było barbarzyństwem! — zawołał Plato.

— To potworne! — dodał Archimedes — Jakżeż można bić dzieci!

— To było zwykłe u nas. Ja sam miałem niejedną pręgę od niego. Ale gdy sobie o tym przypomnę, to jednak jestem mojemu dyrektorowi wdzięczny.

— Co? Wdzięczny pan jest? Za co?

— Bo stary miał także swoje dobre strony. Gdy na przykład poszliśmy na wycieczkę, to bawił się z nami tak wesoło i tak broił, jak gdyby sam był uczniakiem. A na Boże Narodzenie w szkole urządzał nam zawsze drzewko i tak się z tego cieszył, jak gdyby te wszystkie zabawki, które porozwieszał dla nas, były dla niego przeznaczone.

— Drzewko na Boże Narodzenie? Nie rozumiem. Co to takiego było? — zapytał Plato, przeprowadzając wszystkich do wielkiej sali naukowej, zastawionej różnorodnymi przyrządami.

Gdy tu usiedli, Filip zaczął opowiadać o Bożym drzewku. Mówił we właściwy sobie sposób, po prostu naiwnie, ale wspomnienia widocznie zaczęły go opanowywać, gdyż głos mu drżał, gdy opowiadał, jak zawsze czuł się szczęśliwym, gdy matka czyniła przygotowania do wigilii, jak nawet surowy zawsze ojciec w takiej chwili był łagodny i bawił się z dziećmi, jak wszystkie dzieci od szeregu dni naprzód rozmawiały tylko o drzewku, jak niecierpliwą wyczekiwały na chwilę, w której otworzą się tajemniczo zamknięte drzwi drugiego pokoju, a potem nie mógł oczu oderwać od złożonych orzechów, od różnych gwiazd i ozdób ginących w sznurach łańcucha z papieru.

Profesor założył ręce i studiując tego opowiadania, zapatrzył się gdzieś przed siebie. Widocznie własne wspomnienia zaczęły brać w nim górę, bo choć Filip zakończył, profesor dalej patrzył nieruchomo w jeden punkt.

Homunkulusy słuchali opowiadania Filipa ze zdziwieniem i od czasu do czasu kiwali swymi mądrymi głowami. To co on mówił, nie mogło do nich przemówić, było to wszystko nowością dla nich, było czymś obcym, niezrozumiałym.

— Wszystko to — zaczął Plato — co nam pan opowiedział, było może ładnym i może dzieciom z pańskich czasów sprawiało przyjemność, ale nasze dzieci, nie rozumiałyby tego. I gdybyśmy im spróbowali zrobić takie drzewko, byłoby to zupełnie bezcelowym. Naszą dążnością jest utrzymać dzieci z dala od tego wszystkiego, co by one później, podrosłszy i przyszedłszy do poznania, uznały za

złudzenie czy kłamstwo. Wszystko, czego ich uczymy, ma na celu uczynić z nich sprawnych pracowników państwa, któremu mają potem służyć.

— Przecie i za moich czasów mieliśmy jako chłopcy różne rzeczy, które były nieprawdą — odpowiedział Filip — a mimo to nic się ani nam ani państwu nie stało. Mieliśmy różne bajki o olbrzymach, o karłach, o czarownikach i to było bardzo ładne do czytania. Pamiętam, miałem już ponad 30 lat i byłem już w służbie u pana profesora, zobaczyłem u chłopczyka w pewnym znajomym domu taką książeczkę o czarownikach. Pożyczyłem ją sobie i choć znałem to wszystkie bajki i choć wiedziałem, że to wszystko jest nieprawdą, ja, stary koń, przeczytałem ją za jednym zamachem wielką przyjemnością. Pewnie, było tam wiele bzdurstw, ale mnie się to i tak bardzo podobało i cieszyłem się ze starych historyjek i żałowałem, że nie jestem młody. Właściwie to ja nie umiem powiedzieć, co wtedy ze mną było, na to trzeba uczonego człowieka.

— Ty jednak mówiłeś jakoby z książki — odezwał się Avanti, powstając i podając Filipowi obie ręce. Filip uściśnął je z szacunkiem, ale także z pewnym zdziwieniem.

— Jeżeli panowie życzą, sobie zwiedzać dalej zakłady, to moglibyśmy pójść do dalszych sal – przemówił Plato, powstając z krzesła. — Możliwe jest, że w związku z poglądami, które panowie tutaj wypowiedzieli, nie będzie tu dla panów nic interesującego, gdyż u nas usunięto z planu nauk wszelki pierwiastek fantastyczny, wszelkie podania, i bajki. Moim zdaniem jest to dobre, gdyż głównym celem wychowania jest u nas uczynić dzielnych pracowników dla państwa i ich umysł dostosować wyłącznie do ich zawodu. Ten cel udało się nam osiągnąć.

— Widzę — wtrącił Filip — że wy traktujecie dzieci jako przyszłe części składowe maszyn. Musicie je odpowiednio przykroić, przyheblować, przypoliturować, aby skoro stara śruba wypadnie, mieć nową w zapasie.

Profesor mimo woli roześmiał się, Filip bowiem bardzo prosto ujął w tych słowach cały system wychowania u homunkulusów.

Plato i Archimedes zaczęli dalej oprowadzać po różnych salach. Wszędzie zgromadzenia dzieci przedstawiały ten sam monotony bezduszny obraz. Panowała zupełna cisza, dzieciaki o twarzach pełnych profesorskiej powagi i w skupieniu słuchały wywodów nauczyciela, i z największą pedanterią wypełniały jego polecenia.

W jednej ze sal dzieci zabawiały się klockami. Układały one klocki już to w długie proste linie, już to w kwadraty lub w piramidy, to znowu według jakichś skomplikowanych prawideł matematycznych. Profesora a także Filipa uderzyło, że wszystkie, te czynności wykonywały one równocześnie, równocześnie sta-

wiały te same wzory i równocześnie jakby na komendę burzyły je, przy czym wszystkie ich ruchy były przerażająco te same, jednakie, monotonne i czyniły pełne wrażenie doskonale idącego mechanizmu. Filip miał rację: już w tych palcach była rozwijana maszynowość.

— Proszę pana profesora — odezwał się Filip do nauczyciela, dozorującego dzieci — a może by pan kazał im tak z pamięci wystawić z klocków domek albo kościół czy cośkolwiek z natury, według własnego ich wyboru. Sądzę że to może by więcej spodobało się bębnom niż te uczone figury.

— To nie może być — odparł nauczyciel poważnie.

— Dlaczego by nie? My także jako dzieci budowaliśmy domki i to było bardzo pięknie. Budowaliśmy je z piasku, z cegieł, z kamieni, z patyków. Takich kostek nie mieliśmy, bo to za dużo kosztowało.

— U nas jest to ustawowo wzbronione — odparł nauczyciel. — Dziecko musi wiedzieć, co to jest kwadrat, kostka, ostrosłup. Wszystko inne sprzeciwia się prawdzie. Prawda i rzeczywistość są wytycznymi naszego systemu wychowawczego.

— Zapewne dzieci zasypiają wszystkie równocześnie o jednej i tej samej godzinie — zapytał dalej Filip z ukrytą złośliwością.

— Rozumie się samo przez się — odparł wychowawca z całą powagą.

— No, to musi być ładne klaśnięcie, gdy równocześnie zamknie się naraz tyle powiek!

Także profesor nie okazywał zadowolenia z pobytu w szkole i na zapytanie Platona, czy chce zwiedzać dalsze ubikacje, odpowiedział odmownie, dodając, że wprawdzie nieco inaczej przedstawiał sobie, jak tu może wyglądać, że jednak rozumiał, iż inaczej być nie mogło,

W westybulu nastąpiło pożegnanie. Dyrektor żegnając się z profesorem, oświadczył z uroczystą miną:

— Mam nadzieję, że panowie, zwiedziwszy nasz zakład, mieli sposobność przekonać się, jak wysoko stoi u nas system wychowania. W poszczególnych oddziałach panuje ścisły porządek, a najdrobiazgowsze przepisy doprowadziły do tego, że każdy nasz wychowanek przerobić musi w oznaczonym czasie cały materiał szkolny. Używając wyrażenia: czas, mam na myśli nie lata, miesiące, tygodnie lub dni, nie; z zakończeniem każdej godziny dzieci muszą przerobić cały materiał. Wspaniały mechanizm naszej pedagogiki umożliwia to.

Profesor wybąkał w odpowiedzi kilka uprzejmych słów i podawszy rękę, oddalił się, a Filip, żegnając się z dyrektorem, rzekł mu uroczyście:

— Niechże pan dalej poleruje gorliwie swoje przyszłe kawałki maszyny

państwowej.

Chciał jeszcze coś równie przyjemnego powiedzieć, ale Avanti usłyszawszy początek, wezwał go stanowczo, aby zamknął gębę.

W drodze powrotnej panowało milczenie. Avanti nie chciał krytykować szkół obecnych głośno, aby nie urazić czym Platona i Archimedes, a także Filip milczał zawzięcie wbrew swemu zwyczajowi. Myślał on ustawicznie teraz nad tym, czy świetny rząd spełni jego prośbę.

— Jeżeli, moja Kasia na świat przyjdzie — odezwał się nagle do profesora — to dam nauczycielom kilka wskazówek, jak ją należy wychowywać. Byłoby strasznym, gdyby była takim samym manekinem, jak ta cała sztuczna banda. Mnie potrzeba wesołej niewiasty.

— Więc ty rzeczywiście sądzisz, że ci stworzą homunkuluskę? — spytał profesor z powątpiewaniem.

— Uważam to nawet za pewne — oświadczył Filip optymistycznie. — Pan dyrektor zatrzymał sobie fotografię na wzór, i tak sobie myślę, że zrobią mi tę małą drobnostkę i jedną retortę z tej całej masy w zakładzie oddadzą na sprawienie mi niewiasty. Sądzę, że zrobią to choćby tylko dla własnego urozmaicenia

— Z ciebie jednak jest dzieciak.

— Ej nie, bo wówczas nie prosiłbym o kobietę. Ja sobie też tak myślę, że gdyby mi wolno było doradzać...

— To radziłbyś, abym i ja zażądał dla siebie niewiasty — dorzucił Avanti ze złością.

— Tak jest — dopowiedział Filip z całym przekonaniem. — Homunkuluskę, która by pasowała dla pana profesora. Tak na przykład grecką niewiastę! Wenus czy Dianę, czy jak się tam one nazywały. Oglądałem takie stare figury w muzeum i muszę przyznać, że greckie kobiety były ładnie rozwinięte i miały także różne inne zalety, o których jednak z respektu dla pana profesora nie wypada mi mówić.

— Czemuż więc sam dla siebie nie chcesz Wenus czy Diany?

— Proszę pana profesora, ja nie jestem badaczem przeszłości, ja nie pracuję w antykach. Minęły już dwa tysiące lat, ja nie widziałem mojej Kasi, a nie mogę o niej zapomnieć. Właśnie z miłości do niej chciałbym, aby mi zrobiono niewiastę, która by tak wyglądała jak Kasia.

— Ależ zastanów się, że przecie nie potrafia zrobić ci niewiasty, która by fizycznie i duchowo była jej wierną podobizną!

— Z duszą to nie koniecznie musi być tak sama. To już może dyrektor poczynić pewne poprawki. Aby tylko zewnętrznie było mniej więcej podobnie. Naturalnie będą musieli wziąć do fabrykacji silnie rozwinięty zarodek, gdyż moja



Kasia była przynajmniej dwa razy tak gruba jak każdy dzisiejszy automat.

Profesor rozbawiony zapytał obu swych towarzyszków, jak sądzą, czy rząd zgodzi się na życzenie Filipa,

— Nie widzę powodu — zauważył Piano — dla którego by miał odmówić temu życzeniu. Obawiam się jednak, że małżeństwo będzie bezdzietne.

— To nic nie szkodzi — zauważył Filip. — Mnie nie chodzi o dzieci. Byłbym tylko bardzo wdzięczny, gdyby dało się fabrykację przyspieszyć. Może by tak więcej ogrzewali fabrykę? Słyszałem bowiem, że w krajach ciepłych kobiety prędzej dojrzewają.

Po przybyciu do mieszkania i po kolacji, gdy obaj homunkulusy odeszli na spoczynek, profesor zapytał Filipa, czy zadowolony jest z tego wszystkiego, co dzisiaj widział.

— Ot — rzekł on wzruszając ramionami — widzieliśmy, jak się teraz wyrabia ludzi i jak się ich wychowuje. Z automatów mogą być tylko automaty. Z wychowaniem mojej Kasi musi pójść inaczej. Jeżeli mi rząd pozwoli, zajmę się tym sam.

Profesor w milczeniu wpatrywał się w okno. Stare drzewa, w parku w niewyraźnym poblasku świateł rzucanych przez ściany domu, wyglądały dziwnie upiornie i przybierały fantastyczne kształty. Szedł z nich wiew zmarłej dawno, niepowrotnej przeszłości, szły echa z przed dwóch tysięcy lat.

Profesor nagle odwrócił się od okna, usiadł bezwładnie na fotelu i dłońmi zakrył twarz.

— Co się stało — zawołał Filip przestraszony.

Upłynęło kilka długich minut milczenia. Wreszcie profesor podniósł głowę i smutno spojrzawszy na Filipa, odezwał się znużonym gipsom:

— Wiesz, ja jednak widzę, że źle zrobiłem, godząc się na twoje uspienie razem ze mną.

— Ależ proszę pana profesora — krzyknął Filip poruszony.

— Tak jest, tak jest. Nie zastanowiłem się nad tym głębiej, dałem za szybko zezwolenie. My tu wiecznie będziemy czuli się obcymi, opuszczonymi! Dziś widzieliśmy tu proces życia i śmierci: to wszystko dzieje się tylko dla dobra państwa...

— Proszę pana profesora, mnie to się takie myśli dziś nasunęły. Widzieliśmy jak zmarłych homunkulusów palą. Otóż mnie się przypomniało, jak raz mój ojciec wsadził w zimie do pieca starą skrzynkę, zepsutą i nie przydatną już do użytku. To jest tak samo jak z homunkulusami. Gdy się zestarzeją i umrą, wsadzą

się ich do pieca jak starą skrzynkę, a państwo zrobi sobie na jej miejsce nową. Zapewne na każdego spalonego homunkulusa państwo zrobi sobie nowego. I na co to wszystko jest potrzebne? Co by się stało, gdyby zamknięto fabrykę dzieci? Czy to państwo musi istnieć? Jeżeli świat może się teraz obchodzić bez ludzi, to może się także obejść bez homunkulusów. Niech państwo dziś wyda zarządzenie, że nie trzeba wyrabiać więcej homunkulusów, to skończy się cała parada ze życiem. W gruncie rzeczy wszystko, co tu jest, jest niepotrzebne. Przecie to nie musi być, aby homunkulusi żyli. Przecie to nie jest konieczne, aby istniało państwo homunkulusów. Powinno być nic, musi być nic!

Profesor w milczeniu słuchał tej filozofii nicości, po czym machnął ręką i rzekł:

— To wszystko nie prowadzi do niczego. Idź

spać, ja także jestem zmęczony. A nie myśl o tym, na co są homunkulusy. Także i ludzie nie zdołali zbadać, na co istnieją.

Filip zamyślony ruszył ku drzwiom. Nagle stanął, odwrócił się i zapytał:

— A proszę pana profesora, czy pan profesor sądzi, że oni mi zrobią Kasię?

Profesor mimo woli parsknął śmiechem.

— Wiesz — rzekł wesoło — ja sam będę czynił co tylko będę mógł, aby spełniono twoją prośbę.

Twarz Filipa zajaśniała radością. Momentalnie zapomniał o ponurych problemach zagadki bytu, radość wstąpiła w niego. Świat jest jednak piękny — pomyślał, kładąc się do łóżka.

W następnych dniach w usposobieniu profesora zaszła widoczna zmiana. Był milczący, zamknięty w sobie, w stosunku do homunkulusów bardzo skąpy w słowach, całe dni spędzał w bibliotece, a obiady przeważnie spożywał tylko w towarzystwie Filipa, z którym chętnie gaworzył z przyjemnością widać słuchał jego filozofowania i jego marzeń o przyszłości. W pięknych dniach jesiennych, jakie teraz nastąpiły, często spędzali obaj długie godziny w parku, albo nad stawem, karmiąc różne osobliwe ptactwo wodne, przy czym profesor, teraz tak milczący i zamyślony, zaśmiewał się zawsze z wesołością dziecka ze wszelkich humorystycznych uwag, wygłaszanych przez Filipa podczas karmienia ptaków.

Pewnego dnia na stawie ukazali się nowi goście, mianowicie jakieś dziwaczne ptaki z olbrzymimi szyjami, o krótkim tułowiu i wielkich płetwach. Filip, rzucając im pokarm, zauważył ku niesłychanemu swemu zdziwieniu, że dzioby tych osobliwych ptaków były zaopatrzone zębami.

Stworzenia te wyglądają na przedpotopowe okazy, — zauważył Avanti do Platona, który właśnie nadszedł.

— Udały się zupełnie dobrze — odpowiedział Plato. — Chcieliśmy panu zrobić przyjemność i przenieśliśmy je tutaj z menażerii.

— Jak to mam rozumieć, że udały się dobrze? — zainterpelował profesor.

— To znaczy, że ptaki te wytworzone zostały w sztucznej drodze — objaśnił Plato. — Mamy instytut, który zajmuje się specjalnie próbami wytwarzania różnorodnych form zwierzęcych. Dziś jesteśmy już w możności wytworzyć wszystkie formy okazów, dawno już zaginionych, a znanych tylko ze starych kronik. Mamut, ichtiosaurus, plesiosaurus, wszystkie owe potwory pierwotnych czasów, wszystko to znajduje się już w naszej menażerii. Może pan profesor zechce kiedy zwiedzić ten zakład.

— Owszem, bardzo chętnie. — zawołał żywo uczony — przedtem jednak chciałbym jeszcze zobaczyć wasze szkoły ludowe i średnie. Ostatni mój pobyt w

zakładzie wychowawczym dał mi trochę ujemnych wrażeń, te jednak już minęły, ale niektóre kwestie interesują, mnie jeszcze i dlatego radbym odbyć taką wizytę.

Wycieczka ta nastąpiła za kilka dni.

Szkoły znajdowały się dosyć daleko poza miastem i podczas jazdy automobilem Plato objaśniał profesora o systemie pedagogicznym u homunkulusów.

— Najniższą formą szkoły jest tak zwany ogródek dziecięcy. Tam przygotowuje się dzieci od drugiego roku życia do właściwej nauki. Uczy się je mówić i rozpoznawać poszczególne przedmioty.

— To bardzo dobry system — zauważył Avanti. — Wasi nauczyciele w początkowych szkołach mają w ten sposób znacznie ułatwione zadanie. Za moich czasów nieraz zdarzało się, że dzieci, zwłaszcza biedniejsze, zaniedbane w domu, przychodziły do szkoły, nie umiejąc nawet mówić wyraźnie.

— U nas do szkół ludowych muszą chodzić wszystkie dzieci, nauka trwa osiem lat.

— To u was nie ma szkół wydziałowych?

— Wydziałowych? Nie wiem, co to znaczy.

— O ile sobie przypominam, tak nazywano dawniej trzy najwyższe klasy szkół ludowych. Dlaczego jednak tak je nazywano, nie wiem.

— U nas nauka dla wszystkich dzieci jest jednakowa do 14 roku życia. Potem następuje podział na szkoły, odpowiednio do przyszłych zawodów wyznaczonych jednostkom. To są szkoły średnie, fachowe. W takich szkołach uczeń uczy się wszystkiego, co mu potrzebne do jego przyszłego zawodu, specjalnych praktyk nie potrzebuje już odbywać, gdyż w szkołach przerabiają cały materiał także praktycznie.

— A czy tacy starsi chłopcy muszą się także opiekować młodszymi, nosić ich i bawić? — wtrącił Filip, — Za moich czasów tak zawsze bywało.

— Cóż ty za nonsensy pleciesz? — zawołał Avanti.

Plato wypatrzył się na Filipa i po chwili oświadczył, że nie może zrozumieć, o co chodzi

— Nic, nic — pospieszył Filip. — U was jest rzeczywiście lepiej pod tym względem.

Automobil zatrzymał się przed wielkim gmachem.

— Oto nasza szkoła ludowa — oświadczył Plato.

— Jak to? — zapytał Avanti zdziwiony — wy macie tylko jedną szkołę?

— Tak jest, i nie widzę powodu, dlaczego by miało być więcej szkół. O ile mi wiadomo, za pańskich czasów każdy okręg miasta miał osobną szkołę, odpowiednio do ilości dzieci w dzielnicy.

— No, nie zawsze — wtrącił Filip,

— Nie przeszkadzaj.

— Do tego każda wieś miała niegdyś swoją szkołę — ciągnął dalej Plato.

— Także nie zawsze — dodał Filip.

— Nie przeszkadzajże.

— U nas decentralizacja nie jest potrzebna. U nas nie ma życia rodzinnego, dzieci nie rodzą się w różnych miejscowościach, nie ma też powodu tworzyć szereg szkół. U nas dzieci z ogródków dzieciennych przechodzą do szkół ludowych i tam otrzymują pomieszkanie, opiekę, wyżywienie naukę i wychowanie.

— Ach, to dobrze — zawołał Filip — wobec takiego systemu dzieci nie spóźnią się do szkoły, co u nas zdarzało się często, bo u nas dzieci w domu musiały nie tylko się uczyć, ale także trzeba było bawić mniejsze dzieci, biegać za sprawunkami, sprzątać i dlatego nieraz dzieci spóźniały się do szkoły i nie nauczyły się lekcji, za co były karane, a państwo, aby temu zapobiec, karało także rodziców pieniężnie albo zamykało ich do kozy,

— Taak? — spytał Plato zdziwiony. — A czy dzieci więcej się nauczyły, gdy ukarano rodziców?

— Widzi mi się, że, nie.

— Otóż ma pan tu widoczny przykład błędnego systemu wychowania w dawnych czasach.

— Oj, to prawda, za moich, czasów niejedno było w szkole niedobre i dlatego nie chciało się do niej chodzić.

— U nas warunki organizacyjne naszego życia zbiorowego zezwalają na centralizowanie wychowania młodzieży. Nie wiem na pewno, ale zdaje mi się, że w każdej klasie mieści się do 53 uczniów. Zresztą zaraz to zobaczymy.

W parku oczekiwał gości urzędnik szkolny, zawiadomiony już naprzód o ich przybyciu i zaprowadził ich do kancelarii dyrektora, który przyjął ich z wielką uprzejmością, i zaczął oprowadzać po gmachach. Zarówno profesora, jak i Filipa uderzyło, że wszystkie sale były bardzo wielkie i urządzone z dużym komfortem. Sypialnie, jadalnie, sale do zabawy robiły wrażenie sal pałacowych. Były także wielkie łazienki z ogromnym basenem pod otwartym niebem i z basenem zamkniętym, na zimę, były sale gimnastyczne, a w parku ogromne place do zabaw, a nawet wielkie boisko, które na zimę zamieniano na ślizgawkę.

Filipowi ogromnie zaimponowało to wszystko, zwłaszcza sale do rozrywki, przypomniał sobie bowiem, że za jego czasów mówiono, iż młodzież jest do tego, aby się uczyła, a nie bawiła.

— Ale to ciekawe, że nigdzie nie widać uczniów — zauważył Avanti.

— Bo właśnie są w klasach. Maja panowie obecnie najlepszy, sposobność przypatrzeć się naszemu nauczaniu. Od rządu otrzymałem polecenie, abym panom w miarę możliwości ułatwił zwiedzanie zakładu. W tym gmachu znajduje się czwarta klasa, obejmująca 2750 oddziałów, po 30 uczniów w każdej.

— Bagatela! — zawołał Filip. — Ładna klasa!

— Może wejdziemy do której ze sali — zachęcał dyrektor — właśnie jest lekcja historii. We wszystkich oddziałach opracowuje się ten sam temat, wystarczy zatem zwiedzić jedną tylko klasę.

Weszli do dużej sali, o olbrzymich oknach. Niewielka liczba uczniów gubiła się tu prawie.

Nauczyciel stał na podium obok stołu zastawionego licznymi przyrządami fizycznymi.

Dyrektor w kilku słowach objaśnił nauczyciela o celu przybycia.

Filipa bardzo zdziwiło, że uczniowie nie wykorzystali chwili zamieszania, aby się zacząć kułakować.

— Proszę mi wybaczyć, panie dyrektorze — odezwał się Avanti — miała tu być lekcja historii, tymczasem widzę tu tylko przyrządy laboratoryjne.

— Tak jest, są one rzeczywiście przyniesione tu dla ułatwienia nauki historii.

— Nie rozumiem — szepnął profesor zdziwiony. — Fizyka i historia, to dziwne...

— Pozwólmy mówić nauczycielowi — wtrącił Plato — jego wykład najlepiej objaśni te powody.

Nauczyciel pokazywał uczniom, stos Volty, podejmował z nim różne doświadczenia i opowiadał o tym wielkim badaczu, który swym odkryciem, a raczej zapoczątkowaniem poznania nowych sił przyrody oddał ludzkości tak wielkie usługi. Nauczyciel pokazał uczniom także podobiznę tego wynalazcy.

Następnie opowiadał o Duńczyku Oerstaedcie i o jego badaniach igły magnetycznej. W prostych, jasnych słowach przedstawił znaczenie epokowe tych badań dla późniejszego rozwoju ludzkości i także pokazał podobiznę jego.

Profesor ze wstydem pomyślał, że widzi tę podobiznę po raz pierwszy. Gdy skończyła się godzina, dzieci wyszły na plac zabawowy a Avanti, podziękowawszy nauczycielowi z zachwytem za lekcję, udał się na zaproszenie dyrektora do jego kancelarii.

— Więc to nazywa się lekcja historii — odezwał się, gdy wszyscy usiedli.

— Tak jest. — objaśnił Archimedes. — Naszym zadaniem przy nauczaniu historii jest pokazać młodzieży, jakimi drogami szedł rozwój ludzkości. Nasza historia jest historią kultury. My uczymy o rozwoju aparatu tkackiego, telegrafu,

motoru. My uczymy, jak ludzkość przez odkrycia i wynalazki postępowała na przód.

— A czy nie mówicie nic dzieciom o dawnych panujących, o wojnach, o zwycięstwach? — zapytał profesor.

— U nas nie ma panujących, nie ma różnorodnych państw, to też ani nie interesuje historia o władcach, ani nie byłaby rozumiana. Setki lat upłynęły już od czasów despotyzmu, od czasów panowania jednostek, od różnic rasowych. Dla nas dziś, aby użyć archaicznego porównania, Galileusz, czy Oerstaedt, jest czymś więcej, niż Napoleon.

— Muszę panu przyznać słuszność. Tak, tak, to widoczna racja. Jednakże za moich czasów tego rodzaju system nauczania nie dał się pomyśleć. I gdyby wówczas jakiś reformator szkół wystąpił z pomysłem, aby na godzinie historii nie uczyć o wojnach, o biografjach, sądzę, że wzięłoby go wówczas za wariata.

— Pewnie — dorzucił Filip — i do tego wytoczono by mu proces o zdradę stanu!

— Tak, tak, a przecież taki Edison, taki Volta więcej działał dla dobra ludzkości, niż wszyscy władcy.

— A teraz proszę panów pomyśleć, jak łatwą jest u nas nauka geografii — ciągnął dalej Plato.— Nasze dzieci nie potrzebują, się ciągle uczyć o coraz to nowych zmianach map, gdyż ziemia jest konglomeratem wszystkich państw.

— Jaka teraz przypada lekcja — spytał Avanti.

Dyrektor rzuci pobieżnie okiem na podział godzin i odpowiedział, że lekcja języka.

Zapewne gramatyka, ortografia, stylistyka, prawidła?

— Nie nasza dzieci uczą się tylko praktycznie. Od pierwszej klasy ćwiczą się one we wymowie, a prawidła odpadają jako balast niepotrzebny. U nas wystarczy zresztą tylko mówić w naszym języku, który panuje na całym świecie. Zasad nie potrzeba znać, gdyż odpadają do nauki inne języki. Za pańskich czasów uczono się języków, które na 2000 lat przed pańską erą zaginęły. Wówczas może było uzasadnionym poznanie zasad gramatyki i prawideł języka. U nas kładzie się nacisk przy nauczaniu, aby młodzież umiała się jasno i zwięźle wyrażać.

Pod przewodnictwem dyrektora udano się do jednej z klas, aby przysłuchać się nauce. Właśnie nauczyciel pouczał o zegarze. Miał duży zegar wahadłowy, dosyć prostej konstrukcji, rozebrał go na części, pokazał każdą część z osobna, nazywał ją przy tym i tłumaczył jej zadanie, po czym złożył całość i zegar puścił w ruch. Na zadawane następnie pytania co do opisu zegara, uczniowie dawali, zdumiewająco proste i trafne odpowiedzi. Byli przy tym wszyscy nader uważni i

wpatrzeni w twarz uczącego. Potem nauczyciel kazał opisać zegar.

Jakby za naciśnięciem sprężyny wszyscy uczniowie ujęli za pióra i zaczęli pisać. Na zaproszenie dyrektora profesor i Filip, któremu się bardzo spodobało grać rolę inspektora, zaczęli przechodzić między ławkami i przyglądać się wypracowaniom. Profesor z prawdziwym zdumieniem zauważył, że wszyscy uczniowie pisali jedno i to samo zdanie za zdaniem to samo, to samo słowo po słowie.

— Co u licha! — mruknął Filip, spostrzegłszy to – przecie siedzą za daleko od siebie, aby mogli odpisywać.

Uderzyło go także, że charakter pisma u wszystkich uczniów był jednaki tak dalece, że gdyby jeden zeszyt przyłożyć do drugiego i trzymać pod światło, byłoby widać tylko jedno pismo.

— Naturalnie — rozumował Filip — jeżeli one jednakie maszyny pracują, to i robota musi być jednaka.

Gdy skończono wizytację, dyrektor zapytał profesora, jakie odniósł wrażenie.

— Wszystko jest tu wspaniałe. Żałuję tylko że nie mogę o tym poinformować moich współczesnych. Mógłbym sobie wyobrazić ich zdziwienie. Równomierność pracy, jaką tu widziałem, jest zdumiewająca.

— Zawdzięczamy to działalności naszych inspektorów szkolnych, którzy stale pracują nad tym, aby w naszym systemie szkolnym doprowadzić do równoczesności każdej funkcji w każdej sekundzie.

— A co się dzieje, jeżeli któryś z waszych fabrykatów nie jest taki, jak tego chce pan inspektor — zapytał Filip.

— Wówczas odsyłamy go do fabryki.

— Aby go przerobić na nowo?

Na pytanie to Filip nie otrzymał żadnej odpowiedzi, pomyślał sobie jednak, ile by to musiano jego samego heblować, aby dopasować do innych.

Tymczasem uczniowie skończyli zadanie, jak na komendę i równocześnie odłożyli pióra. Nauczyciel kazał przeczytać kilka zadań. Jedno do drugiego były słowo w słowo podobne.

Profesor zbierał się do odjazdu. Dyrektor żegnając się z nim, zauważył, że ma przekonanie, iż terazniejsza szkoła spełnia dobrze zadanie, jakie zresztą już i niegdyś na nią nakładano.

Profesor pospieszył zapewnić uprzejmie że niewątpliwie tak jest, i wyraził swe zdziwienie, że szkolnictwo doszło do tak wielkiego rozwoju.

Filip widocznie był innego zdania, gdyż pod czas żegnania się dyrektora z profesorem, ku okropnemu przerażeniu tego ostatniego zachował się tak, iż



poznać było, że jego pogląd na szkoły homunkulusów jest biegunowo przeciwny od poglądu profesora. Filip stanął koło nich, rozkraczył nogi, wsunął ręce do kieszeni i patrząc drwiąco na dyrektora, gwizdał z lekka przez zęby.

Ponieważ profesor rzucił mu wściekle spojrzenie. Filip przestał gwizdać, skrzyżował ręce na plecach, odwrócił się i zaczął uporczywie wyglądać przez okno.

Wreszcie profesor wyszedł i siadł do samochodu. Podczas drogi powrotnej rozmawiał z silnym ożywieniem ze swymi towarzyszami, ile razy jednak Filip chciał coś powiedzieć, przerywał mu i kazał milczeć. Ale ponieważ rozmowa dotyczyła kwestii szkolnictwa, Filip, porównując obecnych uczniów ze swą własną przeszłością i dygocąc ze złości na obecne czasy, nie wytrzymał i zaczął wypowiadać swoje uwagi o ślamazarności i potakowatości młodych automatów. Profesor, zirytowany tym do żywego, zapytał czy Filip uważa się jeszcze za jego służącego. Filip potwierdził to kategorycznie i oświadczył zarazem zdecydowanym tonem, że nie ma najmniejszego zamiaru zmieniać swej służby skoro w niej przetrwał przeszło dwa, tysiące lat.

— W takim razie proszę się zachowywać spokojnie i przyzwoicie i proszę mi na przyszłość oszczędzić takich scen, jak dzisiaj przy pożegnaniu. W przeciwnym razie musiałbym wypowiedzieć miejsce!

— A kiedy ja bym nie przyjął wypowiedzenia — oświadczył. Filip buntowniczo.

— Co? — krzyknął profesor podniecony. — ja kto?.... Gdzie nasza umowa? Według umowy mam prawo wypowiedzenia ci na jeden miesiąc.

— Kiedy proszę pana profesora, ten kontrakt nie ma ważności — oświadczył Filip spokojnie.

— Ja ci pokażę, że ma ważność, ja cię przekonam — wołał profesor silnym głosem.

— A jak pan profesor mnie przekona? — zapytał Filip jeszcze spokojniej.

— Sądownie! — wrzasnął Avanti, nie panując już nad sobą.

— Kiedy tu nie ma żadnych sądów — rzekł Filip słodkiutko

Profesor umilkł. Przez chwilę spoglądał na Filipa wreszcie mruknął:

— Ty jednak masz rację.

Poza tym przez cały czas dalszej jazdy milczał uporczywie. Plato i Archimedes ze zdziwieniem spoglądali na niego i na Filipa.

Kolacja także upłynęła w milczeniu. Zaraz po jej skończeniu homunkulusy odeszli do siebie, a profesor, nie zwracając uwagi na Filipa, zaczął się rozbierać. Wobec tego Filip uklonił się w milczeniu i ruszył ku wyjściu. Znalazłszy przy

drzwiach, odwrócił się i zapytał czy profesor byłby łaskaw poświęcić mu kilka minut.

— Tylko proszę się streszczać — odburknął profesor opryskliwie.

— Proszę pana profesora — zaczął Filip — pan profesor miał nieraz słuszną okazję do gniewania się na mnie i ja przyznaję, że gdybym był na miejscu pana profesora, to takiego służącego, jakim ja jestem, wygnałbym dawno do stu diabłów. Ale proszę pana profesora, ja ciągle jeszcze nie mogę się przyzwycząić do tych automatów i mnie jest nieraz bardzo trudno opanować się i zamknąć gębę, gdy mnie roznosi. Tylko to, co ja wtedy czuję, to także tak samo myślę. Ponieważ jednak z tego powodu nikt się nie gniewa, tylko pan profesor, i ponieważ tutaj nie ma sądów, to ja bym panu profesorowi pozwolił sobie zaproponować, aby pan profesor był łaskaw cofnąć swoje wypowiedzenie, ja zaś za to będę na siebie tak uważał, że choćby mnie w złości miało pokręcić, zamknę gębę na kłódkę i nie pisnę ani słowa. Bo proszę pana profesora, nie można tutaj żądać, aby sfabrykowali specjalnego sędziego dla nas, a zresztą choćby go nawet zrobili, to upłynie tyle czasu, że pan profesor już dawno nie będzie się na mnie gniewał, albo już obaj nie będziemy żyli.

Profesor spoglądał na Filipa surowo, nagle parsknął śmiechem i wyciągnął do niego rękę, którą Filip ze wzruszeniem uściskał.

— No, no, nie rozchodzimy się, mam też nadzieję, że z naszego powodu homunkulusy nie będą potrzebowali stwarzać nowych instytucji sprawiedliwości — oświadczył profesor.

Filip był silnie poruszony i przerywanym głosem wybąkał, że uczyni wszystko, aby profesora zadowolić, a homunkulusów nie stawiać w kłopotliwe położenie zmuszaniem ich do stwarzania trybunału.

W najlepszej zgodzie obaj udali się na spoczynek.

W ciągu następnych dni profesor zwiedzał w dalszym ciągu szkoły ludowe. Filip towarzyszył mu także, ale wierny swemu przyrzeczeniu, nie wypowiadał żadnych uwag, nie krytykował, tylko patrzył i milczał.

Profesor notował swe spostrzeżenia i uwagi skwapliwie, jak gdyby miał z nich robić kiedykolwiek użytek. Ukończywszy studia nad szkolnictwem, zaczął trochę odpoczywać. Śliczne dni późnej jesieni zachęcały go do przesiadywania w parku, gdzie beczynn timer odpoczywając na ławce, wpatrywał się w opadające liście z drzew i poddawał się melancholii zamierającej przyrody.

— Ziemia znowu udaje się na sen — rzekł raz do Filipa. — Ziemia, znowu poniszczy liście drzew, dla liści będzie to także śmierć. Ale na to i homunkulusy nie poradzą.

— Bardzo słusznie — odpowiedział Filip. — Ja się zgadzam zawsze na to, co pan profesor powie. Nie jedno się im udało, ale nie może się im udawać każdy eksperyment. Bo są takie eksperymenty także, przy których uczonym muszą głowy pękać. Mnie się jednak zdaje, że i nasz eksperyment do takich należał. W ostatnich tygodniach chodziłem taki, jak gdybym wcale nie miał głowy. I proszę pana profesora, co mnie na myśl przyszło: mnie się zdaje, że to całe państwo homunkulusów, to są tylko jedne wielkie koszary, gdzie wszystko dzieje się na rozkaz. Dla takich, którzy do tego przywykli, może to być nawet przyjemne. Znałem takiego wachmistrza, który służył przy wojsku przeszło 40 lat, a gdy go potem spensjonowali, to mu bardzo brakowało komenderowania. Nie pożył też długo... Ja bym się także jednego obawiał...

— No, czegoż takiego?

— Abym nie umarł pierwiej przed panem profesorem.

— Chcesz żyć dłużej, niż ją? — zauważył profesor z uśmiechem.

— Nie o to mi chodzi, proszę pana profesora, ale tak mi się zdaje, że już na samą myśl, iż pan profesor musiałby tu sam zostać, musiałbym uciekać przed śmiercią.

— No, a cóż zrobisz, gdy mnie tu już nie będzie ?

— Pójdę sobie do fabryki i każę się zbadać, czy nie miałem jakiego błędu w mózgu wówczas, gdy dałem się uśpić. A tak mi się wszystko zdaje, że we mnie będą musieli znaleźć błąd i to taki, że nie nada się już do zreperowania, zatem będą musieli zniszczyć egzemplarz.

— Jesteś bałwan.

— Ja też tak myślę i tym łatwiej znaleźliby we mnie błąd konstrukcyjny. Zresztą, proszę pana profesora, mam wrażenie, że my w naszej podróży utknęliśmy na bezludnej wyspie....

Rozmowa się urwała.

Prof. Avanti, którego usposobienia wymagało ruchliwości i czynu, wziął się za kilka dni znowu do studiów i zaczął dalej zwiedzać szkoły, wybierając teraz szkoły fachowe.

Trzeba przyznać, że zaimponowały one nawet sceptycznemu Filipowi. On też sam, choć uprzedzony do całego państwa automatów, otwarcie mówił, że za jego czasów ani się nie śniło, aby coś podobnego mogło kiedykolwiek powstać. — Szkoła i warsztat uzupełniały się przed południem nauką teorii, po południu praktyką. Jak to niegdyś bywało inaczej, gdy uczniowie wyszedłszy wieczorem z warsztatów, brudni, musieli iść do szkoły zawodowej i tam, zmęczeni, mieli się dalej uczyć!

— No, no — mruzczał Filip, — tu jednak jest lepiej, niż u nas. Za moich czasów nie można było sobie wyobrazić, aby terminator został czeladnikiem bez brania pociągłem. Tu wcale nie biją ani nie głodzą.

— Tak jest, — rzekł profesor — tu wszystko idzie gładko.

Filip zauważył, że pochwałę tę wypowiedział profesor bardzo zimno.

Podczas zwiedzania szkół średnich spotkała profesora niespodzianka, mianowicie dowiedział się, że z planu nauk nie wycofano języka łacińskiego. Plato wyjaśnił, że język łaciński do dzisiaj jeszcze utrzymuje się w pewnych gałęziach wiedzy i dlatego zatrzymano go w nauce.

Poza tym jednak szkoły średnie ujawniały wielkie zmiany. Głównymi przedmiotami szkolnymi były matematyka i nauki przyrodnicze, natomiast historia i geografia miały tylko bardzo małe zastosowanie. Profesor ze zdziwieniem spostrzegł, że uczniowie wcale nie mieli pojęcia o niektórych wielkich epokowych wydarzeniach, jak np. o przewrotach z początku wieku XIX, o wojnach napoleońskich.

Zapytany o to Plato wyjaśnił, że wiadomości takie zupełnie nie są potrzebne, podobnie jak za dawnych czasów, w epoce profesora, nie trzeba było uczyć dzieci historii Egiptu, Grecji, Rzymu, gdyż to nie dawało żadnych korzyści.

— Ale nauka historii wpływała na kształtowanie się charakteru u młodzieży — oświadczył Avanti.

— Czy pan profesor rzeczywiście wierzy, że znajomość historii wpływa na charakter? — spytał Plato. Za pańskich czasów znajomość historii nie wpływała przecież nawet na tych, na których powiania była w pierwszej linii wpłynąć, na tych, którzy przede wszystkim powinni byli słuchać ostrzegających nauk płynących z przeszłości, tj. na panujących, na książąt i na posłów od waszych parlamentów. A co się tyczy samych charakterów, to dzisiaj odpadło u nas tak wiele czynników, wśród których się charakter rozwijał. U nas nie ma namiętności, nie ma pędów, nie ma żądy posiadania czy to dóbr ziemskich, czy duchowych, nie ma zazdrości, nie ma złości, ambicji, chciwości. Wszystko to znikło, a dzisiejsze miliony żyjących ożywa tylko jedna myśl służenia całymi siłami swemu państwu.

— Może pan ma racje — rzekł profesor po namyśle — jednakże u was nie może być mowy o współzyciu. U was jest tylko życie obok siebie. Nikt nie troszczy się o drugiego!

— Bo to nie potrzebne, gdyż u nas państwo troszczy się o każdego.

— A tak, rzeczywiście państwo mrówek! Teraz także nie ma nienawiści i sporów... tam nie ma nienawiści ani miłości ! Tak, tak, rozwój ludzkości daleko poszedł!

— Ja też wolę naszych dawniejszych uczniów — wtrącił Filip. — Co to było w nich życia i werwy! Nie tak, jak u dzisiejszych kiełbów z cebrzykowatymi głowami. Im umyślnie sfabrykowano większe głowy, aby się w nie więcej zmieściło.

Profesor musiał mu przyznać rację.

Nadeszła zima. Profesor przerwał swe studia, odkładając zwiedzenie uniwersytetów do wiosny, a na razie zabierał się znowu do pisaniu pamiętników. Spędzał też całe dni przy biurku. Filip uczuł się osamotnionym. Zima w ogóle nastrajała go ponuro, nie miał teraz żadnej rozrywki; z homunkulusami nie chciał rozmawiać gdyż twierdził, że nie ma z nimi o czym mówić. Od czasu do czasu wybierał się do miasta na wycieczkę, ale dla ostrożności zawsze zabierał ze sobą jednego homunkulusa.

Podczas jednej z takich wycieczek, Filip znalazł się przed okazałym gmachem, który, jak go objaśnił jego towarzysz, był parlamentem. Dowiedziawszy się, że właśnie odbywają się tam posiedzenia, Filip wyraził chęć przysłuchania się obradom. Wnet też homunkulus zaprowadził go na galerię.

Gmach był urządzony na wzór starożytny, ławki ustawione amfiteatralnie, były szczelnie zapełnione. W sali znajdowało się około 600 posłów. Na trybunie siedziało trzech członków prezydium, o niesłychanie serio-minach. Przed trybuną pracowało kilku urzędników, którzy wygłaszane mowy od razu zapisywali przy pomocy jakichś dziwnie skonstruowanych maszyn.

Na sali panowała zupełna cisza. Posłowie siedzieli tak cicho, jak uczniowie w szkole i z pełną uwagą przysłuchiwali się wywodom mówcy.

Filip przysłuchiwał się przez chwilę przemówieniu, ale nie mógł zrozumieć, o co chodzi i zapytał towarzysza, nad czym radzą.

— Nad budżetem.

— Nad budżetem? Skądże mogę tu radzić nad sprawami pieniężnymi, skoro u was nie ma pieniędzy?

— Tu nie chodzi o pieniądze. Tu mają ustalić, ilu pracowników państwo będzie potrzebowało na rok przyszły, na sali zasiadają reprezentanci wszystkich warstw pracujących, tu są zastępcy przemysłu, rolnictwa, szkolnictwa i inni. Co roku ustala się ilu homunkulusów potrzeba dla każdej gałęzi pracy.

— To coś podobnego bywało i za moich czasów. W parlamencie naszym zjawiał się co roku minister wojny i zapowiadał, że potrzebuje tyle a tyle rekruta. Jeżeli parlament był zadowolony ze rządu, to przyznawał mu to zapotrzebowanie, jeżeli zaś był w niezgodzie z rządem, to robił opozycję. Wtedy zwykle przychodziło do awantur w parlamencie, a gdy nie przyznano ministrowi rekruta, rząd

rozwiązywał parlament, a minister i tak otrzymywał rekruta. Czy u was dzieje się tak samo?

Homunkulus patrzył przez chwilę na Filipa. Widać było, że nie rozumiał tego, co usłyszał. Wreszcie rzekł:

— U nas parlament nie może być rozwiązany. Nie wiem także dlaczego miałyby być rozwiązywany. Jeżeli kierownik rolnictwa powie, że potrzebuje tyle a tyle sił, to trzeba mu tyle dać. On przecież nie zażąda więcej, niż rzeczywiście potrzebuje. I tak jest u nas w każdej gałęzi pracy. Każdy kierownik wie, ile potrzebuje, podaje swe zapotrzebowanie i tyle się mu przyznaje. Potem fabryki dostają odpowiednia zlecenia.

— No, to bardzo prosta historia. Ale może dziś będą radzili nad moją sprawą. Czy można by się dowiedzieć, czy dziś nie wchodzi pod obrady sprawa zrobienia kobiety?

Homunkulus poszedł do wielkiego stołu ustawionego na galerii i przyniósł stamtąd jakiś druk, objaśniając, że jest to porządek dzienny obrad. Filip zaczął go skwapliwie studiować.

Nr 1: Zapotrzebowanie zakładów elektrycznych. To chyba nie to, elektryczność nie ma nic wspólnego z moją Kasią. Nr 2 Zapotrzebowanie szkół ludowych— To także nic. Nr 3. Zapotrzebowanie komunikacji. Także nie...

Czytał dalej punkt po punkcie, nigdzie jednak nie znalazł przedłożenia o Kasi.

To też odpadło wnet całe jego zainteresowanie i oświadczył swemu towarzyszowi, że ten parlament jest niesłychanie nudny.

— Za moich czasów — powiedział — było w parlamencie zupełnie inaczej. Było wesoło i było co widzieć. U nas na sali nie tylko obradowano, ale i wymyślano sobie wzajemnie, a jeśli panowie posłowie byli w odpowiednim nastroju, to przychodziło nie rzadko do bardzo interesujących bójek. A tu u was wygląda jakby w klasztorze.

Wróciwszy do domu, Filip skwapliwie pozbierał wszystkie dzienniki z czasu trwania sesji parlamentu i dokładnie zaczął studiować sprawozdania z obrad. Obawiał się, że może jego sprawa była już na posiedzeniu, nie znalazł jednak żadnej o tym wzmianki.

— Ten parlament tyle samo wart, co i nasz dawny — mruknął niechętnie. — Dużo gadaniny i koniec.

Długie zimowe wieczory spędzał profesor i Filip razem. Było im z tym dobrze, czuli jednak jakieś osamotnienie. Filip stawał się coraz więcej ponury i zamyślony, tak, że wreszcie uderzyło to profesora.

— Co tobie jest? — spytał go raz. — Czy ci się co stało?

— Nic mi się nie stało — odparł Filip — ale pan profesor to już tak, jakby był na pół homunkulusem.

— Czemu?

— Pan profesor nie zwrócił uwagi na to, co teraz nadchodzi.

— A cóż nadchodzi?

— Boże Narodzenie.

— A prawda. Za osiem dni mamy święta. No, więc jakże będzie?

— Czekam na dyspozycje pana profesora.

— Dobry sobie! Jakżeż my tu będziemy obchodzili święta? Hm... Przed dwoma tysiącami lat dostawałeś na święta jakiś podarunek. Cóż ja ci tutaj będę mógł dać? Mamy wszystko, czego potrzebujesz, nic nowego nie można wymyślić. Doprawdy w tutejszych warunkach trudno zrobić komuś jakąś przyjemność.

— Proszę pana profesora — odezwał się Filip — jeżeli chodzi o to, czego ja chciałbym, to skoro pan profesor rad by mi sprawić jaką przyjemność... proszę pana profesora, przeczytałem sprawozdanie ze wszystkich posiedzeń parlamentu. Wniosek o zrobienia Kasi nie wszedł jeszcze pod obrady. Otóż... Jeżeliby pan profesor był łaskaw mnie na święta sprawić gwiazdkę, to... gdyby pan profesor zechciał słówko w tej sprawie powiedzieć...

Profesor zamyślił się.

— Dobrze — rzekł — zajmę się twoim życzeniem. Chcę cię widzieć znowu wesołym, jak dawniej. Czy mi się uda przeprowadzić zamiar twój, nie wiem. Nie zależy to ode mnie, ale będę czynił wszystko, co tylko możliwe.

Niechże ci to starczy za podarek świąteczny.

Filip ze wzruszeniem pochwycił rękę profesora i pocałował ją.

Kilka ostatnich dni, poprzedzających wigilię, spędził Filip na długich konferencjach ze służbą profesora i z kucharzem. Wykłady, jakie miał do nich, miały na celu pouczyć ich, jak ma się odbyć wigilia. Filip zadawał sobie sporo trudu w tłumaczeniu, homunkulusom niejednego szczegółu, nie szczędził wymowy, używał najwyszukańszych porównań i obrazów i pocił się z długiego gadania, aby im wytłumaczyć jak się powinna odbyć wigilia i co to jest drzewko. Homunkulusy słuchali niemo, od czasu do czasu kiwali głowami, a wreszcie oświadczyli, że uważają za swój obowiązek zrobić wszystko, co im Filip rozkaże.

Filip kręcił się, jak w ukropie. Biegał, rozkazywał, zmieniał dyspozycje, załamywał ręce, gdy go nie rozumiano i czuł się niesłychanie nieszczęśliwy, gdy usłyszał, że w ogóle nie ma teraz tego, czego zażądał. Taką trudność przedstawiała sprawa świeczek na drzewko. Świec woskowych nie używano już od stuleci. Jedynie dzięki pomocy uczonego Archimedesza zdołał Filip przyjść w ich

posiadanie. Archimedes podjął się dostarczenia ich po dłuższych studiach, przekonany zresztą dosadnie o ich potrzebie, skoro bowiem zaproponował Filipowi użycie na drzewko świeczek elektrycznych, Filip narobił ogromnego gwałtu, wrzeszcząc, że to być nie może. Kucharz miał nie jedną trudność do pokonania wobec zleceń Filipa ale ostatecznie przy jego pomocy wybrnął ze swego zadania.

Archimedes wystarał się o ozdoby na drzewko, jak gwiazdy, cukry, owoce, złocone orzechy itd. z trudem jednak zdołał nakłonić Filipa, aby zwłaszcza orzechy porozwieszał na drzewku, Filip bowiem był mocno niezadowolony z tego, że orzechy były pociągnięte prawdziwym złotem i srebrem zamiast pozłotką. Tak samo krzywił się Filip na dostarczone mu łańcuchy, które nie były z papieru, lecz z cieniutkiej blachy srebrnej i złotej. Za to zadowolili go wspaniała gwiazda, którą założył na wierzchołku drzewka, a która była z drogich kamieni i rzucała pyszne snopy tęczowe.

Filip z prawdziwym przejęciem zajmował się urządzeniem drzewka, rozwieszał na nim starannie drobiazgi i ucieszył się jak dziecko tą czynnością. Pracował w jednej z sal bibliotecznych, do której profesor na jego prośbę nie zaglądał, przewidując, że Filip chce mu zrobić jakąś niespodziankę.

Nadeszły święta i wystąpiły w całej swej okazałości. Śnieg walił tumanami, przez okno na kilkanaście kroków nie można było nic widzieć. Filip zacierał ręce z radości. Szkoda tylko, myślał, że nie ma tu Kasi. Jakżeby wtedy było dobrze!

Profesor siedział wieczorem w swym gabinecie i pisał, gdy rozległo się pukanie. Na głos profesora wszedł Filip. Był poruszony i uroczystym głosem oznajmił, że bardzo prosi, aby pan profesor był łaskaw zrobić mu ten zaszczyt i przyjść na drzewko.

— Cóż ty znowu za głupstwa wyrabiasz — zapytał profesor.

— Pan profesor będzie łaskaw zobaczyć. Ale to wcale nie są głupstwa.

Profesor ruszył ku bibliotece i gdy spojrział na iskrzące się drzewko, mimo woli wyrwał się mu z ust okrzyk zdziwienia. W milczeniu zapatrzył się na nie, oczy zaczęły mu wilgotnieć, przypomniawszy się mu jego przeszłość i jego dziecięce czasy, jakże bardzo dalekie...

Plato, Archimedes i Lessing oraz służba stali około drzewka, spoglądając na nie w milczeniu. I nie wiadomo, czy to cienie światła kładły się tak dziwnie na ich twarzach, czy też może fantastyczny widok drzewka oddziałwał na nich, dość, że wyglądali tak, jak gdyby na nich rzeczywiście znać było jakieś wrażenie.

— Więc to dla mnie zrobiłeś tę prawdziwie miłą niespodziankę — odezwał się profesor poruszonym głosem. — Ja także mam dla ciebie podarek świąteczny,



który zresztą kosztował mnie wiele trudu. Ty dałeś mi na gwiazdkę coś, co budzi we mnie wspomnienia przeszłości bezpowrotnej, ja dam ci coś takiego, co może przynieść ci nową, przyszłość...

Po tych słowach wydobył z kieszeni zwój pergaminowy i podał go Filipowi.

Filip pospiesznie rozwinął rulon i zobaczył na nim czerwoną pieczęć. Przebiegło go drżenie, zaczął czytać. Upłynęła długa chwila zanim skończył i zanim zrozumiał, o co chodzi. Wreszcie złapał się za głowę i wykrzyknął:

— Więc rząd się zgadza! Więc dostanę Kasię!

— O ile parlament się zgodzi na to — zauważył profesor. — Na razie zrobiłem co mogłem, aby ci sprawić podarek na święta. Reszta należy do parlamentu.

Filip pochwycił profesora za rękę i chciał ją ucałować. Tylko z trudem profesor obronił się przed tym, tłumacząc, że jeszcze sprawa nie skończona, gdyż nie wiadomo, co parlament powie.

— Ja znam parlament — wołał Filip. — Byłem tam, słyszałem jak obraduje. Tam idzie wszystko spokojnie, tam przecie załatwią, każde przedłożenie rządowe.

— I ja spodziewam się tego — dodał profesor — niemniej jednak na razie sprawa nie jest jeszcze definitywnie zakończona.

Podczas tego homunkulusy stali sztywno koło drzewka, ze swymi uroczystymi minami, a gdy im profesor wyraził życzenia wesołych świąt, skłonili się bardzo oficjalnie.

Filip zaprosił profesora do stołu, zastawionego w drugiej sali bibliotecznej. Stół przypominał rzeczywiście dawne czasy; były tu owoce, orzechy, migdały, rodzynki, były ciastka i różne słodczyce, brakowało tylko wina. Za to stało kilka karafek z „nektarem”. Profesor serdecznie podziękował Filipowi za zgotowaną, mu niespodziankę oraz za wszystkie starania około przygotowania wieczerzy.

Homunkulusy kilkakrotnie zabierali głos, wypowiadając swe podziękowanie profesorowi, że dał im możliwość uczestniczenia w tak pięknej i historycznie tak interesującej uroczystości.

Na Filipa podziałało to jakby go kto oblał zimną wodą.

— Więc to jest historyczna uroczystość — zauważył zimno — tak, tak, może to i racja. Historycznym jest wszystko, co jest poza nami, Więc i ostatnia nasza wigilia jest historyczną, gdyż leży poza nami już dwa tysiące lat. Proszę pana profesora, my obaj jesteśmy także bardzo historyczni.

Gdy po wieczerzy profesor i Filip zostali razem, profesor spytał Filipa, czy jest zadowolony z dnia dzisiejszego.

— No, od terażniejszych maszynowych stosunków nie można niczego więcej

wymagać. Ja zresztą jestem poza tym niesłuchanie zadowolony, gdyż pan profesor dał mi tak cenny podarunek.

Długo leż w noc Filip nie mógł zasnąć. Oglądał kilkakrotnie dokument rządowy, czytał niektóre ustępy po parę razy i długo rozmyślał na temat swej przyszłości.

— Najważniejsza rzecz, myślał, że sprawa jest w toku. Już nie wejdzie z porządku dziennego.

## **X.**

### **Przedłożenie o Kasi w parlamencie.**

#### **Nieprzewidziany zwrot.**

#### **Przewroty.**

#### **Zakończenie.**

Obchód Bożego Narodzenia, zaaranżowany przez Filipa, wywarł na profesrze silne wrażenie i przyprawił go o dłuższe przygnębienie. Wieczory spędzał też chętnie w towarzystwie Filipa, a jeśli się zdarzyło, że Plato lub Archimedes posiedzieli nieco dłużej, to i tak potem Filip musiał jeszcze pozostać z pół godziny na osobnej pogawędce. Zwykle profesor wypytywał Filipa o jego młodość i wspomnienia i słuchał chętnie jego prymitywnych opowiadań. Wówczas siedzieli obok siebie i obaj czuli, że im razem jest dobrze. Dawna różnica między panem a służącym zatraciła się zupełnie. Avanti i Filip uważali się raczej za starych dobrych przyjaciół.

Raz zaczęli rozmawiać na temat, co by się stało, gdyby jeden z nich umarł. Obaj zrozumieli, że ten, który by pozostał jeszcze przy życiu, czułby się niesłuchanie nieszczęśliwym. Rozmowa ta nastroiła ich bardzo ponuro i przez dłuższy czas obaj milczeli. Nagle Filip powstał i nie mówiąc ani słowa wyszedł z pokoju. Było widoczne, że pomimo całego swego serdecznego stem smaku do profesora wstydział się rozplakać przy nim.

Pewnego dnia oświadczył Avanti, że ma zamiar zwiedzić jeszcze uniwersytet, aby wyrobić sobie całkowite pojęcie o szkolnictwie u homunkulusów.

— Mnie to nie ciekawi — zauważył Filip, wruszając lekceważąco ramionami. — Ja nie pójdę oglądać studentów, nie chcę sobie psuć moich wspomnień. Dziś przecie studenci nie będą takimi jak dawniej. Do knajpy nie chodzą, i piwa

nie ma, nie śpiewają przyjemnej muzyki, nie robią kawałów, nie wbijają policjantowi czaka na głowę, nie zrobią awantury na uniwersytecie. Wolę ich nie widzieć.

— No, ale przecież nie każesz mi samemu tam się wybrać.

— Naturalnie, jeśli pan profesor sobie życzy, to pójdę, ale ja już mam swoje zdanie o tych młodych automatach.

Jednakże profesorowi nie było danym zwiedzić uniwersytet, gdyż zaszły wydarzenia, które ten jego plan pokrzyżowały.

Pewnego dnia profesor zupełnie niespodziewanie wszedł rano do pokoju Filipa, leżącego jeszcze w łóżku i machając wesoło gazetą trzymaną w ręku, zapytał, czy Filip czytał już dzienniki.

— Nie, ja już od dawna nie czytam dzienników, w nich nie ma nic ciekawego.

— No to weźże dzisiaj i czytaj — rzekł profesor podając mu dziennik i wskazując ustęp zakreślony czerwonym ołówkiem.

Filip zaczął czytać głośno:

„Wniosek dyrektora pierwszej fabryki. aby dla towarzysza profesora Avuntiego, zrobić żeńskiego homunkulusa, a to na małżonkę dla tegoż. Sprawozdanie o tym wniosku nastąpi w dzień zrównania dnia z nocą roku 3910. Sprawozdawca: dyrektor fabryki”.

— A to wspaniałe! — wykrzyknął Filip, przybladłszy nieco ze wzruszenia. — To wspaniałe! Nigdy tego nie zapomnę homunkulusom! Za i ten wniosek daruję im ich wszystkie automatowe głupstwa, które mnie tak drażniły!

Filip nie wiedział co robić ze szczęścia. Przez cały dzień był podniecony, chodził jak pijany i o niczym innym nie był w stanie mówić jak tylko o Kasi. Profesor uśmiechał się pobłaźliwie i był ucieszony jego radością.

Po kolacji, gdy obaj zostali razem, profesor zapytał, jak Filip wyobraża sobie ową homunkuluskę.

— Ja już mam wyrobione o niej zdanie, ja po prostu widzę, jak ona wygląda — Dałem przecież dyrektorowi fotografię, i on mi ją zrobi według tego wzoru. Homunkulusy to są tędzy pracownicy, ja wiem, że zrobią co zechcą, i że zrobią Kasię według wzoru.

Profesor pokiwał trochę głowę i zapytał:

— A co będzie, jeżeli wypadnie ona podobnie jak wszyscy inni? Czy będziesz wtedy zadowolony?

— Już ja ją sam wychowam, może pan profesor być o to spokojny. W każdym

razie nie będzie kłótniwa. Kłopotów także nie będzie u nas, bo państwo będzie się starało o nas oboje. A poza tym musiałaby to być strasznie głupia baba, gdyby się jej na przykład jakiś homunkulus miał więcej spodobać niż ja. Tym przecież, co ja jako mężczyzna przedstawiam, nie może się pochwalić żaden homunkulus. Zresztą będzie ona— miała wielki obowiązek wdzięczności wobec umie.

— Jak to ? — spytał profesor zdziwiony.

— Całkiem po prostu; gdyby nie moja prośba, aby ją zrobiono, nie przyszłaby w ogóle na świat. Co prawda, będzie jej niejednego brakowało, bez czego dawniej żadna kobieta nie obeszłaby się, na przykład nie będzie miała balów, karuzeli, jarmarków, ale tak sobie myślę, że chemicy tej fabryki wynaleźli już taki środek, że gdy nim Kasię napuszczą przy fabrykacji, to zaraz się w niej zbudzi zmysł gospodarczy. Ja też poproszę dyrektora, aby tego środka nie żałował. A zresztą, gdyby nawet co roku żądała ode mnie po dziesięć kapeluszy, to je dostanie. Mogliby też w fabryce za jednym zachodem sfabrykować ze dwie lub trzy inne niewiasty, które by Kasi pomagały w kuchni, aby miała na kogo krzyczeć, Tak jest proszę pana profesora, ja czuję, że na ogół będę z Kasi zadowolony.

Następnego dnia Filip otrzymał urzędowe zaproszenie, aby w dotyczącym dniu posiedzenia parlamentu przybył do sali obrad i aby zabrał głos jako ekspert przy punkcie pierwszym porządku dziennego, dotyczącym przedłożenia o Kasi.

Filip uczuł się niewypowiedzianie szczęśliwym.

— Naturalnie będziesz musiał przemawiać w języku homunkulusów — zauważył profesor.

— Ależ dobrze, owszem. Ci ludzie są tak uprzejmi, że zasługują na wszelkie moje względy.

O ile dotąd czas dłużył się Filipowi, teraz dni wydawały się mu krótkimi. Przepędzał je pracując gorliwie nad swoją, mową, pisał, poprawiał, przerabiał, kreślił, radził się, i głośno odczytywał sam sobie poszczególne ustępy, ucząc się przy tym gestykulacji przed lustrem. Wreszcie oświadczył profesorowi, że jest gotów i że prosi o generalną próbę. Profesor zaprosił do tego Platona, Archimidesa i Lessinga i Filip wobec tego areopagu odczytał swój elaborat, prosząc o poprawkę, jeżeli to potrzebne, gdyż — jak się wyraził — nie chciałby się przed parlamentem zblamować. Profesor uznał ten argument za zupełnie słuszny nie tylko w interesie sprawy Filipa, ale także i z tego względu, aby niefortunne wystąpienie Filipa nie świadczyło ujemnie o kulturze jego czasów.

Mowa Filipa była obliczona na blisko godzinę. Filip wypowiadał w niej swe poglądy na to, jak powinna być sfabrykowana Kasia, oraz podkreślał, że ta fabrykacja jest konieczną, gdyż on sam nie pochodzi z retorty i z tego względu

posiada ludzkie uczucia, które muszą być zaspokojone. Homunkulusy mogą sobie mieć prawa swoje, ale on jest człowiekiem i ma prawa ludzkie, a za wysoko ceni sobie homunkulusów, aby mógł przypuścić, że oni tutaj w swym państwie, prawa człowieka mogliby podeptać.

Ten ostatni zwrot uznali wszyscy za zręczny i wszyscy też wyrazili się z uznaniem o koncepcji mowy. Lessing ofiarował się poczynić pewne stylistyczne poprawki, co Filip z wdzięcznością przyjął.

Jakie przyjęcie może znaleźć wniosek w parlamencie, zapytał profesor Platona i Archimedes.

Homunkulusy milczeli przez chwilę, po czym Plato rzekł:

— Trudno cośkolwiek przewidywać. Wniosek jest tak wyjątkowy i tak zasadniczo sprzeczny z zasadniczymi podstawami naszego ustroju...

— Jak to sprzeczny? — zawołał Filip. — Mogą Kasję tak zrobić, aby nie miała dzieci. Mnie nie chodzi o dzieci, nie dbam o nie. Gdzież więc będzie wtedy zagrożenie waszego ustroju?

— Sprawa bezdzietności byłaby niewątpliwie z góry przewidziana — odpowiedział Plato — gdyż nie znalazłby się z pewnością żaden homunkulus, który by zgodził się na zmianę, sięgającą tak głęboko.

Dni oczekiwania na posiedzenie parlamentu upływały Filipowi w niesłychanym napięciu. Był ciągle podniecony, nie mógł usiedzieć spokojnie i ciągle dopytywał się Platona i Archimedes, jaki nastrój panuje u homunkulusów w tej sprawie. Odpowiedzi ich były ciągle jednakowe, mianowicie, że niczego nie można przewidzieć i że nic szczególnego nie daje się wyczuć.

Aż wreszcie dnia 7 marca roku 3910 w „Dzienniku Państwowym” pojawił się artykuł, który dla Filipa był wprost niespodzianką, a także dla profesora stanowił pewną sensację. Dziennik ten, prowadzony wyłącznie informacyjnie, zamieścił dłuższe uwagi o samym wniosku i w stosunku do żądania Filipa zajął stanowisko zdecydowanie nieprzychylnie, przy czym artykuł był utrzymanym w tonie nader gwałtownym, wprost niezwykłym u homunkulusów. Artykuł podnosił, że z tytułu gościnności nie powinno się naruszać najważniejszych podstawowych ustaw państwa, a dalej wyrażał przekonanie, że w parlamencie nie znajdzie się z pewnością ani jeden członek, który by ośmielił się głosować za zrobieniem żeńskiego homunkulusa.

Filip, przeczytawszy ten artykuł, był jakby rażony piorunem.

— Do diabła — zawołał — co to ma znaczyć? Poszaleli, czy co? Co im do tego, że ja chcę kobiety! Oni tak piszą, jak gdyby oni sami mieli się żenić, a nie ja!

Artykuł powyższy nie pozostał jednak odosobniony. Wnet inne dzienniki zaczęły omawiać wniosek i wkrótce wszystkie pisma zajęły wobec niego stanowisko, przy czym, jak to Filip stwierdził z prawdziwą rozpaczą, w przeważnej mierze, bardzo nieprzychylnie. Jeden z dzienników wyraził się nawet, że wniosek jest zamachem na spokój, moralność i dobrobyt homunkulusów, że jest on aktem najstraszniejszej reakcji i że gdyby przeszedł, nastąpiłby upadek i koniec państwa homunkulusów, którzy zeszliby znowu do stanu prymitywnego człowieczeństwa, do stanu strasznej niewoli zmysłowej.

Pojawiły się jednak także głosy prasy, omawiające wniosek zupełnie spokojnie, a nawet życzliwie, i nawet nazywały śmiesznością obawę, że jedna kobieta może spowodować niebezpieczeństwo dla całej rasy homunkulusów.

Czasopisma naukowe, przeglądy tygodniowe i miesięczne, wystąpiły z szeregiem głębokich rozważań na temat ewentualnych zmian, jakie mogłoby spowodować uchwalenie wniosku Filipa; we wywodach swych sięgać zaczęły do starych źródeł i cytować z zamierzchłej przeszłości opisy stosunku mężczyzny do kobiety.

Sensację nie tylko w otoczeniu profesora, ale i wśród homunkulusów, wywołało czasopismo „Sztuka i życie”, które przyniosło wspaniałe reprodukcje dawnych piękności kobiecych, oraz ich opisy, hymny na ich cześć, pisane przez ich współczesnych, oraz słowa zachwytów i szczęścia różnych pisarzy, wypowiedziających swą radość, że danym im było widzieć te piękności.

Powyższy artykuł wraz z ilustracjami wywołał bardzo korzystny wzrost w nastrojach dla wniosku, a nawet jeden z dzienników, wskazując na owe cytaty, wystąpił z wnioskiem, aby nie tylko dla Filipa, ale dla każdego homunkulusa, który by tego zechciał, rząd kazał zrobić kobietę, gdyż, jak to wynika ze starych źródeł, taka istota potrafi życie upiększyć w nader przyjemny sposób.

Na artykuł ten odpowiedział „Dziennik Państwowy” w sposób, który zadziwił swą gwałtownością. Artykuł zapytywał, czy homunkulusy chcą na nowo powrócić do dawnej nędzy człowieczej, do niewolniczej niewoli, czy wolą cierpieć wraz z kobietami i dziećmi, zamiast mieć równy, spokojny, solidny byt.

Wywody te spowodowały pismo „Sztuka i życie” do podjęcia polemiki. Pismo odpowiedziało „Dziennikowi Państwowemu” równie gwałtownie, wykazując, że wcale nie myślało o tym, aby homunkuluski rodziły dzieci. Ten proceder powinien być nadał załatwiany fabrycznie. Pismo stawało tylko na stanowisku sztuki i w tym względnie trudno doprawdy przewidzieć, ile dodatnich wpływów wprowadzi kobieta dla sztuki, a przez to i dla życia samego.

„Dziennik Państwowy” zareagował na to krótkim oświadczeniem, że redak-

torzy czasopisma „Sztuka i życie” cierpią widocznie na jakiś błąd konstrukcyjny. Dziennik posunął się nawet dalej, gdyż całkiem kategorycznie oświadczył, że skutkiem nie nadającego się do wybaczenia zaniedbania we fabryce, u redaktorów tych pewne zadatki uczuć zmysłowych zdołały się rozwinąć. Wreszcie dziennik wprost domagał się, aby redaktorów zabrać z powrotem do fabryki i tam ich przerobić.

Równocześnie z polemiką prasową zaczęła się rozszerzać polemika ustna wśród homunkulusów i to w sposób wprost trudny do zrozumienia. Wniosek Filipa stał się powszechnym tematem rozmów. Plato przyniósł pewnego wieczora wiadomość, że w restauracjach i czytelniach homunkulusy przesiadują gromadnie, czego dotychczas nigdy jeszcze nie było i prowadzą przy tym dyskusje w sposób zupełnie nieznan w państwie. Miasto podzieliło się już na dwa obozy: jedna grupa oświadcza się energicznie za wyrabianiem żeńskich homunkulusów, a druga, składająca się z prawie wszystkich weteranów pracy, zachowuje się jak najkonserwatywniej i z jakimś osobliwym podnieceniem domaga się natarczywie zachowania dotychczasowych stosunków.

Z każdym dniem zaczęły nadchodzić coraz to nowe wieści o roznamiętnieniu się, dyskusji, o rozłamie, o ogólnym podnieceniu, które zaczęło już przybierać zatrważające rozmiary. Nawet praca w fabrykach zaczęła utykać, gdyż robotnicy zamiast wypełniać maszynowo swe obowiązki, rozmyślać zaczęli nad tym, jakby kształtowało się ich życie, gdyby każdy z nich dostał kobietę. Zaczęły się w nich budzić nieznane dotąd dziwne pragnienia, zaczęła ich ogarniać jakaś nieznana tęsknota, zaczęli marzyć o kobiecie a zapominać o swych obowiązkach.

Nagle we wszystkich dziennikach homunkulusów ukazały się poezje.

Zjawisko to w najwyższym stopniu zaniepokoiło Plutona.

— Jednakże powinniśmy byli powstrzymać pana Filipa od zgłaszania swego wniosku — rzekł Plato ponuro do profesora. — W państwie jest olbrzymie wrzenie. Nie przewidywaliśmy, że może dojść do czegoś podobnego. Trudno doprawdy wnioskować, do czego jeszcze przyjść może.

— Jak to wszystko jednak możliwe? — pytał profesor. — Przecież homunkulusy nie byli wrażliwymi w pewnych kierunkach. Dla mnie to całe podniecenie jest zupełnie nie zrozumiałe, nie mogę pojąć jego przyczyn fizjologicznych.

Archimedes pokręcił głową i rzekł z wolna:

— Nie można tego inaczej wytłumaczyć, jak tylko w ten sposób, że należy przyjąć, iż skutkiem jakiegoś mimowolnego czy może nawet nieuniknionego przeoczenia ze strony naszych uczonych, przecież w homunkulusach pozostały jakieś zarodki sił seksualnych i te obecnie nagle rozwinęły się. Wniosek pana

Filipa był do tego bodźcem.

W miarę, jak zbliżał się dzień, w którym wniosek miał wejść pod obrady parlamentu, wzburzenie i roznamietnienie wzmagало się i przybierało rozmiary wprost straszne. Odbywały się rozliczne zgromadzenia, profesor i Filip byli zasypywani zaproszeniami na nie i wezwaniami, aby na podstawie własnych doświadczeń z przed dwóch tysięcy lat, zechcieli opowiedzieć, co to jest kobieta, jakie jej znaczenie, jaki jest jej dodatni wpływ i w ogóle wszystko, co dotyczy kobiety.

Filip byłby bardzo chętnie poszedł na takie zebrania, paliło go, aby mówić o kobiecie, i aby pogłębiać korzystną dla wniosku atmosferę. Profesor jednakże stanowczo nie zezwolił na to.

— Nie możemy się mieszać do sprawy, która tych spokojnych mieszkańców uczyniła nagle tak podnieconymi — tłumaczył — nie możemy być stronnictwami, musimy się zachować neutralnie.

— Ależ ja nie mogę być neutralnym — gorączkował się Filip. — Tu przecież chodzi o mnie, to dla mnie sprawa najważniejszej wagi. Jest moim obowiązkiem wystąpić przeciw przeciwnikom!

— Ty jednak nie weźmiesz się do agitacji. W parlamencie będziesz miał dosyć sposobności do bronienia swej sprawy.

Profesor mówił tak poważnie, i stanowczo, że Filip, pomimo iż pałał chęcią wzięcia udziału w agitacji, ustąpił, czuł bowiem, że w takim razie przyszedłoby między nim a profesorem do nieuniknionego konfliktu.

Tymczasem w mieście zapanowała dręcząca nieznośna, atmosfera. Wniosek Filipa podziałał rzeczywiście podniecająco na homunkulusów, zbudziły się w nich drzemiące uczucia i wybuchły z żywiołową siłą. Homunkulusów opanowała tęsknota za czymś nieznanym, za romantyzmem.

W „Dzienniku państwowym” pojawił się artykuł pióra dyrektora zakładów fabrykacji homunkulusów, nader znamienny dla sytuacji i zarazem uderzający swą treścią. Artykuł był zatytułowany „Pomyłka nauki” i wykazywał przekonująco, że nauka współdziałając w wyrobieniu sztucznego człowieka, popełniła rzeczywiście tę pomyłkę, iż przyjmowała jako pewnik, że homunkulusy skutkiem chemicznej fabrykacji mają organizmy zupełnie wolne od żądz zmysłowych. Okazało się co innego: pierwsza myśl, aby stworzyć żeńskiego homunkulusa, zbudziła drzemiące w uśpieniu uczucia w setkach tysięcy i wywołała opór przeciw dotychczasowym stosunkom.

W odpowiedzi na te wywody naukowe, organ weteranów pracy wystąpił z wywodem, że nowy ruch, jaki się teraz tak silnie ujawnił, jest nader ubolewania



godny. Dziennik ten poprzestał na razie na tym tylko, ale w przededniu posiedzenia parlamentu, mającego obradować nad wnioskiem Filipa, wystąpił ze strasznym artykułem, w którym domagał się ni mniej ni więcej, jak tylko, aby rząd usunął Avantiego i Filipa, gdyż ich obecność właśnie wywołała taki zamęt. Naturalnie usunięcie to — zdaniem pisma — powinno się odbyć w sposób humanitarny, tj. bez bólu.

Filipa ciarki przeszły, gdy przeczytał tę radę.

— Przecież chyba nie wezmą mnie siłą — zawołał pomieszany w najwyższym stopniu. — Zresztą nie dam się, będę się bronił.

— Co chcesz zrobić — zapytał profesor.

— Zażądam opieki policji,

— Przecież tu nie ma policji.

— Udam się pod osłonę sądu.

— Tu nie ma sądu.

— Prawda... Tu jest się zupełnie opuszczonym. Tu jest się bezsilnym wobec wszelkich gwałtów ze strony państwa.

Profesor uśmiechnął się smutno. Przypomniało się mu, że i niegdyś bywało tak samo.

Wieczorem przyszedł do profesora Plato. Miał minę bardzo poważną.

— Jest rzeczywiście wprost niezwykłym, jak silne panuje podniecenie — oświadczył. — Galerie parlamentu będą jutro przepełnione. Obawiam się, że jutro, po kilku wiekach spokoju, przyjdzie do gwałtownej burzy.

— Ale chyba nas stąd nie napędzą — zapytał z przestraszonym Filip.

— Utworzyły się dwie potężne grupy — ciągnął dalej Plato, nie zważając na zapytanie Filipa — obie są prawie jednako silne i jutro przyjdzie między nimi do gwałtownego starcia. Po prostu nie rozumiem, skąd się to wszystko bierze i to tak nagle. Przez całe wieki żyli homunkulusy w spokoju, a tu nagle przychodzi do wybuchu wojny domowej. Pragnąłbym tylko jednego, mianowicie, aby przeszedł wniosek pana Filipa.

Profesor mimo całej powagi położenia, uśmiechnął się nieznacznie, zdawało się mu bowiem, że i Plato, ten poważny Plato, także zapragnął dla siebie kobiety.

Plato dostrzegł uśmiech i zauważył:

— Nie mam tu na myśli siebie, skoro pragnę aby przeszedł wniosek, ale właśnie myślałem przy tym o panach. Jeżeli bowiem wniosek upadnie, to sytuacja panów ukształtuje się tu bardzo niepomyślnie, rząd bowiem musi się postarać o to, aby uchronić państwo przed podobnymi ewentualnymi nowymi wstrząśnieniami.

— Czy pan się obawia o nasze życie? — zapytał Avanti.

Plato milczał.

Filip spojrział na niego z lękiem i rzekł:

— To jednak niesłychane, co się tu dzieje. Homunkulusy nie mówią o niczym innym, tylko o kobiecie. Wie pan, panie Plato, mnie się homunkulusy teraz tak wydają, jakby byli wulkanami, co to na całe lata umilkły, a potem nagle zaczynają buchać ogniem. Co prawda nigdy nie pomyślałem, że sprawa może się tak rozwijać.

Było już późno w nocy, gdy niespodziewanie zgłosił się Plato i zbudził profesora oraz Filipa, zawiadamiając, że musi natychmiast pomówić z nimi w nader poważnej sprawie.

— Proszę mi wybaczyć — mówił z niezwykłym u niego podnieceniem nerwowym — że niepokoję pana w nocy, ale moim obowiązkiem jest służyć panu. Dlatego przybiegłem tu, aby panów ustrzec przed grożącym niebezpieczeństwem.

— Cóż się stało? — zawołał profesor z przerażeniem.

— Przychodzę tutaj, aby panom udzielić pewnych informacji, ale popełniam przez to na ruszenie moich obowiązków, jako obywatel państwa homunkulusów. Byłem właśnie na nader ważnym posiedzeniu najwyższej rady państwowej jako ekspert. Obrady dotyczyły dnia jutrzejszego i spodziewanych wydarzeń. Otóż na podstawie przebiegu tego posiedzenia radzę panom uciekać bezzwłocznie, jeżeli parlament wypowie się przeciw wnioskowi.

— Uciekać?... dokąd?

Profesor skoczył, jak rzucony sprężyna.

— Co się stało? zawołał.

— Ten nieszczęsny wniosek, który wchodzi jutro pod obrady parlamentu, wywołał zaledwie wielki rozdział między homunkulusami, stworzył przepaść, którą nie łatwo wyrównać. I ku wielkiemu memu zaniepokojeniu muszę oświadczyć jasno, że prezydent wyraził się, że uważa za nieszczęście dla państwa, iż udzieliło ono panu i panu Filipowa gościnności.

— To Filip musi cofnąć wniosek — wykrzyknął profesor. — Filipie widzisz, do czego doprowadziłeś!

— Gwałtu, gwałtu! — biadał Filip — co za historie wyrabiają ludzie z powodu jednej niewiasty. Oj jakże homunkulusy upadli. Za naszych czasów byli ludzie, jak Turcy lub Persowie, którzy mieli po dziesięć i więcej kobiet i nie było przez to takich awantur.

— Nie sądzę — odezwał się Plato po namyśle — aby cofnięcie wniosku

pomogło teraz wiele. Obecnie rzucony kamień jest już w pełnym rozpędzie. Pierwszy lepszy homunkulus może teraz podjąć wniosek na nowo i zgłosić go. Najlepiej będzie, jeśli pan przygotuje się do j ucieczki.

— Dobrze, ale dokąd uciekać? Gdzie się schronić? Cały świat w rękach homunkulusów, do kogokolwiek się udamy, wszędzie spotkamy wrogów!

— Jest jednak pewne wyjście — oświadczył Platon spokojnie. — Jeden z naszych małych aerokabów rządowych może pana zabrać do brzegów Islandii, gdzie jest rezerwat dla ludzi zrodzonych z kobiety.

— Co? Więc są jeszcze ludzie?... I to w obszarze rezerwowanym ?

— Tak jest. W okolicach pod biegunem. Tam się jeszcze utrzymali.

— Pod biegunem! Aha... tak, tak... więc tam i się ich toleruje, tak jak niegdyś wymierające gatunki zwierząt w chronionym specjalnie obszarze!

— Coś mniej więcej w tym guście.

— Zresztą, przypuśćmy, że zaczniemy uciekać, ale rząd nie pozwoli nam ma użycie aerokabu.

Plato pomyślał chwilę i rzekł:

— Użyje pan aerokabu, który panu rząd oddał do dyspozycji, a którego załoga jest wyłącznie pod pańskimi rozkazami, naturalnie aerokab nie będzie mógł wylądować w Islandii, gdyż przekroczenie obszarów zamieszkałych przez ludzi jest najsurowiej zabronione. Na to jednak znajduje się rada. Zawołam Archimedes, on nam wiele pomoże w sprawach technicznych.

— A czy można go wtajemniczyć? — zapytał żywo profesor.

— Można. On także nie godzi się na projektowane zamysły rządu i sprawi mu przyjemność, gdy będzie mógł przewieźć pana w bezpieczne miejsce, skoro tu przyjdzie do zaburzeń.

Plato wyszedł.

— Ładny interes, do wszystkich diabłów — zaklął Filip, desperacko. — Pokazuje się, że kobiety są nieszczęściem nawet tam, gdzie ich wcale niema!

Profesor nic nie odpowiedział na tę głęboką sentencję, tylko ponuro spoglądał przez okno.

Filip, trzymając się oboma rękami za głowę, chodził nerwowo po pokoju.

— Zabieraj się do pakowania — odezwał się nagle profesor. Gdy tylko przyjdą Plato i Archimedes, idź zaraz pakować.

— Czy pan profesor jest na mnie zagniewany — zapytał Filip pokornie. — Ja przecież nie mogłem przewidzieć, że się tak stanie...

— Nie gniewam się na ciebie. Ale idź pakować bo kto wie, czy jutro będzie na to dosyć czasu.

— Więc pojedziemy do Islandii? — pytał dalej Filip. — To znaczy, że na końcu świata jest jeszcze trochę ludzi... a proszę pana profesora... czy pan profesor nie wie przypadkiem, jak wyglądają niewiasty na Islandii? Czy są ładne?

Profesor popatrzył poważnie na Filipa i rzekł:

— Powinieneś sobie gorąco życzyć, aby ci się tylko powiodło, byś się mógł sam o tym przekonać.

Filip wyszedł,

Za kilka minut wrócił Plato z Archimedesem.

— Pan Archimedes jest także zdania, że w obecnych warunkach najlepszym wyjściem jest ucieczka i to jak najszybsza — zawołał Plato.

Profesor poruszony podszedł do Archimedesesa i ściskając go za rękę rzekł:

— Nie przypuścił pan chyba nigdy, że sprowadzimy na wasze państwo tak wielkie zaburzenia.

— Nie było to z pewnością ani pańskim zamiarem, ani zamiarem pana Filipa — odpowiedział Archimedes. — Ale obecnie wydaje mi się, że najlepiej jest uciekać. — Po tych słowach wydobyl z kieszeni pismo weteranów, rozwinął je i podał profesorowi, wskazując w milczeniu jeden ustęp.

Profesor rzucił pospiesznie okiem, zbladł i wykrzyknął:

— Więc aż tak daleko zaszło! Więc chcą mojej śmierci! Piszą, że tylko moja śmierć i śmierć Filipa może państwu przywrócić pokój.

Homunkulusy milczeli. Po chwili odezwał się Plato:

— W tej chwili nie ma jeszcze bezpośredniego niebezpieczeństwa. Nastanie ono dopiero wtedy, gdy orzeczenie parlamentu wypadnie przeciw wnioskowi. Wtedy też wystarczy uciekać.

— Jestem bardzo znużony pobylem w waszym kraju — oświadczył cicho profesor. — Proszę mi nie brać za złe tej szczerości, ale obecnie szczerze żałuję, że zdobyłem się na mój eksperyment. Zobaczyłem tu rzeczy olbrzymie, rzeczy przygniatające, które wprawiły mnie w podziw, ale przy całej tej potędze i wielkości nie znalazłem z tego rozwoju żadnego zadowolenia i w sercu czuję pustkę. Jest mi teraz zupełnie obojętne, czy ucieknę jutro, czy też zaraz teraz. Otwarcie przyznaję, że ten olbrzymi postęp, jaki tu u was oglądałem, raczej mnie przeraził, niż pokrzepił.

— Pan profesor może zupełnie spokojnie oczekiwać wyniku jutrzejszego głosowania. Gdy wypadnie ono ujemnie, to zanim rząd podejmie odpowiednie kroki, pan profesor będzie już mógł dotrzeć do Islandii.

Do drzwi zapukano i wszedł Filip, trzymając w ręku dziennik.

— Ładny interes — zawołał — proszę pana profesora, chcę nas sprzątnąć!

Ładne towarzystwo, te homunkulusy! Boją się, że im jeszcze niejedna niespodziankę możemy zgotować... Tylko to bardzo niebezpieczna sprawa z tymi automatami! Mogą się z nami tak załatwić, że pierwaj umrzemy, zanim to spostrzeżemy!

W ciągu nocy profesor i Filip zaczęli pakować swoje rzeczy. Profesor zabrał tylko zapiski. Ze smutkiem spoglądał na bibliotekę, którą musiał pozostawić, gdyż na spakowanie jej nie było czasu. Także Plato odradzał pakowania książek, wskazując na to, że lepiej jest nie zwracać uwagi przygotowaniami do ucieczki, a usuwanie książek musiałyby uderzyć służbę.

Nad ranem przygotowania były ukończone. Profesor i Filip położyli się na chwilę, ale usnąć nie mogli. Zwłaszcza Filip przewracał się niespokojnie, nie był zdolny do logicznego wnioskowania, co się w ogóle stało ze sprawą Kasi, tak ładnie się zapowiadającą.

Rano zawiadomił Plato, że na wszelki wypadek polecił załodze aerokabu, aby była w pogotowiu, gdyż profesor zamierza w ciągu dnia wyruszyć na dłuższą wycieczkę. Kazał zaraz też dla ostrożności przenieść na aerokab kufer z papierami.

— Będziemy panu towarzyszyli — oświadczył. — Będzie także dobrze, że będzie z nami Archimedes na statku.

— Bardzo panu dziękuję — odrzekł profesor — ale jeśli panowie powrócicie bez nas, to pociągną panów do odpowiedzialności, a wówczas los panów może się stać krytyczny...

— Gdy pana nie będzie wśród nas, to i my stracimy naszą rację bytu w tym państwie. Co się potem z nami stanie, tego nie wiem. Do odpowiedzialności nie mogą nas pociągnąć, gdyż nie przekroczyliśmy żadnego prawa. Nas stworzono po to, abyśmy byli towarzyszami pańskimi. Ten obowiązek wypełniamy, udając się z panem tam, dokąd pan chce, a więc także towarzysząc panu w ucieczce.

Koło godz. 10 rano profesor, Filip, Plato i Archimedes, miotani różnymi nastrojami, udali się do parlamentu. Tam zaproszono ich do łoży obok trybuny rządowej

Sala była wypełniona. Nie było zresztą dziwnym, że członkowie parlamentu byli wszyscy, wypełniali oni bowiem swe obowiązki z całym ich poczuciem i z pewnością żadnemu nie przyszłoby nigdy na myśl opuścić kiedykolwiek posiedzenie. Ale poza tym galerie były przepełnione. Widać było głowę przy głowie i, co najdziwniejsze, w tym tłumie słychać było szmery i rozmowy. Homunkulusy dyskutowali żywo i gestykulowali rękami.

— Oho — zawołał Filip — dziś życie wstąpiło do tej budy. Zapowiedź, że ma

powstać kobieta, pobuntowała automaty.

Nagle nastąpiła cisza, na salę weszło prezydium parlamentu i członkowie Rady stanu i zajęli z godnością, swe miejsca.

Wówczas prezydent Izby otworzył obrady następującym przemówieniem:

— Niespokojne dni nawiedziły nasze państwo. Wniosek osobnika, zrodzonego z kobiety, wniosek nad którym mamy dziś obradować, wywołał w naszym państwie stan anormalny. Proszę panów wszystkich w interesie państwa o przestrzeganie zupełnego spokoju w czasie obrad. Od panów zależy uchylić grożące niebezpieczeństwo, i przeszkodzić temu, aby państwo nie popadło na nowo w nędzę zwierzęcego prymitywnego stanu, z której przed wiekami wydobyte zostało przez naszych wielkich myślicieli i badaczy.

— Ślicznie — zauważył Filip — już się zaczyna! Pan prezydent nie jest jak się zdaje za moim wnioskiem!

Ostatnie słowa prezydenta spotkały się na sali z częściowym przytaknięciem, ale równocześnie okazało się, że także znaczna część zebranych nie zgadza się z jego powiedzeniem. Dał się słyszeć jakiś głuchy pomruk, jak gdyby odgłos dalekiej burzy. Pomruk ten wnet jednak zaczął się wzmacniać, potężnieć, a gdy prezydent chciał mówić dalej jeszcze, zerwała się ogłuszająca wrzawa. Setki głosów rozległy się, wzywając prezydenta, aby usiadł, aby przestał mówić, gdyż nie ma prawa w zagajeniu zajmować stanowiska być stronnikiem, nie wolno mu oświadczyć się przeciw wnioskowi, gdyż jeszcze nawet nie rozpoczęto obrad itd.

— Siadać! Milczeć! Precz! — rozległo się namiętnie w całej sali.

Stronę prezydenta wzięta druga partia, wśród niej zwłaszcza weterani i aby przeciwników uspokoić. zaczęli jeszcze głośniej krzyczeć.

Prezydent stał bezradnie, nie wiedząc co począć. Nie miał jeszcze praktyki w przewodniczeniu w podobnych warunkach. W reszcie porwał za dzwonek i zaczął nim gwałtownie wymachiwać. Widać jednak było tylko ruch ręki. gdyż dzwonek nie można było słyszeć.

Ostatecznie zwołna uciszyło się o tyle. że można było przystąpić do obrad.

Podniósł się jeden homunkulus i zaczął czytać wniosek, aby parlament uchwalił zrobienie homunkulusa żeńskiego dla towarzysza profesora Avantiego.

Po odczytaniu wniosku rozległy się na sali gromkie oklaski. Zwolennicy wniosku zaczęli gwałtownie bić brawo.

Przeciwnicy wniosku odpowiedzieli na to wrzawą i okrzykami, wśród których dominowało słowo: Kui!

— Wołają, że to świństwo! — mruknął Filip. — Kanalie!

Znowu upłynęła długa chwila zanim nastąpił spokój.

Homunkulus ten mówił dwa, razy dłużej niż jego poprzednik a wytłumaczył to tym, że przykładów nieszczęśliwych małżeństw i złych kobiet jest dwa razy więcej, niż małżeństw szczęśliwych i dobrych niewiast. Na zakończenie przedstawił w straszliwych barwach stosunki, jakie musiałyby zapanować, gdyby miano przystąpić do wyrobu kobiet i do wprowadzenia ich w życie oraz zaklinał zebranie, aby odmówiło swego poparcia wnioskowi, który tylko wróg homunkulusów mógł wymyśleć. Wreszcie wyraził ubolewanie, że państwo udzieliło gościny dwom ludziom zrodzonym z kobiety.

Gdy skończył mówić, wrzawa powstała jeszcze większa niż przedtem, gdyż teraz i weterani zaczęli wrzeszczeć, i burzliwie oklaskiwać mówcę.

Uplłynęło dobre pół godziny, zanim prezydent mógł przystąpić do głosowania.

O tym, aby Filip jako ekspert mógł przemówić, nie można było nawet, myśleć.

Głosowanie odbywało się w zupełnej ciszy, ale wśród olbrzymiego powszechnego napięcia. Widać było, że wszyscy dygotali. Atmosfera była dręcząca trudna do wytrzymania. Filip chciał chwilami krzyczeć, tak był rozdrażniony.

Wynik głosowania był niespodzianką.

Za wnioskiem i przeciw wnioskowi padła równa ilość głosów

Według regulaminu, w razie równości głosów rozstrzygał przewodniczący. Tutaj przewodniczącym był stary homunkulus, nie mogło też być żadnej wątpliwości jak wypadnie jego wyrok.

Gdy rozbrzmiały jego słowa, że odrzuca wniosek, zerwała się na sali straszliwa burza. Młodszy członkowie parlamentu zaczęli pchać się ku trybunie, wrzeszcząc jak opętani. Chcieli prezydenta rozedrzeć na sztuki. Koło trybuny zaczęli się skupiać weterani, ręce zaczęły się wyciągać do góry, zaczęły się groźnie podnosić zaciśnięte pięści. Było już nie uniknione, że musi przyjść do starcia.

Nagle nastąpiła cisza: Główne drzwi sali otworzyły się i zaczął przez nie wchodzić czwórkami oddział homunkulusów, olbrzymiej wysokości, o połowę przerastających wszystkich innych..

— Proszę panów — zawołał Plato poruszony — ostatnia chwila nadeszła, musimy uciekać. Prezydent zawołał policję państwową... Tu będzie spokój przywrócony siłą.... Obawiam się, że następny wniosek, jaki tu będzie zgłoszony, może być strasznym dla panów...

Plato wziął profesora pod rękę i ruszył naprzód przez półciemny korytarz. Archimedes prowadził Filipa, bladego jak ściana i słaniającego się.

Przed gmachem parlamentu stał automobil profesora. Pospiesznie wsiedli wszyscy do wozu, Archimedes umieścił się przy kierownicy i ruszono do portu, gdzie zaraz udano się na pokład aerokabu. Przez drogę nikt nie przemówił ani słowa.

Załoga powitała profesora z wielkim szacunkiem. Plato dał natychmiast znak do odlotu.

Filip był tak wyczerpany, że na pokładzie opadł na fotel jak martwy.

— Czy tak, czy tak — westchnął, — czy są niewiasty, czy ich niema, zawsze niewiasta jest nieszczęściem!

Profesor szeptem zaczął się naradzać z oboma towarzyszami nad sprawą ucieczki i zapytał, co może się stać jeżeli rząd odwoła statek.

— To jest skomplikowana sprawa — odpowiedział Plato, — Właściwym komendantem statku jest wyłącznie pan profesor, statek pozostaje wyłącznie pod pańskimi rozkazami...

— A że rząd nas nie odwoła — wtrącił się do rozmowy Archimedes — to już ja postaram się o to.

— W jaki sposób?

— Na rozkaz pana profesora zajmę pokój telefoniczny i gdyby nadszedł jaki telefoniczny rozkaz czy telegram do załogi, dla nas niekorzystny, ja telegram ten zniszczę.

Uczucie lekkości jakiego doznali teraz wszyscy, wskazywało, że statek wzniosł się już do lotu. Dał się słyszeć głuchy szum śrub.

Zbliżył się maszynista i zapytał w jakim kierunku ma skierować statek.

— Do starożytnej Anglii — odpowiedział Plato, a wskazując na Archimedes — dodał:

— Z polecenia pana profesora ten pan obejmuje kierownictwo statku.

Maszynista skłonił się i poszedł do wnętrza statku.

— Jestem strasznie zmęczony — odezwał się Filip do profesora — chętnie bym poszedł do wnętrza i położyłbym się.

— Owszem, idź.

Archimedes i Plato wzięli profesora pod rękę i zeszli do pokoju telefonicznego.

— Tu jesteśmy panami sytuacji — oświadczył Archimedes zamykając drzwi — Bez naszego zezwolenia nie wejdzie tu żaden członek załogi.

— Jak długo może potrwać nasza podróż?

— Jeżeli wszystko pójdzie po naszej myśli, to do dwunastu godzin powinniśmy ujrzeć wybrzeże Islandii. Tam rozejdziemy się. Aerokab robi na godzinę



przy średnich warunkach atmosferycznych 250 kilometrów. Linia powietrzna naszej drogi wynosi nieco więcej niż 3000 kilom.

— A czy rzeczywiście będziemy musieli się tam rozstać?

— Panie profesorze — oświadczył Plato — my homunkulusy tak samo nie dostosujemy się do ludzi, jak pan profesor i pan Filip nie nadają się do życia między nami. Poza tym prawa naszego państwa zabraniają nam surowo wstępowania na obszary, na których mieszkają ludzie. Jeżeli dobrze pójdzie, jutro rano my ruszymy z powrotem.

Archimedes zaczął bacznie spoglądać na różne aparaty poumieszczone przy ścianie kabiny, poczym zauważył:

— Teraz mamy godzinę 5 popołudniu. Jeżeli wszystko pójdzie normalnie, będziemy o g. 5 rano na miejscu.

— Więc poważną część drogi odbędziemy w nocy — rzekł profesor z roz-targnieniem.

— Nie, panie profesorze. Gdy u nas słońce zajdzie, będziemy już w północ-nych okolicach dawnych Niemiec, a o godz. 9 wieczorem dotrzemy do 55 stopnia szerokości geograficznej. Dziś mamy dnia 21 czerwca, gdy nasze zegary będą wskazywały godzinę 9 wieczorem, to na 55-tym stopniu będzie dopiero zaczy-nała się noc, tam bowiem słońce zachodzi tego dnia dopiero koło pół do 9-tej. Dzisiejsza noc będzie krótko trwała.

Statek dygotał od gwałtownych, uderzeń śruby. Głuchy szmer dochodził z zewnątrz.

— Statek, pędzony teraz całą siłą, osiągnął największą szybkość — objaśnił Archimedes, spojrzawszy na aparat.

— Jestem silnie znużony, pójdę za przykładem Filipa i położę się trochę, aby się choć chwilę przedzemać, o ile mi się to uda. Gdyby zaszło co ważnego, proszę mnie zaraz obudzić i dać mi znać.

Po tych słowach profesor skierował się ku drzwiom, wiodącym na pokład, Archimedes zerwał się pospiesznie i zawołał:

— Proszę na pokład nie wychodzić. Tam skutkiem szybkości statku panuje taki silny wicher, że zmiotłoby pana profesora momentalnie z pokładu.

Następnie uchylił drzwi w pokładzie, a Plato pomógł profesorowi zejść do salonu. Zastali tam Filipa śpiącego na pokładzie głębokim snem.

Profesor opadł bezsilnie na fotel i zanim jeszcze Plato wyszedł z powrotem, już zaczął drzemać.

Aerokab, pędzony jeszcze pomyślnym wiatrom, gnał ze zastraszającą szyb-kością 250 kilometrów na godzinę. Archimedes stale trzymał się na wysokości

ponad 2000 metrów.

O godzinie 1 w nocy ukazał się wielki okręt powietrzny, był jednak tak daleko, że nie można było dojrzeć jego nazwy. Archimedes zresztą nie miał wcale ochoty spotkać się z tym statkiem i w ogóle z żadnym innym i nawet dla ostrożności kazał zgasić lampy sygnałowe.

Nadeszła godzina 4 rano. Słońce świeciło już jasno, gdy do salonu, w którym spał profesor i Filip, wszedł Plato i zaczął budzić profesora.

— Co się stało? — zapytał profesor, zrywając się szybko.

— Od rządu nadszedł telegram, rozkazujący nam natychmiast powrócić. Co pan profesor rozkaże?

— Co mi pan radzi? — odezwał się żywo Avanti, przychodząc po ciężkim śnie zupełnie do siebie.

Plato milczał przez chwilę, wreszcie odpowiedział:

— Ja bym nie radził wracać. Za kwadrans powinniśmy ujrzeć wybrzeża Islandii. Gdy tam pan przybędzie, będzie pan zawsze bezpieczny, gdyż jak już mówiłem, do owych okolic nie wolno wstępować żadnemu homunkulusowi.

Profesor wraz z Platonem ruszył do sali telefonicznej.

Archimedes stał przy słuchawce ze skupioną miną i nasłuchiwał.

— Właśnie nadszedł nowy naglący rozkaz — odezwał się do wchodzących — rozkaz, który domaga się natychmiastowego powrotu. A także doszła mnie inna zła wiadomość: mianowicie parlament na dzisiejszym nocnym posiedzeniu uchwalił unieszkodliwić pana profesora i pana Filipa raz na zawsze, wychodząc z założenia, że jak wykazało doświadczenie, pobyt panów u nas narażał będzie państwo na stałe niebezpieczeństwa wewnętrznych wstrząśnień.

— Więc skazali nas obu na śmierć — zauważył gorzko profesor. — To także nagroda dla mnie za moją ekspedycję w czasie dla nauki! Otóż nie zrobię rządowi tej przyjemności i nie oddam się mu w ręce. Tutaj, w przestrzeni, o tysiące kilometrów od stolicy, na kresach państwa, nie mogą mnie już dostać!

— To jednak nie jest zupełnie wykluczone — wtrącił Archimedes i wyglądający przez okno, zawołał:

— Na widnokręgu zaczynają się rysować brzegi Islandii!

— Pozwoli pan, że sam dam rządowi odpowiedź — rzekł profesor do Archimedes, a gdy ten oddał mu słuchawkę, profesor zawołał do telefonu:

— Tu doktor Avanti. Kto jest przy aparacie?

— Szef rządu — brzmiała odpowiedź.

W tej chwili do pokoju wszedł Filip, nikt jednak nie zauważył tego, gdyż uwaga była zwrócona na telefon.

— Proszę zawiadomić wysoki rząd — mówił profesor — że wcale nie mam zamiaru ani natychmiast ani w ogóle kiedykolwiek później powracać do państwa homunkulusów.

— Brawo! — wykrzyknę! Filip. — Chcę nas mieć zapewne nazad w swych rękach. Teraz żałują, że nas brakło! Mogli byli inaczej pokierować moją sprawę.

Upływały minuty. Telefon milczał

Wreszcie odezwał się na nowo.

Profesor pochwycił słuchawkę.

— Grożą nam — zawołał — że jeśli natychmiast nie zawrócimy, rząd wyłączy zaraz działanie wszystkich aparatów elektrycznych na całej kuli ziemskiej i będziemy narażeni na runięcie na ziemię albo do morza... Że jednak wpadli na ten pomysł tak późno...

— Ładnie się z nami bawią! — dorzucił Filip.

— Może jednak pierwszej dotrzemy do Islandii!

— Tam widać już skały wybrzeża — zawołał Archimedes wyciągając rękę.

Następnie przesunął jakąś dźwignię na, ścianie. Rozległ się głos dzwonka i za chwilę statek począł gwałtownie dygotać, a śruby silniej zahuczały.

— Były powody — ciągnął dalej Archimedes — dla których nie mogli pierwszej wyłączyć elektryczności z powietrza. Musieli najpierw zawiadomić wszystkie okręty znajdujące się w drodze, aby jak najspieszniej wylądowały, w przeciwnym bowiem razie pospadałyby także i one na ziemię i porozbijały się. Do nas doszło zawiadomienie telefoniczne przed przeszło pół godziną: w obecnej chwili na całej kuli ziemskiej nie ma w powietrzu żadnego innego aerokabu prócz naszego. Za kilka minut nasz aerokab zacznie opadać. Dlatego zarządziłem największą szybkość. Może przed opadnięciem zdołamy dotrzeć do wybrzeża.

— Nigdy bym jednak nie przypuścił, że homunkulusy mogą być tak zawziętymi i mściwymi — zauważył Filip. — Od chwili mojego wniosku wstąpił w nich jakiś diabeł i gdybym był wiedział, że tak pójdzie, to byłbym wniosku...

— Nie wnosił... — dorzucił profesor.

— Zresztą już za późno o tym myśleć.

Filip wypowiedział te słowa, bez gniewu i zupełnie spokojnie, jednakże z bladości jego twarzy było widać, że świadomość niebezpieczeństwa wiszącego z tak wielkiej oddali, silnie go przejęło.

Statek gnał z zawrotną szybkością. Profesor wpatrywał się bez ruchu w dalekie zarysy wybrzeża. Archimedes spoglądał bacznie na aparaty na ścianie i zaczął czynić jakieś obliczenia.

— Zaczynamy opadać — zawołał nagle.

Filip zbladł jak kreda.

— Czy wystarczy siły rozpędowej, aby dolecieć do brzegu? — zapytał Avanti.

— Trudno przewidzieć. Byliśmy wprawdzie na wysokości ponad 2000 metrów, ale łuk, którym spadniemy, nie da się w tej chwili określić. Gorsze to jednak, że jeśli spadniemy na wybrzeże, upadek może być zbyt silny. Może przyjść do katastrofy. Opadnięcie zaś na morze grozi tym samym niebezpieczeństwem.

Statek rzeczywiście zaczął spadać i to z szybkością, dającą się już dostrzec.

Powierzchnia morza, ponad którą przelatywano, a która dotąd wydawała się jednolitą szarą płaszczyzną, zaczęła występować w wyrazistych zarysach, można już było rozróżnić kłębiące się wielkie zwały wód, ukazywać się zaczęły przevalające się fale.

Filip błędnym wzrokiem spoglądał niespokojnie na przybliżające się od dołu morze, to znowu na wyłaniające się z poza mgły wodnych oparów linie brzegów.

Zapanowało milczenie.

Widmo katastrofy wyłaniało się coraz wyraźniej i dochodziło do świadomości wszystkich.

Teraz tylko los ślepy mógł dać odpowiedź, co się za kilka chwil stanie.

— Czy nie dałoby się może skierować statek trochę ku górze, aby powiększyć łuk spadania? — zapytał profesor niepewnym głosem.

— Ster jest nastawiony ku górze — odpowiedział Archimedes, nie odrywając wzroku od aparatów — mimo to opadamy dalej. Zresztą opadamy z chyżością przyspieszoną, więc gdyby nawet dawny rozpęd wystarczył do zwiększenia łuku, to i tak siły uderzenia nie osłabimy.

— Trzeba się przygotować na wszystko — zawyrokował Plato. — Trzeba, abyśmy w chwili opadnięcia wydostali się pospiesznie na pokład, bez względu czy spadniemy w morze, czy na skały. Ale chyba tylko jaki przypadek zrządzi, że nie odczujemy silniej zderzenia.

Zapadła znowu cisza.

Fale morza przelewały się już wyraźnie pod nogami lecących i z każdą sekundą przybliżały się ku nim. Mogło ich już dzielić tylko kilkadziesiąt metrów. Nierównie brzegi Islandii widniały przed statkiem zupełnie już wyraźnie, jednakże morze było bliżej...

Archimedes rzucił okiem na aparat rejestrujący wysokość, spojrzął przed siebie, na wystające brzegi i szybkim poruszeniem ręki przesunął jakąś dźwignię.

— Próbuje jeszcze raz podnieść ster — zawołał — ale... brzeg jest za daleko.

Nagle Filip, milczący dotąd i nieruchomo wpatrujący się w fale morza, sko-

czył ku profesorowi chwytając go za rękę. zawołał spazmatycznie:

— To wszystko moja wina... proszę pana profesora... ja teraz... proszę pana profesora... ja bym nie chciał, aby pan profesor się gniewał na mnie, za to, że... że my zginiemy...

I przycisnął rękę profesora do ust, a równocześnie łzy mu z ocz trysły.

— Ależ... co robisz... Widzisz, mój drogi... nie trzeba... Przecież, zresztą my... obaj razem zginiemy...

I silnie poruszony odruchowo porwał Filipa w objęcia.

— Baczość! — zawołał Archimedes. — Spadamy!

Wszyscy spojrzeli w dół, na szklany spód okrętu: szczyty fal obryzgiwały już statek.

Archimedes rzucił się w kąt pokoju i jednym szarpnięciem dłoni przesunął dźwignię, zasłaniając szkło posadzką trwałą.

— Na pokład! — zawołał.

Plato porwał profesora za rękę i otworzywszy drzwi pociągnął go na schodki. Równocześnie Archimedes pochwycił słaniającego się Filipa pod rękę i rzucił się z nim ku wyjściu.

— Tylko kilkanaście schodków do pokładu! wołał Plato zachęcająco.

Zaczęli pędzić do góry.

Nagle dało się uczuć potężne uderzenie, rozległ się łoskot i trzask, ściana przy schodkach zaczęła się walić.

Profesor zachwiał się, pociemniało mu w czach, uczył szum w głowie, błędnie wyciągnął ręce przed siebie i runął wstecz bez zmysłów...

Otworzywszy oczy profesor spoglądał przez chwilę bezmyślnie do góry. Słońce silnym blaskiem oświecało kilka drobnych chmurek. Profesor spoglądał na nie, jakby na jakieś nieznanne mu zjawisko.

Nagle słup zimnej wody zalał mu oczy, a równocześnie jakaś fala przewaliła się przez niego. Uczuł przejmujące zimno, zrobił ruch jakby chciał powstać, ale w momencie uczył silny ból w całym ciele.

W tej chwili wróciła mu świadomość, przebiegł go lęk grozy na wspomnienie ostatnich chwil, zdobył się na wysiłek i podniósł się nieco.

Jeden rzut oka wystarczył, aby opanować sytuację i zdać sobie sprawę z tego, co się stało.

Profesor leżał na skale, lekko podnoszącej się ku górze. Nieco niżej u brzegu leżały szczątki aerokabu potrzaskane, wyglądające, jak jedna bryła. Profesor

zrozumiał, że widocznie silna fala wyrzuciła go tutaj że druga taka fala może go znieść z powrotem. Trzeba było myśleć o ratunku. Poczucie niebezpieczeństwa dodało mu sił. Zdołał powstać. Czuł ból w całym organizmie, ale zarazem wróciła mu pewność, że nic się mu nie stało i że tylko potłukł się podczas upadku.

— Na Boga! Gdzie Filip? Gdzie inni? — krzyknął głośno i nie myśląc o tym, że fala może go zabrać, ruszył kulejąc ku szczątkom.

Trudno się było rozeznąć w tej masie drzew i metalu, pogruchotanej i poplątanej w jeden kłęb. Ściany kabin powykręcane tłoczyły się na jeden stos. Profesor gorączkowo zaczął wyciągać kawałki drzewa i odrzucać. Szło to bardzo opornie, profesor od czasu do czasu jęknął z bólu, ale nie ustawał.

Nagle silny przypływ morza zalał wybrzeże. Profesor miał tyle przytomności, że zdążył chwycić się kurczowo jakiejś pogiętej sztaby metalowej i dzięki temu nie został porwany, Zimna woda orzeźwiła go i dodała mu sił do dalszego szukania. Wnet też odnalazł leżącego Platona. Plato był zimny. Nie potrzeba było długo badać jego stanu, gdyż miał głowę rozbitą i było widoczne, że zginął w chwili upadku.

Profesora zdjął lęk.

Nagle zdało się mu, że usłyszał coś w rodzaju stłumionego jęku, dobywającego się z pod stosu desek. Pospiesznie rzucił się w tę stronę i zaczął konwulsyjnie odwalać szczątki.

Po kilku wysiłkach dojrzał leżąc jakieś ciało, na pół jeszcze przykryte.

— To Filip! — poznał to po ubraniu.

Nastąpiła chwila strasznej niepewności: żyje czy nie żyje.

Profesor czuł, że nogi się pod nim uginają.

Ostatnim wysiłkiem zdobył się jednak na to, aby zerwać zasłaniającą deskę.

Filip leżał na wznak, był blady i nieruchomy.

Profesor nachylił się nad nim i zaczął nasłuchiwać.

— Żyje! — wykrzyknął radośnie i zaczął nacierać mu skronie.

Z piersi Filipa wydarł się głuchy jęk, po czym na chwilę Filip otworzył oczy.

— Żyjesz! — zawołał profesor — żyjesz. Chwała Bogu... Filipie, to ja, widzisz... przyjdźże do siebie...

Filip spoglądał przez chwilę na profesora, jakby nie rozumiał o co chodzi-

— Żyjesz — powtórzył profesor. — Słyszysz? Rozumiesz? Ocalałeś w katastrofie!

Filip poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć. Nagle wstrząsnęło nim, być może, że wróciła mu świadomość ostatnich chwil, przybladł jeszcze silniej i szepnął:

— To straszne było!

I jakby gnany lękiem podniósł się nagle w górę i usiadł.

— To straszne! — powtórzył — ale chwała Bogu, że pan profesor żyje... Oj, jak boli... Czuję, że jestem całkiem zabity... Ale gdzie inni?... Oj, oj...

— Co ci dolega? Gdzie cię boli? Próbuj wstać! Czy jesteś raniony?

— Wszędzie boli, ale widzi mi się, że jestem cały. Tylko wstać nie mogę. Gdzie są, Plato i Archimedes?

— Uspokój się... Plato, widzisz, nie żyje... a Archimedes... będziemy szukać dalej.

Profesor zaczął dalej usuwać deski i odrzucać.

Filip trzymał się za głowę i pojękiwał z cicha. Próbował powstać, ale nie mógł. Był widocznie zbyt silnie potłuczony, gdyż każdy ruch przyprawiał go o jęk.

Profesor gorączkowo pracował. Zapomniał o własnym potłuczeniu, rozrzucał szczątki z pośpiechem, jakby mu nagle sił przybyło.

Wreszcie odnalazł Archimedes.

Niestety były to tylko zwłoki i do tego silnie pogniecione. Piersi miał połamane, a głowę tak rozbitą, że tylko część twarzy można było rozeznaczyć.

Profesor ze wzruszeniem spoglądał na to.

— Nie żyje? — zapytał Filip.

Profesor milcząco dał znak głową

— Biedaki — szepnął Filip.

Profesor odsunął zwłoki trochę na bok i zaczął dalej szukać.

Wreszcie doszukał się.

Pomiędzy dwoma ścianami, jak cztery bezkształtne masy, leżały cztery trupy załogi statku. Zwłoki były dosłownie zmiażdżone. Widocznie ściany zderzyły się tu ze sobą.

— Straszne — szepnął profesor i zataczając się odszedł od gruzów.

— Szkoda ich — odezwał się Filip. — Do nich jakoś potrafiłem się przekonąć.

— Wiesz — zawołał żywo profesor — oni na mnie robili wrażenie, jakby byli nieco innymi od reszty homunkulusów. Wyglądało tak, jakby byli dostępnymi dla pewnych uczuć.

— I mnie się tak zdaje. Oni musieli chyba mieć jakiś błąd konstrukcyjny.

— Szkoda ich — powtórzył profesor. — Serdecznie ich żałuję. Tak się nami opiekowali, towarzyszyli

Nagle profesor umilkł, chwilę stał bez ruchu, zapatrzony przed siebie, po-

czym raptownie wyciągnął rękę i krzyknął:

— Patrzaj... tam... tam... widzisz? Tam ludzie biegną ku nam...

Filip siedząc, odwrócił się i spojrzał.

Z dalekiego wzgórza biegło kilkanaście postaci ku wybrzeżu.

Widocznie mieszkańcy wyspy obserwowali spadający aerokab i biegli na ratunek.

— Ludzie! — wykrzyknął Filip. — Naprawdę ludzie, żywi ludzie, nie automaty. Profesor pospiesznie zrzucił z siebie surdut i zaczął nim wymachiwać, a Filip przysłonił oczy ręką i bystro wpatrywał się w biegnących. Nagle wrzasnął przeraźliwie:

— Są i kobiety! O, tam, tam, na prawo... Tak, tak, są niewiasty!

I jakby mu nagle ból ustal i wróciła pełnia sił, zerwał się momentalnie z ziemi i pędem puścił się naprzeciw.

**K O N I E C .**

Przełożył J. Grz.